



STROICIEL
LASU

Marek Stroichowski

MULTICO
Dobra literatura

Stokowski Marek

Stroiciel lasu

I do śmiechu, i do płaczu. Ale więcej się uśmiełam.

Pani Stanisława Kosakowa.

Nie, nie ma żelaznych dowodów na to, że śmiech, proszę państwa, leczy. Wszakże ja bym go zalecał.

Dr n. med. A. Pawlikowski

Myślę, że to książka o przyjaźni i ocalającej mocy ciszy. Aha, i to chyba jeszcze jest historia o nadziei.

Marta Bernatowicz

Ten M kiedyś walnął się porządnie w głowę i z tego powodu bardzo długo spał, jak susel, a potem, w dodatku, co i rusz trafiały go meteoryty.

Leśniczy Bernatowicz

Pies coś gada, kruk coś gada. Taka, słyszę, bajka.

Bomba na wodę

Zwariowana opowieść o Polsce po roku 1989. Na szczęście, o trudnych sprawach mówi się tutaj z psim humorem.

Wabi M siedział na chmurze i dyndał nogami. A potem zeskoczył. Tak przynajmniej się zdawało. Zanim jednak zdam relację z tego, jak przebiegło lądowanie i tak dalej, muszę spytać:

Naprawdę, drodzy państwo, uważacie, że psy nie myślą i nie potrafią wypowiedzieć ani słowa? A zajrzeliście kiedyś w oczy suce bernardyna, takiej z kilkorgiem małych ssaków koło brzucha? Albo zwykłemu powsinodze z wyschniętym rzepem na ogonie? Nie owczarkowi czy szpicowi, arystokratom psiego świata, lecz właśnie kreaturze z podkurczoną łapą, arcykundlowi bez obroży! I co? Nie

dostrzeżliście w jego ślepiach śladu duszy?

Tym, co tu gwizdzą i obrzucają mnie argumentami o brakach w mózgu albo w ogólnym wykształceniu czworonogów, odpowiem, że, faktycznie, psie wyrostki nie rozumieją jeszcze wielu rzeczy i nie są w stanie wypowiedzieć takich słów jak centryfuga, stratyfikacja lub transkrypcja. Są też psie głupki, co to nie wiedzą, gdzie jest Rosja. Wszelako nawet te głuptaki - gdyby chciały - mogłyby śmiało opowiedzieć wam o niesłuchaniu ważnych sprawach, na przykład o sposobach uwodzenia atrakcyjnych samic czy też staraniach o schronienie w porze mrozów. Natomiast psy dojrzałe, już jako tako doświadczone w swoim fachu, umiałyby zawstydzić i poruszyć was niejedną pogadanką o miłości, radami w sprawie wychowania krnąbrnych dzieci bądź przejmującą skargą na strzelanie z petard nocą i na perfidię starych kotów.

Czasem wydaje się, że wreszcie coś powiedzą, lecz koniec końców zaciskają zęby, bo mają do was dziwną słabość. Po prostu nie chcą wam odbierać satysfakcji z tego, że niby to jesteście wyjątkowi w skali galaktyki - z tym waszym nadzwyczajnym darem słowa, cudem mowy... Bardzo przepraszam, chyba pchła.

Excuse-moi. Musiałem zagryźć.

Ufam, że może chociaż siedemdziesiąt siedem osób uznało za prawdziwe moje wyjaśnienia i zrozumiało raz na zawsze, po co psu jęzor dłuższy od ogona. Tych właśnie ludzi chciałbym teraz prosić, aby przyjęli z mego pyska tę opowieść, o jakiej napomknąłem na początku, o lądowaniu i tak dalej.

Przyjmijcie ją jak zestrzeloną nad bagnami dziką kaczkę, skarb przyniesiony wam pod nogi. A jeśli okazałyby się zgniłą kością odnalezioną nocą na śmietniku, to postarajcie się, mimo wszystko, dostrzec w niej skromny znak przyjaźni, jakiej ze świecą szukać między ludźmi.

To co?

To proszę bardzo - zaczynamy.

Dlaczego M zeskoczył właśnie wtedy, a nie wcześniej - tajemnica. I jak udało mu się wylądować - nie wiadomo. Myślał, że stoi przy nim siostra Klara, a on jest w sanatorium górskim dla gruźlików astmatyków, lecz prędko zorientował się, że chyba jednak nie, że długonoga pielęgniarka blisko niego to nie tamta i przestrzeń dookoła też jest inna.

Siostra szukała czegoś obok łóżka. To pochylała się głęboko, to znowu próbowała sięgnąć po coś, co znajdowało się wysoko, tak że wspinała się na palce jak tancerka i rozstawiała lekko stopy. Miała na sobie krótki fartuch i pończochy - białe. Nie przejmowała się leżącym za nią śpiochem, który był podłączony do dwóch rurek, bo wiedziała, że nic nie słyszy i nie widzi, chociaż powieki miał zazwyczaj lekko uchylone, jakby ciut oszukiwał i podglądał. Tylko że teraz on naprawdę widział! I to nie z góry, ale właśnie z dołu.

Jest oczywiście wiele pięknych rzeczy na tej ziemi, na przykład drzewa i zwierzęta (no, nie wszystkie), samoloty, niektóre myśli, niektóre głosy instrumentów albo ludzi - przynajmniej tak uważał M i parę innych mądrych osób - lecz kształty kobiecego ciała są czymś

zupełnie wyjątkowym, tym, co, jak zauważyłem, sprawia, że chłopcy i mężczyźni mogą unosić się nad ziemią, mówić wierszem, zapomnieć o urwanej nodze lub zwariować. Więc może to go właśnie przebudziło - nadzwyczaj smukła linia ciała pielęgniarki Anny Wilkosz. Powtarzam, nie wiadomo. Tajemnica.

M cicho jęknął. Z uwielbienia. Siostra A. Wilkosz odwróciła się, spojrzała prosto w jego oczy i już wiedziała, że się gapił. Mężczyźni, nawet kiedy umierają, myślą wyłącznie o tym jednym, każda kobieta wam to powie.

Zrobił się raban. Telefony. Przybiegły jakieś inne pielęgniarki i przyszedł stary doktor Pawlikowski ze zwisającą mu na brodę siną wargą. Pan doktor zawsze był zajęty. Akurat pełnił dyżur, chwała Bogu.

Sprawdził przebudzonemu puls, a potem - nie wyciągając mu kuchennej rurki z zębów i wnętrzości - zaczął go pytać o sto różnych głupot. Pacjent miał odpowiadać ruchem głowy.

Tymczasem M przymrużył oczy, bo chciał zatrzymać pod powieką pierwszy obraz, ten, którym go przywitał świat po śnie-rozstaniu. Dopiero kiedy widok nóg nadzwyczaj atrakcyjnej Anny Wilkosz zupełnie i nieodwołalnie mu się rozwiął, śpioch zaczął kiwać głową z większym przekonaniem. Z tym że jedyne, co tak naprawdę chciał powiedzieć - poza słowami uwielbienia dla białego cudu - to: „Kompot. Czereśniowy.

Bardzo proszę!” . Niestety, nie był w stanie wyrzec ani słowa, bo mu w tym przeszkadzała rurka w ustach i przełyku. I coś w głowie.

Kobieta, która znikła mu spod powiek, stanęła sobie skromnie pośród koleżanek, a te też były całe białe, bardzo ładne (z wyjątkiem siostry Zofii Prystor). M czuł, że w jego żyłach coraz prędkiej krąży krew. A potem poczuł płynny ogień. Stopniowo ogień zaczął się rozlewać bólem po ramionach, plecach, piętach, wlał się do gardła i w tył głowy.

M podejrzewał, a nawet był głęboko przekonany, że nie obudził się zupełnie taki, jaki zasnął. Wiem, bo mi to wszystko potem opowiadał. Co najmniej trzy, a może nawet cztery razy.

Chyba cztery.

*

Przez pierwsze lata głębokiego snu M był chroniony przez rodzinę. Po śmierci jego babci, potem mamy, o śpiocha wojowali dawni kompani zabaw na Okęciu: Andrzej z Goską. Musieli go ratować przed wyrokiem, przed wykreśleniem z kartoteki, przed wywaleniem z odpadkami na śmietnisko.

Więc oni wszyscy, po kolei, myli ten strasznie ciężki zewłok i przewijali go, golili, strzygli, goili jego rany, płacili pielęgniarkom i cały czas gadali coś do niego, jakby słyszał. A jeszcze później zjawiała się przy śpiochu siostra Dominika, w białym kornecie i z różańcem. Trudno powiedzieć, dlaczego również ona walczyła o to, żeby powrócił z chmury na dół, walczyła jak jego rodzona matka. I oczywiście bronił śpiocha stary doktor ze zwisającą na kolana, siną wargą. Jakoś się uparł, zwłaszcza gdy już zabrakło siostry Dominiki, a Andrzej z Gochą wyjechali, bo musieli, do Kanady. Pilnował, żeby

pacjent miał przewietrzane odleżyny, zmieniane prześcieradło, i te sprawy. Czasami mówił do białego personelu:

- Siostry na pewno dobrze rozumieją, że o przeżyciu kogoś w jego stanie przesądza przede wszystkim pielęgnacja, pielęgnacja!

- A czy przypadkiem on nie jest już od dawna nieboszczykiem? - odszczekiwała na to jedna z drugą.

- To proszę sprawdzić, czy jest ciepły. Bo trupy, według mego doświadczenia, prędko stygną.

Nie ciągnął tych dyskusji nazbyt długo, tylko wymagał od pielęgniarek i salowych, żeby po prostu przyzwyczajcie pracowały. I ciągle coś tam sobie pisał, zapisywał, ma się rozumieć - o kondycji śpiocha.

Ponadto robił mu co jakiś czas badania. Na przykład EKG, osłuchiwanie płuc i serca, cykliczne analizy krwi i moczu, zwykłe sprawy. Jego kolega, lekarz neurolog, badał odruchy, to znaczy, czy w ogóle jeszcze u chorego występują, czy nie są zbyt wygórowane, czy są - jak trzeba - symetryczne i te rzeczy. I zrobił EEG, ze cztery razy. Pod koniec lat osiemdziesiątych udało się wykonać M komputerową tomografię głowy, a przy okazji reszty jego ciała, co pozwoliło na ocenę przepływów krwi w tętnicach. Wyniki badań były całkiem dobre, z wyjątkiem może EEG, bo tam każdorazowo wychodziła dosyć wyraźna asymetria półkul.

Strasznie zajęty doktor Pawlikowski, jak tylko zetknął się ze śpiochem, jesienią 1982 roku, zapisał sobie dodatkowe informacje o tym, skąd ów się wziął, co mu się stało i dlaczego. A było tak, że

latem roku 1970 M zasnął na lotnisku. To była jakaś bardzo dziwna sprawa. Prawdopodobnie chciał wystartować w niebo na rowerze. Ten manewr się nie udał, ponieważ drogę przecięła mu warszawa z tajniakami. Przyłożył czaszką w beton pasa i gotowe. Zasnął snem ciężkim i głębokim, jakby chciał uciec od nieznośnej jawy.

Sprawa, powtarzam, była zagadkowa. Pan doktor Pawlikowski ogromnie przejął się historią śpiocha i zaczął troszczyć się o niego, już mówiłem, jak o powstańca z Żoliborza. Może dlatego M w ogóle przetrwał i mógł mi potem o tym wszystkim opowiadać, gdy łaziliśmy nad brzegami leśnej strugi.

Nawiasem mówiąc, on uważał, że tego, co się kiedyś wydarzyło i co przeżył, nie dałoby się opowiedzieć nawet w książce. I to grubej.

*

Przez kilka kolejnych dni przy łóżku M zjawiali się podekscytowani ludzie w białych kitlach, a stary doktor Pawlikowski tłumaczył im półgłosem różne sprawy. Podobno wśród tych gości najwięcej było neurologów. To są lekarze od tego, co jest we łbie. Lubili powtarzać - sensacja, sensacja.

Dotykali M, szeptali, zadawali mu pytania i prosili, jakby był, no nie wiem, niemowlakiem, żeby ruszył dla nich ręką albo nogą. M to robił albo nie, zależnie od humoru. Zmęczony, zaciskał powieki i marzył, żeby sobie wreszcie poszli. Czekał, żeby przyszła siostra Wilkosz. Siostra Anna przychodziła i M fruwał.

Dnia dwunastego października strasznie zajęty doktor Pawlikowski wyjął mu z przetyku długą rurkę i ogłosił:

- No to dzisiaj pogadamy tak jak ludzie.

Chory kiwnął głową, ale nie wycedził ani słowa. A chciał z miejsca wrzasnąć: „Błagam o kompot, czereśniowy!”. Miał ostatecznie swoje lata i musiał zachowywać się jak ktoś dorosły.

Doktor zapytał go o imię i nazwisko, a potem spytał, jak się czuje, co pamięta, jaki jest rok i miesiąc, i te rzeczy. Pacjent uśmiechał się i milczał. Jakoś nie umiał zebrać się do wydobycia z siebie dźwięków. Lekarz powrócił więc do monologu na temat, który bardzo lubił.

- Stopniowo kończymy z odżywianiem dojelitowym - oznajmił.

- Dlatego właśnie wyjąłem zgłębnik.

Sięgał ci przez żołądek do dwunastnicy i dalej aż do proksymalnego odcinka jelita cienkiego. Rozumiesz?

Chory rozumiał, co miał nie rozumieć.

- Przez cały czas podawaliśmy ci mieszankę do jelita, bezpośrednio. Chodziło o to, żeby zapobiec cofaniu się treści pokarmowej, głównie z żołądka, i zakrztuszeniu się wymiocinami, co ci groziło zachłystowym zapaleniem płuc i pewną śmiercią.

Śpiochowi zrobiły się ogromne wylupiaste oczy, ale nie płakał, bo już nie był dzieckiem. Miał prawie trzydzieści pięć lat, tak sobie wyliczył, kiedy pokazano mu kalendarz. Wyliczył bez kartki, tak w głowie.

- Powiem ci, wkraplanie pożywienia do jelita, nie do żyły - ciągnął doktor Pawlikowski - jest w naszych warunkach dużo bezpieczniejsze i co ważne, choremu nie zanikają kosmki jelitowe, a

bariera błony śluzowej jelita, oddzielająca od reszty organizmu bakterie funkcjonujące w ludzkim przewodzie pokarmowym, zachowuje szczelność i nie dochodzi do translokacji mikroorganizmów do krążenia ustrojowego i do tragicznych skutków tego przemieszczenia.

M był po prostu zachwycony. Podziwiał zastosowany sposób odżywiania. Na szczęście niedaleko stała siostra Anna i poprawiała jedną z zasłon. Znow unosiła się na palcach, a przez jej fartuch przenikało światło z okna, obrysowując ciemny kształt wyjęty z marzeń.

- Przez pierwsze lata podawano ci wywary, przeciery i bulion - powiedział doktor Pawlikowski. - Wtedy nie pakowaliśmy w przełyk sylikonu, tylko czerwone gumowe sondy zaopatrzone w stalową oliwkę chroniącą chorego przed pokiereszowaniem jego błon śluzowych. Może było to cokolwiek staroświeckie, ale przynajmniej nie karmiła śpiącego jakaś plastikowa torba - doktor wskazał na wiszący na stojaku worek z syntetyczną paszą kolorze i konsystencji mydła w płynie - tylko pielęgniarka lub salowa, a najczęściej ktoś z twych bliskich, jakiś, ty rozumiesz, żywy człowiek dozował ci ten przecier ze szklanej Żanety, z takiej szprycy jak dla konia. A od kiedy czasy się zmieniły, przez ostatnich parę lat wcinałeś właśnie to, co wisi tu, przy łóżku. Pies by tego chyba nie tknął, nawet gdyby zdychał z głodu.

Skąd on wiedział to o psie, ja nie wiem.

M przyglądał się workowi, skoro musiał, ale tak naprawdę

zerkał stale na A. Wilkosz, która poruszała się po całej sali jak łyżwiarka figurowa, taka zgrabna, ^ króciuteńkiej sukieneczce i rajstopach.

- To są rozpuszczone w wodzie cukry, zazwyczaj glukozy. Do tego lipidy. elektrolity: sód, potas, wapń, magnez i inne. A na deser substytutu białka.

- Aha - M wykrztusił swoje pierwsze słowo po dwudziestu jeden latach i od razu dodał: - Wiem, polipeptydy.

Wypowiadał się przez dziewiętnaście sekund. Chciał powiedzieć znacznie więcej, chciał wydeklamować frazę wypisaną kiedyś na tablicy w szkolnym gabinecie biologicznym: „Sztywna ściana komórkowa zbudowana z kompleksu kwasu muraminowego z polipeptydem”, lecz zabrakło mu oddechu. Powietrza zabrakło mu nawet na prośbę o kompot.

Stary doktor Pawlikowski wpadł w zachwyty. Pacjent, proszę państwa, mówił! A w dodatku orientował się w sekretach polimerów i pamiętał trudne słowo.

- Czy siostra słyszała? - rzucił w stronę pielęgniarki Anny Wilkosz. - Musimy to uczcić. Proszę zabrać, z łaski swojej, ten tu worek z łakociami. Nasz pacjent od dzisiaj przechodzi na bigos. I flaki!

Siostra Wilkosz się zaśmiała. Była niebywale atrakcyjna. Zdjęła ze stojaka świństwo z sondą i wyszła z pokoju. M natychmiast przymknął oczy, żeby z nią pozostać chociaż przez pięć minut dłużej. Stary doktor Pawlikowski gadał jeszcze coś o wydalaniu, ale śpioch

nie słuchał tego więcej, przy czym nadal się uśmiechał.

A z bigosem i flakami to nie było wcale tak od razu. Ludzie zawsze trochę oszukują. Mówią ci, że zaraz, a jest potem.

Następnego dnia pan doktor Pawlikowski zdradził swemu pupilowi coś nowego:

- Musisz wiedzieć, że to, co się stało, jest cudem. Oczywiście najważniejszy jest sam powrót. Ale tutaj mamy jeszcze inne sprawy, jakie się po prostu, proszę cię, nie zdarzają. Przecież ty nie powinieneś mówić, no a mówisz. Nie powinieneś pamiętać zbyt wiele, a chyba pamiętasz. Nie powinieneś się orientować w tym, co jest teraz, a orientujesz się, i to nieźle. Nie powinieneś poruszać kończynami, a najwyraźniej masz ruchy celowe i ja ci mówię, będziesz chodzić! To jest po prostu niewyobrażalne. Bogiem a prawdą, o naszym mózgu wiemy tyle, co o dalekich galaktykach...

Przyznam, że i M nie wiedział o nim wiele.

- Do cudów zaliczam również to - kontynuował doktor - że wyszedłeś z posocznicy. A nie miałeś prawa z tego wyjść, rozumiesz?

M uważnie śledził ruchy siostry Anny Wilkosz, która znowu była przy nim, niebywale atrakcyjna, i przygotowywała opatrunki. I pewnie to właśnie dawało mu siłę w kontakcie z doktorem, bo nie prosił go o zmiłowanie i nie chował się pod kołdrą.

- Wiesz, co to jest sepsa, czyli, jak mówiłem, posocznica? - spytał lekarz.

Chciało mu się wyć - przebudzonemu - ale zachowywał męki spokój.

Tak nawiasem mówiąc, mokre opatrunki stosowane przez A. Wilkosz, a ordynowane przez doktora, były w jakimś sensie wbrew wskazaniom farmakopealnym (jak ktoś nie zna tego słowa, to niech spyta ojca, matki; M mi wszystko wytłumaczył), z tym że absolutnie fantastyczne, to znaczy skuteczne aż miło.

Odleżyny, które jeszcze nie tak dawno cuchnęły jak szambo (nie uważam, żeby był to bardzo przykry zapach, ale ludzie mają dziwne gusta i nie lubią owej woni), uzyskały teraz ładny, jasny kolor mięsa na tataro, bez żadnych nacieków, bez ropy i wody. Pielęgniarka nasączała gazę zwykłą solą fizjologiczną z porcją kilku, czasem kilkunastu jednostek insuliny. Jako że ten hormon jest czynnikiem wzrostu tkanek, rany, nawet te najstarsze, ziarninowały jak oszalałe. Takie opatrunki robiono śpiochowi od dawna, lecz dopiero teraz zaczęły wyraźnie pomagać, bo też chory nie był już bezwładny i mógł sam układać się na brzuchu lub na boku.

- Jak na psie - szeptała siostra - jak na psie się wszystko goi.

M był dumny z tego jak z medalu. Jeszcze mocniej starał się wyzdrowieć. Dla niej.

Tak na marginesie, zauważę, z tym gojeniem jak na psie to jest przesada. Bywa różnie. Wiem coś o tym.

- Ty mnie słuchasz? - spytał doktor.

- Oczywiście - odpowiedział M, a zajęło mu to osiemnaście sekund, bo w mówieniu nie był jeszcze nazbyt szybki.

- W pewnym momencie myśleliśmy, że cię już tracimy. I to niedawno! Jakieś, no nie wiem, cztery lata temu.

- Tak, chyba cztery, bo pracowała jeszcze siostra Dominika. Ja byłam na stażu - wtrąciła pielęgniarka Anna Wilkosz. - Aha! A siostra Dominika, w dniu, w którym odchodziła ze szpitala, pozostawiła panu Biblię, no, naprawdę. „On będzie miał, jak się obudzi” - powiedziała, bo wierzyła, że pan na pewno z tego wyjdzie.

- Ta siostrze Dominika... tak cię pilnowała! A tutaj nagle, proszę cię, sepsa! Wrotami tego zakażenia mogły być drogi oddechowe bądź moczowe, albo, wiadomo, odleżyny. Bakterie przełamały bariery ochronne wyniszczonego organizmu i przedostały się do krążenia.

M wcale nie skamlał. Patrzył na siostrę Annę Wilkosz.

- Daliśmy ci trzy antybiotyki naraz, ale nie miałem większej nadziei. I wtedy, posłuchaj - tu stary doktor Pawlikowski ściszył głos - ta nasza siostra Dominika ujrzała jakiegoś... no, nie wiem. Twierdziła, że siedział na stojaku na kroplówce i patrzył, jak ona obmywa ci dupsko. Podobno wyglądał jak motocyklista albo pilot. Potem bardzo prędko wyzdrowiałeś, ustąpiło zakażenie i tak dalej.

M rozumiał już, dlaczego pobił wschodnioeuropejski, a może światowy rekord snu zakończony wybudzeniem, dlaczego poruszał rękami i głową, kojarzył i mówił, te sprawy. Wysłali Arfiela - pomyślał.

Miał rację. Był porządnie pilnowany.

*

Okazało się, że Biblia rzeczywiście była. W szafce. Na początku M przeglądał ją jak malec kartkujący bajki albo klechdy. Potem już próbował składać słowa. Nie szło mu zbyt łatwo, bo litery i wyrazy

nie za bardzo układały się w znaczenia, ale uparł się i przypominał sobie, ćwiczył, krok po kroku, wielką sztukę rozumienia czarnych znaków.

Poza tym M słyszał jak wyżeł. Chyba źle to określiłem. Idzie o to, że w porywach słyszał ludzi, rzeczy, sytuacje i przestrzenie zupełnie inaczej niż zwykle. Słyszał ich ogólne brzmienie, nawet wtedy, kiedy ludzie nie mówili ani słowa, a rzeczy drzemały. Nie mógł tego żadną miarą pojąć, z tym że tak za bardzo nawet nie próbował, bo miał dużo innych spraw na głowie. Żeby wszystko było jasne: on nie słyszał tego stale, raczej, proszę państwa, niecodziennie, chyba że się trochę mocniej skupił.

Warto wiedzieć, że medycy się dziwili, że M prawie się nie dziwił. No nie dziwił się na przykład, że spał aż tak długo, że go wszystko boli jak cholera, nie ma siły, żeby usiąść, drżą mu ręce, rośnie mu bez pozwolenia broda i tak dalej. I dziwiono się, że jest pogodny, chociaż zamiast pleców i siedzenia wciąż miał krwawe mięso na befsztyki, a poza tym nie najlepiej wyglądały jego zęby i musiał uważać, by nie złamać sobie gnata, bo - jak mu wyjaśnił stary doktor Pawlikowski - zamiast kości ma właściwie kostne sito.

Na szczęście, pomału, zaczął jeść jak żywy człowiek. Najpierw dostał łyżkę wody. A konkretnie dała mu ją siostra Anna Wilkosz, niebywale atrakcyjna, więc M przyjął wodę jak sakrament. Parę razy powtórzono taką ucztę. Czasem podawała mu łyżeczkę siostra Prystor i to wcale już nie było takie piękne. Jeszcze później siostra Anna wlała mu na język kilka łyków gorzkiej lury, nazywanej tam herbatą. Na

razie nic więcej, żeby chory się nie przeżarł. Aż doszli pomału do szaleństw, to znaczy konsumpcji kleiku na wodzie. Po dwóch dniach wrzucono do kleiku uncję masła. Potem pacjent dostał kromkę suchej bułki, no a w końcu miał już prawo do wywarów z warzyw i gotowanego mięsa, głównie drobiu.

Mężniał w oczach. Ręce już nie trzęsły mu się tak jak wcześniej, ale twierdził, że nie może trafić łyżką tam, gdzie trzeba, i rozlewa wszystko, i mu głupio. Za to bardzo nie chciał, żeby siostra Anna majstrowała przy cewniku, i gdy wreszcie mu wyjęli to dziadostwo z dolnej partii, był szczęśliwy, chociaż strasznie go tam piekło (później przeszło).

A więc mężniał. Stopniowo powracał do umiejętności na poziomie dziecka w żłobku. Logopeda, pani

Kurczuk, niezbyt ładna, pomagała mu w potwornie ciężkiej sztuce wymawiania słów i zdań w języku polskim, najtrudniejszym ze wszystkich, jakie ludzie wymyślili sobie na złość. Magister Łukowski, specjalista od rehabilitacji, torturował go codziennie, tak skutecznie, że M zaczął siadać, chociaż na początku wspólnej pracy przelewał się w rękach jak lalka szmacianka.

Po dalszych tygodniach spuszczał nogi z łóżka na podłogę, nawet wstawał, no i w końcu zrobił pierwsze kroki, lecz, niestety, jednocześnie gadał głupstwa - a wymawiał słowa nadal wolno i te głupstwa brzmiały jeszcze głupiej - tak że siostra Anna trochę się zżymała. No na przykład: twierdził, że dwadzieścia jeden długich lat przesiedział gdzieś na chmurach i mógł stamtąd widzieć, co się działo

tu, na dole, wie, że już wystartowali i odlecieli jego bliscy (tak to właśnie ujął: odlecieli), że jest całkiem sam jak palec i nie ma mieszkania, bo po prostu ktoś je zabrał, ktoś zaradny, i że sporo się zdarzyło dookoła.

Twierdził jeszcze, że pomagał w kilku sprawach. Ma zasługi - mówił skromnie - głównie w ratowaniu młodych ludzi przed podcięciem sobie żył czy skokiem z okna. Pomógł także Adamowi Radeckiemu w znalezieniu drogi na Białystok, śnieżną zimą '79 roku, a ostatnio niepodległej Rzeczypospolitej w jej staraniach o możliwie rychłe pożegnanie wojsk sowieckich, które tutaj kiedyś przyszły i nie wyszły.

Śmiali się z tych głupot, wszakże dość subtelnie i nie przy nim; nie do końca jednak rozumieli, skąd on wie o swojej bezdomności, śmierci bliskich czy o planach wycofania ruskich wojsk, przemianach ustrojowych w kraju i tak dalej. A ten bredził jeszcze coś o samolotach, że zajmował się obsługą i sam latał. W końcu doktor Pawlikowski chciał mu zrobić dodatkową tomografię głowy, jednak to nie wyszło, bo za drogo. I w ogóle trzeba było wreszcie go wypisać - tak mówili ci wysoko. Nie ci w niebie, tylko w biurze.

Pewnego dnia, zimą, pielęgniarka Anna Wilkosz przemyciła mu w torbce oranżadę (M wpadł w jeszcze większy zachwyty dla przymiotów siostry Anny). Bardzo szkoda, że ta oranżada była trochę inna od tej, jaką pił przed sklepem Balickiego kiedyś, kiedyś. Po pierwsze, nie miała zamknięcia na drucie, tylko taki zwykły, marny kapsel a po drugie smakowała ciut inaczej. Była dobra, oczywiście,

bardzo dobra, ale jednak, kurde, nie tak bardzo, jak ta na Okęciu dawno temu.

Wypił, niczym się nie zdradził, ale więcej już nie prosił ani o następną flaszkę oranżady, ani o domowy kompot z wiśni czy czereśni czy tam śliwek. Bał się bardzo, że ten kompot też się zmienił.

Pisano o śpiochu w gazetach i mówiono o nim w radio. Fenomen, fenomen! Rzecz teoretycznie niemożliwa. Przebudzony może mówić, liczyć, czytać, trochę chodzić. Stary doktor Pawlikowski był ogromnie dumny. Miał do tego pełne prawo.

Tymczasem dyrektor szpitala nalegał, bowiem czas to pieniądz, trudna rada - ludzie często tak mawiają.

W końcu doktor poddał się i przestał oponować, chociaż M wymownie jęczał i udawał, że nie może tego i owego, że go boli i tak dalej; nawet zgodził się na rozbieranki dla studentów medycyny i nie zżymał się na naukowe odwiedziny łysych profesorów z zagranicy.

Ale rozbieranki nic nie dały. Nieco ponad sześć miesięcy od tej chwili, kiedy M zobaczył po raz pierwszy siostrę Wilkosz, nadszedł czas na wypisanie go do domu. Tylko że wypisywany nie miał domu. A w dodatku siostra Anna była nieprawdopodobnie atrakcyjna.

W tych ostatnich dniach przed wypisaniem M bez przerwy szukał wzrokiem siostry Wilkosz, szukał jej i łąził za nią, bardzo wolno, szybciej nie mógł, bo utykał i się męczył. Pragnął z nią rozmawiać, chciał, by przy nim, tak po prostu przy nim ciągle była. Zaczęły się śmiechy, zwłaszcza wśród pacjentów starszej daty, którzy się nudzili, a jak ktoś się nudzi, to mu zaraz diabeł da robotę, tak

mówiła pani Kosakowa, z tym że to już oczywiście trochę później.

M niestety nie był stale taki wesół i spokojny jak przez miesiąc albo dwa po przebudzeniu. Ogarniało go czasami przerażenie, zwykle rano, koło piątej albo szóstej. Budził się i dopadały go okropne myśli, strachy, przygnębienie. Nie potrafił tego pojąć. Na szczęście przy myciu, w każdym razie jeszcze przed śniadaniem, otrząsał się z tego wszystkiego jak kundel.

Tego dnia pan doktor Pawlikowski uczestniczył w konferencji w Kopenhadze i tam opowiadał o przypadku wybudzenia chorego płci męskiej pozostającego przez dwadzieścia jeden lat w pourazowej śpiączce, z zachowaniem aktywności płuc i serca. Nigdy wcześniej w Europie Wschodniej nie zdarzyło się, by ktoś po tak niesamowicie długim czasie odzyskał świadomość, wyjaśniał prelegent. Mówił jeszcze, że w mózgu pacjenta najprawdopodobniej nie zostały naruszone mocno uszkodzone wiązania nerwowe albo utworzyły się zupełnie nowe. Być może pomiędzy odległymi obszarami, rozdzielonymi w wyniku urazu, znów stopniowo odrodziła się komunikacja. Chory miał ogromne szczęście, trzeba przyznać, bowiem pozostawał w łagodniejszej formie śpiączki - z minimalnym stanem świadomości. Ku zdumieniu świata medycznego straty możliwości umysłowych a także zdolności ruchowych chorego nie są tak poważne, jakby należało się spodziewać. Dostyc szybko odzyskuje umiejętność rozumienia tekstów, nawet trudnych. Centrum mowy uległo jedynie dostyc nieznacznemu porażeniu. Przypadek pacjenta płci męskiej z Warszawy jednoznacznie wskazuje, że nie wolno przedwcześnie

nikogo przekreślać, zwłaszcza wtedy, kiedy u osoby w śpiączce pojawiają się sygnały istnienia choćby drobnych śladów świadomości.

Stary doktor Pawlikowski zebrał brawa i był dumny, i zadowolony. Bardzo dobrze, bo zasłużył i na jedno, i na drugie. Tymczasem w szpitalu w Warszawie, miejscu pozbawionym blasku skandynawskich klinik i hospicjów, M przydybał w izbie pielęgniarek siostrę Annę i wyjąkał:

- Jutro już mnie wypisują.

- Wiem, sły/załam - powiedziała siostra Wilkosz.

Właśnie dopijała kawę z cukrem. Siedziała w fotelu, takim niskim, z lat siedemdziesiątych, i fartuch odsłaniał wysoko jej nogi. M próbował tam nie patrzeć, na odsłaniające się zdradliwie uda pielęgniarki

Anny Wilkosz. Były niebywale atrakcyjne, no więc oczywiście musiał na nie czasem zerkać. A udawał, że nie patrzy. A ona widziała, że on tam spogląda, ale udawała, że nie widzi. To jest głupie, według mnie, co ludzie robią, ale fajne.

- Nie żal siostrze? - spytał M, próbując nie opuszczać wzroku.

- Czego?

- Że wychodzę.

- Pan powinien cieszyć się i skakać, a nie buczeć.

- A jutro w dodatku nie będzie starego doktora. Wyjechał.

- Spotka się pan z nim z pięćdziesiąt siedem razy, na kontroli.

Pan da spokój.

Chciał przy niej uklęknąć i całować jej kolana.

- Ostrzyże mnie siostra? Na wyjście.

- Ja jestem, przepraszam, fryzjerką?

- A jak spałem, to nie siostra mnie przypadkiem pięknie strzygła?

- A tam. Wtedy obcinałam z musu, tak jak leci, bez robienia żadnych fryzur.

- O to chodzi. Bylebym nie wyszedł taki skołtuniony.

- Ja naprawdę nie mam czasu - wzięła kubek w obie dłonie. - Ledwie trzy minuty na łyk kawy.

- Potem będzie siostra miała ze mną spokój, od samego rana do wieczora.

Patrzyła na niego i pukała palcem w kubek. Stukała, pukała i patrzyła na tę nędzę w przydziałowych flanelowych łachach.

- Ale tak raz dwa. Wieczorem. Po kolacji - zawyrokowała.

- Dziękuję.

- Lepiej jeszcze nie dziękować - fartuch zsunął się z jej lewej nogi tak daleko, że M spostrzegł to, co widział tylko wtedy, kiedy się wybudził po dwudziestu jeden latach. - Proszę przyjść do umywalni.

Konieczniz grzebieniem!

Usłyszał muzykę. To był śpiew powietrza pod sufitem pomieszczenia socjalnego pielęgniarek, koło schodów.

*

Kolacji właściwie nie ruszył. Nie ćwiczył czytania i zaraz poleciał. Niezbyt precyzyjnie wyraziłem to, co zrobił, bo M raczej człapał, aniżeli latał, raczej kulał i miał kłopot z utrzymaniem

równowagi.

Umywalnia na oddziale siostry Wilkosz wyglądała równie reliktowno jak i cały dziewiętnastowieczny gmach szpitala. Wielkie i nieszczelne okna, echo trzaskających drzwi na zimnych korytarzach, bulgot w rurach, groza odrapanych wózków, garów, zlewów. Jednoczesne - nadmiar i ciasnota. Na oddziałach pod ścianami przemykały czasem zakonnice, zalęknione, jakby ktoś je straszył nietoperzem albo szczurem.

Podobno trzymały się tego szpitala kurczowo, chociaż świeckie pielęgniarki obrzydzały im tu życie, jak umiały. Z tym że zakonnice też nie były takie święte, no, z wyjątkiem siostry Dominiki. Ale nawet ta została wygryziona. Ktoś pyta dlaczego? Ja mam na to państwu odpowiedzieć? To są przecież ludzkie, nie psie sprawy.

M usiadł przy wannie i czekał. Tak naprawdę to nie była zwykła wanna, tylko mały basen, wyłożony kafelkami z różnych epok, używany zwykle przy okazji akcji lewatywa. Pacjent stawał w środku albo kuczał, rurka w odbyt, woda pod ciśnieniem, aż brzuch pęczniał i zdawało się, że huknie niczym balon, wreszcie - na komendę - wypróżnienie, tak potężne, że pryskało po kafelkach na dwa metry. Ale teraz wanna była czysta. Wokół cicho, tylko z labiryntów korytarzy niosły się czasami brzęki naczyń.

M był spięty tym czekaniem. Umył grzebień pożyczony od pacjenta z dziewiętnastki, który już odchodził z tego świata i miał w nosie, co pożyczca, komu i dlaczego.

Potem M przez siedem minut dreptał.

Potem usiadł.

Potem przekuśtykał dookoła wanny.

Znowu usiadł.

Wreszcie weszła siostra Anna Wilkosz. Była niebywale atrakcyjna.

- To jak ściąć? - rzuciła z miejsca.

- Ja poproszę krótko - bąknął M i sam się zdziwił, bo niegdyś wojował o każdy milimetr fryzury, walczył o to jak o niepodległość, wolność, samostanowienie, równość i braterstwo wszystkich ludzi. Teraz zgodziłby się na ogolenie czaszki aż do kości.

- Uprzedzam, że wyjdzie, jak wyjdzie.

-1 dobrze.'

M siedział na stołku. Na przepięknie zagojonych ranach. Na ramionach miał sfatygowany ręcznik.

- Nachyl głowę... Pan nachyli głowę - poprawiła się dyplomowana pielęgniarka Anna Wilkosz, niebywale atrakcyjna.

- Niech już siostra wreszcie mówi do mnie po imieniu, tak jak doktor.

- No jak po imieniu? Przecież pan jest sporo starszy. Prawie jak mój wujek. Broda, wąsy... - powstrzymała chichot uczennicy. - Niżej głowa!

Siostra Anna W. zastanawiała się nad pierwszym cięciem albo nad czymś innym. Spoważniała.

- Chociaż pan to, kurczę, nadal jest czternastolatkiem. Tylko w ciele dorosłego. Tak to widzę.

Przecięgnęła wierzchem dłoni po policzku chłopca z brodą, więc zrobiło mu się błogo, tak jak wtedy, gdy karmiła go kleikiem.

- No bo kto to opowiada takie rzeczy, wie pan, o tych chmurach i lataniu? - trajlowała. - Ale proszę trochę niżej, jeszcze niżej, i przekrzywić trochę, o tak, w lewo.

Ciało M pragnęło kraść dotyki siostry Wilkosz, trwać bez ruchu, nie oddychać, nic nie mówić, ale w krtani rozpychały mu się słowa i musiały przebić się na zewnątrz, mimo wszystko.

- Wiem, że z tamtych miejsc, gdzie byłem, rzadko kto powraca, a jak wróci, to nie gada nic, bo stracił mowę albo nie jest pewny, czy nie wezmą go od razu za wariata i nie zamkną - wymawiał spółgłoski z wysiłkiem, aż sapał. - Siedzi cicho i wie swoje. Więc właściwie, co ja mam się dziwić, że nikt nie chce mi uwie...

- Z przodu grzywka czy ścinamy?

- Obojętnie.

- To ścinamy - zdecydowała siostra Wilkosz.

- Siostra wcale mnie nie słucha.

- Słucham, słucham - ścięła grzywkę i wyprostowała się, by wytłumaczyć: - Coś takiego, jak pan mówi, coś mocnego, to na pewno panu się zdarzyło. Ja nie mówię, że nie było, no, coś było. I musiało się to panu zobrazować - właśnie tak ujęła to A. Wilkosz. - Doktor Pawlikowski mówił nam, że w chwilach umierania czy wypadków z poważnymi urazami, może także podczas śpiączki, tego nie wiem, w każdym razie w tych momentach, kiedy dzieje się z człowiekiem coś straszego, w mózgu wydzielają mu się endorfiny. Inaczej by

człowiek zwariował i tyle - znowu trochę przybliżyła twarz do głowy strzyżonego. - Tu, z boku, zostawię, jest ładnie - przyglądała się fryzurze. - Mówię, to musiało być naprawdę bardzo mocne, bo po wybudzeniu, przez kilka tygodni pan tak jakoś, nie wiem, świecił.

Siostra Anna popatrzyła w jego oczy, jakby chciała znaleźć tamto światło.

- Podziwiałam. Znosił pan swój ból z uśmiechem, takim jakby, kurczę, nie z tej ziemi. Przychodzili nawet różni ludzie, tak po prostu, żeby się pogapić. Ktoś powiedział mi, a, chyba ten Warecki z nerką, taki trudny: Patrzę, żeby się, wie siostra, uspokoić. Tak powiedział. A ja też lubiłam robić coś przy panu. Pan pamięta, parę się tych opatrunków z insuliną założyło... Tu też raczej pozostawię albo ciachnę - siostra Wilkosz rzeczywiście tam ciachnęła. - I w dodatku dziwiliśmy się, że pan nie szalał, jak zobaczył się w lusterku pierwszy raz, pamięta pan, pan tylko rzucił: Aha, jestem starszy, trochę się zmieniłem, tu i ówdzie - siostra się zaśmiała.

Była oszłamiająco atrakcyjna.

- Tu i ówdzie - powtórzyła trochę ciszej.

- Więc siostra uważa - wydukał - że chmury, na których siedziałem, są tutaj - prawą dłonią dotknął skroni.

- Choroba, nie wyszło - zasmuciła się fryzjerka amatorka. - O, z tyłu jest krzywo.

- Nie szkodzi.

- Poprawię.

- Nie trzeba. Siostro, ja gadałem z aniołami - mamrotał z

wysiłkiem - i widziałem takie rzeczy, że w ogóle...

Ruszył głową, ale Anna Wilkosz go nie ochrzaniła. Nie cykała nożyczkami, tylko przyglądała się przebudzonemu, jakby pierwszy raz go zobaczyła.

- Skąd się to w tej zharatanej łepetynie bierze? - wyszeptała to do siebie, z tym że było nieźle słyszeć.

- Rozumie mnie siostra?

- Ja panu coś powiem. Z życiowego doświadczenia. No i trochę z medycznego. Teraz trzeba wziąć się za ćwiczenia, rehabilitację, tak na całość. Ćwiczyć, ćwiczyć! Potem mus poszukać sobie jakiejś pracy. I dziewczyny ładnej, no a najważniejsze - dobrej. Z pana jeszcze młody chłop. Niejednej się spodoba.

- Ja nie potrzebuję nigdzie szukać.

- Pracy?

- Nie. Dziewczyny.

- Myśli pan, że pańska szkolna miłość jeszcze czeka? Tamta mała dzisiaj jest kobietą. I być może ma już dzieci dokładnie w tym wieku, w jakim była, kiedy...

- Proszę pani, ja to wiem. Wiem, że Gocha Dyngus wyszła za mąż, dosyć dawno, i ma córkę - walczył z każdym trudnym słowem, jednak mówił zrozumiale. - A w dodatku wyjechała. Bogu dzięki! Oby im się tam możliwie dobrze wiodło. Ale teraz jest ktoś inny.

- O, ja tutaj chyba pozostawię - siostra Anna znowu przyglądała się swojemu dziełu. - Albo zetnę.

- Teraz jest ktoś inny, słyszy siostra! - schwycił ją za dłoń i

zaczął cmokać, nieporadnie i namiętnie, i o mało nie wydłubał sobie oczu nożyczkami.

- Pan przestanie! - wyszarpnęła rękę. - Nie! Pan zgłupiał?

Była zaskoczona i zmieszana. Atrakcyjna do szaleństwa.

- Niech siostra ożeni się ze mną.

- Chyba wyjdzie za męża? - poprawiła go zupełnie machinalnie.

- Dobrze, wyjdzie.

- Pan się lepiej, kurczę, nie wydurnia! - była już naprawdę wystraszona, bo widziała, że M nie żartuje. - Pan zwariował? Przecież pan mnie nawet nie zna!

- Ale ja tak strasznie siostrę...

- Mam na-rze-czo-ne-go! Jestem zaręczona! Pan rozumie? Po wakacjach będzie ślub. A zresztą, co ja w ogóle się tłumaczę? - pytowała coraz szybciej. - No, a nawet gdyby co, to co? Ja pana lubię, pan jest człowiek miły i ciekawy, ale jaka byłaby z nas para? Co, musiałabym założyć w domu drugi szpital dla darmowej pielęgnacji inwalidy? - powiedziała chyba ciut za dużo.

Skulił się, jak gdyby ktoś go smagnął batem.

- Nie, przepraszam, ja nie chciałam! - zawołała siostra Wilkosz.

- Proszę mi uwierzyć. Nie wiem. Ja naprawdę, ja nie chciałam!

Z przejęcia i wstydu przygarnęła jego głowę i tuliła ją do siebie. Pielęgniarka Anna Wilkosz czuła się tak przeraźliwie głupio, że starała się zadusić swoim ciałem durne słowa, które chwilę wcześniej wymówiła.

Jej brzuch pachniał czymś cudownym, czego M zupełnie nie

znał lub zapomniał. Nienawidził siostry

Wilkosz i uwielbiał. Teraz chłonał ją - bez ruchu. A właściwie wniknął w nią przez fartuch i przez skórę, całym sobą, był w dyplomowanej pielęgniarce, takiej miękkiej, białej, wrednej, dobrej, strasznie głupiej i rozumnej, wymarzonej, słyszał ją, bo całe ciało siostry Anny Wilkosz grało i śpiewało, słyszał coś naprawdę cudownego, prawie tak idealnego jak zupełna cisza nieba.

Ta muzyka biła z niej, a on sekretnie ukrył się w jej ciepłym środku. Było tam oszalamiająco dobrze, do zawrotu głowy, więc zapewne z tego zakręcenia wybuchła mu w brzuchu petarda, właściwie w podbrzuszu albo nawet jeszcze niżej, a jak coś wybucha, to powstają przy tym fale, z tym że te nie przypominały wcale fal po bombie atomowej, bo to były uderzenia szczęścia, niesamowitego, pierwsze, drugie, trzecie. Czwarte. Po ostatniej fali westchnął jak wieloryb. I ucichła cisza nieba.

Pielęgniarka Anna Wilkosz wypuściła z dłoni głowę M. Nie czuła wstrętu, raczej litość.

- Jutro mnie nie będzie - powiedziała, otrzepując fartuch z jego włosów. - Nie chcę cię już więcej widzieć.

Wyszła.

Na marginesie - trzy sprawy.

Pierwsza - kto z kim przestaje, takim się staje. Ludzie mają takie porzekadło.

Jakiś sens w tych słowach musi być, na pewno, skoro moi kumple ze Starego i Nowego Jaru - w sumie znałem tam ze trzy tuziny

różnych kundli - uparcie twierdzili, że gadam podobnie jak M, zwłaszcza wtedy, kiedy odrobinę fantazjuję. Nie myśleli o wymowie czy o głosie, ale o sposobie, w jaki coś opowiadałem. Zarzekali się, że na dodatek małpowałem jego miny, a nawet kulałem, zupełnie bezwiednie, jak tamten.

Czy naprawdę go papugowałem, czy mówiłem, może nawet dalej mówię tak jak on, zupełnie nie wiem, bo od środka - czyli z wnętrza łba - nie słychać siebie, poza tym nie widać i nie czuć. Ale inni ponoć słyszą, widzą, wyczuwają wszystko bardzo łatwo. Tamci z zewnątrz.

A ciekawe, czy i on, to znaczy M, brał, choć czasem, coś ode mnie? I czy ludzie to widzieli? Czy słyszeli to i czuli? Tylko co by mógł - powiedzcie - brać od psa przewodnik stada, król stworzenia? Sikanie na drzewa? Rozgryzanie grubych kości?

Nienawiść do kotów?

Ano właśnie - druga kwestia. Koty są zakałą tego świata. Szczególnie ten Tuchłów. Wiem dobrze. Mam psi obowiązek ganiać koty w dzień i w nocy, ale - może lepiej, żebym wyznał to od razu - lubię te egoistyczne, cwane kreatury. A tego od Tuchłów nawet ratowałem, gdy się topił. Serdecznie przepraszam. Oczywiście - nigdzie i nikomu ani słowa, bardzo proszę!

Sprawa trzecia. Jeden z wielu dylematów. Co jest lepsze, życie w budzie czy włóczęga na głodniaka? To dotyczy też... Przepraszam, coś akurat mnie użarło. No więc pytam: Lepszy łańcuch i obroża czy samotna poniewierka, śnieg i mróz, śmietnisko w wielkim mieście? I

gdzie mniej doskwiera nam wygnanie?

Proszę nie wymagać rozstrzygnięcia. Nawet M miał z tymi pytaniami wielki kłopot. A największy wtedy, kiedy został wypisany ze szpitala i zamieszkał w nowym miejscu.

Budowniczy Julian Bocian otworzył drzwi z tyłu pałacu i zajrzał do środka.

- Ty, wyłaź już. Przestań - powiedział. - Zgłupiałeś? Już, wyłaź!

M nie miał zamiaru ani wyjść, ani przestać, bo właśnie rozmyślał.

Rozmyślał dość długo, to znaczy od chwili, gdy został przyjęty do Domu

Pomocy Społecznej imienia Tomczaka. Przyjęto go rano, a już po południu wyniuchał schronienie w

Pałacu Jesiennym Juliana Bociana. Po trzech dobach i godzinie nadal żył, ponieważ budowniczy przynosił mu z kuchni jedzenie i picie, i dostarczył na parter posłanie, to znaczy dwa koce z elany i jasiek. Kierownik Jarecki nie stawiał oporu. Był mądry, rozważny i wiedział, że warto poczekać, nie działać zbyt ostro.

Budowniczy, człowiek ponadsiedemdziesięcioletni, wznosił swoje późne dzieło z desek, sklejk, blaszek, gwoździ i zawiasów, a do tego z kartonu, zapalek, sreberka i kleju. W środku była nawet żaróweczka.

Praca powstawała w ramach zindywidualizowanych zajęć terapeutycznych.

Cztery lata przed podjęciem tej budowy Julian Bocian przeżył

wylew. Pozostał mu po nim częściowy niedowład lewej strony ciała oraz kilka innych deficytów, jak mówią lekarze. Kierujący DPS-em Sławomir

Jarecki przydzielił mu dawny magazyn pościeli, w baraku przy bramie. Kierownik był mądry, rozważny i wiedział, że każdy artysta powinien mieć spokój.

M leżał skulony i roztrząsał przykre sprawy. Wspominał na przykład różne wydarzenia z lata 1970 roku, kiedy jeszcze był chłopaczkiem, ale miał już bardzo wiele zmartwień. Jednocześnie - chociaż wcale tego nie chciał - w ciemnych kątach wyobraźni pojawiały mu się oczy albo nogi siostry Wilkosz, niebywale atrakcyjnej, albo słyszał jej ostatnie słowa po stryżeniu. Na dodatek stale kołatało mu się w głowie: „I po co to wszystko, i na co?”.

Czasem, tak na marginesie, dumał także o tym miejscu, w którym siedział. Zastanawiał się, dlaczego

Julian Bocian wznosi pałac i dlaczego nazwał go Jesiennym. Mógł o to zapytać, lecz milczał jak kamień. M w ogóle nie zamierzał się odzywać do nikogo. Wiem, że nie chciał pozarażać ludzi miazmatami ciemnych myśli - tak określił to po latach, kiedyś, kiedy czekaliśmy, aż przestanie wreszcie padać. I pewnie z powodu miazmatów nie wychodził ze swej nory, chyba żeby zamknąć się w klozecie, bo to każdy człowiek czasem musi. Ja nie muszę się zamykać, mam z tym lepiej.

- Nie wyjdiesz? - zapytał powtórnie J. Bocian, przy czym nie chodziło o łazienkę, tylko pałac.

M milczał. Nie wyszedł.

Budowniczy przymknął wejście robocze do gmachu i dał sobie święty spokój, tak raczej na chwilę, bo wieczorem jednak wrócił, znów zajrzał do środka i postawił przy koledze z chorą głową talerzyk z parówką i kubek z herbatą.

*

Dom Pomocy Społecznej imienia Tomczaka tkwił pomiędzy ruchliwymi ulicami. Jezdnie przebiegały górą, dołem, bokiem, niczym linie asfaltowych fos dokoła zamku. Żaden robak ani gryzoń, nic, co nie potrafiło sprawnie latać, nie mogło się przemknąć i dostać do twierdzy od zewnątrz, od miasta. Z tym że życie biologiczne wewnątrz domu, to znaczy baraków dla pań i dla panów, było całkowicie samowystarczalne i urozmaicone tak jak w zoo.

M zamieszkał tam, ponieważ w czasie, kiedy jeszcze był w szpitalu, Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w

Warszawie zrobił odpowiedni wywiad. Okazało się, że chory nie ma żadnych źródeł utrzymania, opieki rodzinnej i po prostu nie ma dokąd wrócić. Na podstawie tych ustaleń, MOPS wydał decyzję o niezwłocznym skierowaniu [nazwisko i imię petenta] do Domu Pomocy Społecznej. Ta decyzja MOPS trafiła w określonym trybie do Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej w stolicy, a WZPS zdecydował, że [nazwisko i imię petenta] umieszczony zostanie w zasugerowanym przez MOPS typie

DPS-u, czyli w domu dla niepełnosprawnych fizycznie, podkreślam, fizycznie, a nie, jak to gadali później różni tacy, dla

upośledzonych umysłowo.

Przy okazji M otrzymał symboliczną rentę. Socjalną. Na życie. To ważne świadczenie załatwił mu w ramach pełnienia swoich obowiązków urzędowych pracownik Ośrodka Pomocy Społecznej w Warszawie.

Pracownikiem tym był A. Sidorczuk, który w dalszej części opowieści nie pojawi się już ani razu, uważam, że szkoda, bowiem jest to bardzo dobry, cichy człowiek i gdyby ktoś z państwa kiedyś go przypadkiem spotkał w mieście, to ja bardzo proszę go pozdrowić i pomachać mu ogonem. Tyle.

Tak więc M otrzymał skierowanie, skromną rentę, a w dodatku dostał dowód osobisty. Pierwszy w życiu.

Ten dokument przypominał dowód szczepień, jaki mi wypisał weterynarz w Starym Jarze, tyle tylko, że ów certyfikat dla człowieka miał o wiele więcej kartek, aktualne zdjęcie i w ogóle. A potem, już wiecie, A.

Wilkoś obcięła M włosy, a on znalazł swoją norę w Pałacu Jesiennym z kartonu i sklejki.

Leżąc tam i ciągle myśląc, sporo tracił. Oprócz towarzystwa koleżanek i kolegów w różnym stanie, stracił odwiedzinę uczniów Szkoły Podstawowej nr 77, podjadanie po kolacji świństwa z puszki, urodziny albo imieniny trzech pensjonariuszy i dwóch pensjonarek, oglądanie transmisji sportowych w kolorze - bez dźwięku i z dźwiękiem - i wieczorek poezji kolegi Rudzkiego bez nogi. Bez prawej.

M nie tylko dużo tracił, ale jeszcze swoim zachowaniem irytował wiele osób, w tym: pensjonariuszy, pielęgniarki i salowe, specjalistów od terapii zajęciowej, pracownice socjalne, a także dochodzących z miasta rehabilitantów, lekarza Marczuka i panią psycholog Danutę Kostrzewę, która obraziła się najbardziej, bo M absolutnie nie zamierzał z nią o niczym gadać, nie i koniec.

Kto wie, czy załoga i mieszkańcy oblężonej ulicami twierdzy nie spuściliby M porządnego lania, gdyby nie J. Bocian, który przechowywał klucz do magazynku i miał wśród pensjonariuszy i całego personelu dziwny posłuch, jak kulawy, stary kundel, który wiedzie prym wśród lśniących wyźłów.

*

M nie ruszał się z pałacu czwarty dzień, a J. Bocian nie próżnował. Pokonując figle lewej nogi i niesubordynację lewej ręki, codzienne doklejał panoplia, attyki, pilastry i hermy. Budowla stawała się piękna - niemal tak jak zamek Neuschwanstein w Bawarii lub Pałac Kultury w Warszawie.

- Ty mi powiedz - nie wiadomo który raz poprosił Julian Bocian i przy-kleił relief z modeliny - co ty robisz?

- Myślę - po raz pierwszy odpowiedział M.

Ja mówiłem państwu wcześniej, że on myślał.

- Ktoś się zbudził? - budowniczy zszedł z drabinki, a miał taką dość stabilną, z aluminium, którą zafundował mu kierownik S. Jarecki. - To my może się nareszcie sobie przedstawimy?

Bocian schylił się i zajrzał do pałacu, i wyciągnął umazaną

klejem rękę:

- Julian.

- M - powiedział M i ścisnął dłoń kolegi.

- M? - zapytał Bocian.

- M - potwierdził M i znowu się położył, bo podając rękę, siedział.

- A był taki święty M? Ja nie pamiętam - Bocian wrócił wolno do roboty.

Pałac milczał. Wtedy budowniczy postanowił zacząć z innej strony.

- Mówiłeś, że myślisz. To dobrze.

- Może dobrze, ale boli - wymamrotał M za sklejką i kartonem.

-1 piecze?

- No pewnie.

- Normalne.

- Dlaczego normalne?

- Bo człowieka, proszę cię, musi boleć, kiedy zastanawia się nad czymś naprawdę ważnym. A szczególnie, kiedy myśli biorą mu się z po-nadgryzanego serca, a nie z głowy.

Co w ponadgryzonym sercu M mieszkało, dobrze wiemy. Nie były to raczej uczucia i myśli do śmiechu i tańca, wiadomo.

- Ja też miewam czarne wizje - mówił dalej Julian Bocian - ale staram się je gonić jak hołotę.

Dokleił pilapter, który odszedł lekko od cynfolii.

- Coś ci powiem, tylko zleżę.

Zszedł z drabiny, pokracznie jak zwykle, i usiadł na stołku, tyłem do zakratowanego okna. Siedział, drapał się po lewej nodze i mówił powoli, jakby musiał każde słowo wysupływać sobie z gardła.

- Wiem od kierownika, że przez bardzo długi czas... no właśnie, chorowałeś. I zbudziłeś się w zupełnie obcym świecie, i zamiast powrócić, jak człowiek, do domu, trafiłeś tu, do nas.

Bocian szukał czegoś po kieszeniach. Najwyraźniej chciał zapalić. Jako że nie palił już od czterech lat, nie znalazł nic, zupełnie, nawet chustki.

- Ale ciebie trapi jeszcze coś innego, tak wyczuwam. Bo inaczej to czy leżałbyś jak kundel na podłodze, taki zdechły?

Co J. Bocian chciał od leżącego psa, ja nie wiem. Pies to co? To jakiś gorszy, kiedy leży?

- Pewnie czujesz się paskudnie opuszczony. Dobrze, nie masz żywej duszy, jednak czy to nie jest zastanawiające, że zbudziłeś się po tylu latach? W dodatku - bez szwanku... no, prawie. Sądzę, że nie po to jesteś pośród żywych, żeby gnić jak wesz w barłogu.

Bocian trochę się zasapał. Chwilę słuchał, czy M w końcu się odezwie, ale tamten głucho milczał.

Budowniczy wstał i wykuśtykał z magazynku, jakby stracił już cierpliwość albo nagle się obraził.

Pałac trochę się tym zdziwił.

W niedzielę wieczorem zaczęło zajeżdzać. Z pałacu. Budowniczy Julian Bocian przejął się tym nie na żarty.

Usiłował wyprowadzić M pod prysznic i nakłonić go do zmiany

gaci. A gdzie tam! Nic z tego. Kierownik

Jarecki - jak zwykle rozważny i mądry - zachowywał święty spokój, chociaż dochodzący z miasta lekarz

Marczuk i pani psycholog Kostrzewa ostro obstawali przy użyciu najsilniejszych członków personelu, a nawet policji i wojska do przeprowadzenia radykalnych działań. I być może doszłoby do tego, być może kierownik Jarecki musiałby skapitulować przed potworną wizją epidemii, rozszalałych pasożytów i bakterii, stanów depresyjno-maniakalnych, rozprzężenia i anarchii, gdyby Bocian nie obudził się we wtorek rano trochę wcześniej i nie pokuśtykał do pracowni-magazynku z Pałacem Jesiennym własnego projektu, i nie zaczął wołać już od progu:

- Dupsko w troki, M, nie błażnij, szkoda czasu.

Odpowiedzią była martwa cisza.

- Dobrze, M! Codziennie próbowałem ci przemówić do rozumu. Ty łaskawie wycedziłeś cztery słowa, a potem na powrót to samo: milczący pustelnik. Teraz koniec! Najpierw coś ci, M, opowiem, krótką bajkę, a potem tu przyjdą Kostrzewa z uśmiechem i Marczuk ze szprycą. I wiesz, co się stanie?

Wywloką cię z nory i w te pędy prześlancują do domu wariatów.

Z pałacu dobiegał wyłącznie aromat.

- Posłuchaj, kolego - budowniczy przysiadł bokiem na szczeblu drabiny. - Mieliliśmy w oddziale łączniczkę, Natalię. Była bardzo młoda, jak my wszyscy, tak jak większość tych na barykadach.

Siedemnaście lat, coś koło tego. W Powstaniu najczęściej

zajmowała się rannymi, bo była w tym lepsza nawet od sanitariuszek.

Zaczął chodzić dookoła magazynku, powoli, kulejąc.

- Ta mała widziała na co dzień wyszarpane szrapnelami flaki, wypalone oczy, urwane kończyny, gangrenę pełznącą jak ogień, była świadkiem bólu i rozpaczony w formach absolutnie skrajnych i nie do zniesienia, słyszała kobiety i dzieci gnane przed tankami przez sentymentalnych potomków Heinego... - Bocian znowu szukał papierosów i znowu nie znalazł. - I wiedziała doskonale, co się dzieje, kiedy psychopaci z pułku RONA czy z Sonderkommando SS Dirlewanger zajmują nasz szpital. Wiedziała, że gwałcą, z najskrajniejszym okrucieństwem, pokrywają i umierają ciała dziewczyn, a potem mordują personel i rannych, metodycznie, po kolei, albo palą żywcem wszystkich razem. Ona to wiedziała i wiedziała, że giniemy, bez nadziei na zwycięstwo lub na pomoc. Ale zawsze, zawsze powtarzała nam, tym poranionym, wycieńczonym, przerażonym, bo my nie byliśmy wcale herosami, tylko ludźmi, mówiła każdemu: „Pamiętaj, nieszczęścia, złe myśli, wszystko, co nas gnębi, to są chmury. One odpływają. Nawet najczarniejsze przemijają. Pozostaje niebo”.

Budowniczy przerwał, bo miał nagły kłopot z gardłem. Uspokoił głos i mówił dalej, dużo ciszej.

- My jej wierzyliśmy, temu dziecku! Wierzyliśmy jej, pięć kroków od gąsienic szwabskich czołgów, miotaczy płomieni, na chwilę przed śmiercią, pod czarnym od dymu niebem nad Warszawą. I wiesz, co ci powiem? Ta smarkula miała rację.

Z parteru pałacu wydobył się kaszel.

- Tylko dzięki niej przeżyłem - szepnął Bocian.

Budowniczy zajrzał do pałacu przez niezaklejony otwór nad daszkiem portyku. Musiał się cokolwiek zdenerwować, bo uderzył pięścią w bok budowli, aż odpadła jedna z lizen. Podniósł ją i usiłował umocować tam, gdzie trzeba, ale w żaden sposób nie trzymała się na pałacowej ścianie. Machnął ręką.

- Wstań wreszcie z barłogu - zawołał przez karton, cynfolię i dyktę. - Bóg zwrócił ci ciało! To chyba coś znaczy?

M zapewniał potem, że wyczołgał się na zewnątrz, bo mu strasznie zaschło w ustach i koniecznie musiał pójść do umywalni, żeby wziąć dwa łyki wody z kranu. Dyktatura fizjologii, niewątpliwie, tylko po co wtedy spytał:

- A właściwie to dlaczego pan to konstruuje?

- Co takiego konstruuje? - rzucił całkowicie zaskoczony Bocian.

- Pałac.

- To dłuższa historia.

- W takim razie najpierw wyjdę do łazienki. Zaraz będę.

Co to znaczy zaraz będę? Co to jest za rodzaj obietnicy? Tak pytam na stronie.

M powstał z czworaków, niepewnie i chwiejnie, i wtedy zobaczył, pierwszy raz, bo wcześniej jakoś tego nie wypatrzył, że ponad pałacem leci boeing 767.

31 Picie wody i nieplanowana wcześniej kąpiel pochłonęły M tak wiele czasu, że nie wrócił do rozmowy, tylko zasnął. Nic dziwnego, że

nie zauważył, iż pod dachem DPS-u wybuchł tumult.

W pokoju Molendy, Życkiego i Kłoska koło szafy stało wolne łóżko, pościelone i z ręcznikiem. Od początku było przeznaczone dla nowego. Z tym że teraz lokatorzy - wszyscy trzej - kategorycznie odrzucali towarzystwo M, ponieważ ten okazał się stuknięty. Kiedy dowiedzieli się, że nowy wylażł z dziury, wystrzelili razem do samego pana kierownika.

Serdecznie przepraszam za niebaczne słowo wystrzelili. Nie oddaje ono w żaden sposób tempa i sposobu poruszania lokatorów, który byli już niemłodzi i każdemu z nich coś dokuczało. Najważniejsze, że pomimo różnych schorzeń doszli do kanciapy Jareckiego.

Kierownik usłyszał, że Molenda, Życki oraz Kłosek absolutnie nie wyobrażają sobie, żeby kwaterował z nimi ten po śpiączce, bo to bardzo podejrzana postać i oni się boją, że może im w nocy wysysać krew z gardeł. Wieści bardzo szybko się rozeszły i z identycznymi obawami przyturlali się do Jareckiego wszyscy inni zagrożeni, czyli lokatorzy z szóstki, siedemnastki i trzydziestkidwójki, to znaczy z pokoiów, gdzie pozostawały wolne miejsca. Za nieeleganckie określenie przyturlali się przepraszam, tak jak wyżej.

Kierownik był mądry, rozważny i wiedział, że nie trzeba robić nic na siłę, a szczególnie z tymi z piątki, szóstki, siedemnastki i trzydziestkidwójki, przede wszystkim z Janem Kolankowskim, bo miał usposobienie histeryczne i tłukł szkło, a nie chciał płacić. I dlatego S. Jarecki zgodził się na rozwiązanie podsunęte przez

Bociana.

Z jedenastki, w której mieszkał budowniczy, wykwaterowano Arkadiusza Banaszaka. Temu było najzupełniej obojętne, gdzie go dadzą, byle tylko miał przy łóżku nocną lampkę. Obchodziły go wyłącznie labirynty i krzyżówki, a współlokatorzy nie za bardzo. Drugiego kolegę, Solaka - starego boksera na wózku - nowy sublokator nie przerażał. Bokser Solak nie obawiał się nikogo, a poza tym w nocy prawie nie spał i w razie ataku zdążyłby na pewno wybić szaleńcowi oczy, zmiażdżyć czaszkę i te rzeczy.

Tak więc M zamieszkał w jedenastce i tam mógł ewentualnie dokonywać strasznych morderstw.

Zanim się wprowadził, wziął niesamowicie długą kąpiel, wspominałem, i to kąpiel dość gorącą, w dużej wannie, bo M musiał się odmoczyć. Za kąpielą w wannie nie przepadam, mówię to na marginesie.

Jako że gorąca kąpiel rozleniwia i osłabia, zwłaszcza kogoś, kto w ogóle ledwo łązi, M położył się na łóżku w jedenastce i odpłynął. Po paru minutach zgromadziło się przy wejściu do pokoju kilka osób, trochę śmielszych, po nich przyszli inni i starając się zachować względną ciszę, oglądali tego walniętego, tego, który przespał ćwierć stulecia, a potem się zbudził i siedział w pałacu jak zwierzę, a teraz znów zasnął.

- Jak bóbr albo borsuk - wyszeptała pani Pachnik.

- Wygląda normalnie - oświadczyła pani Waśko. - Może nie jest z tych najprzystojniejszych, ale i nie straszycie żadne, tak uważam.

- Pani Haniu, on ma w twarzy jakieś takie coś, że nie wiem, ja się boję - podzieliła się spostrzeżeniami i obawą pani Bielak bez peruki.

- Dajcie spokój - apelował szeptem pan Zacharski.

- On nie chodzi? - zapytał ktoś z ciżby, ktoś młodszy.

- Chodzi, chodzi, ale słabo.

- A mówi? J

- Podobno.

- Nieźle, proszę koleżeństwa, wychudł.

- Jak on ze dwadzieścia lat w ogóle nie jadł!

Padło słowo, bardzo ważne, może nawet najważniejsze. W okamgnieniu wywołało konwersację dotyczącą kulinariów. Ten temat był wieczny. Tylko panie Bielak i Rybińska rozmawiały o czymś innym, mianowicie o muszelkach, bardzo ładnych, które można kolorować i położyć sobie na stoliku lub na radiu, i od razu człowiek czuje się inaczej, jak nad morzem.

Nowy spał, udawał, że nie słyszy żadnych szeptów, a tymczasem Julian Bocian wyciągał z parteru pałacu dwa koce, talerze z zaschniętą musztardą i jasiek.

*

Kierownik Jarecki - człowiek mądry i rozważny, chociaż młody - nie chciał tak od razu pchać dziwaka do psychiatrii. Postanowił najpierw sam się zorientować, co i jak z tą biedną głową. Jeszcze tego dnia, we wtorek, po kolacji, zaprosił nowego do biura, przywitał, posadził i zapytał z troską głośno:

-1 jak pan się czuje?

- Ja? - odpalił M jak nieprzytomny. - Zupełnie dobrze.

- Miło słyszeć. A pałac? Podobał się panu?

M zrozumiał Jareckiego doskonale. Był już kiedyś traktowany tak jak wariat. Miał dosyć, na zawsze. A J.

Bocian go przestrzegał, że pani psycholog Kostrzewa i dyplomowany lekarz Marczyk mają o nim kiepskie zdanie! I mają zamiary. Kierownik Jarecki zdawał się co prawda dość przyjazny, ale kumał się z tamtymi, bez wątplenia. Zatem lepiej było mu nie mówić o złych myślach, pięknej i nieosiągalnej siostrze Wilkosz, a na pewno już nie wolno było się wygadać o tym, co pamiętał sprzed powrotu. Nie mógł mówić o tym, co utracił, ani o poczuciu zagubienia pośród całkowicie obcych ludzi.

- Przepraszam. Nie chciałem nikomu narobić kłopotu. Przepraszam.

- No tak - S. Jarecki westchnął.

- To z powodu nagłej zmiany miejsca. Bardzo trudno się oswoić... - bąkał M. - Naprawdę długo chorowałem... Chciałbym teraz jak najwięcej czytać.

- Przede wszystkim musi pan codziennie ćwiczyć! Dostaliśmy zalecenia - kierownik Jarecki zaczął szukać w biurku dokumentów ze szpitala, ale po minucie poddał się i przestał grzebać w stosach śmieci.

- Teraz tak, najlepiej jutro po południu proszę zgłosić się do rehabilitanta, magistra Jerzego Maciąga. On zna całą sprawę i zajmie się panem. A poza tym wybierzemy odpowiedni warsztat

terapeutyczny.

- Czy mógłbym, przepraszam, zostać przydzielony do pracowni z Pałacem Jesiennym Julian

Bociana?

S. Jarecki bawił się ołówkiem z małą gumką, z lekka zerkał na nowego i utwierdzał się stopniowo w przekonaniu, że to niekoniecznie jest morderca.

- A nie będzie pan już więcej...?

- Nie będę! Przyrzekam.

- Na pewno?

- Na pewno! Ja właściwie chciałbym zająć się boeingiem.

- Słucham?

- B767. Wisi tam na żyłce, pod sufitem. Ktoś go kiedyś zrobił, przed panem Julianem, i tak dynda do tej pory. Potrzebne są zmiany w kadłubie. I w skrzydłach - nie mają profilu. Na sprawach lotniczych znam się znacznie lepiej niż na budownictwie. Pracowałem w ba... - M ugryzł się w język.

- Pan kiedyś pracował?

- To znaczy kleiłem modele i codziennie byłem na lotnisku. Oczywiście jako mały chłopak.

- Rozumiem - kierownik Jarecki ciągle bawił się ołówkiem. - No, być może spróbujemy, zobaczymy, jak to wyjdzie. Aha, proszę, żeby pan przeczytał regulamin DPS-u i stosował się do tych przepisów co do joty. To nie jest formalność, to ważne. Najważniejsze - zero alkoholu! Palenie wyłącznie w tych miejscach, gdzie zostały

ustawione popielniczki...

- Ja nie palę! - przerwał M z prawdziwą dumą.

- To świetnie - posumował S. Jarecki, przy czym wstał i dał do zrozumienia, że audyencja zakończona.

Zamiast się uklonić i powrócić do pokoju numer jedenaście, M zadał pytanie:

- Dlaczego pan Julian to robił?

- Co robił? - kierownik postukał ołówkiem w telefon.

- Tak mi cały czas pomagał.

- On inaczej nie potrafi - S. Jarecki znowu usiadł.

M zdał sobie sprawę z tego, że za każdym razem w obecności konstruktora słyszał osobliwe brzmienie niemające nic wspólnego z jego głosem, to znaczy z mówieniem czy podśpiewywaniem przy wklejaniu pałacowych zdobień. Odbierał to jako dźwięk ciała, spokojny i miły, chociaż ciało J. Bociana było stare, łyse i kulawe, i - trzeba to przyznać - nieładne.

- To jest jeden z tych, co kiedyś postawili się całemu światu. Większość takich ludzi żyje dzisiaj w zapomnieniu, nawet w upodleniu - Jarecki niechętnie połamał ołówek.

Nagle zmienił ton na zasadniczy:

- Teraz tak. Tak, jutro rano, koło siódmej, musi pan się zgłosić na kontrolę do szpitala. Z sikami i na czczo. Termin minął trzy dni temu; będą się pieklili, ale to nie moja wina. Przed śniadaniem jedzie od nas żuk po zaopatrzenie do hurtowni, to pana podrzuci.

M się zaczerwienił jak przedszkolak. Kierownik te pąsy

całkowicie zignorował, pożegnał nowego z uśmiechem, życzył mu wszystkiego najlepszego i poradził, żeby o butelkę na mocz do badania poprosił salową.

- Aha, książki wypożycza pani Kaczor - dorzucił na koniec i próbował dopasować do siebie odłamki ołówka, ale mu to, kurde, jakoś tak nie wychodziło.

Tyle.

M wrócił na obiad. Zaraz potem się położył. Boksera Solaka nie było, grał w karty w świetlicy. Bocian nie próbował skrywać zaniepokojenia tym leżeniem i milczeniem, jednak poszedł do pracowni i zostawił M samego. A ten chciał uporządkować sobie wszystko to, co wydarzyło mu się przed południem.

Najważniejsze, że pan doktor Pawlikowski nie skierował go na przesłuchanie przez psychiatrę

Marczyńskiego. Być może za bardzo się spieszył i umknęła mu ta sprawa. W południe wyjeżdżał do Belgii, a miał jeszcze przeprowadzić obchód i badania kilku innych osób. Było mu okropnie głupio, że tak gonił, nie mógł znaleźć więcej czasu na rozmowę z kimś, o kogo troszczył się przez lata i dla kogo miał naprawdę dużo serca. Przepraszał, tłumaczył, nowa sytuacja, nowe czasy. Na szczęście nie mówił o stolcach i sepsie. Musiał skupić się na sprawach zasadniczych.

Najogólniej rzecz ujmując, było dobrze. Morfologia krwi nie nadzwyczajna, ale w normie. Tylko że, niestety, pan rekonwalescent się zapuścił. Najwyraźniej mało ćwiczył, może wcale, a powinien jak

najwięcej. Doktor radził, żeby wciąż od nowa walczyć z leniem, nie poddawać się i wierzyć w nadrobienie deficytów. Przy okazji szepnął pacjentowi, w zaufaniu, że jego przypadek jest dyskutowany przez ekspertów w Europie i na paru innych kontynentach. Byli też i tacy dyskutanci, którzy nie wierzyli w informacje, jakie przekazywał stary doktor. Pawlikowski zastanawiał się, czy nie powinni razem z M pojechać na symposium do Londynu albo na późniejsze, do Monachium. Naturalnie wszystko zależało od finansów. Miał to sprawdzić.

Pacjent milczał. Doktor wrócił do rzeczywistości, setny raz przypomniał o rehabilitacji, wizytach kontrolnych w szpitalu, standardowych analizach, a poza tym, no, naprawdę miło było. I już musiał iść. I zaraz poszedł. Był strasznie zajęty.

Potem M przywitał się na korytarzu i w dziewiątce z kolegami, którzy nadal prowadzili ciężkie walki pozycyjne, jak określał to Stanisław Pa-cior, pan, z którego wylewała się do worka żółta farba. Pogadał też chwilę z salowymi i pielęgniarkami. Ucieszyły się na jego widok, zaproponowały kawę i wafelki, ale M grzecznie przeprosił i powiedział, że już leci. Tak naprawdę to nie musiał wcale lecieć, tylko zląkł się - dość niespodziewanie dla samego siebie - że za chwilę zjawi się w tym towarzystwie siostra Anna i on padnie.

Z zachwytu i wstydu.

Oczywiście pragnął ją zobaczyć, ale jednocześnie bardzo nie chciał, żeby siostra Wilkosz zobaczyła jego.

Dobrze wiedział, że jest nieudolnie ogolony, szary i wygląda jak

ostatnia nędza, w marnych łachach, które mu skombinowali ludzie ze szpitala, jeszcze wtedy, kiedy był wypisywany. Coś tam dostał później w

DPS-ie, jakieś majty, podkoszulki i te rzeczy, w sumie przypominał jednak lumpa, a w dodatku ledwo trzymał się na nogach.

Coraz mocniej czuł, że zanim będzie gotów do rozmowy z siostrą Wilkosz - a chciał ją przeprosić i spytać, czy mówiła mu o ślubie tak dla żartu, czy całkiem poważnie - najpierw musi się poprawić, jak to określała kiedyś jego babcia, na przykład mniej kuleć, może skończyć jakąś szkołę, choć za szkołą nigdy tak specjalnie nie przepadał, musi także składniej mówić, zdobyć nieco lepsze buty, koszulę i spodnie, chociaż jedne takie jak ze sklepu..

Z tym postanowieniem wyszedł na korytarz, a potem na schody i tam ujrzał, jak z półpiętra schodzi - kto?

- dyplomowana pielęgniarka. Anna Wilkosz. Niebywale atrakcyjna. Miała, tak jak zwykle, krótki fartuch i pończochy - białe. Ruszył na dół. Oczywiście poplątały mu się nogi, ale przeżył. Siostra Anna nie wołała za nim ani słowem, chyba nawet zawróciła, jakby przebiegł jej przez drogę czarny kocur.

M zatrzymał się przed wyjściem ze szpitala. Starał się wyrównać oddech i nie zemdleć. Wtedy przyszło albo raczej przyleciało mu do głowy pewne zdanie, całkiem z zewnątrz. Nie wiedział, dlaczego i po co.

Zdanie brzmiało: „Pociąg ekspresowy ze Szczecina zbliża się do sklepu z papugami”.

Od tej pory musiał przyzwyczajać się do podobnych zdań meteorytów, które uderzały go czasami prosto w ciemność. Czyniły to zwykle w sytuacjach jak najbardziej przypadkowych, w chwilach jak najmniej ku temu odpowiednich.

Bocian zajrzał do pokoju, popatrzył, popatrzył i poszedł. A M dalej porządkował sobie przedpołudnie, jakby chciał otrzepać się z brudnego śniegu.

Śnieg, istotnie, padał, zamieniając się od razu w ciemną breję. Było zimno, mokro, obrzydliwie. M przystanął koło izby przyjęć. Nie za bardzo wiedział, co ma począć. Nikt po niego nie przyjechał z DPS-u.

Może źle się umówili? Nie pamiętał, czy ustalał coś z kierowcą żuka. Nie pamiętał także wielu innych prostych rzeczy. Należało to do jego deficytów, tak uważał doktor Pawlikowski.

Czuję się zobowiązany, by wyjaśnić precyzyjniej pewne fakty. Napomknąłem o nich zbyt pobieżnie. Otóż

M dość często zapominał wydarzenia albo słowa sprzed dwóch dni, godziny czy kwadransa, a pamiętał rzeczy dawne. Jak ptaki z Afryki, powracały mu do głowy nawet poszczególne English words and phrases, których jako chłopak uczył się w świetlicy osiedlowej pani Paluch. Stary doktor Pawlikowski miał na to zjawisko swoje naukowe określenia: pamięć długotrwała - pamięć krótkotrwała. Albo raczej: pamięć sprzed urazu - pamięć po procesie wybudzenia. Co ciekawe, medycyna, psychologia i podobne fiki-miki nie mówiły nazbyt wiele o pamięci średniotrwałej, tej obejmującej czas pomiędzy.

Nie chciał czekać. A poza tym musiał zrobić coś, by powyrzucać z siebie elektryczne iskry, które go świerzbiły w całym ciele i wylatywały nawet nosem. Ruszył pieszo, z tym że piechur z niego nie był doskonały, raczej średni, mniej niż średni, nawet kiepski, klasy kogoś z zadawnioną astmą oskrzelową i stawem biodrowym na haczyk. Mimo wszystko jakoś kroczył, mówiąc precyzyjnie, kulał.

Miasto przeszło sporo przemian od tamtego czasu, kiedy jako dziecko jeździł z mamą tramwajami, ale nie zmieniło się tak bardzo, żeby nie poznawał głównych ulic. A poza tym bardzo długo patrzył na Warszawę z lotu ptaka i miał w głowie układ jej przestrzeni i trochę szczegółów, nie za wiele tych detali, ale zawsze.

To, że wieźli go tą trasą raz i drugi, nie miało większego znaczenia, bo już prawie nie pamiętał, jak jechali.

Oślabł po siedmiuset sześćdziesięciu trzech nierównych krokach. I tak nieźle jak na niego. Osłabienie miało związek z jego mózgiem, sercem, fizjologią i tak dalej - tak powiedziałby zapewne stary doktor - ale M był całkowicie przekonany, że umęczył się przez głupie figle Ziemi. Dokładnie wyczuwał, że planeta pod stopami obraca się krnąbrnie pod prąd jego marszu, jak taśmowy chodnik na lotnisku, i stąd cały wielki kłopot z posuwaniem się do przodu. W dodatku uważał, że osłabł przez wszystko, co się działo na ulicach Raławickiej i Puławskiej.

Raławicką ciągnął pogrzebowy kondukt, z szuraniami i rozchlapywaniem wody na asfalcie. Zaraz za nim szedł następny. Za nim trzeci. Za trzecim szedł czwarty. A ten pierwszy pewnie wcale nie

był pierwszym, bo konduktory najwyraźniej przechodziły tą ulicą już od świtu. Ujawniały to refleksy na przemokłej jezdni, z obrazami innych żałobników, tych sprzed paru dobrych godzin. Świadczyły też o tym pogłosy kichania, rozsypane wzdłuż ulicy strzępy szarf, gałązki, liście, czasem nawet całe wieńce i wiązanki, kapelusze z welonami, czarne rękawiczki i obcasy albo zasmarkane chustki z monogramem.

Nie wiadomo było, skąd i dokąd idą te konduktory, gdzie znikają, szły i koniec, bez orkiestry. M przestraszył się - nie zmarłych, ale żywych. Byli tak przerażająco ołowiani, że od razu chciał uciekać, biec i nie zatrzymywać się przez jedenaście godzin. Jako że z bieganiem miał problemy, przekuśtykał dalszych siedemdziesiąt dziewięć kroków wzdłuż Puławskiej, zziąjął się, a nie udało mu się umknąć. Nadal był otoczony paniami i panami, którzy wyglądali identycznie jak żałobnicy.

Musiał znaleźć jakiś pojazd, i to zaraz, zanim wyzionie ducha w środku miasta. Czuł się niby ktoś, kto chciał przepłynąć w pław ocean, jest na środku, no i nie ma siły płynąć dalej ani wracać.

Zdobył się na sto czterdzieści dalszych kroków. W ten sposób sforsował po pasach ulję Puławską i osiągnął cel - przystanek autobusów linii 130,144 i tych wszystkich niewiadomych, które na rozkładzie jazdy były wypalone papierosem lub zaplute. Usiadł na żelaznym koszu obok wiaty i nasiąkał wodą z nieba. Mógłby przysiąc, że nie było mu tak zimno nawet wtedy, kiedy wślizgnął się po szyję do kałuży, na Okęciu, w lutym 1969 roku. Najzimniej mu było w ramiona i stopy.

Na przystanku przybywało pań i panów. Stawali pod wiatą, milczeli do siebie i drobili w miejscu dla rozgrzewki, a do tego udawali, że ich życie jest normalne, nawet lepsze niż gdzie indziej, na przykład w Kolbudach, Wysowej czy Sierpcu.

Nie przyjeżdżał 130, 144 ani żaden inny, wypalony papierosem, za to pojawiło się trzech młodych łysych.

Brzmiali niemal identycznie jak git-ludzie na Ochocie i na Pradze, wieki temu. Na ten sygnał, niczym na syczenie grzechotnika, M powinien był uciekać, ale nie miał siły tego zrobić. Zresztą nikt z gromady na przystanku nie odchodził. Wszyscy stali jak więźniowie przed barakiem, bez słowa sprzeciwu i buntu, mimo że trzech młodych przechwalało się składanym nożem, ciskało bluzgami i błotem. M dostał po plecach, więc zrobiło mu się jeszcze zimniej. I wtedy przyjechał autobus.

Ludzie pakowali się do środka, jeden przez drugiego, więc kulawy musiał czekać. Kiedy był już gotów, żeby wdrapać się na schody ikarusa, drzwi zamknęły się niespodziewanie. Tamci w oknach przyglądali się kalece tępo i bez słowa. Nikt nie kiwnął palcem, nie zawołał. M spoglądał w ołowianą twarz Warszawy i nie umiał się opędzić od pytania, czy to jest to samo miasto, w którym i o które walczył kiedyś podporucznik Julian Bocian, łączniczka Natalia i tak wielu innych świętych pańskich.

Autobus odjechał. A na jezdni samochody przeklinały jak najęte, bez żenady, rozrabiały, próbowały gryźć sąsiadów i te rzeczy. M chciał nawet je poprosić, żeby były trochę ciszej, ale zanim coś

powiedział, jeden z łysych polonezów cisnął w niego czarną grudą, więc się zamknął, skurczył w sobie i tak siedział.

Ogólnie rzecz biorąc, to wszystko źle brzmiało: samochody, autobusy, płatki śniegu, domy, wieńce, trumny, kaszel i kichanie, tory tramwajowe, pasy, śmietnik, czarne ptaki, tandeta pod folią wystawiona na polowych łózkach rozłożonych na chodniku, nawet kot wyglądający z piwnicznego okna kamienicy za przystankiem.

Nie w tym rzecz, że coś dźwięczało zbyt wulgarnie, nazbyt głośno czy za cicho. Tutaj szło o brzmienie wszystkich dźwięków naraz. One nie lubiły się nawzajem, nie śpiewały w jednym chórze. Szarpały i darły powietrze jak obrus, każdy w swoją własną stronę. Dwa czy trzy miesiące wcześniej M usłyszał taką dysharmonię wydobywającą się z biednego ciała Stanisława Karczewskiego, który leżał nieruchomo w izolatce blisko schodów. Ponoć rozkroili mu to ciało i zaszyli, bo nie było już co robić.

M spojrzał na chmury.

- Chłopaki, pomóżcie! - wyszeptał.

Niebo było betonowe i nikt z niego nie zstępował. Natomiast na ziemi, a właściwie na ulicy, tuż przy krawężniku zahamował ciężki motor marki Junak z 1960 roku. Siedział na nim człowiek w czarnej skórze ozdobionej cekinami. Na głowie miał cudo przypominające hełm z wyposażenia astronauty. Odsłonił przyłbicę i gwizdnął. M popatrzył w jego stronę, a ów wskazał ręką na małego fiata i26p w kolorze konserwowych pomidorów, który stał na świetle przed pasami. Kierowcą pojazdu był kierownik DPS-u, a przed nim dyndała

podwieszona pod lusterkiem małpka.

Zmieniło się światło. Motor wystartował z hukiem i kosmicznym przyspieszeniem. Dziwne było to, że człowiek w czarnej skórze, zamiast trzymać kierownicę z akceleratorem, szeroko rozłożył ramiona, jakby bawił się w samolot. M miał dużo mniej fantazji od motocyklisty ze skrzydłami. Po prostu wkuśtykał na jezdnię. Zawyły klaksony.

S. Jarecki spostrzegł M, jak lezie w jego stronę, pośród zgiełku trąb i bardzo twardych karoserii i zderzaków, i o mało nie wyskoczył z wozu razem z małpą. M, pomimo marnej formy, dosyć prędko dotarł do małego fiata i wskoczył do środka. Jarecki wyglądał na potężnie zdziwionego, no a przecież szukał M od kilkunastu minut i powinien był zakładać, że kiedyś go spotka. Pewnie nie brał pod uwagę, że poszukiwany znajdzie poszukującego. Zapytał go tylko, czy żyje. M potwierdził to skinieniem głowy.

- Nie chcę tutaj być - oświadczył.

Pan kierownik to zrozumiał. Wiedział, że nie idzie tu dokładnie o to miejsce przed pasami ani nawet o

Puławską wzdłuż i w poprzek. Prędko ruszył. Pędząc, drugi raz się zdziwił, bo jego pasażer machał komuś jak trzylatek, a do tego się uśmiechał, chociaż był zmarznięty, przemoczony i, sądząc po jego wyglądzie, miał dosyć.

Ale czemu nowy pensjonariusz miałby nie uśmiechać się do świata pełną gębą i nie machać do motocyklisty, który zniknął pośród samochodów, skoro nie świerzbiły go już elektryczne iskry w całym

ciele, a w dodatku dookoła zapadała śnieżna cisza? Nawet silnik fiata i26p szedł bezgłośnie, tak jak w kapciach, i w ogóle nie przeklinał, najwyżej zakasłał, bo pogoda była, już mówiłem, taka wstrętna, że, naprawdę psa by nie wygonił, jak mówiła pani Kosakowa.

O tym, co mówiła i robiła pani Stanisława Kosakowa, będzie później.

*

Tego dnia nie poszedł na spotkanie z rehabilitantem J. Maciągiem, bo miał dreszcze. Z tym że w nocy się wypocił i w środę był zdrowy. Wyzdrowiał zapewne i z tego powodu, że śpiewał. Śpiewał w chórze, w prezbiterium kamiennej świątyni, gdzieś w Anglii, w blasku żółtych lampek przy pulpitych. Rankiem nie pamiętał, czy chór chwalił Boga po angielsku, po łacinie, po polsku czy jak tam. Może nie śpiewano żadnych słów, lecz tylko nuty, czyste dźwięki? Najważniejsze, że muzyka hymnów była absolutnie płynna.

Przeływała przez chorego, oczyszczając jego ciało z błota, śniegu i okropnych szumów w lewym uchu i oskrzelach.

Nikt tutaj nie mówi o zupełnym wyzdrowieniu, to jest jasne. Po pierwsze - M obudził się paskudnie przygnębiony, a właściwie przerażony, jakby hymny nie dotarły do komórek jego lęku. Taki stan o piątej, szóstej rano zdarzał mu się wcześniej już w szpitalu, ktoś pamięta? Raz i drugi budził się z tym przerażeniem także tutaj, w DPS-ie. Nie zatrącam o tę sprawę co pięć minut, żeby państwa nią nie denerwować.

Po drugie - nie mówimy o zupełnym wyzdrowieniu i dlatego, że

magister Jerzy Maciąg uznał w środę, przy pierwszym spotkaniu z pacjentem, iż koordynacja, zasięg, pewność i precyzja ruchów badanego są, niestety, bardzo marne. Nie najlepsza wydawała się też wydolność płuc i serca. M to wiedział i bez badań.

Po testach magister J. Maciąg od razu pogonił cherlaka do ćwiczeń. Mówił, że to trening, a M musi podejść do swej pracy jak sportowiec, który pragnie zdobyć olimpijski medal.

Apel padł na odpowiednią glebę. M marzył w dzieciństwie o medalu w skoku wzwyż, pływaniu, siatkówce i sprincie. Zgodziłby się także na mistrzostwo w pięcioboju albo judo. Te pragnienia wcale nie wygasły, z tym że teraz marzył o czymś więcej. Pracował na podziw albo chociaż na spojrzenie pewnej pielęgniarki, niebywale atrakcyjnej. Powinna zobaczyć, jak on fantastycznie skacze, biega, i powinna zastanowić się, czy miała rację, wypowiadając tamte słowa przy strzyżeniu, tuż przed wyjściem z umywalni.

Tak zaczęła się epoka smrodu w salce ćwiczeń rehabilitacyjnych w bloku numer dwa, w pobliżu pralni.

Śmierdziało, bolało, nudziło, a M ćwiczył jak najęty, dzień pod dniem i miesiąc po miesiącu. Ćwiczył też wymowę, według wskazań logopedy ze szpitala, pani Kurczuk, nie za ładnej.

Oprócz tego, że trenował, bez przerwy coś czytał. Czytał książki, które wypożyczał z minibiblioteki Lidii Kaczor. Była dziwna - pani Kaczor. Ciągle jadła, a nie tyła, i miała za dużo fioletu na oczach. Niektóre kobiety to lubią. Psy się tego bardzo boją. Siedzą cicho, nic nie mówią, bo te panie z fioletową mazią na powiekach

dobrze karmią, tak się składa. My nie rozróżniamy wszystkich barw jak ludzie, ale fioletowy, owszem, znamy. W dodatku niebieski i żółty. A inne kolory umiemy wywęszyć, nawet takie, jakich nie jesteście w stanie ujrzeć.

Wracając do pani L. Kaczor, to ta traktowała M nadzwyczaj miło, zaczęła mu nawet sprowadzać lektury spoza mizernego księgozbioru DPS-u, a wypożyczała je na swoją kartę w bibliotece osiedlowej, dzielnicowej, no a później - dzięki znajomościom - w uniwersyteckiej, w tej ostatniej coraz częściej.

Trzecia rzecz, jaką się zajmował M, to praca z J. Bocianem i związane z nią rozmowy. Przytoczę coś z brzegu:

- Podać panu kombinerki?
- Nie pan, tylko Julian! Przeszliśmy na ty, nie pamiętasz?
- No to podać?
- Bardzo proszę.

Albo:

- B767 ma zupełnie inny dziób. Przemodeluję, pan się zgadza?
- Przemodeluj.

Mężczyźni nie muszą za wiele gaworzyć, jednak czasem może im się zdarzyć, że porozmawiają trochę dłużej. Podam przykład:

- Ja, panie Julianie, rozumiem - budować samolot. Ale pałac? Czemu pan go konstruuje? - M wymówił tyle słów zupełnie gładko; zająknął się tylko przy wyrazie konstruuje, bo to trudne nawet dla spikerów, którzy nie dostali nigdy w głowę i nie spali przez dwadzieścia jeden lat z okładem.

- Nie pan, tylko... - budowniczy machnął ręką. - Wytłumaczę ci wieczorem.

A jednak wyjaśnił mu wcześniej, bo wieczorem nie za bardzo dałoby się znaleźć miejsce do rozmowy w cztery oczy. Tymczasem to były wyznania wyłącznie dla jednej zaufanej pary uszu. Bocian przysiadł na drabinie, tak półgębkiem na szczebelku, tak jak zwykle.

- To jest taka, proszę cię, fanaberia.

M słuchał spokojnie i powoli kiwał głową.

- Jak leżysz pod ogniem snajperów i czołgów, to marzysz o domu. Marzysz, proszę cię, o ogrodzie i w ogóle takich, ty rozumiesz, dziwnych rzeczach. Może to i głupie, ale obiecywaliśmy sobie wtedy pod kulami, że jak nam się uda, jak ujdziemy z tego z życiem, to znajdziemy ten bezpieczny dom z ogrodem. Więc potem naprawdę starałem się bardzo, ale zamiast domów i ogrodów myśmy dochrapali się zupełnie innych rozkoszy żywota - konstruktor J. Bocian podciągnął nogawki, a potem koszulę i pokazał M rozległe blizny, niektóre głębokie.

M wpatrywał się w zarosłe skórą dziury na plecach Juliana Bociana i zapytał jak niemądry:

- Z Powstania?

- Ze śledztwa, po wojnie - Bocian prędko zakrył blizny i od razu zaczął się tłumaczyć. - Nie chciałem urządzać takiego pokazu. Nie wiem, co mnie raptem podkusiło. Wybacz.

- No co pan? W porządku.

- Nienawidzę robić z siebie męczennika, już choćby dlatego, że

nie nacierpiałem się jak inni, tylu innych, bardzo często zapomnianych. To, jak ich potwornie katowano, nie da się opisać, nie ma na to żadnych słów, rozumiesz? Komuniści potrafili torturować nawet dzieci. Mówię dzieci, proszę cię, bo kim były te smarkule z warkoczami i smarkacze w krótkich portkach, co wyszli z Powstania i z lasu...? - zachłysnął się śliną. - Kobiet w ciąży też nie oszczędzali.

- Mówi pan o kimś dla pana bliskim? - M wyskoczył z tym pytaniem i natychmiast tego pożałował.

Bocian skulił się, jak gdyby dostał postrzał między żebra.

- Tak, o mojej żonie. O Natalii. Tak miała na imię. To nie był pseudonim.

- Przeżyła? - M nie znał umiaru.

Budowniczy trwał skulony.

- Tak. We mnie - wydusił.

- Przepraszam...

- Daj spokój.

Bocian wskazał ruchem głowy pałac.

- Buduję go dla niej. Myślę, że nie uznałaby go za błazeństwo, bo była zbyt mądra i dobra, żeby śmiać się ze starego dziada i jego sposobu wypełniania wielkiej obietnicy. Zresztą, nie sądź po pozorach!

Nie wiesz, czym naprawdę będzie ta budowla.

- To znaczy?

- Zobaczysz. Może nawet będziesz musiał mi w tym jakoś pomóc.

Zobaczył i pomógł. Oczywiście trochę później.

A na razie przyszła mu do głowy jedna z tych kompletnie nie na miejscu, dziwnych myśli: „Jest tak wielu różnych ludzi, więc czy jeden z nich nie może zostać kierownikiem rzeki?”. I to wszystko. Zupełnie nie wiedział, kto podrzucił mu te słowa, kto i po co.

Po to, by uporządkować obraz życia rekonwalescenta M przebywającego w DPS-ie imienia Tomczaka na

Solcu, chcę przedstawić standardowy rozkład jego zajęć:

05:15-06:15 - przygnębienie wymieszane z przerażeniem 06:15-07:50 - toaleta, czytanie, modlitwa

08:00-09:00 - śniadanie, czytanie

09:15-11:15 - warsztaty terapii zajęciowej, czyli przemodelowanie dziobu B767 300 Bp, zmiany wprowadzane w kadłubie i profilu obu skrzydeł, okazjonalne rozmowy z kolegą, czytanie (na boku)

11:15-12:45 - ćwiczenia rehabilitacyjne, czytanie 13:00-14:00 - obiad, czytanie 14:00-15:00 - sjesta, czytanie

15:00-17:45 - lekkie zajęcia terapeutyczne i samodzielne ćwiczenia rehabilitacyjne, czytanie (pokątne)

18:00-18:30 - kolacja, czytanie 18:30-20:00 - telewizja, spacer, czytanie

22:00-05:15 - modlitwa, spanie lub czytanie (nad ranem - jak wyżej) A od wiosny siadywanie i łażenie pod drzewami. I czytanie. Drzewa rosły za barakiem. Akacja, dwa świerki, dwie brzozy, topole pod płotem i lipa. Łaził tam codziennie, co przypominało trochę jego

niegdysiejsze, młodzieżowe eskapady rowerowe na lotnisko. W ciepłe dni siadywał w cieniu liści na książęcym tronie ułożonym z paru desek. Umiał nie dostrzegać walających się dokoła plastikowych śmieci i nie słyszeć szumu samochodów. Siedział w swojej puszczy i miał spokój.

Pod drzewami i gdzie indziej czytał głównie książki o miłości, wojnie i pokoju, o rycerzu, który walczył z wiatrakami, o niesprawiedliwych albo sprawiedliwych władcach, o rosyjskim księciu, który chciał wyjaśniać ludziom ważne sprawy, lecz się jękał i nie traktowano go poważnie, o człowieku zamienionym w chrząszcza, o głodnych i sytych, a poza tym teksty dotyczące fizjologii mózgu i układu nerwowego, zoologii, psychologii, socjologii, prace historyczne, biologiczne, krajoznawcze i z zakresu dendrologii. Niektóre z tych książek brzmiały bardzo dobrze, tak jak Bocian, kiedy milczał albo mówił, inne gorzej, tak jak miasto albo chorzy ze szpitalnych izolatek koło schodów.

Po pierwszej lekturze M uznał, że już wie właściwie wszystko, poznał wszelkie tajemnice tego świata, mechanizmy kierujące życiem zwierząt, ludzi i społeczeństw. Po drugiej wiedział jakby trochę mniej, nieznacznie, ale nadal bardzo wiele, i był ciągle najmądrzejszy w okolicy, no, może z wyjątkiem Juliana Bociana. Po paru miesiącach czytania powrócił do wahań. Nawet wydawało mu się znowu, że jest głupi, w każdym razie nie mądrzejszy od swych bliźnich, i znów słuchał z uwagą, co do niego mówią inni, w tym: konstruktor Julian Bocian (tak jak wcześniej), kierownik Jarecki, magister J. Maciąg,

Lidia Kaczor, panie: Waśko, Pachnik, Bielak bez peruki, Rybińska i Gajda, i pensjonariusze: Molenda, Jankowski, Zacharski, B.

Życki, W. Kłosek, Kolankowski, A. Banaszak, poeta S. Rudzki oraz emerytowany bokser Solak, pielęgniarki i terapeuci, salowe, pracownik socjalny Barański, stary i zajęty doktor Pawlikowski (podczas comiesięcznych wizyt M w szpitalu), a nawet psycholog Danuta Kostrzewa i lekarz M. Marczuk.

Taki całkiem głupi jednak nie był. Niby przespał koniec szkoły podstawowej, szkołę średnią oraz edukację na poziomie magisterskim i tak dalej, ale coraz to wyraźniej uświadamiał sobie fakt, że przecież przez dwadzieścia jeden lat studiował. Intensywnie. Studiował lotnictwo, a jakże! I zarazem praktykował, a dzisiaj praktyka to sprawa absolutnie podstawowa. Ba, studiował jeszcze meteorologię i klimatologię, historię współczesną - podglądaną i analizowaną z lotu ptaka - a w dodatku parę innych, dosyć rzadkich dziedzin i dyscyplin, jak: fizyka barw nieba, fizyka ciał lotnych i komunikacja bezpośrednia, czyli telepatia użytkowa. Mówię wam, coś jednak wiedział. Zauważył to po pewnym czasie Julian Bocian. Dziwił się tej osobliwej wiedzy ozdrowieńca i zachodził w głowę, skąd się wzięła.

Budowniczy starał się nakłaniać M do rozmów, do mówienia, bo ten mógł nie wypowiedzieć ani słowa przez całe godziny, nie otwierał ust i koniec. Bocian bardzo się obawiał, że M znowu zardzewieje w środku tak jak zegar. No więc, pracowali razem i pogadywali.

W czasie takich pogawędek M pytał Bociana, gdzie są teraz pracownicy komitetów dzielnicowych, miejskich, powiatowych (i tak

dalej) Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, gdzie ci ludzie się podzieli i gdzie są funkcjonariusze i funkcjonariuszki Służby Bezpieczeństwa, i w ogóle różni tacy, którzy zadawali innym tyle cierpień. J. Bocian był mądry, a tego nie wiedział.

Oprócz zadawania różnych pytań, M potrafił czasem opowiadać, no, na przykład o tym, co mu się zdarzyło w lecie 1970 roku albo jakich miał sąsiadów na Okęciu. Pan Julian w rewanżu wspominał najczęściej Powstanie, więzienia, kamieniołom pod Ostrowcem, smutne lata 60., wieczorowe studia z przeszkodami, mówił także o swej szarej egzystencji na posadzie inżynierskiej w zakładach optycznych, nazywanych w skrócie PZO, a przed wojną - WZK, przy ulicy Grochowskiej 316/320, i w nieznanym w kręgach wielkiej finansjery przedsiębiorstwie WPRPGiZ Warszawa-Wola. Czasami wspominał o szczęściu, krótkim szczęściu tuż po wojnie i późniejszym życiu w samotności.

Po paru tygodniach M ośmielił się powiedzieć o aniołach awionet-kach, transportowcach i myśliwcach, i o zrzutach śmiechu i nadziei nad miastami, wsiami i przemysłowymi zagłębiami Polski. Powiedział to wszystko, czego nie mógł być wygadać p. kierownikowi Jareckiemu. Okazało się, że budowniczy nie śmiał się, nie pukał palcem w czoło, nawet pytał o szczegóły, na przykład skąd brali na chmurze paliwo do lotów, czy ciała aniołów są ciepłe i czy prawdą jest, że pachną. Interesowała go też kwestia, czy nadzieję rozpylano intensywniej na przełomie lat 70. i 80. i co M zaobserwował z góry w grudniu 1981 roku.

Po rozmowie o aniołach Bocian chyba nabrał zaufania do młodszego konstruktora, bo pewnego dnia oznajmił:

- Obiecałem, że wyjaśnię, czym naprawdę będzie pałac.
- Faktycznie.
- No to mogę ci powiedzieć.
- To pan powie.

I powiedział. Z tym że zrobił to w głębokiej tajemnicy, dlatego w tej chwili nie za bardzo mogę zdradzić, co zostało wtedy wyszeptane, uzgodnione i w ogóle. Proszę państwa o cierpliwość. Wszystko się wyjaśni trochę później. Teraz mogę tylko rzucić w zaufaniu, że J. Bocian wciągnął towarzysza w pałacowy spisek, a M wcale się nie bronił i do tego mocno się tą całą sprawą przejął. Kiedyś sam też konstruował i przygotowywał w konspiracji to i owo, a więc spiskowanie miał we krwi, jak każdy Polak.

Od tej pory obaj pracowali przy makiecie, instalując w niej wymyślne rozwiązania, pomysłowe urządzenia, takie, jakie da się zastosować w DPS-ie im. Tomczaka na Solcu, z użyciem przedmiotów ogólnie dostępnych w stołówce, składziku na szczotki, śmietniku i w sklepie spożywczo-chemicznym na rogu.

Budowniczy Julian Bocian zgłosił oficjalnie p. kierownikowi Jareckiemu zamiar ukończenia swego dzieła w październiku, przy czym dodał, że pragnąłby uczcić otwarcie pałacu wieczornym spotkaniem w gronie kilkunastu zaproszonych osób z DPS-u i nie tylko. Kierownik Jarecki się zgodził. Był dyskretny, więc nie pytał, dlaczego J. Bocian chciałby w ogóle uczcić wydarzenie, jakby tu

powiedzieć, raczej skromne.

Kierownik był mądry i wiedział, że ludzie są dziwni i stanowią niezgłębioną tajemnicę, więc nie warto tracić siły na skazane na przegraną dociekania, zwłaszcza wtedy, kiedy trzeba skądś wytrzasnąć tani twaróg, kilka nowych łóżek, koks i olej.

W związku ze wspomnianym wyżej sprzysiężeniem dwóch pensjonariuszy DPS-u muszę ciut zmodyfikować rozkład zajęć M, bo ogromnie mi zależy, żeby w mojej opowieści był porządek:

09:15-11:15 - warsztaty terapii zajęciowej, czyli przemodelowanie dziobu B767 300 ER, zmiany wprowadzane w kadłubie i profilu obu skrzydeł, przyciszone rozmowy z kolegą, czytanie (dość rzadko) oraz, nowość, prace pomocnicze przy pałacu,

15:00-17:45 - jak wyżej plus ćwiczenia rehabilitacyjne. Prace przy boeingu i pałacu bardzo się nowemu pensjonariuszowi podobały, a jednak od czasu do czasu stawał nieruchomo w oknie jedenstki lub pracowni, słuchał huku obłężenia i powtarzał: „Nie chcę tutaj być”. I tyle. Powtarzał swą mantrę najgłośniej, kiedy wracał ze szpitala po kontroli. Bocianowi było przykro. Kierownik Jarecki, przeciwnie, nie brał marudzenia M do siebie. Wiedział, że nie warto się obrażać, bo M ma po prostu problem z wielkim miastem. Najprawdopodobniej - domniemywał S. Jarecki - jest za głośne dla człowieka, który wrócił z wielkiej ciszy.

*

Kiedy po raz pierwszy po dwudziestu kilku latach M brał udział we mszy świętej - w zaaranżowanej na kaplicę bocznej salce DPS-u -

nie umiał się oprzeć wrażeniu, że jest obcy i nieuprawniony, nie na miejscu, trochę tak jak pies z kulawą nogą zabłąkany na nieszpórach.

Porównanie z psem ma sens, zdarzało mi się wbiegać w ważnych sprawach do kościoła (dużo później i w zupełnie innym miejscu tej historii) i pamiętam, co się działo. Raz dostałem parasolkę od Tuchlowej, kiedy indziej złapał mnie kościelny Ruck, wyciągnął na dwór i pogonił ciężkim słowem. A ja pytam, w czym zawadza wiernym dobry pies, przyjazne człowiekowi zwierzę? Czy nie było zwierząt w betlejemskiej stajni i w zagrodzie w Nazarecie? Pan Jezus nie jeździł na ośle? A święty Franciszek - nie rozmawiał z nami tak jak z braćmi? Ludzie chyba nic nie rozumieją. Przecież i tak od nas nie uciekną - od jaskółek w cieniu katedr, od korników w drewnie ławek i ołtarzy, od motyli ponad procesjami. My też się modlimy, choć przyznaję, że nie zawsze o tym wiemy. No a wy to co, zdajecie sobie sprawę ze wszystkiego - z bicia serca, z oddychania, z krzyku kryjącego się w skuleniu ciała? Ale nie chcę się użalać, szkoda czasu.

W następną niedzielę nowy zgłosił się do księdza Bocheńskiego i powiedział mu, że dawno temu, na

Okęciu, miał odznakę ministranta, umiał odpowiadać po łacinie i w ogóle. Ksiądz Bocheński aż podskoczył, bo z ministrantami w DPS-ie był doprawdy wielki kłopot - albo nigdy wcześniej ule służyli, albo im leciało wszystko z rąk, a tak nie można. Tak więc M już nie siadywał więcej w ławce przy Bocianie, tylko na krzeselku w prezbiterium. Służył ze skupieniem i fachowo, i to łagodziło mu poczucie, że jest tam intruzem.

Podczas mszy przypominały mu się różne rzeczy, takie z życia. Niestety, czasami, przychodziło mu do głowy coś głupiego, jakieś słowa bez żadnego związku z nabożeństwem i niedzielą. Podam przykład:

„Rośliny są ciche”. Albo inny: „Chociaż moja sól jest dobra i słony ma dotyk”. Albo: „Trudno, żeby za nią cyzelować”. Co miał robić? Opowiedzieć wszystko Bocianowi albo księdzu? W sumie po co?

Zresztą nie dręczyły go wyłącznie głupie zdania. To, co go męczyło dużo bardziej, to brak światła i zapachów, jakie znał z dzieciństwa, a konkretnie woni desek, kwiatów i wysokich świec z kościoła na

Okęciu. Brakowało mu kadzidła świetlistego kurzu, które pięło się wysoko, pod obraz z Madonną otoczoną chmarą samolotów. Brakowało także bab kościelnie, które kiedy zaczynały modlić się po cichu, to świstały tak jak ptaki i od razu przemieniały się w o wiele lepsze i piękniejsze, tak że nawet można było je polubić. Brakowało mu najbliższych, dawnych kumpli i znajomych.

Bardzo pragnął wrócić do wszystkiego, co utracił. Z czasem zorientował się na własnej skórze, że powrotów nie ma i nie będzie i że można tylko iść do przodu. Albo człapać.

M umykał coraz częściej do puszczy przy płocie i przebywał tam możliwe jak najdłużej, zwłaszcza latem.

Odnajdował pośród drzew osobność, a tej brakowało mu straszliwe w DPS-ie, zatłoczonym chorobami, pretensjami i głosami.

Coś muszę wyjaśnić. Te drzewa - przypomnę: akacja, dwa świerki, dwie brzozy, topole i lipa - nie były najwyższe ani najwspanialsze na planecie Ziemia, takie sobie drzewne kundle, jednak M pokochał je miłością godną syberyjskich świerków i były mu bliskie, tak jak kiedyś samoloty.

Niebywale pięknie brzmiały, nawet wtedy, kiedy trwały całkowicie bezszelestne.

Tak więc wrastał w puszcze coraz mocniej, za to coraz mniej gustował w świecie za parkanem. Coś musiało się porobić w samym mieście albo w biednej głowie rekonwalescenta, coś naprawdę istotnego, skoro dusił się za każdym razem, kiedy znalazł się w Warszawie, za fosami.

Nade wszystko nie mógł ścierpieć comiesięcznych wypraw do szpitala. Denerwował się, to chyba jasne, badaniami i czekaniem na wyniki, no i tym, że doktor Pawlikowski, straszliwie zajęty, nie wspominał więcej o wyprawach do Londynu i Monachium, jakby nigdy nic nie obiecywał. Poza tym M ciężko przeżywał możliwość spotkania z niebywale atrakcyjną siostrą Wilkosz. Dziwnym trafem, zawsze kiedy zjawiał się w szpitalu, jej nie było. Nie ośmielał się zaglądać do sekretnych kątów personelu, za parawan i do szafy z ubraniami pielęgniarek. Bał się, że jeżeli znajdzie wytęsknioną, to ta może mu powiedzieć coś takiego, co go zwali z nóg, zupełnie i na amen. Oczywiście marzył o rozmowie z siostrą Anną każdej nocy.

Marzył o cudownym zwrocie akcji, o wyznaniach, pocałunkach i tak dalej, ale potem znowu jej nie szukał.

I tak w kółko.

A najgorszy w całej sprawie ze szpitalem okazywał się po prostu dojazd. Początkowo, po marcowym zagubieniu na Puławskiej, M był dowożony na badania starym żukiem, wszakże później, kiedy trochę się poprawił, musiał jeździć autobusem, pod opieką kogoś z pracowników DPS-u. W drodze napotykał straszne rzeczy.

To były nie tylko pogrzeby, ołowiane twarze pań i panów, i szczekania samochodów, ale także betonowe termitiery traktowane jako ludzkie domy, budziki, lornetki i noże z Wietnamu i Rosji, landrynkowe płyny w wielkich butlach, zatęchłe urzędy z cieciami w akwariach, stygnącą herbatą i nieszczęśliwymi kobietami, które miały chore dzieci, wstrętnych mężów i zupełnie zmarnowane przez nich życie. W dodatku Warszawa była pełna egzaminów i nauczycieli z linijkami, pełna schodów, wind i zsyków, liniejących kotów w piaskownicach i nieświeżych skarpet z elastylu, no i pełno było w niej aktywnych do niedawna, ważnych członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W studzienkach burzowych mieszkały pioruny. Przy torach tramwaju numer sześć leżała noga, odcięta w pachwinie. Leżała i stygła. W autobusach panowała wroga cisza, zaraźliwe rozdrażnienie.

- Nie chcę tutaj być - mamrotał.

W puszczy na terenie DPS-u było lepiej. Przylatywał nawet ptak - zapewne kos - i ładnie śpiewał, z tym że był zmuszony śpiewać coraz głośniejsze, jak szalony, bo huk samochodów za parkanem wciąż potężniał. M obawiał się, by kos nie wypluł w końcu głosu albo żeby

mu nie pękła jakaś żyłka. W razie czego nie mógłby mu nijak pomóc. Przecież nie potrafił składać i naprawiać ptaków jak modeli samolotów i helikopterów. Nigdy tego się nie uczył. Nie miał wprawy.

*

Tej niedzieli padał deszcz. Wrześniowy. M przez całe popołudnie siedział pod drzewami. Zrobił sobie ceratowy daszek i mógł czytać. Przed szóstą wieczorem odwiedził go Bocian.

- Nie marzniesz? - zapytał konstruktor pałacu.

- Jest dobrze - odparł M, pomocnik konstruktora.

- Co czytasz?

- O największych bitwach średniowiecza.

- Ładnie.

- Pan usiądzie - M posunął się i zrobił miejsce obok siebie. Budowniczy nadal stał i dłubał butem w mokrej trawie. Rozglądał się chwilę dokoła, dotknął pnia topoli, jakby sprawdzał jej gatunek, wreszcie rzucił coś, co go musiało niezle świerzbić:

- Co ty się tak wiercisz w łóżku, wiesz, nad ranem? M udawał, że go nie ma.

- Sapiesz, proszę cię, gorzej od Solaka - dodał Bocian. M udawał, że nie słyszy.

- Ty się budzisz chyba koło piątej. Masz kłopot ze spaniem? M udawał, że nie słyszy i nie widzi.

- Coś cię boli?

M udawał, że go nie ma, że nie słyszy i nie widzi. J. Bocian

namakał i drążył:

- Nie stękałeś wczoraj „Boże, zmiłuj się nade mną”? Słuchaj, człowiek nie wysyła strzał do Pana

Boga, nie leży skulony jak szczenię, kiedy wszystko jest w porządku.

- A skąd pan to wszystko wie? - M przestał udawać, że go nie ma i tak dalej. - Pan przed świtem chrapie jak kaszalot.

Julian Bocian machnął ręką.

- W dzień wyglądasz całkiem dobrze, aż miło popatrzeć, zwłaszcza jak pracujesz albo ćwiczysz z wielką pasją. Ale, proszę ciebie, rano...

- Rano myślę - M wpatrywał się uważnie w kusą brzozę.

- Tak jak wtedy, gdy leżałeś skulony w pałacu? Nadal się upajasz i zadreczasz swoją samotnością?

- Przede wszystkim nie wiem, po co tu wróciłem. Mnie nad ziemią było dobrze i robiłem dużo ważnych rzeczy. A na dole? Do czego tu jestem potrzebny, pan powie.

- Sam musisz to odkryć.

- No więc właśnie kombinuję, w jakim celu mnie zrzucili. Może po to, żebym jąkał się i łąził jak pokraka, był karmiony łyżką i gnił aż do śmierci w tym przytułku? Albo po to, żeby pewna pani pogoniła mnie jak parszywego kundla? - M nie mógł uwierzyć, że wyznał to wszystko. - Boję się, że wylądowałem przez pomyłkę, bez sensu, bez celu...

- Już, przestań!

Julian Bocian stał na deszczu i myślał w skupieniu jak basset.

- Niczego się nie bój - powiedział to pewnie, jakby wydał komuś rozkaz.

- To nie strach, to rodzaj niepokoju. Wyłazi najczęściej nad ranem, to prawda.

W krótkiej ciszy między szaleństwami samochodów za parkanem słychać było krople deszczu pykające w ceratowy daszek.

- Zaraz trzeba będzie iść, więc powiem krótko - oznajmił konstruktor. - Co do tej kobiety, o której wspomniałeś, to nie wiem; może powinieneś o nią walczyć, a może zapomnieć. Co zaś do pytania, po co tutaj jesteś, to po prostu szukaj na nie odpowiedzi. Spokojnie, wytrwale.

- Jak długo?

- Do skutku. A poza tym pamiętaj, mówiłem: Bóg oddał ci ciało. To musi coś znaczyć. Idź za tym.

M przypomniał sobie babcię Marię na Okęciu, jej błogosławieństwo przed rozstaniem. Najpierw przyszło mu do głowy to wspomnienie, a po chwili dostał w czerep czymś zupełnie innym, nie do pary, jednym z owych idiotycznych zdań meteorytów bez ładu i składu: „Jeżeli pozrywasz z dzwonnicy kielichy tych dzwonów, to uschną”.

Padał deszcz. Wołano na kolację.

Była pasta rybna ze szczypiorem. I drożdżówka. Bardzo pyszne.

W owym czasie, kiedy M i Bocian intensywnie rozmawiali i przygotowywali ostateczny kształt pałacu i coś jeszcze, jakiś sekret, w

DPS-ie miało miejsce wiele bardzo interesujących, ważnych zdarzeń.

Tak jak wcześniej i jak zwykle świętowano urodziny oraz imieniny, oglądano telewizję (bez dźwięku i z dźwiękiem), podjadano po kolacji, raz i drugi prwszły grzeczne dzieci z podstawówek, powiedziały kilka wierszy i uciekły. A poza tym doszło do gwałtownej polemiki w sprawie zasług przy sprzątaniu. Mowa tutaj o sprzątaniu ochotniczym terenu ośrodka pomiędzy jezdniami z ruchomymi pojazdami wroga.

Panowie Kosecki, Babiniuk i Gajda uznali, że przyznanie kolegom Puszowi i Wencie dyplomu uznania dla mistrzów czystości to świństwo, bo tamci zmiatali ogryzki pod ławki, a poza tym wyrzucali większość śmieci zwyczajnie za parkan. Tymczasem brygada Kosecki, Babiniuk i Gajda na swoich dyżurach musiała to wszystko po tamtych uprzątać. A trzeba podkreślić, że panowie bez dyplomu byli w dużo gorszym stanie od tamtych z dyplomem. Mieli na to zaświadczenia i ustną opinię doktora Marczuka.

Co jeszcze?

No, na przykład w ramach prac warsztatu terapii zajęciowej numer cztery koledzy Molenda i Życki wykonali statek z korka. W obecności grona pensjonarek i pensjonariuszy, którzy byli w stanie pójść nad Wisłę, wodowano go przy brzegu, tak na niby, ale Jan Molenda puścił cumy, bo miał skurcze, i statek popłynął do Płocka, Torunia i Gdańska, tym szlakiem, jakim podróżował kiedyś król Jan III z Marysieńką w towarzystwie dość liczego dworu (wiem od wuja, a o moim wuju powiem później). B. Życki pomstował.

Wieczorami w dziewiętnastce kwitły drobne interesy, głównie w branży tytoniowej i spirytusowej, co było naganne a nawet przestępcze, ale nikt nie pisał ani słowa kierownictwu ani żadnym innym władzom.

Piski dochodziły za to z osiemnastki i dwudziestkidwójki. Okazało się, że w pokoju nr 18 zaistniała kontrowersja wokół kremu Eris na noc. Szło to, czy korzysta z niego tylko jego prawna właścicielka, pani Waśko, czy ktoś jeszcze, nie wskazując palcem - Pakosińska. Doszło nawet do wymiany przykrych uwag o złodziejstwie oraz o tym, że niektórym starym krowom na ich uwiad nie pomoże żaden krem, najwyżej trumna. Takie słowa bardzo bołą, więc ktoś zaraz dostał w łeb i oprócz pisków były wrzaski, i kierownik S. Jarecki musiał rozśrodkować osiemnastkę, co nie było takie łatwe, bo w innych pokojach też zdarzały się napięcia dyskusje o urodzie, kosmetykach i braku szacunku dla własności indywidualnej.

Zaś w dwudziestkidwójce panowała zazdrość o poetę A. Rudzkiego. Tak się jakoś dziwnie stało, że jego utwory wywołały silny odzew uczuciowy dwóch dojrzałych niewiast, a obie mieszkały w tym samym pokoju, przy kuchni. Statystycznie - nieprawdopodobne. Ale życie jest bogatsze od wyliczeń profesorów.

Powstał konflikt, który miał charakter utajony aż do chwili, kiedy Rudzki dedykował pani Gajdzie wiersz

„Firanka”. Cała sprawa wyszła na jaw i pani Dzwonkowska płakała po nocach, co denerwowało panią

Gajdę, chociaż jednocześnie odczuwała pewną satysfakcję. W

końcu doszło do wybuchu. Dzwonkowska i

Gajda wyrzucały sobie podłość, by potem wyrzucać przez okno osobiste rzeczy - jedna drugiej. Akurat padało, zatem nie obyło się bez zniszczeń. No i co, czy pan kierownik S. Jarecki miał naprawdę - jak gadali za plecami - niezłą fuchę? To nie była żadna fucha, tylko męka.

Przykro to powiedzieć, ale pośród tych hałasów cicho zmarła pani Ar-cimowicz. Nigdy z nikim się nie pokłóciła, zawsze niosła ciepły uśmiech. Nikt naprawdę jej nie zauważał, aż odeszła. I niektórym się zrobiło strasznie głupio. Na pogrzeb na Wólkę pojechała dosyć skromna delegacja, bo to jednak byli ludzie chorzy, z ograniczeniami ruchowymi i tak dalej. W delegacji znalazł się J. Bocian, a M nie chciał.

Obiecywał, że pomodli się w kaplicy DPS-u. Budowniczy nie był tą odmową zachwycony i potem powiedział młodszemu koledze dwa słowa do słuchu, jak ojciec.

Aha, wyprowadził się w tym czasie pensjonariusz Adam Biskup z paralizem lewej strony, a przyjęto Leszka Komandorowicza, zupełnie młodego człowieka ze stwardnieniem rozsianym i czymś tam.

Do tej listy ważnych zjawisk i wydarzeń trzeba dodać jeszcze jedno. M nie został ulubieńcem mas.

Niestety. Chociaż co niedziela służył do mszy, siedział cicho i nie walczył o dyplomy ani kremy, nie był faworytem panów z piątki. Ci robili przy nim dziwne miny, nie znosili jego obecności, bardzo chcieli mu dokuczyć, może nawet zgładzić go w sekretny sposób. Na

szczęście nie byli mistrzami podchodów ani amerykańskiego kina akcji, a poza tym był pan Julian, to znaczy parasol ochronny dla największych dziwactw asystenta, na przykład robienia stu pompek i czytania jednej książki dziennie.

Powracam do sprawy pałacu. W barakach rozeszła się fama, że w połowie października ma być jubel.

Zakładano, że dostępny będzie bufet z kanapkami, słodkim winem i ciastkami, ale najpierw wszyscy wezmą udział w uroczystej akademii z udziałem władz zwierzchnich. Wszystkie panie z DPS-u już myślały o kreacjach i fryzurach. Stan oczekiwania na to wydarzenie wzmógł ciekawość dotyczącą dosyć tajemniczych prac Bociana.

Ludzie zadawali sobie kilka pytań. Czemu Bocian z tym stukniętym entuzjastą dzianych lektur tak się jakoś ukrywają, jakby knuli spisek przeciw światu? I dlaczego noszą chyłkiem to i owo, nawet nie wiadomo co, coś za pazuchą albo w pudłach? Czy tak właśnie konstruuje się największe arcydzieła sztuki budowlanej i przygotowuje uroczyste akademie z występami?

Kilka osób, nieco śmielszych, przystąpiło do działania. Polegało ono na podsłuchiwaniu rozmów i odgłosów. Cezary Babiniuk z L. Kącką obstawiali okno (od podwórza), a trzy panie z bloku numer dwa pełniły stały dyżur higieniczny w korytarzu. Raz i drugi doszło do dekonspiracji pań pod klamką, ale te utrzymywały - i czyniły to z ogromnym przekonaniem - że zajmują się wyłącznie pucowaniem futryn, klamek i zawiasów.

Po drugiej z tych dysput budowniczy przyniósł do pracowni stare radio. Radio grało, zamazując sensy rozmów. Z tym że nawet i bez radiowego zagłuszania bardzo trudno było coś zrozumieć, no a zwłaszcza złożyć sobie w spójną całość strzępy gadek i hałasów wychwycone w różnym czasie.

Bardzo proszę, jestem ciekaw, czy ktoś z państwa coś zrozumie z tego, co udało się zarejestrować czujnym uszom:

- Ale bym zapalił... Matko, ale bym zapalił, ja ci mówię!

- Może lepiej jednak nie?

- No, może.

(...)

- [...] wymyśliłem bardzo daw [..], kiedy jeszcze pracowałem w [...] układach optycznych przy[...] ciebie [...] i doskonaliłem ten aparat w myślach całe la [...].

- Technicznie to, panie Julianie, możliwe jest wszys [...], nawet loty na tapczanie nad Alpami.

- To lecimy!

- Oczywiście.

(...)

- Zapalałem dla niej światło na grobach bez nazwisk, co tydzień na innym.

- Dlaczego?

- Nie oddali zwłok matce Natalii, mnie wtedy trzymali w Rawiczu.

- Ico [...]

- Zasyпали gdzieś pod płotem, bez krzyża, jak zwierzę... Nie wiadomo na [.]”]

(...)

- Lubiała się śmiać? Uwielbiała!

- To pięknie.

- Nawet wtedy, kiedy było, proszę cię, nie do wytrzymania.

Może przede wszystkim właśnie wtedy [...]. [...] ech przecież uwalnia.

Od stra [...].

-1 mówią, że leczy.

- Być mo [...].

(...)

- Ale co? Wyjaśni pan to wszystko tym, co przyjdą?

- To ty się uklonisz i powiesz to lu [...].[...] prowadzisz całą uroczystość.

- No, co pan!?

- Ty wyjdiesz na środek i zapowiesz wszystko elegancko, a ta twoja wyma [...] spadnie z krzesła!

Już rozumiesz?

- Ja nie wyjdę i nie [...].

- Wystroimy cię i ogolimy [...] przystojny i ważny! Musisz [...] [...] alczyć, M, a nie mazgać się po kątach!

I tak dalej. Dużo takich jakichś, kurde, nie wiem, jak to określiła pani Kącka.

Cała czwórka na podsłuchach miała zatem kłopot z tym bredzeniem. W końcu panie pucujące okna i podłogi się poddały.

Znaczny wpływ na ich decyzję miało to, że progi i futryny tak namokły od nieustannego szorowania i zmywania, że zaczęły puszczać pędy, a to była przecież jesień i z łatwością mogło dojść do wynaturzeń i zaburzeń w rytmie biologicznym całej Ziemi. Ci spod okna też zrezygnowali.

Z dnia na dzień robiło się zimniej, ciągnęło od gruntu, a ludzie na rencie mają zwykle słaby pęcherz. Tak słyszałem, ale nie wiem, kto to mówił.

Likwidacja posterunków podsłuchowych przyszła w samą porę, bowiem praca przy włączonym radioodbiorniku nie była już dłużej możliwa. Dlaczego? Odpowiem. Trzeba było przeprowadzić próby dźwięku. Zaraz po nich przyszedł czas na zestrzajanie fonii i obrazu.

Bardzo proszę się nie denerwować! Jeszcze tylko chwila cierpliwości i wyjawię cały pałacowy sekret J.

Bociana. Ale najpierw słówko o czymś innym, równie ważnym.

W finałowej fazie przygotowań M i Bocian pracowali w podnieceniu, tak jak chłopcy budujący wakacyjny szałas w lesie albo tacy trochę starsi postrzeleńcy, którzy kończą taklowanie oceanicznego jachtu i pojutrze wybierają się do Rio de Janeiro. Inżynier-konstruktor wyznał w zaufaniu współnikowi, że czuje coś w środku, coś, co wypełniało go w młodości - siłę do czynienia rzeczy niemożliwych. Jego rówieśnicy znali ją aż nadto dobrze, a potem ich dzieci, przynajmniej od czasu do czasu, przede wszystkim w sierpniu 1980 roku. M dokładnie wiedział, o czym mowa, bo miał w sobie taki ogień tego lata, kiedy zasnął.

Czy konstruktor musiał o tym mówić? O gorączce pragnień. Nie, nie musiał. Wystarczyło mu się przyjrzeć.

Koleżanki i koledzy z DPS-u zaczęli się w końcu Bocianem zamartwiać, a niektórzy się irytowali, bo ludzie nie lubią, jak coś nie jest tak, jak było do tej pory i do czego się przyzwyczaili, i w tym są podobni do zadomowionych, grubych kotów. Kierownik Jarecki też dostrzegał bardzo wiele, lecz że był człowiekiem mądrym (mimo dość młodego wieku), nie nasyłał na Bociana połączonych sił Marczuka i Kostrzewy, chociaż tamci rwali się do boju i grozili, że sprowadzą wielkie wojska.

Na początku października Bocian uznał, że Pałac Jesienny jest gotów. Pałac razem z jego tajemnicą. I trzeba je sprawdzić. Przetestować. Całościowo wypróbować. Uzgodnili z M, że wprzódę zbiorą myśli. Tak więc M przez parę dni wyłącznie ćwiczył, czytał książki albo kręcił się dokoła drzew w przepastnej puszczy pod parkanem.

Co do ćwiczeń, M przybrał na wadze i wyprofilował sobie kilka mięśni.

Co do książek, to właśnie czytanie w głównej mierze poprawiało rekonwalescentowi pamięć krótkotrwałą, nazywaną także świeżą. Wiezorami zmuszał się do powtarzania w myślach tego, co przeczytał - imion bohaterów, biegu akcji, wybranych dialogów albo naukowych informacji, hipotez, idei.

Przypominał sobie też, co było na śniadanie czy tam obiad, z kim rozmawiał i co już zrobili, a co mają jeszcze do zrobienia z

kolegą

Bocianem. Owszem, nadal trafiał w myślach na nieprzenikliwe, czarne dziury albo białe pola nieistnienia, ale w sumie cieszył się z postępów.

Co do puszczy, podczas wolnych dni przed próbą generalną było mokro. M na to nie zważał. Godzinami kulał między parą świerków, parą brzoź, akacją, topolą i lipą, jakby pokonywał bezkres tajgi. Tłumaczył mi potem, że w Norwegii ludzie mówią: „Nie ma złej pogody, złe bywa ubranie”. Ja tam zawsze jestem odpowiednio wyekwipowany i za bardzo nie rozumiem pań i panów, którzy nieustannie zakładają coś tam i zdejmują, przebierają się i obuwają. Jestem w stanie pojąć tylko tyle, że jak ktoś przez snobizm i głupotę stracił własną sierść, a może nawet gęste futro, by wyglądać jak wypełzły z jaja kurak, to musi się później trząść z zimna i wstydzić, więc nie pozostaje mu zupełnie nic innego, jak zakrywać wstyd szmatami.

M miał w tym wypadku wielkie szczęście, bo we wrześniu dostał paczkę. Potem drugą, a za drugą przyszła trzecia. Wszystkie trzy z Kanady od Andrzeja i Małgośki, czyli od tych, którzy wyjechali kiedyś, bo musieli, no a wcześniej znali M z podwórka i dopatrywali go w szpitalu, już mówiłem - kto zapomniał, niech je pestki słonecznika i orzechy. Przysłali mu wszystko, od butów po czapkę. W pierwszej paczce były jeszcze list i zdjęcie. M przeczytał list, obejrzał fotografię i bardzo się wzruszył.

Kiedy już wystarczająco odpoczęli - M i Bocian - to siódmego

października zamknęli się znowu w pracowni pałacu. Budowniczy był zdenerwowany jak nowicjusz, a przecież przez lata działał w odpowiedniej branży i powinien był mieć większe zaufanie do swojego doświadczenia, inżynierskiej wiedzy i tak dalej. M zaproponował losowanie. Wygrał Bocian. W takim razie pierwszy do Pałacu

Jesiennego wlaźł ten, który przegrał, i usiadł wygodnie w fotelu wykonanym z materaca i leżaka.

Konstruktor otworzył południowy bok budowli, by uzyskać dostęp do aparatury.

Obiecałem wcześniej, że wyjaśnię i wyjaśniam wreszcie tajemnicę p. Juliana! Swój genialny wynalazek

Bocian nazwał konwertprojektorem. Instrument stanowił esencję pałacu. Nie będę się wdawał w szczegóły techniczne maszyny, bo musiałbym tutaj zbyt wiele tłumaczyć, szczególnie tym wszystkim, którym myślę się schematy odkurzacza próżniowego i bojlera. Skupię się na jej działaniu.

Urządzenie, zasilane prądem o napięciu standardowym, zaprojektowano do zamiany tekstów zapisanych ręcznie albo maszynowo na kartkach A4. na przecinające się wzajemnie wiązki światła, dźwięk i inne bodźce sensualne. Za pomocą nowatorskiej konwersji audio-termo-kinetycznej i precyzyjnego układu soczewek, wykonanych ze starannie szlifowanych denek spodków i butelek, słowa miały uzyskiwać pełne kształty, ruch, temperaturę, głosy i zapachy istot żywych, tak dalece rzeczywiste jak podwórko za oknami

albo katar. Czy to jasne? Jeśli nie, to bardzo proszę pytać o szczegóły pana Arkadiusza Piotrowskiego z dziewiętnastki, bo Piotrowski pojał wszystko w mgnieniu oka, z tym że nie wiem, czy on nadal mieszka tam, gdzie mieszkał, bo handlował lewą wódką.

Pierwsze wyrywkowe próby przeobrażeń pojedynczych słów i zdań, przeprowadzane jeszcze podczas instalacji aparatu, zakończyły się sukcesem. Teraz przyszła pora na przedpremierowy seans pełnometrażowy w pałacowym kinie własnych filmów.

J. Bocian wyciemnił interieur budowli. Z kartonowej teczki wyjął kartkę. Drżącą ręką - oczywiście prawą, bo z lewą miał kłopot - ulokował papier w urządzeniu[^]zatrzasnął pokrywę maszyny i kaszlnął.

- Gotowy? - zapytał.

- Gotowy - usłyszał.

Nacisnął na starter.

M znalazł się w środku przedstawień wydobytych z następującego tekstu:

Nie było armii brunatnej i nie było czerwonej. A jeżeli nawet były, to przegrały i uciekły. Przetrwała

Warszawa. Żyją: Borsuk, Gryf, Zawisza, Mojżesz Rosenbaum i jego bliscy, Zbyszek Biały i Haneczka, porucznik Sawicki i Lidka.

Nie było UB. Jest Natalia. Ma zachwycające zmarszczki koło oczu - od uśmiechu. Rozmawiamy na tarasie nad ogrodem. Odganiamy osy i pijemy kompot z naszych śliwek. Nad głowami mamy jasne niebo. Córka z mężem karmią dzieci zupą ogórkową ze

śmietaną. Nie było i niema starości. I śmierci. Jest jesień, tak ciepła jak lato.

M widział i słyszał, i odczuwał właśnie to, dokładnie to, co widział, słyszał i odczuwał każdy z państwa. No, prawie to samo. Owszem, osy w pałacowym kinie wydawały się ciut bardziej natarczywe, porucznik

Sawicki chodził w śmiesznie lśniących oficerkach, a wnuki Bocianów trochę marudziły przy jedzeniu.

M wyszedł z pałacu.

-1 co? - spytał Bocian. Był mokry z emocji. - Bałem się podglądać...

M milczał, konstruktor napierał:

- Ale działa? Działa jak należy?

- Nawet lepiej.

- No a z lewej nie siadała trochę ostrość?

M zaprzeczył ruchem głowy.

- W takim razie teraz ja! - zawołał Bocian. - Twój scenariusz.

- Nie za bardzo - bąknął M

- Co znowu?

- Nie bardzo mi wyszedł. Chyba, proszę pana, wcale.

- A daj spokój, proszę ciebie! Startujemy.

- Niech pan lepiej sobie puści jeszcze raz ten swój, naprawdę.

O dziwo, pan Julian nie upierał się przy skrypcie asystenta. Popatrzył na M, kiwnął głową, wziął głęboki oddech, usadowił się w pałacu i dał sygnał. M upewnił się, czy kartka J. Bociana jest

właściwie ułożona, nacisnął guzik, potem przymknął bok budowli.

Stanął w oknie. Gapił się na deszcz i czekał.

Po pięciu minutach złowił uchem szept z pałacu. Bocian o coś prosił. M nie mógł rozróżnić słów pana

Juliana, ale wiedział, co ma zrobić. Ustawił w maszynie tryb pętli, czyli powtarzania tej samej projekcji bez potrzeby ponownego naciskania guzików na desce kontrolnej maszyny, po czym wcisnął starter konwertprojektor. Zabezpieczył panel urządzenia. Zostawił przy wyjściu z pałacu jeden klucz do drzwi pracowni, drugim zamknął je od zewnątrz i poszedł do puszczy. Połączyć.

Mókł w deszczu i dumał.

Oczywiście, że był poruszony tym, czego doświadczył. Kto z państwa podłączył się w porę do projekcji w pałacowym kinie własnych filmów, ten wie, o czym mowa. M nie umiał o tym jasno myśleć - tak myśleć słowami jak perypatetyk. Raczej obserwował chmury uczuć, które wędrowały po całym ciele, od serca do kończyn i głowy, a tam zakręcały jak na końcu linii tramwajowej. Wielu wrażeń nie pojmował, ale jedno wiedział na sto procent. To, co przeżył, niebywale pięknie brzmiało.

Teraz, w puszczy pod parkanem, tamto brzmienie przypomniało mu wysoką ciszę, jaką słyszał trzy dni wcześniej w punkcie bibliotecznym pani Kaczor. Oddawał Balzaka. Odstawił dwa tomy na półkę i zupełnie odruchowo sięgnął po ostatnie dzieło z katalogu DPS-u, którego dotychczas nie zdarzyło mu się przejrzeć.

Sygnatury nie pamiętam. Tytuł znam: Przewodnik po Powiślu i

Żuławach. Po co, na co była komuś w

DPS-ie ta broszura, nie wiadomo. Była, koniec. M rozłożył ją, a ktoś - najprawdopodobniej ważny i wpływowy - musiał sprawić, że nie otworzyła się na spisie treści ani informacjach statystycznych o mleczarstwie w Miłoradzu, tylko na obrazku numer dziewięć. Ilustracja przedstawiała stromą skarpe porośniętą gęstą trawą. Podpis informował, że jest to rezerwat, unikatowy obszar roślinności typu stepowego w miejscowości Sarnia Góra.

Mimo że prezentowana w przewodniku fotografia była raczej amatorska, niewyraźna, M na chwilę stracił oddech. Dziwna sprawa, wszak na czarno-białym zdjęciu nie było niczego z tych rzeczy, które zatykają młodych mężczyzn: ani kobiet, ani statków pod żaglami, ani polskie-rowanych maszyn. Było zbocze pradoliny Wisły. Ciągnęło się w prawo i zarazem w głąb/obrazka, przechodziło w tajemniczy las, a z niego wyrastała jakaś wieża. M zastygł w bezruchu. Gapił się na wielki las i wieżę, i słyszał ich ciszę.

Natomiast za oknem minibiblioteki DPS-u samochody ujadły tak jak wściekle. Bardzo nieszczęśliwie brzmiały także inne sytuacje w wielu różnych miejscach miasta. W korytarzach zimnych klinik pacjenci czekali ze strachem na wyniki biopsji guzów trzustki. Na wyższych uczelniach i w szkołach ludzie zatrudnieni w charakterze wykładowców i nauczycieli zajmowali się demonstrowaniem, kto tu rządzi i kto kogo może upokorzyć. W ikarusach nadal nikt nie mówił ani słowa, najwyżej coś wrzeszczał. W korytarzach prefabrykowanych domów lokatorzy zakładali kraty i wieszali kartki z upomnieniem,

żeby nie załatwiać się przy zsykach. W dzielnicowych biurach ZUS-u, w kwaterunku i w urzędach podatkowych kłębili się ludzie, którzy wyglądali jak oblane klejem ptaki. Na dworcu za Wisłą ktoś gnił na gazetach.

Padał deszcz, a nic nie rosło.

M wyraźnie słyszał w samym środku głowy jeszcze jedno: „Nie chcę tutaj być, za skarby”. Chciał być w Sarniej Górze. Tyle. Chciał tego tak bardzo, jak przed laty pragnął latać jumbojetem, karawelą, latałkami, czym popadnie.

Dzwonili na obiad.

M przerwał wędrówkę. I wtedy - jakby mało miał od rana różnych wrażeń - trafił go kolejny meteoryt.

Meteoryt zbudowany był z jednego zadania: „Cała ziemia jest usiana martwymi wróblami”. No coś tak beznadziejnego, że aż, prawdę mówiąc, przykro.

Przy stoliku nie pojawił się pan Julian.

M pognał tak szybko, jak tylko potrafił, do pracowni terapeutycznej, zajrzał do pałacu przez ruchomą ścianę południową, potem wrócił do stołówki, uspokoił kierownika Jareckiego, zapewniając, że konstruktor jest zajęty i jest w formie. Obiecał solennie, że zanieśie panu Julianowi kotlet z ziemniakami i surówką. I tak zrobił. Potem przyniósł mu kolację. Oni mieli to już przećwiczone, to noszenie żarcia do pałacu.

Bocian zjawił się w pokoju numer jedenaście przed północą. Cicho wsunął się pod kołdrę, podkulił kolana i zasnął. Bokser Solak

świstał przez wpółuchylone usta. M poczekał trzy minuty, po czym włączył nocną lampkę. Zwrócony do ściany, jeszcze raz przeczytał swój scenariusz:

Budzę się i mieszka we mnie radość. Mam dziś bardzo wiele do zrobienia. Świat może nie przetrwać, jeśli nie wypuszczę transportowców z ziarnem ciszy.

M nadal uważał, że ów skrypt jest nie za bardzo. Ze złością zmiażdżył papier. Zdaje się, że zrobił to za późno.

Jestem absolutnie przekonany, że zanim scenariusz - zapisany na arkuszu o formacie standardowym - uległ likwidacji, zdążyły zadziałać tradycyjne konwertprojektory pod sklepieniem państwa czaszek, te zdumiewające aparaty, które ludzie otrzymują razem z głową (wszakże bywa, że latami pozostają zapomniane i rdzewieją).

M jeszcze nie wiedział, że wystarczą ledwie trzy sekundy, podczas których wzrok człowieka pada na dwadzieścia parę słów, przecinek i trzy kropki, aby to, co zapisano na papierze, wyświetliło się trójwymiarowo i wybrzmiało stereofonicznie w czyimś osobistym kinie krótkich filmów.

Zgasił światło.

*

Zaproszeń rozdano niewiele. W końcu ile osób mogło się pomieścić w dawnym magazynku materaców i pościeli? Naturalnie zaproszony został pan kierownik, kilka osób z personelu, ksiądz Bocheński i reprezentanci pensjonarek i pensjonariuszy. Porobiły się od razu niezłe kwasy, bo niektórzy czuli się niesprawiedliwie

pominięci i zlekceważeni.

Pominięte i zlekceważone panie starały się dowieść, że wszystko to szopka i aż przykro o tym mówić.

Zapewniały, że naprawdę bardzo są zadowolone z tego, że nie będą uczestniczyć w dziecinadzie i obejrzą sobie coś ładnego w telewizji, zwłaszcza że ostatnio wrócił dźwięk do aparatu i w dodatku lepiej widać.

Nie zdradzały, czy im żal powymyślanych wcześniej fryzur i kreacji po przeróbkach.

Na specjalną prośbę M dwa kaligraficznie wypisane zaproszenia wyekspediowano do szpitala, a konkretnie do doktora A. Pawlikowskiego i do siostry Anny Wilkosz, niebywale atrakcyjnej. Po tygodniu przyszedł list odwrotną pocztą. Straszliwie zajęty stary doktor Pawlikowski dziękował za pamięć, ale jednocześnie informował, że, niestety, w podanym terminie będzie na kongresie za granicą. Oczywiście cieszył się z postępów ozdrowieńca i życzył mu dalszej poprawy we wszystkich aspektach. Od siostry A.

Wilkosz nie nadeszła żadna poczta. M nie wiedział, czy to źle, czy może dobrze. Podobno kto cierpiał z powodu kobiety, zrozumie.

Najogólniej rzecz ujmując, pałac i aparatura konwertprojekcyjna osiągnęły stan zupełnej gotowości.

Nadszedł zatem czas na opracowanie programu otwarcia obiektu i ćwiczenie elementów estradowych.

Dość dużo roboty. Tymczasem J. Bocian i jego asystent jakoś tak działali nie za bardzo, apatycznie i niemrawo. Termin określony w

zaproszeniach zbliżał się w zawrotnym tempie, a ci dwaj, jak mali chłopcy w krótkich portkach, prawie cały czas myśleli o czymś innym i robili coś innego.

Co robił pan Julian? Przesiadywał z żoną na tarasie nawet przez sześć, siedem godzin dziennie. Uparcie korzystał ze skryptu, który wcześniej cytowałem, z tym że trzeba zauważyć, iż seanse J. Bociana stale się zmieniały, poszerzały. Na przykład oboje z Natalią coraz rzadziej coś mówili, bo o czym tu gadać, kiedy można trzymać się za ręce? W dodatku pan Julian lubił bawić się z wnukami w chowanego. Ten najmłodszy, Stasio, to był piorun! Taki cwany i ruchliwy, że aż trudno było go odszukać w zakamarkach domu i ogrodu, a potem zaklepać na białym kamieniu przy krzewach czeremchy. No i przychodziło do nich, tam na taras, coraz więcej starych druhów - wszyscy żywi, bez dziur w czaszkach i śledzionach.

Bocian płał w ostatnim ciepłe jesienne słońca, w blasku bliskich i w radości dzieci buszujących w stertach liści.

Za to gorzej było panu Julianowi po seansach. Chodził taki, nie wiem, przymulony, prawie nieobecny w świecie DPS-u. On, człowiek rycerski i grzeczny, zdawał się nie zauważać koleżanek i kolegów, i przysypiał, nawet podczas mszy, aż ksiądz Bocheński go zapytał, o co chodzi. Konstruktor powiedział uprzejmie, że o nic.

Co robił asystent Bociana? Właściwie to samo. Tylko tyle, że pan Julian siadywał w Pałacu Jesiennym, że tak powiem, oficjalnie, a M czynił to ukradkiem, nawet nocą. Również na niego to siedzenie nie wpływało nazbyt dobrze. Chodził potem senny i zupełnie do niczego.

Wreszcie Bocian, mimo że był roztargniony i zamknięty w swoich myślach, coś tam jednak zauważył i zaniepokoił się współlokatorem. O późnej godzinie zakradł się, wiedziony przecuciami, do pracowni terapeutycznej i przydybał go w pałacu. Zrobił to na tyle cicho (doświadczenie kombatanta), że M nic zupełnie nie usłyszał, a miał słuch, już wiecie, jak foksterier. Zapewne wsłuchiwał się wtedy w jakieś dźwięki nie z tej ziemi albo był czymś mocno ogłuszony. Dzięki temu lub owemu

Bocian mógł podejrzeć jego seans.

Jestem całkowicie przekonany, że w kieszeni konwertprojektora nie leżała kartka, którą poznaliśmy, ta pierwsza, pomięta. Musiała być inna, bo w półmroku królowała siostra Wilkosz. Niekoniecznie w pełnym stroju. I w ogóle działały się w pałacu mocne rzeczy, ale M mnie kiedyś bardzo prosił, żebym o nich nigdy nie wspominał, więc zamilknę.

Bocian trochę się przestraszył. Otrzeźwiał na tyle, że już następnego dnia przyglądał się uważniej młodszemu koledze z pracowni. Dotarło do niego, że M gada jak pijany, zaniedbał lektury, nie przykłada się do ćwiczeń rehabilitacyjnych - dobrze, że przynajmniej nie porzucił życia w puszczy. Naturalnie doszło do rozmowy. Zasadniczej. Przed pałacem.

- Co ty robisz? - spytał Bocian.

- No co robię? - odparł M i odwrócił wzrok w kierunku okna.

- No co robisz?

- A co robię?

W taki sposób mogli sobie pogadywać przez dwa lata, na szczęście pan Julian miał poważne doświadczenie strategiczne i bojowe. Z miejsca walnął z grubej rury.

- Co wczoraj czytałeś?

- Przewodnik.

- Ambitnie!

- A co złego w przewodniku?

- Tak? A byłeś na rehabilitacji?

- Zapomniałem.

- Zapomniałem? Wcześniej to się chyba nie zdarzało?

- Ale o co panu chodzi?

- Ty wiesz dobrze, proszę cię, bardzo dobrze! - ruchem głowy wskazał pałac.

- A pan co? Pan nie spędza tutaj całych godzin jak pustelnik?

- Ty słyszałeś, że co wolno wojewodzie, to nie tobie, panie komendancie?

- Czyli kiedy pomagałem przy budowie, było dobrze, a teraz mam szlaban?

- Przestań bzdurzyć! Masz prawo korzystać z pałacu, kiedy tylko, proszę cię, zechcesz, ale, M, ostrożnie!

- Jak ostrożnie?

- No tak, żeby to stawało się początkiem pięknych rzeczy w twoim życiu, a nie rejteradą. Nie zamykaj się w refugium!

M nie słyszał nigdy tego słowa, tego ostatniego, jednak doskonale czuł, co może znaczyć.

- A pan się nie zamknął?

- Nie porównuj naszych sytuacji! Seanse w pałacu muszą mi wystarczyć za to wszystko, co nie było i nie będzie nigdy wyświetlone z projektorów Pana Boga.

- Ze mną jest tak samo.

- Co ty gadasz? Tak naprawdę masz czternaście lat. Szesnaście. No, może czasami dwadzieścia.

Zrozum, ile jeszcze, proszę cię, możesz zdziałać.

- Z siostrą Wilkosz mogę być tak blisko tylko tutaj - pokazał paluchem na pałac.

- Dajesz spokój! Harowałeś od miesiący. Osiągnąłeś rzeczy fantastyczne. No a teraz, co?

Zamierzasz zrezygnować? - Julian Bocian ledwo dyszał.

- Ja panu coś powiem. Mógłbym tak zasuwać jeszcze pięćset lat i siedem godzin, a ona i tak by nie chciała...

- Czego by nie chciała?

- Spojrzeć na mnie.

- To ja ci coś powiem! Musisz, proszę cię, walczyć! Jeśli ta niewiasta przyjdzie na otwarcie, to zobaczysz, będzie tobą zachwycona. No a jeśli nawet założymy, ty rozumiesz, nawet jeśli się okaże, że ta twoja pani nie jest ci pisana, to świat się nie skończy. Z czasem spotkasz, proszę cię, kogoś, kto naprawdę czekał na twój powrót.

- Wolę siostrę Annę z projektora niż...

- Posłuchaj! Nawet najpiękniejsze fantazmaty z papieru,

żarówek i prądu nie mogą zastąpić ci ludzi, takich z krwi i kości, ty rozumiesz? Ja zaraz zwariuję.

- Panu zastępują.

- Ile razy mam tłumaczyć? Moje kino jest dla starych, zramolałych pierdoł - konstruktor tak brzydko nie mówił od wieków; przypuszczam, że musiał być wściekły. - W naszym domu mieszka wielu takich, którzy, tak jak ja, stracili wszystko, co kochali, i już niemożliwe, żeby wydarzyło im się coś dobrego. Dla nich pałac może być błogosławieństwem. Ale nie dla ciebie! To tak jak z lekarstwem. Dla jednego bywa dobre, dla innego to trucizna. Szczególnie w nadmiarze.

Okropnie się zmęczył. I co gorsza - przykro to powiedzieć - trzęsły mu się ręce, być może dlatego, że aby przemówić do rozumu temu gamoniowi, sprzeniewierzył się Natalii. No bo czy nie sugerował, że jest nieco mniej realna od - na przykład - pani Kazimiery Pachnik, kiedy ta żegluje korytarzem w podomce i laczkach?

Nie sędzę, bym musiał dodawać, że na koniec tej rozmowy M zarobił w głowę czymś z kosmosu. Tym razem usłyszał dwa zdania: „Zastała na stole rozlaną muzykę. Aż żal było ścierać”.

I co miał z tym zrobić? Nawet nie miał komu się poskarżyć.

*

Państwo domyślają się zapewne, że pomimo trudnych rozmów i długich seansów w pałacowym kinie własnych filmów Julian Bocian i asystent ustalili w końcu, co należy, i przygotowali ceremonię

inauguracyjną. Tak więc kiedy nadszedł wieczór wielkiej gali, obaj mieli ułożony w głowach cały program, salka była posprzątana, przewietrzona, a konstruktor trzymał w teczce - przepisany na zupełnie nowej kartce - skrypt rozpoczynający się od zdania: Nie było armii brunatnej i nie było czerwonej. Kto jada, co trzeba, ten pewnie pamięta tę frazę, tak sędzę.

Tego dnia o 19:07 panie i panowie - bardzo elegancy i ufryzowani - siedzieli na krzesłach i wózkach ustawionych przed pałacem. Przyciszonym głosem wymieniali między sobą komentarze odnoszące się do architektury poszczególny pięter, rytmu okien, kunsztu zdobień i łączenia różnych stylów architektonicznych w jednym flaku. Dostrzegali także doskonałą, czystą formę samolotu, wiszącego nad budowlą. Panowie wiedzieli, że to długodystansowy boeing, panie rozpoznały z satysfakcją jego barwy.

Wszyscy czuli się niezwykle uroczyście, może nawet lekko stremowani.

Zgromadzili się już wszyscy. Nie dotarła tylko pewna dama, niebywale atrakcyjna. M chodził po ścianach.

Nie dosłownie, ale prawie. A poza tym siedział za pałacem jak za kulisami i trzął nogą. Był zachwycająco wystrojony. Miał na sobie kanadyjską marynarkę w cienkie prążki, kanadyjskie spodnie z mankietami, koszulę i krawat z Vancouver. Był dokładnie ogolony, uczesany, wyświeżony i półżywy. Dwanaście po siódmej zapytał Bociana dwunasty raz z rzędu:

- Co, przyszła?

- Nie widzę - odpowiedział Julian Bocian, który stał i obserwował salę. - Dobrze, M, już nie czekamy. Bomba w górę.

M właściwie odczuł ulgę. Kto tęsknił i cierpiał, ten może zrozumie.

- Ruszamy - przynaglił go Bocian.

M wyszedł zza kulis. Ukłonił się ładnie i zaczął:

- Mili i szanowni proszę państwo! - trochę się pomylił, ale zamiast uciec, mówił dalej. - Bardzo dziękujemy za przyjęcie zaproszenia i waszą obecność na wieczorze poświęconym Pałacowi Jesiennemu i otwarciu jego tajemnicy - M wyraził się nad wyraz górnolotnie, bo tak mu zalecił J. Bocian.

Rozległy się brawa.

- Zanim to otwarcie się dokona, proszę mi pozwolić na zaprezentowanie samolotu Boeing

767-300, który samodzielnie zmodyfikowałem w ramach zajęć terapeutycznych. Oto podstawowe parametry oryginału: długość 54,9 m, pojemność od 269 do 351 pasażerów, zasięg i prędkość maszyny - odpowiednio 9700 km oraz 870 km/h, a dla modelu 300ER -11305 km i 900 km/h.

M w ogóle się nie jękał, nie przeciągał ani też nie gubił ważnych głosek, bowiem wcześniej dużo ćwiczył po ochrzanie, jaki dostał za nieróbstwo.

- Ten samolot przypomina, że możemy latać ponad ziemią - dopowiedział M i zrobił krótką pauzę - nawet ci kulawi, biedni i stuknięci lekko w głowę.

Rozległy się brawa.

- W ostatnich miesiącach pracowałem także nad sprawnością ciała i wymową trudnych zdań, bo należyte wymawianie słów jest bardzo ważne, kiedy chcemy zdobyć czyjaś przyjaźń i uznanie, zwłaszcza kobiet. Oto jedno z moich ćwiczeń: W Tczewie, z Tczewa czy od Tczewa wszędzie deszczem szepczą drzewa - wypowiedział to naprawdę koncertowo.

Rozległy się brawa. Najgłośniejsze klaskały niewiasty z siódemki.

W chwili kiedy aplauz nieco ucichł, wszyscy usłyszeli głośnie kroki. Dźwięk docierał z korytarza. Stukały obcasy. Stukały, stukały, a potem ucichły i zza pleców publiczności dobiegło pukanie. Właściwie walenie.

Zgromadzeni przed pałacem obejrzeni się za siebie. Ktoś szarpnął za klamkę i w szczelinie między drzwiami a framugą ukazały się dwie gęby panów z piątki. Jedna z gęb ryknęła:

- Ukochana przyszła! Ze szpitala!

M cały zeszywniał. Nie dosłownie, ale prawie.

Drzwi się otworzyły trochę szerzej i do magazynku weszła pielęgniarka w bieli i na szpilkach. Nie była to siostra A. Wilkosz. To była Z. Prystor. Speszona jak nie wiem. Szepnęła „przepraszam”. Ktoś wskazał jej miejsce, dostukała się do krzesła i usiadła jak trusia, a M nie żył. Nie dosłownie, ale prawie. Trochę żył, bo miał na przykład całkiem przyzwoitą pracę nerek i śledziony, krew płynęła mu gdzie trzeba, wydzielaly mu się różne soki i hormony, to i tamto, różne świństwa, tylko że on skończył się psychicznie. Stał, gdzie trzeba, ale

jakby go nie było. Czarny worek, studnia, ciemność. Wtedy wszedł do akcji Julian Bocian.

Konstruktor był stary, mądry i wiedział, jakie skutki może mieć spóźnione wejście pielęgniarce. Stał przed pałacem i powiedział:

- Dziękuję koledze za tak piękne wprowadzenie. Gratuluję mu ogromnych, naprawdę ogromnych osiągnięć! Niech praca nad sobą pomoże mu wzlecieć niezwykle wysoko!

Rozległy się brawa. M usiadł na krześle. Wciąż nie żył.

- No a teraz żeby nie przedłużać - mówił Bocian - chciałbym już zaprezentować państwu tę budowlę - dotknął dłonią ściany z dykty - która wywołała w naszym domu sporo wątpliwości i domysłów.

Rozległy się szmery.

- Dziękuję tym wszystkim, którzy mi pomogli zrozumieniem, zaufaniem, przychylnością - Bocian skłonił się w kierunku pana kierownika - i udziałem w pracach konstrukcyjnych - teraz skłonił się w kierunku asystenta.

Wielka szkoda, że M nie usłyszał tego, co powiedział Julian Bocian. Nie usłyszał, bo przebywał ciągle w studni. Najważniejsze słowa J. Bociana dotarły do niego dopiero po czasie, z tym że lepiej późno aniżeli wcale, jak mawiała pani Kosakowa.

- Mój Pałac Jesienny to nie tylko model architektoniczny. To coś więcej. - Bocian chrząknął, a publiczność powstrzymała oddech. - W jego środku skrywa się innowacyjne urządzenie.

Wszyscy, którzy śledzą tę opowieść, znają już od dawna tajemnicę aparatu i ziewają, ale proszę, aby pamiętali, że publiczność

nic o niczym nie wiedziała i że należały jej się wyjaśnienia. No i Bocian zajął się tą sprawą:

- Korzystając z tego aparatu, można znaleźć to, co dawno zaginęło, i odzyskać to, co zmarnowane, cieszyć się tym wszystkim, co zdawało się nieodwracalnie utracone. W Pałacu Jesiennym da się jeszcze raz przeżywać ciepło bliskich, znowu chodzić bez żadnego bólu, nawet biegać. Można być kochanym i szczęśliwym, tak jak kiedyś lub jak nigdy.

Rozległy się szmery.

- Dzisiaj pragnę ofiarować tę możliwość wszystkim koleżankom i kolegom z DPS-u imienia

Tomczaka na Solcu.

Rozległy się krzyki, aż kierownik S. Jarecki musiał apelować o porządek, ciszę, spokój. Uciszyło się na tyle, że pan Bocian mógł powiedzieć coś półszepem:

- Tę ostatnią ważną pracę w moim życiu zadedykowałem ukochanej żonie i naszemu nienarodzonemu dziecku.

Ludzie rozglądali się dokoła ze zdumieniem, wymieniali jakieś komentarze, dosyć mętne, starali się pojąć, o czym tu w ogóle była mowa, sapali, burczeli, któraś pani chciała wody.

- Za chwilę zaczniemy premierowy seans w pałacowym kinie własnych filmów - uroc[^]ście zakomunikował Bocian.

Gospodarz wieczoru zdemontował południowy bok budowli, załadował skrypt do konwertprojektora, dał wskazówkę, żeby usiąść jak najbliżej i postarać się mentalnie wejść do środka jesiennego kina.

Na koniec poprosił o zgaszenie wszystkich świateł. Któraś z pań pisnęła z przerażenia, ktoś ją objął, a ta nawet się nie opędzała. Po dwudziestu dwóch sekundach niepokoju i szurania nóg zapadła cisza.

Pan Julian nacisnął na starter.

Oczywiście ta projekcja miała dużo niższą jakość od poprzednich, doświadczanych indywidualnie. Mimo wszystko wywołała ogromne wrażenie.

Wydawało się, że wieczór stanie się prawdziwym triumfem ludzkiej myśli. Niestety, od trzeciej minuty projekcji coś zaczęło się wymykać spod kontroli J. Bociana. Może było to spowodowane jakimś błędem, literówką w przepisany świeżo skrypcie, może usterkami w aparacie, tak czy owak wystąpiły zakłócenia.

Najpierw do ogrodu przed werandą przylazł Himmler i trzeba go było przepędzić krzykami i kijem.

Jedenaście minut później wnuk Bociana znalazł granat, to znaczy niewybuch. Zrobiła się chryja. Na szczęście z wizytą u państwa Bocianów był akurat major Sokół, który miał przed laty do czynienia z ładunkami minowymi i tak dalej. Zabezpieczył przerdzewiały granat i znów można było cieszyć się kompotem, bardzo miłym towarzystwem bez dziur w czaszkach i śledzionach, i barwami ogrodowych liści.

To, co wydarzyło się na końcu, absolutnie nie ma związku z siostrą Prystor. Ona chciała tylko coś wyjaśnić M, więc nachyliła się do niego, bo siedzieli blisko siebie, i zaczęła szeptać mu na ucho, że wysłano ją do DPS-u, aby reprezentowała cały oddział, pielęgniarki i

doktorów, chociaż miała sporo zajęć i rodzinę.

Wyznaczono ją, bo koleżanka Anna Wilkosz, od września Różańska po mężu, wyjechała ze swym ukochanym ślubnym w góry, a poza tym, nawet gdyby była teraz w mieście, to wątpliwe, żeby przyszła.

Rozległy się krzyki.

To nie wrzeszczał M, choć miał do tego pełne prawo. Wrzeszczały panie. One również miały prawo, bo zaczęło śmierdzieć dymem. Zaraz potem strzelił ogień. Najpierw zapaliła się weranda u Bocianów.

Płomienie buchnęły mniej więcej minutę po przyjeździe ciężarówki z enkawudzistami i ciężkiego czołgu z krwawą gwiazdą. Później kilka osób potwierdzało, że to właśnie od czerwieni gwiazdy poszedł ogień, który objął sprzęty ogrodowe i tkaniny. Z werandy i domu pożar rozlał się na pałac, jego ściany i attyki, framugi, panoplia, pilastry i hermy. Wszystko potoczyło się niesamowicie prędko, jako że płomienie pożerały suche drewno, instalacje elektryczne i tekturę.

Kierownik Jarecki, nadzwyczaj przytomny i mądry, z miejsca wszczął ewakuację publiczności, tak że ludzie wyszli, wytoczyli się na wózkach lub zostali wyniesieni w ciągu ledwie kilkunastu czy kilkadziesiątu sekund. Dzięki przezorności kierownika odłączono zasilanie aparatu.

W czasie, kiedy S. Jarecki wyprowadzał podopiecznych na korytarz, Julian Bocian i otumaniony M zostali przy pałacu. Ktoś to ponoć nawet zauważył, głośno wołał, ale w całym zamieszaniu i

tumulcie pan kierownik nie miał szans, by zorientować się, czy wszyscy opuścili wnętrze magazynku. Kto ewakuował kiedyś ludzi w gęstym dymie, ten rozumie, o czym mowa.

M walczył z pożarem pałacu kanadyjską marynarką w drobne prążki, a pan Bocian szalał na werandzie i w ogrodzie - ratował swych bliskich, przynajmniej próbował, ale oni, po kolei, wypalali mu się z dłońmi.

Mundurowi z ciężarówki stali nieruchomo koło czołgu, popluwali i kopcili krótkie papierosy. Nie strzelali z pepesz, tylko stali i gapili się na ogień i na ludzi, którzy z wolna brązowieli i czernieli, i rozsypywali się jak popiół z cienkich kartek. Ostatnia zniknęła milcząca Natalia.

Kiedy Julian Bocian sam się zaczął palić jak pergamin, M wyciągnął go z werandy i pałacu i przewrócił na podłogę, żeby zdusić na nim płomień.

Wyciąganie i gaszenie J. Bociana okazało się nadzwyczaj trudne, bo się stawiał. M wygrał z nim walkę, jako że miał sprawne obie ręce, nogi (no, mniej więcej), a poza tym sporo ćwiczył i był przecież dużo młodszy.

W chwili kiedy M doduszał ogień na koledze, do pracowni wrócił S. Jarecki, a tuż za nim ksiądz Bocheński.

Ten pierwszy wypuścił na pałac ładunki z trzech gaśnic, a kapelan pomógł w wynoszeniu konstruktora na korytarz. Tam opiekę nad poszkodowanym roztoczyła pielęgniarka Zofia Prystor, która wcześniej zajmowała się histeryczkami oraz tymi, którzy rzeczywiście

się dusili.

Julian Bocian był przytomny, tylko nie otwierał oczu i nie mówił. Nie powiedział ani słowa nawet wtedy, kiedy zabierano go na noszach do karetki. Bronił się wyłącznie gestem i wierzganiem. Naturalnie nic nie wskórał, bo kierownik S. Jarecki i obsługa ambulansu mieli bardzo jasny pogląd na to, co powinni zrobić z poparzonym.

M trzymał Boqfana za nietknięte zarem lewą ramię do końca, do chwili, kiedy wyproszono go z karetki.

Powiedziano mu, że nie ma miejsca dla postronnych, proszę bardzo, już, jedziemy. M usłyszał jeszcze jedno - bardzo kiepskie brzmienie konstruktora.

Potem przyszła noc, a z nią zeznania dla policji i prokuratury i w ogóle takie sprawy, a w dodatku szept, płacze lub złośliwe ploty szeleszczące gdzieś po kątach.

Nad ranem zadzwonił telefon.

Ktoś powiedział p. kierownikowi Jareckiemu damskim głosem, że p. Julian Bocian zmarł o 2:09, że lekarze są tym faktem zaskoczeni, bowiem stan pacjenta określano początkowo jako zadowolający i nie było zagrożenia życia. Tak się zdarza. Po chwili syczenia w słuchawce głos kobiecy dopowiedział, że przyczyna zgonu jak na razie nie jest znana. Najprawdopodobniej wylew krwi do mózgu. Będzie sekcja. Byłoby wskazane, żeby ktoś przyjechał do kostnicy połatwiać formalności. Do widzenia.

O tym telefonie ze szpitala M dowiedział się na chwilę przed

śniadaniem. Oczywiście z miejsca dostał w ciemię czymś z kosmosu - tak jak to zdarzało mu się wcześniej - z tym że teraz dostał dużo mocniej, aż zatoczył się i ciężko usiadł na podłodze. Zdanie było bardzo krótkie i o dziwo miało sens. Cytuję: „Bóg zabrał mu ciało”.

To tyle.

Tak na marginesie, oto, czego dowiedziałem się niedawno: Polska leży w strefie nemoralnej.

Wyjaśniam. Natychmiast wyjaśniam.

Nemoralis znaczy leśny. Oczywiście po łacinie. Łacina to język, który używany był w starożytnym Rzymie, o czym opowiadał mi mój wuj, mieszaniec czystej krwi, dorodny samiec ze zdefasonowanym w walce lewym nozdrzem. Jeszcze o nim nie mówiłem, może tylko napomknąłem. Wuj miał niebywale wielką szczękę, a spojrzenie tak pocziwe, że gdy patrzył w czyjąś stronę, to każdemu chciało się w tej samej chwili śmiać i płakać. Mędrzec ten zajmował się po pracy studiowaniem dziejów świata, a przy tym śledzeniem rozwoju gatunku *Canis lupus familiaris*. Obwąchiwał rzeczywistość, nasłuchiwał, obserwował i uważnie czytał strzępy gazet walające się po ziemi. I wyciągał własne wnioski. Przez to siwiał.

Wracając do strefy, co z tego, że leśna? Otóż to, że naturalnym środowiskiem biologicznym Polski nie są żadne stepy czy lodowce, pustynie czy pampy, nie mówiąc o miastach, lecz lasy. Zatem gdyby nie obecność i działalność ludzi (*homo sapiens*), drzewa pokrywałyby po prostu wszystko, z wyjątkiem najwyższych skał w Tatrach. I zbiorników wodnych - to jest jasne. Po ewentualnym zniknięciu

rodzaju ludzkiego w ciągu ledwie paru dekad drzewa znów pozarastałyby krajobraz wzdłuż i w poprzek. Pod ich korzeniami i w ich cieniu poznikałyby lotniska, autostrady, rafinerie, betonowe blokowiska Łodzi i

Katowic, i Dworzec Centralny w Warszawie, z kasami, kioskami i smrodem - ponętym dla szczurów

(*Rattus norvegicus*), nie dla mnie.

Proszę nie zrozumieć mnie fałszywie. Nikomu nie życzę żadnej katastrofy gatunkowej! Za to życzę państwu zdrowia, szczęścia, złotych godów i potomstwa w kilku miotach. Ale muszę też coś wyznać. Tak napaskudziliście tu i ówdzie, że aż robi się niedobrze. I ten las, ten jego powrót byłby czasem jakimś wyjściem, nie mam racji? M podobnie na to patrzył.

Jeszcze jedno, przy okazji. Od czasu do czasu M miał wrażenie, że nie tylko on, lecz cały jego kraj wybudził się z długiego snu, koszmaru. Właściwie z choroby. I że nadal, kurde, boli.

*

Ekspres jechał bardzo wolno. Naprawiali coś przy torach. Za oknami padał deszcz lub zacinało mokrym śniegiem. Mimo wszystko M uważał, że jest ładnie, w każdym razie znacznie ładniej niż na

Marszałkowskiej czy Puławskiej.

Wagon zdawał się zupełnie inny od tych, jakie M pamiętał sprzed zaśnięcia na lotnisku. Wyglądał na czystszy i przestronniejszy niż kiedyś. Nikt nie tłoczył się na korytarzu, a w przedziale siedział tylko starszy pan obierający zwiędłe jabłka i dziewczyna z kolorowym

pismem o fryzurach, galaretkach i romansach.

Owszem, w wagonowych toaletach zajeżdżało tak jak kiedyś, wszakże nikt nie ukradł z nich papieru, czyli Windsor, rewolucja kulturalna między Ciechanowem a Iławą.

M zamierzał oczywiście, czytać, ale w sumie jakoś nie mógł. Zazwyczaj niepokój towarzyszył mu nad ranem, to już wiemy, później puszczał. Tego dnia nie puścił i wymieszał się dość osobliwie z uniesieniem, jakie wywołuje wielka podróż. Zamiast czytać, M rozważał różne sprawy. Chciał uporządkować sobie wydarzenia z nocy między październikiem a początkiem śnieżno-deszczowego marca. Ćwiczył przy tym pamięć rzeczy nieodległych, bo z tą nadal miał kłopoty.

O tysiącu dwustu siedemnastu sprawach już zapomniał, lecz pamiętał, że po śmierci konstruktora zwiął do puszczy. Przesiadywał tam tak długo, jak się dało, chociaż były to miesiące bardzo zimne. Właściwie nie siedział, tylko chodził w kółko, godzinami, tak że doktor Marian Marczuk i pani psycholog Danuta

Kostrzewa strasznie chcieli go wyleczyć. Radykalnie. Turnus w Tworkach. Z zabiegami. Na szczęście kierownik Jarecki był mądry i uznał, że chodzenia w puszczy przy parkanie nie potrzeba wcale leczyć.

Raczej trzeba znaleźć większe lasy.

Są naprawdę tacy ludzie, którzy pomagają innym, tak po prostu. Niekoniecznie i nie zawsze da się ich zaliczyć w poczet świętych, ale robią dobre rzeczy. Tak było z Jareckim, to pewne. Potrafił dość

brzydko traktować swą żonę, Irenę z Rostockich z Poznania nad Wartą, potrafił przeklinać, pić wódkę do rana, no a jednocześnie chciało mu się, dla przykładu, pielgrzymować do Zespołu Pomocy Społecznej na ulicy Czerniakowskiej, by tam prosić urzędnika Makowskiego o opracowanie, a potem wdrożenie programu: „Plan środowiskowej integracji i usamodzielnienia się pensjonariusza DPS-u (tu: imię, nazwisko oraz data urodzenia kandydata)”.

Kierownik Jarecki nie wiedział, że urzędnik W. Makowski jest niespieszny i że walnie całą sprawę na dno szafy. W. Makowski sprawę walnął, no i S. Jarecki mógłby sobie czekać miesiącami i latami na jej finał, mógłby chodzić na ulicę Czerniakowską jeszcze tysiąc sześćset osiemdziesiąt dziewięć razy, żeby tam całować różne klamki, gdyby w grudniu nie zdarzyło się coś w biurze ZPS-u.

W jakiś bardzo dziwny sposób wszedł tam młody człowiek w czarnej skórze ozdobionej cekinami. Pod pachą miał cudo przypominające hełm z wyposażenia astronauty. Bez pytania usiadł i dość długo i z uśmiechem mówił Makowskiemu różne rzeczy, a ten słuchał, nie przerywał, nie buntował się i tylko kiwał głową jak porcelanowy Chińczyk na wystawie sklepu z rupieciami. Człowiek w skórze z cekinami pokazał na mapie pewne miejsce niedaleko rozwidlenia Wisły i Nogatu, spytał urzędnika, czy zrozumiał wszystko jak należy, potem wstał, pożegnał się i tak samo dziwnie zniknął, jak się zjawiał.

Nocą p. Makowski prawie nie spał. Nie dlatego, że miał stracha! Raczej chciał zachować to wrażenie, jakie towarzyszyło mu, gdy

słuchał astronauty. Coś nadzwyczaj podobnego odczuł kiedyś pod dotknięciem chłodnej dłoni pani Danki, opiekunki z domu dziecka. To było przed laty. Okropnie chorował, a ona przyniosła mu kompot z czereśni i uśmiech. Wtedy jeszcze wierzył całym sobą, że na świecie są anioły.

Potem praca Makowskiego poszła dużo, dużo szybciej, tak że w lutym M dowiedział się od kierownika

Jareckiego, że na wiosnę będzie mógł wyfrunąć w stronę czarno-białej fotografii z przewodnika. Będzie miał kwaterę na poddaszu, pełną rentę i spróbuje sobie żyć, po prostu żyć, zwyczajnie, własnym życiem.

- No i - pan kierownik puścił oko - tam są lasy, bardzo piękne.

M o mało co nie skonał - nie tak jak trafiony cegłą w głowę, lecz z radości. Oczywiście jego radość czasem przycichała. Zwłaszcza rano. Państwo wiedzą. Wtedy martwił się, czy aby nie zepsują mu się zęby (tak na przykład), czy poradzi sobie z wyżywieniem, czy w tym domu, gdzie ma mieszkać albo w okolicy jest łazienka, czy nie spotka tam łajdaków, którzy go pogonią ostrym nożem i te rzeczy. Nie mam siły, żeby to w ogóle jakoś komentować. Kiedy wyobrażam sobie M tak marudnego i pokręconego w środku jak jelito, to chce mi się wyc - na całe gardło, całą paszczę - ale trochę się obawiam, że u państwa jest już dawno po 22:00 i musielibyście płacić karę.

Bogu dzięki w ciągu dnia powracał do zachwytu.

Przez tygodnie i miesiące przed wyjazdem M przemierzał setki kilometrów dzikich dróg w bezkresnej puszczy DPS-u, sporo czytał, a

tymczasem kilku panów wychodziło wprost ze skóry, żeby odbudować pałac J. Bociana, oczywiście z konwertprojektorem. Najbardziej się zaciął Arkadiusz Piotrowski, kiedyś o nim wspominałem, pensjonariusz z siedemnastki. Nie, przepraszam, z dziewiętnastki. Niby znał dokładnie projekt konstruktora albo tak mu się zdawało, niby umiał zreperować każdy mebel, zrobić budzik z trzech widelców i gazowej zapalniczki, ale w tym wypadku się wyłożył. Wszystkim było niewymownie przykro, zwłaszcza paniom, bo to one tak najbardziej chciały powyświetlać sobie w kinie własne filmy o miłości i tak dalej. Powstawały nawet scenariusze na papierze o formacie standardowym. Powstawały, potem zóółły. Straszna szkoda. Raz czy drugi A. Piotrowski zrobił próbę. Wcześniej wokół urządzenia ustawiono siedem gaśnic. Szczęśliwie, wszystko się skończyło bez pożaru, z tym że albo nic nie chciało działać, cisza, ciemność, albo pojawiały się potworne bohomy, głupstwa, świństwa. A. Piotrowski walił głową w ścianę z gipsu i używał ordynarnych zwrotów i wyrażeń.

M zupełnie nie chciał włączać się w te próby, nie zamierzał nic naprawiać czy odtwarzać i w ogóle. Ludzie mieli mu to bardzo za złe. Wcale się tym, proszę państwa, nie przejmował. Owej nocy między październikiem a deszczowo-śnieżnym marcem marzył tylko i wyłącznie o projekcjach słońca na gałęziach gęstych świerków. Inne drzewa też wchodziły w grę, na przykład sosny, buki, klony i modrzewie, i tak dalej.

Pociąg właśnie wjechał w obszar lasu. Łało, zacinało śniegiem i

znów lało. M uważał, że jest pięknie, chociaż ani jeden promień słońca nie odbijał się od mokrych igieł.

*

Ekspres jechał przez sosnowo-modrzewiowy tunel. M patrzył przez okno. Nareszcie czuł więcej radości niż lęku - przynajmniej tak długo, jak długo zostawał pod opieką sosen i modrzewi.

Ktoś może zapytać, skąd w człowieku, który po dwudziestu jeden latach wrócił z chmury, wziął się ten zdumiewający wilczy zew - pragnienie lasu? Mogę odpowiedzieć bardzo prosto: NIE WIADOMO. Kropka, koniec.

Jeśli mimo mojej jasnej odpowiedzi ktoś by chciał ten temat drażnić dalej i, jak ogar wypuszczony w knieję, koniecznie wyniuchać powody, dla których M tęsknił do bycia wśród choin, dzięciołów i dzików, to powinien przyjrzeć się uważnie tej liście hipotez:

- niezbadane wpływy genetyczne,
- wychowanie,
- patologia mózgu,
- wspomnienia z wakacji w późnych latach 60.,
- atawizmy,
- wpływ Bożego Narodzenia,
- wpływ akacji pod oknami domu na Okęciu,
- szalone lektury,
- powołanie z nieba,
- jakieś inne.

Z powyższego zestawienia proszę sobie wybrać te przyczyny,

które zdają się prawdopodobne i najbardziej wiarygodne, i podkreślić je markerem na zielono.

Aha, w kategorii jakieś inne mieści się nieśmiałe przypuszczenie, że przed wielu, wielu stuleciami M był dębem lub paprocią, albo żubrem. Oprócz tego nie jest całkowicie wykluczone, że coś mu zdrewniało w tej poobijanej strasznie głowie. Istnieje też pogląd, a właściwie domniemanie, że za bardzo się zagapił z góry na iglastą i liściastą zieleń, no i przepadł. Dodatkowo warto wziąć poważnie pod uwagę słowa M wypowiedziane później w Nowym Jarze:

- Las najpiękniej brzmi ze wszystkich stworzeń na tej ziemi. Prawie tak jak samoloty kiedyś. I jak chmury.

Pan w przedziale głośno kichnął. Pan mógł być anonimowym alergikiem, który nie powinien był obżerać się jabłkami. M pomyślał wtedy o tym, co zdarzyło mu się w styczniu.

Pewnego poranka usłyszał - wyraźnie - że topola pod parkanem strasznie chrypi, chociaż zimą drzewa raczej milczą. M wychwycił to chrypienie i się zmartwił. Potem co dzień dość uważnie nasłuchiwał i był całkowicie przekonany, że ma rację, coś tam nie gra. Byli tacy w DPS-ie, którzy to nasłuchiwanie podpatrzyli, i zaczęło się gadanie, obśmiewanie stukniętego, dużo większe aniżeli do tej pory. Na szczęście nikt z pensjonariuszy ani pensjonarek nie podglądał, kiedy dziwak dokonywał rzeczy jeszcze bardziej nienormalnej, takiej, jaka mogła zaprowadzić go do Tworek, gdyby się dowiedział o niej lekarz Marczuk.

Państwu mogę ją wyjawić.

M wykombinował skądś scyzoryk - dobrze, powiem, od boksera R. Solaka - i tym scyzorykiem naciął pień topoli. Dość głęboko. Mówiąc bardziej precyzyjnie, on tę korę mocno pokarbował. Dlaczego tak właśnie uczynił, nie wiedział, zupełnie tak samo, jak nie orientował się, dlaczego naciął korę w tym, nie w innym miejscu drzewa, w taki, a nie w jakiś inny sposób. M po prostu miał zupełną pewność, co ma robić, i to zrobił. Następnego dnia topola nie chrypiała. Teraz był zupełnie przekonany, że jest dobrze. Przecież słyszał.

Oprócz tej pewności miał też inną - że nie pójdzie więcej do szpitala. Na kontrolę. Przysyłali stamtąd upomnienia i dzwonili, pan kierownik się okropnie deijjerwował, a M gwizdał na to koncertowo. Nie i tyle. Na szczęście wyjeżdżał już wkrótce, więc mu było więcej wolno.

Na początku marca, jakiś tydzień przed wyjazdem, wybrał się do miasta w innej sprawie. Odwiedził cmentarze. Posprzątał grób babci i mamy, a potem, na Wólce, odnalazł mogiłę Bociana (dodam, że pół roku wcześniej był przykładnie na pogrzebie konstruktora, żeby zmarły się nie denerwował). W obu miejscach modlił się i prosił swoich bliskich o błogosławieństwo na daleką drogę. Niczym więcej ich nie niepokoił. To znaczy, nie mącił im ciszy źle brzmiącymi pytaniami, które go gnębiły od miesięcy, zwłaszcza rano: Czemu go tak opuścili? I dlaczego musiał być zupełnie sam, jak pies, parszywy kundel bez obroży?

Tak nawiasem mówiąc, znam te sprawy dosyć dobrze.

Nie zapytał, więc nie dostał żadnych odpowiedzi.

Miasto pożegnało go gryzącym dymem ze śmietników podpalanych przez gówniarzy, pozimowym brudem na chodnikach, wyjąłymi karetkami, zaczepkami prostytutek na Emilii Plater i na Wspólnej, śliskim błotem na posadzkach w poczekalniach, bandytami w bramach domów i w tramwajach, pośpiesznym tupotem przed ósmą, po ósmej, przed zmierzchem, po zmierzchu. Żegnało go także, wiadomo, tym, czym przerażało go dotychczas: ujadaniem samochodów, pacjentami z wynikami biopsji guzów trzustki, straszną ciszą w ikarusach, kratami z żelaza w korytarzach z wielkiej płyty, petentami, którzy wyglądali jak oblane klejem ptaki, umieraniem na gazetach, zimnym deszczem wsiąkającym w tanie buty. Warszawa żegnała go wstydem.

On też ją pożegnał. Ukłonem. To był ukłon przed wszystkimi, którzy w tym zamordowanym i niezmartwychwstałym nigdy mieście kiedykolwiek go kochali i wspierali, ochraniając jego życie, takie, jakie miał, być może nie najlepsze, ale jednak.

Na koniec pożegnał się grzecznie z pensjonariuszami DPS-u. Naturalnie z tymi, którzy chcieli.

Najładniejsze pożegnanie miał z damami z czwórki i siódemki, z R. Solakiem (bokser ofiarował mu scyzoryk do topoli), no i oczywiście z panem kierownikiem S. Jareckim. Kierownik nie mówił zbyt wiele, bo już wcześniej wszystko zostało powiedziane, załatwione i w ogóle.

Panie z kuchni dały M wałówkę z kanapkami, piciem i bananem. Potem odwieziono go służbowym żukiem na Centralny. Przykre miejsce.

Kiedy wsiadał do ekspresu Kraków Główny - Gdynia Główna Osobowa, w lewe ucho wpadł mu kamyk. Z kosmosu, to jasne. Minimeteoryt składał się z następujących czterech słów: „Świeży żer dla marynarzy”.

Było mu trochę przykro, że na progu tej podróży nie usłyszał czegoś mądrzejszego, piękniejszego, wznioślejszego, ale jakich cudów można się spodziewać po meteorytach, które przylatują nie wiadomo skąd i walą ludzi w gołe głowy, nie wiadomo po co, za co i z czyjego, kurde, polecenia.

*

Na stacji paliły się lampy. Piętrowy pociąg z południa i pociąg piętrowy z północy zatrzymały się bok w bok jak konie, które kładą sobie łby na grzbietach. Zagalopowałem się, przepraszam. To była po prostu mijanka i tyle. Konduktorzy wyszli z obu składów, chwilę o czymś rozmawiali, a potem podnieśli latarki i jazda, każdy ruszył swoją stroną.

Zlokalizowałem M od razu na peronie. On zobaczył mnie dopiero siedemnaście minut później.

Wtedy, na peronie, stał, poprawiał troki przy bagażu i był dumny, bo mniej więcej trzy kwadranse wcześniej fantastycznie poszła mu przesiadka na dworcu w Trybutach: bez problemu znalazł pociąg osobowy z południa regionu na północ, no a przecież nie miał

doświadczenia w świecie torów i peronów w obcych miastach. Ostatni raz jechał koleją w roku 1970 i w dodatku podróżował wówczas z mamą.

Przez następne lata raczej latał.

Mógł odczuwać dumę i dlatego, że już nie był tak zdenerwowany jak w ekspresie. Nawet więcej - ogarniał go szczególny zachwyty. Wiązał się z tym, co słyszał wokół siebie. Szyny, drzewa, deszcz, milknący głos pociągów - wszystko brzmiało, tak jak trzeba. To znaczy współbrzmiało.

M na stacji Mleczne Pole nie był sam jak elektryczny zegar. Po pierwsze, towarzyszył mu z ukrycia mój węsząco-lokalizujący nos - mówiłem. Po drugie, piętrowiec z północy zostawił dwie panie. Starsza z nich od razu poszła w stronę zabudowań położonych blisko torów. Tę młodszą przywitał duży pan w mundurze leśniczego. Pan wziął plecak młodej pani. Rozmawiając, przeszli kilkadziesiąt kroków, wsiedli do passata kombi rocznik 84 i ruszyli po błyszczącym bruku wzdłuż szeregu jarzeniowych latarni.

M też ruszył tamtą drogą. Na piechotę, chyba jasne. Na szczęście nie lało tak mocno jak wcześniej. Szedł zgodnie z marszrutą zapisaną przez p. kierownika Jareckiego. M nauczył się na pamięć szczegółów opisu.

Miał taką ambicję. Przecież ćwiczył od miesięcy zapamiętywanie nowych rzeczy.

Wszystko się zgadzało co do joty. Najpierw były kocie łby, topole i latarnie - wspominałem - potem szosa.

Wchodziło się na nią na przejeździe kolejowym ze szlabanem. Za przejazdem zwykła szosa zamieniała się w aleję wysadzaną z obu stron lipami. Po stu metrach zakręcała w ciemne pola, rozjaśnione tu i ówdzie starą łąką stwardniałego śniegu, a następnie biegła prosto, w stronę czarnej linii lasu.

Szedł, lekko kulejąc. Na ramieniu niósł dobytek. Całe jego mienie mieściło się w worku, który dostał razem z ubraniami i butami od Andrzeja i od Goški. Bardzo dobrze, że trenował w DPS-ie sprawność ciała i codziennie maszerował w puszczy przy parkanie, bo żołnierski worek, zrazu lekki, stawał się po każdym kroku o gram cięższy. A w dodatku mocno wiało.

Wiatr tarosił bezlistnymi gałęziami. Od czasu do czasu na asfalt spadały badyle. M kroczył z nadzieją, że wyczerpał limit razów w głowę i jedyne, co go może teraz trafić, to kolejny meteoryt, oby nie tak głupi jak zazwyczaj. Piechur modlił się pod nosem, nie ze strachem albo narzekaniem, lecz z wdzięcznością za tę drogę, za to wszystko, co jest za nim i co przed nim.

Siedemnaście minut od wymarszu, gdzieś ze sto dwadzieścia siedem kroków przed rosnącą ścianą lasu, człowiek z workiem zauważył cień sporego czworonoga. Cień przesunął się po polu, blisko szosy. M się zdziwił. S. Jarecki nie wspominał ani słowem o zwierzętach. Zdziwienie minęło tak prędko, jak przyszło, za to pojawiło się słyszalne w całej okolicy bicie serca. Serce biło nie pod żebrem idącego, ale w gardle.

Pytam, po co była ta panika? Pytam, po co, skoro wędrujący

spostrzegł w polu właśnie mnie, a nie zgłodniałego wilka psychopatę? Czy ktoś chciał mu zrobić jakąś krzywdę? Całkowite nieporozumienie.

Niefachowe odczytanie znaków nadawanych grą ogona, pracą tylnych łap i linią ciała. M był psim analfabetą i za swój analfabetyzm płacił strachem. A może ktoś z państwa uważa, że to była moja wina?

To co, miałem dawać ogłoszenia przez megafon albo nieść przed sobą planszę z informacją: „Wcale nie chcę pana ugryźć, panie z workiem”?

Teraz cisza! Skoro pojawiłem się przed państwem już nie tylko duszą, lecz i ciałem, to wypada mi uklonić się uprzejmie i wyjaśnić to i owo. Cała ta opowieść nie jest o mnie, więc niniejsze wyjaśnienia będą skromne. Najpierw garść niezbędnych informacji ankietowych, później reszta.

Owej nocy, kiedy lekko kulejący człowiek zbliżał się do czarnej linii lasu, ukończyłem cztery lata, a poza tym miałem krótką żółtą sierść, kaflasty łeb i byłem duży. Można było mnie określić dosyć prosto - pies wielorasowy, czyli suma doświadczenia, piękna i inteligencji gatunkowej. Wszyscy, którzy mnie lubili, powtarzali, że tak przyjaznego pyska i spojrzenia nie widzieli nigdy w życiu. Absolutnie się nie chwale!

Przekazuję tylko, co słyszałem, bo mówiono o tym w mojej obecności, jak przy dziecku, no i oczywiście uważano, że ja, głupie bydlę, nie rozumiem.

Wcześniej w moim pieskim życiu było różnie. Na początku

całkiem dobrze - przez trzy lata miałem panią, która mi dawała co dzień żarcie. Pan był draniem i pił wódkę, ale pani mnie broniła i przeżyłem. Nie przeżyła moja pani. Wprzódy długo chorowała, potem ją zabrali i już nigdy nie oddali. Oczywiście wyłem i cierpiałem. Panu nie udało się mnie nigdzie sprzedać, a więc wywlókł gada darmożjada poza miasto i porzucił w młodym lesie (na szczęście nie zabił, na przykład łopata). To jest jeden ze zwyczajów dżentelmenów, którzy zamieszkują zamieszkują nory i meliny na nizinach nad brzegami rzeki Wisły.

Pewnie zdechłbym wtedy z głodu, gdyby nie wziął mnie w opiekę ktoś ogromnie doświadczony.

Pamiętają państwo mego wuja? To ten mędrzec ze zdefasonowanym w walce lewym nozdrzem, który się zajmował studiowaniem dziejów świata oraz linii rozwojowej *Canis lupus familiaris*, ten, co obwąchiwał rzeczywistość, nasłuchiwał, obserwował i uważnie czytał strzępy gazet walające się po ziemi, by wyciągać własne wnioski, przez co siwiał. Mówiąc prawdę, to był wuj cokolwiek przyszywany, ale - proszę mi uwierzyć - równie dobry jak rodzony.

Ogromnie mi pomógł. A znalazłem się na lodzie, zupełnie dosłownie, bo akurat była zima. Dodatkowo, trzeba to powiedzieć, ludzie w owej okolicy dość oszczędnie i niechętnie objawiali swoje cnoty. Sam się dziwię, że nie zniechęciłem się do naczelnych tak na amen.

Przez ten rok mój wuj nauczył mnie o wiele więcej, niż zdołałem

pojąć w ciągu pierwszych lat mojego życia, przede wszystkim walki o przetrwanie. Tresował mnie także w myśleniu, tylko nie udało mu się sprawić, żebym trzymał jęzor za zębami. Uważał, że jestem gadułą i że tego nie da się wytrzymać. Zatem musieliśmy się rozdzielić, tym bardziej że tamten zakochał się w pewnej dosyć wrednej suce z Babich

Górek i przestał być dla mnie tak dobry jak wcześniej.

Po wyjściu ze spółki jakiś czas dawałem sobie radę w pojedynkę, całkiem nieźle, z tym że w końcu coś mnie naszło, coś poczułem, jakiś rodzaj konieczności. No i właśnie w tym nastroju wyniuchałem w

Mlecznym Polu podróznego z kanadyjskim workiem koło nogi. Szła od niego silna woń powinowactwa, tak to ujmę. Ogarnęło mnie najgłębsze przeświadczenie, że spotykam kogoś mi bliskiego, kogo znam od bardzo, bardzo dawna, i że jestem mu pisany, a on mnie, i koniec pieśni, trzeba działać.

Zrazu człowiek wędrujący mokrą szosą najwyraźniej nie podzielał mych przekonań. Zapewne dlatego, że z oddali i w ciemnościach nie był w stanie dojrzeć i ocenić, jak przyjazne mam spojrzenie. Znacznie później, chyba w maju, zdradził mi, że tam, na drodze, przed ucieczką na koronę najbliższego drzewa powstrzymało go wyłącznie to, że złowił uchem miłe brzmienie mego cienia. Usłyszał w nim trójdzwięk: samotności, szlachetności i nadziei. Taki akord.

Tymczasem sam zabrzmiał paskudnie jak gawron:

- Do budy! Już, choda!

Wybaczyłem mu od razu. Podkuliłem lekko ogon, żeby tamten myślał, że się boję, i czmychnąłem - niedaleko. M, niestety, nadal lekko śmierdział ludzkim strachem, co tłumilo woń powinowactwa, jakże miłą. Musiałem odczekać pięć minut; chciałem, żeby trochę się wywietrzył.

Tak więc pierwsze wejście miałem kiepskie. Drugi raz musiałem zrobić to o wiele lepiej. Byliśmy już w lesie. Obiegnąłem piechura, przemykając pośród choin, i stanąłem na rozległej łacie śniegu blisko szosy.

Ten, kto kiedyś chował się przed przeciwnikiem, nocą, w zimie, wie aż nadto dobrze, o czym mowa, bo zapewne strzegł się takich białych luster pośród mroku. A mnie teraz zależało, żeby wszystko było widać.

Merdałem ogonem, z uśmiechem, a białawe tło na ziemi pozwalało to zobaczyć jak na dłoni. Dodatkowo zaszczekałem kilka razy: „Dobry wieczór”, najgrzeczniejszym i najłagodniejszym tonem psiego gardła. A M znowu się wystraszył i jeszcze raz wrzasnął:

- Pójdiesz! Paszoł won! Do budy!

Trudna rada. Pozostała mi wyłącznie procedura awaryjna, standardowa, znana psom od tysiącleci - podążanie za człowiekiem, krok po kroku. Stąpałem cierpliwie, w odpowiedniej odległości. Kiedy M przystawał, przystawałem i merdałem, kiedy ruszał, szedłem dalej. Tak to trwało. On coś gadał, chyba prosił, żebym wreszcie zniknął, dał mu spokój, chyba pytał, skąd się wziąłem i dlaczego idę

jego tropem.

Nie odpowiadałem ani słowem - tego psy nie robią, chociaż mogą.

Kiedy zbliżaliśmy się od zachodniego krańca lasu, lasu, odezwały się szczekania, zaczął załatywać dym z kominów i zabłysły jakieś światła. Wkrótce dotarliśmy do Nowego Jaru, małej wsi, kolonii przycupniętej tuż przy sosnach.

M szukał domostwa pod adresem, który zapisany miał na kartce, a psy za płotami ujadają głośniejsze, niż potrzeba. Normalnie bym szalał, ale teraz traktowałem dzicz za parkanami powściągliwie i wyniośle. Tu i ówdzie wyglądały z okien ludzkie głowy, zapalała się żarówka ponad wejściem albo ktoś wychodził na dwór i się gapił. Nie kuliłem się i nie uciekałem.

Po paru minutach M znalazł posesję opisaną przez p. kierownika Jareckiego, wszedł przez bramkę do ogródka i zatrzymał się przed drzwiami niewielkiego domu, na którym wisiała tabliczka z numerem 12.

Mógł to wszystko zrobić bez ryzyka strat na ciele, bo akurat w tym obejściu brakowało psa, strażnika terytorium.

M zapukał do drzwi z szybką.

Przystanąłem całkiem blisko i zerkałem w jego stronę. A on w moją. Podobało mi się, że nie rzucał kamieniami. To było niezwykle szlachetne jak na kogoś z kręgu homo sapiens. Wiedziałem coś o tym. Naprawdę.

*

Pani Stanisława Kosakowa była bardzo piękna pięknem sędziwości siwej, smukłej i pobożnej. I szorstko troskliwej. Stała w progu bez palta czy chusty, chociaż wiało i padało. M uklonił się, przedstawił, po czym wręczył gospodyni skierowanie ze stemplami. Nawet nie rzuciła na nie okiem, tylko powiedziała:

- O, synek przyjechał.

M zupełnie się nie zdziwił, że nazwany został synkiem, zapewne dlatego, że nie przyzwyczał się do swego wieku.

- No, już jestem - odpowiedział.

- To ci mokro! Takie cuda!

- Nieźle pada - przyznał M i wolną dłonią strzepnął parę kropel wody z przodu kurtki.

- A ten pies to czyjże? - zapytała pani Kosakowa.

- A przyplątał się po drodze.

- Pójdiesz mi stąd, ty psia jucho!

Nie poszedłem, chyba jasne. Przytuliłem się do ściany pod okapem dachu, żeby nie leciało mi na ogon, i tam stałem. Tymczasem lokator, wcześniej zapropoc[^]iwany, uzgodniony i zapowiedziany przez panią

Celinę Pikulską z Gminnego Zespołu Pomocy Społecznej przy wójcie, wylądował w ciepłej kuchni.

- Zzuj, synek, kamasze, tam w nich pewnie żaby skrzek składają - zakomenderowała gospodyni.

M zdjął je posłusznie, chociaż wcale nie przemiękły, bo to były buty dla myśliwych z kanadyjskich puszczy i lasów.

Kuchnia w domu pani Kosakowej różniła się znacznie od tych, których fotografie zamieszczano w kolorowych pismach o romansach, pięknych willach i ogrodach. Szczyt umiarkowania i prostoty. Przede wszystkim na framudze drzwi wisiała kropielnica z posrebrzonym krucyfiksem. W blaszanej westfalce, to znaczy kuchence na nóżkach, po bukowych szczapach biegał ogień. O dwa kroki od westfalki, pod przeciwną ścianą kuchni, dominował żywioł wody. Przypominały o nim kran i emaliowany zlewozmywak.

W trzecim kącie co i rusz wzniecała hałas Gruba Berta, to znaczy niemiecka lodowa z odzysku, od Hinza.

Przechylała się na plecy, bo coś było źle z podłogą - deski zapadały się pod ścianą. Wraz z lodową osuwały się zmęczone szafki kredensowe. Dostyc kiepski stan podłogi był maskowany chodnikiem, utkanym przed laty z gałganów i pończoch na osnowie z lnianych nici. Chodnik miał trzy wypalone dziury i ciągle się zsuwał. To zsuwanie i ślizganie mogło być naprawdę niebezpieczne, zwłaszcza dla osoby już leciwej, ale pani Kosakowa się nie przewracała, być może dlatego, że ktoś czuwał nad nią i jej domem.

Jeszcze jedno, bardzo ważne. Pod oknem, jak trzeba, stał stół, dość solidny, a przy nim dwa krzesła, akurat dla dwójki: gospodyni i nowego lokatora. Z tym że w kuchni był ktoś trzeci, kto się do tej pory nie odzywał, a dla kogo brakowało, proszę państwa, krzesła. Odezwał się wtedy, kiedy pani Stanisława

Kosakowa powiedziała:

- Zładowałam kolacyjo, siadaj.

- Tutaj! Tutaj! Tutaj!

M rozejrzał się dokoła. Gospodyni się zaśmiała.

- Tutaj! Tutaj! - ktoś zawołał jeszcze raz i gwizdnął.

Na lodówce kuczał szpak (*Stumus vulgaris wlgariś*) w zimowych barwach. Gapił się na gościa jednym okiem i wyraźnie go przynaglał, żeby usiadł. M przyjął zachętę i spoczął. Gospodyni podsunęła mu krojony chleb, pasztecik z puszki, cebulę i masło. Do popicia dostał słomkę, to znaczy herbatę, co nie psuje człowiekowi serca.

- A o widzisz, taki szpaczek. Umie gadać. Jedz, synku, co dałam. U nas dostałbyś pasztecik swojską, a tu nie mam. W całej okolicy nie uświadczysz. Takie cuda. I białego salcesonu także samo. Jest kiełbasa i kaszanka, ino bez należytego smaku...

- Aku! Aku! Aku! - wrzasnął ptak przedrzeźniacz i przeskoczył na wiszącą szafkę z talerzami.

Latał, łobuz, nieporadnie, jak trafiony serią Mig 21. Miał kłopot ze skrzydłem. M od razu to wypatrzył, bo on znał się na lotnictwie i kalectwie bardzo dobrze.

- Ot, mądrala!

- Tresowany?

- Eyii, gdzie tam! Tu go trzymam, bo by wrony go rozdarły.

Bardzo, bardzo chciałbym oddać urok świętokrzyskiej mowy pani

Stanisławy Kosakowej. Niestety, nie umiem. Nawet M nie umiał tego zrobić, co dopiero pies przybłąda! I dlatego proponuję, żeby wypowiedzi gospodyni, cytowane w dalszej części opowieści, każdy z

państwa sam przerabiał sobie w głowie na muzykę, jaka rzeczywiście brzmiała w naszych uszach, tych psich i tych ludzkich. Kto ma chociaż odrobinę słuchu - pozamałżowinowego - ten usłyszy to, co trzeba, jestem pewny.

Pani Kosakowa nic nie jadła. Dla niej było już za późno. Dzięki temu że nie gryzła chleba z masłem, dużo łatwiej mogła opowiadać i o szpaku, i o całym swoim życiu. Przybyszowi pozostało z tego w głowie ledwie kilka głównych haseł, zwłaszcza te akcentowane wrzaskiem ptaka: kuźnia na wsi w Świętokrzyskiem, ruskie i niemieckie wojska, ogier z Unry, przeprowadzka tu, na północ, bóle w kościach, córka z zięciem mieszkający w Wuppertalu i ten fakt, że dni się robią coraz dłuższe, Bogu dzięki. Nie był w stanie zapamiętać nazbyt wiele, przede wszystkim z tej przyczyny, że podróż pociągiem i droga ze stacji niesłychanie go zmęczyły. Gospodyni to zauważyła.

- Idź już, synek - rzekła w końcu. - Idź już leżeć.

Objaśniła, gdzie się myje zęby i tak dalej, i zaprowadziła M na piętro. Właściwie poddasze. Wskazała mu tapczan z posłaniem, poleciła Panu Bogu i zeszła do siebie.

M był tak znużony, że nie chciało mu się nawet przyjrzeć miejscu, gdzie go rzucił los z pomocą urzędnika Makowskiego oraz kierownika Jareckiego. Rozsznurował worek, aby znaleźć rzeczy na noc, jakieś ciepłe, bo w pokoju było zimno. Od razu, na wierzchu, natknął się na dwie kanapki z kuchni DPS-u, których nie zjadł podczas drogi. Przez dwadzieścia siedem sekund, c[^]li długo, gapił się na chleb z wędliną. Potem, wbrew zmęczeniu i senności, zwlókł się na

dół.

Na parterze z pokoju przy sieni dobiegał wyraźnie pogłos modlitw gospodyni i subtelnych responsoriów szpaka. M wśluchiwał się przez chwilę w rytm komplety, po czym wciągnął kanadyjskie buty, kurtkę i wełnianą czapkę, możliwie najciszej przekręcił klucz w zamku w drzwiach z szybkością i wyszedł.

Czekałem przed domem.

Wiedziałem, że wyjdzie. A on wiedział, że ja czekam. Młóciłem ogonem jak wiatrak. Rozwinął z papieru kanapki i położył je przed progiem.

- Wcinaj - szepnął.

Bardzo ładnie z jego strony, każdy pies to państwu powie.

M przyglądał mi się z boku. Nie za bardzo lubię, jak ktoś patrzy na mnie, kiedy wcinam, ale wtedy się nie denerwowałem, zwłaszcza że zmłóciłem wszystko bardzo prędko. Nie certolę się za długo z dobrym żarciem, a kanapki smakowały fantastycznie. Może tylko ten pergamin nie za bardzo. Przez wrodzoną grzeczność nie wyplułem.

Deszcz ustał zupełnie. Wiatr poszarpał chmury nad dachami wsi i nad lasami. Tu i tam błyszczały gwiazdy.

M gapił się w niebo. Polizałem go po grzbiecie dłoni. Aż podskoczył. Wytarł dłoń o mokrą kurtkę. Sprawiał mi tym lekką przykrość, nie ukrywam. Zauważył to, jak sądzę, i zrobiło mu się głupio. Dość nieśmiało uniósł rękę w moją stronę. Podeszedłem pomалу. Dotknął mego łba, jak gdyby badał formę czaszki mastodonta. Nie kulilem się, bo byłem pewny, że ta ręka nie uderzy.

Wtedy M usłyszał albo raczej zwietrzył coś w powietrzu. Wyprostował się, obracał głową tak jak wyżeł, po czym ruszył w głąb podwórka i ogrodu. Oczywiście podreptałem zaraz za nim. Minęliśmy szopkę z cegieł, całkowicie cichą, potem drugą, znacznie większą, z grubych desek, z której dochodziły dziwne gwary. M jeszcze nie wiedział, co się kryje w tym drewniaku. W owej chwili nie zamierzał tego badać, ciekawiło go zupełnie coś innego, inne głosy. Dotarł do samego końca śpiących grządek gospodyni i zatrzymał się przy płocie. Właściwie przy furtce. Przy furtce do lasu.

Stał i gapił się w szumiącą ciemność. Z wolna jął rozróżniać wzrokiem pojedyncze drzewa: sosny, dęby i gdzieś tam niskie świerki. Gadały do niego. M zrozumiał, że go pozdrawiają. Zawstydział się nagle, jako że na szlaku do Nowego Jaru w żaden sposób nie przywitał i nie uczcił ofiarowanego mu cudownie lasu, do którego tak ogromnie przecież tęsknił i jechał z daleka jak pielgrzym. Nie przywitał się przeze mnie.

Nie za bardzo wiem, dlaczego - zamiast spóźnionego słowa powitania bądź przeprosin - M wymówił inne słowo i to nie w kierunku drzew, lecz w stronę popękanych chmur na niebie:

- Dzięki.

Dłuższą chwilę trwał przy furtce, a na koniec siknął koło płotu.

Też siknąłem, blisko niego, żeby cały świat zrozumiał, zapamiętał, że tu się zaczyna nasze wspólne wilcze terytorium. I że wszystko jest przed nami.

Powinien był zrobić zakupy, przedstawić się komuś, najlepiej

sąsiadom, porozmawiać z C. Pikulską z

Gminnego Zespołu Pomocy Społecznej przy wójcie i rozejrzeć dobrze we wsi. Powinien był wiele, a on, nygus, zwiął do lasu tą furtką przy sosnach i dębach, i świerkach.

Zanim uciekł, leżał zamyślony pod pierzyną, na którą naciągnął narzutę i w dodatku coś ze stołu, M nie wiedział, czy to jest serweta, czy też obrus, tak jak nigdy nie nauczył się odróżniać sukienek od spódnic.

Na piętunku domu/ani Kosakowej nie było gorąco, uwierzcie, w szczególności kiedy w marcu powróciły jeszcze mocne mrozy i gdy wiało. Ciepło uciekało setką przetarć, szpar, niedokładności i przeciągów. Ciąg powietrza między parą okien a cienkimi drzwiami mógł wydymać spore żagle. Do sparciałej nieszczelności futryn, ścian i dachu dochodziła kwestia ogrzewania. Owszem, pod oknami wisiał kaloryfer, ale taki raczej na chłodniejszą porę na Sycylii czy Korsyce - płaski panel, zwykle letni.

Nie tylko tej nocy dostosowywanie się do niskich temperatur kosztowało M nadzwyczaj wiele starań - tych zewnętrznych (uszczelnianie, utykanie, naprawianie) i wewnętrznych (akceptacja i przyzwyczajenie do warunków). Ćwierć życia przespałem na dworze, na ziemi, czasem w błocie bądź na mrozie, zatem nie zamierzam się użalać nad człowiekiem, który sypiał pod pierzyną. Chcę tylko powiedzieć, co robił.

Największe trudności miał z wejściem do łóżka. Kładł na prześcieradle owczy kozuch, na głowę naciągał odpinany od zimowej

kurtki kaptur, brał głęboki wdech, odliczał pięć sekund, a potem z okrzykiem straceńca wskakiwał w przerębel wilgotnej pościeli. Rano było jeszcze gorzej, zwłaszcza jeśli go coś mocno przypiliło. Ileż razy łamał się, czy wstać i zejść do ubikacji po zawianych śniegiem schodach, czy też raczej użyć hełmu, który służył gospodyni jako coś w rodzaju spodka pod paprocią, hełmu, jakich wiele pogubili ci z wermachtu, cofający się w czterdziestym piątym w stronę Gdańska. To, co w homo sapiens jest owocem wychowania, zawsze jednak zwyciężało to, co jest z natury, a więc M - dosłownie ani razu - nie skorzystał z drugiej możliwości. Podziwiałem.

Wróćmy do pierwszego ranka w nowym miejscu. M leżał w kokonie pierzyny i myślał - już wiemy. Od dawna przypuszczał, że przed świtem Bóg zasypia ze znużenia, śpi kamiennym snem, a wtedy, przez moment tak długi jak wieczność, człowiek pozostaje sam jak palec, bez żadnej obrony i wsparcia. W takiej chwili człowiekowi jest okropnie duszno (koło serca), a zarazem bardzo chłodno (zwłaszcza w nogi).

M oprócz duszności i zimna odczuwał tęsknotę do dyplomowanej pielęgniarki Anny Wilkosz, niebywale atrakcyjnej, tylko że niestety wrednej małpy. To też wiemy. A kto jada orzechy i ryby, pamięta, że nad ranem M rozważał najważniejsze ze wszystkich pytań mieszkających w jego głowie: Po co, na co i dlaczego został odesłany na dół. Czy był to przypadek, zwyczajna pomyłka tych z kontroli ludzkich lotów, rzecz bez sensu i nieplanowana, czy też rzeczywiście, tak jak sugerował mu to Bocian, miał jakieś zadanie,

poruczenie stanowiące osobliwą tajemnicę, którą musiał odkryć, pojąć i wykonać. Te pytania pojawiały się nie tylko rano. Towarzyszył im niepokój, że nie znajdą nigdy odpowiedzi.

Szczęściem rozwidniło się i za oknami wyrósł świerk, wysoki, smukły, przypominający człowiekowi pod pierzyną o naturze miejsca, w którym wylądował kilkanaście godzin wcześniej. To dodało mu otuchy.

Okna wychodziły na ten świerk poruszający się na wietrze i na ogród pani Kosakowej, teraz śpiący, ale latem pełen kwiatów. Wzdłuż parkanu biegła droga, za nią rozciągała się niewielka łąka otoczona zabudowaniami. Były to mizerne domy z białej cegły, straszna lipa z lat dwudziestych, z czasu państwowego osadnictwa w Prusach Wschodnich. Wilgoć w murach i naprawdę kiepskie wykonanie.

Kiedyś, na początku, wszystkie domki na zydlungach, jak miejscowi nazywali to osiedle, wyglądały identycznie, coś jak szeregowcy w pruskiej armii, lecz po wojnie nowi lokatorzy wprowadzili masę zmian, modyfikacji w duchu triumfującej słowiańszczyzny, tak że w końcu, drogą ewolucji, domki uzyskały rozmaite kształty i odcienie oraz nieskończoną liczbę przybudówek.

W tle tych osiedlowych zabudowań rozciągały się polodowcowe pola. A gdzie las? Z przeciwnej strony, z tyłu domu pani Kosakowej. Był widoczny przez okienko nad schodami, no i z dołu, z okna kuchni.

Wraz ze światem rozwidniło się poddasze. Pokój miał dwie proste i dwie lekko skośne ściany, które ujawniały kształt

dwuspadowego dachu. Prócz tapczanu w pomieszczeniu była jeszcze spora szafa z dawnych czasów, stół, krzesła, dywanik, paprotki w doniczkach, a tuż obok drzwi maszyna Singer, ozdobiona butelkami z sokiem z wiśni. Nad maszyną wisiał obraz Ostatnia Wieczerza pędzla anonimowego mistrza z kieleckich jarmarków.

A tymczasem gospodyni rozniecała ogień w kuchni i śpiewała wraz ze szpakiem:...wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy. Chyba obudziła przy tym Pana Boga, bowiem M odzyskał siłę i ochotę, żeby wstać i zejść pomału na dół.

Na dzień dobry trochę się zakręcił. Przytargał z szauerka, to znaczy z tej szopy ceglanej przy domu, kubeł drewna do westfalki, czyli szpory, a potem dołożył do pieca w piwnicy, nie musiał rozpalać, jako że zostało sporo żaru.

Pani Kosakowa labidziła, że M nie powinien się przemęczać, nadweręzać swego zdrowia, bo wiedziała przecież od Pikulskiej o wypadku i tak dalej. Zaraz zaprosiła go do stołu. Był akurat twaróg ze szczypiorem. Cebule siedziały w doniczkach na oknie. M uwielbiał szczypior, zwłaszcza zimą, no i niebywale lubił twaróg. Gospodyni też go jadła z wielkim smakiem, chociaż narzekała, poprawiając sztuczną szczękę, że od białego sera ze śmietaną robi jej się zimno w środku brzucha.

W szporze miło trzaskał ogień, lodowa od Hinza jakoś tak za mocno nie huczała, szpak zachęcał do śniadania: „Tutaj, tutaj!”, a więc było bardzo miło. Przy jedzeniu M i pani Kosakowa dogadali się na przyszłość w sprawie czynszu i obiadów.

- A bo po co to gotować dubeltowo, jak u dzikich? - oświadczyła gospodyni.

M ucieszył się jak każdy pan, któremu jakaś pani chce gotować coś ciepłego. Dodatkowo pani Kosakowa zaofiarowała się, że czasem, przy okazji, coś tam kupi mu w spółdzielni, chleb czy masło. Odpowiedział, że gdy on akurat pójdzie po sprawunki, to przyniesie jej na przykład olej, mąkę, sól lub worek cukru - cięższe rzeczy. Gospodyni niby to oponowała, wspominała znowu o szpitalu i o słabym zdrowiu lokatora, ale była bardzo rada z jego propozycji, jako że bolały ją okropnie wszystkie członki, a dźwiganie jest najgorsze, człowiek czuje, jakby ktoś mu wy-szarpywał ręce z łokci.

- Ładny świerk - powiedział nagle sublokator.

- Eyii, świerk jak świerk - odparła gospodyni i zaczęła zmiatać kantem dłoni coś ze stołu.

- Ten przy drodze.

- No wiem który. Ładne drzewo. Ino u nas jodły były urodziwsze.

I tak sobie pogadali. Szpak nie zabrał głosu w tej rozmowie. M dorzucił jeszcze jedno:

- A ma pani może suchy chleb czy jakieś zlewki?

Pani Kosakowa domyśliła się wszystkiego.

- Został tutaj gułaj jeden?

- Pani się nie gniewa... Zamknąłem go na noc przy węglu. Teraz, rano, wypuściłem.

- Juści, widzę, że tam cieką - zawołała, wyglądając przez

kuchenne okno. - Na co komu takie wielkie psisko?

- Ja go będę żywił. Przyda się przy domu, popilnuje.

- Ano nie wiem - gospodyni zostawiła całą kwestię w zawieszaniu.

Sublokator podziękował grzecznie za śniadanie i powiedział, że wychodzi. Pani Kosakowa oznajmiła, że też pójdzie, nie za długo, do Rosińskiej spod cmentarza, a obiad zładuje na drugą, jak zwykle. Wszystko było absolutnie jasne.

M wyprysnął w stronę lasu niczym lis z kulawą łapą. A ja za nim. Udawałem, że w ogóle nie słyszałem tej rozmowy o mnie i ewentualnym zarciu. Biegłem sobie lekkim truchtem, robiąc pętle wokół M, pozornie obojętny, ale mało się nie rozszczękałem z psiej radości aż pod niebo - dość wysokie tego dnia i całkiem czyste, omiecione z chmur chwostami sosen.

Aha, furtka miała ręcznie kuty haczyk.

*

Wsunęliśmy się do lasu i od razu byłem w nim po czubki uszu i ogona. Zanurzony. A M nie. Miał spory kłopot. To znaczy znajdował się w lesie nogami, rękami i resztą, ale nie tym, co jest w środku. Ludzie uważają, że to w środku mieści się dokładnie w ichniej głowie, ściślej w mózgu. Tego nie byłbym tak bardzo pewien.

M z pozoru się radował, że nareszcie jest, gdzie jest, że idzie sobie, proszę bardzo, leśną ścieżką, idzie na inspekcję i znaczenie nowych terytoriów, jednak powonienie mi zdradzało, że on raczej chciał się cieszyć, niż się cieszył. Z jednej strony wiedział, w miarę

dobrze, że otacza go ogromna puszcza, wymarzona i spełniona, z drugiej - tak naprawdę był gdzie indziej.

Miał otwarte oczy, patrzył na gałęzie drzew, jałowce i porosty na pniach dębów, miał umyte uszy, chłonną skórę, nawet nos na zwykłym miejscu nad ustami, ale widział, słyszał i czuł tylko chłodny kaloryfer, ziąb w łazience, ból pod żebrem, lekko z lewej, zardzewiałą pompę infuzyjną, żal do pewnej pielęgniarki, niebywale atrakcyjnej, niezadowolenie z tego, że nie zabrał z domu scyzoryka od boksera R. Solaka, straszny łomot drzwi w warszawskich ikarusach, wrzask wychowawczyni H. Sokolec w szkole tysiąclatce na Okęciu, smród w pracowni rehabilitacyjnej w DPS-ie, znów nasilające się zapominanie, śmierć Bociana i w ogóle takie rzeczy.

Powiedzmy otwarcie: M doświadczał losu kota. Chodzi mi o kota z uwiązany do ogona długim sznurem z butelkami i puszkami. Kot szaleje, przerażony biega w kółko, czyniąc przy tym przeraźliwy hałas, a gówniarze na podwórku rżą z radości. Podobnie się działo z lokatorem pani Kosakowej. Wbrew chęci holował to wszystko, co tak bardzo pragnął pozostawić poza sobą: wychłodzony kaloryfer, żal do pewnej pielęgniarki, niebywale atrakcyjnej, ból pod żebrem i tak dalej, takie rzeczy, państwo wiedzą. Huk był przy tym tak gjbężny jak na kolejowym moście pod kołami składu z węglem. Psy to bardzo dobrze słyszą.

Od owego dnia M uparcie prosił Stwórcę o odcięcie go od holu z hałasami. Błagał, żeby mógł być cały i bez reszty w tej przestrzeni, w której idzie, siedzi, stoi albo leży, i by mógł być w niej wyłącznie sobą

- bez ogona z doczepkami. Zdarza się, że Pan Bóg wysłuchuje takich próśb; z reguły nie od razu. Najpierw chce zobaczyć, czy proszący sam się stara. M się starał.

A pierwszego przedpołudnia w nowojarskim lesie było pięknie, proszę mi uwierzyć, psy to bardzo dobrze dostrzegają, wszakże nie zamierzam tutaj wyśpiewywać o urodzie choin, ptaszków sraszaków i tak dalej, bo nie umiem. To potrafią tylko tęgie głowy, a nie łby przedmiejsko-wiejskich kundli. Jako że nie jestem wieszczem na paryskim bruku, będę skupiał się na prostych faktach.

Proszę bardzo. Słońce marca nieźle grzało, topiąc resztki śniegu, co zalegał tu i ówdzie po północnej stronie wzniesień. M kuśtykał ścieżką prowadzącą pośród sosen, tłukł żelastwem po korzeniach, pniakach i kamieniach, aż naprawdę przykro było słuchać. Po kwadransie przystąpiłem do działania. Przyskoczyłem doń, stanąłem na dwóch łapach, polizałem go po twarzy i szczeknąłem.

- Ale co jest?! - wrzasnął M, jak gdyby nagle się przebudził.

Wybaczyłem mu, bo się uśmiechnął.

- Powiedz, morda, jak ty się w ogóle wabisz? - to już było wyrażone dużo grzeczniej.

Nie odrzekłem ani słowa. Tłumaczyłem państwu kiedyś, na początku, czemu psy uparcie milczą. Zamiast się przedstawić, zaskomlałem i drobiłem w miejscu, z zadem opuszczonym nisko ponad ziemią.

- Co ty, morda, zwariowałaś?

M tarmosił mnie za kudły, bardzo miło, i powtarzał, jakbym był

nedorozwinięty albo głuchy: piesek, morda i tak dalej. Rozszczękałem się radośnie, a ogonem wysuszyłem kawał ścieżki. Wyrywałem się, skakałem, przypadałem znów do ziemi, a ten gadał.

To gadanie okazało się pomocne w walce z hałaśliwym kocim trenem. Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, do sublokatora pani Kosakowej dotarła nareszcie muzyka kosmosu, tego nie za dalekiego. Ponownie przystanął i wsłuchiwał się uważniej w ciszę. Leśna cisza nie jest całkowicie cicha. Ona jest o wiele lepsza i wspanialsza od bezdźwięku. Brzmi jak senny oddech Ziemi.

Nie biegałem, żeby nie przeszkadzać. Państwo chyba rozumieją, tego wymagało koleżeństwo. A M słuchał, łykał ślinę, gapił się na niebo i na drzewa, jakby je dopiero teraz zauważył. Jaka szkoda, że pod Słońcem nic nie może być zupełnie idealne - gdzieś z oddali odezwało się pierdzenie. Na początku bardzo słabe, z czasem coraz to mocniejsze.

Wielka przykrość.

M obawiał się, że to ikarus. Chciał uciekać. Wiemy, nie był z tych najzdrowszych, a w dodatku długo ciągnął z piętami kupę złomu, tak że nie miał siły na bieganie i miast zrejterować, tylko jęknął.

W perspektywie piaszczystego duktu zjawiał się przedziwny pojazd. Pojazd rósł i rósł, aż w końcu stał się całkiem duży, w skali 1:1. Nadal pierdział, nawet wtedy, kiedy się zatrzymał. Była to trzykółka z brezentową budą i z kierowcą w żółtych goglach, który przekrzykiwał własny motor:

- Pan przytrzyma tego psa, bo mnie pogryzie!

Rzeczywiście, miałem go ochotę lekko capnąć. Taki przymus gatunkowy.

Jako że nie dało się mnie złapać za obrozę, bo nie miałem i nie korzystałem z żadnych takich, M nakazał mi się wynieść jak najdalej. Niezbyt ładnie z jego strony. Oddaliłem się niespiesznie, przycupnąłem pod jałowcem i słyszałem stamtąd każde słowo.

- Pan nie kupiłby ozdoby? - spytał ten z goglami i nareszcie zgasił silnik.

Zszedł z siodełka, po czym podniósł brezentową klapę budy. W środku miał czterysta dziewięćdziesiąt pięć krawatów na wieszakach, na półeczkach i w pudełkach.

- Gino Lido Collezioni, Wenecja-Mediolan, na każdą okazję i kieszeń. Mięiste jak befsztyk. Sto procent jedwabiu albo doskonale włókno syntetyczne. Najpiękniejsze wzory włoskich projektantów i podwójne usztywnienie.

- Nie, dziękuję - odparł M, nie zacinając się na żadnej głosce ani razu.

- Bardzo proszę.

Tyle kurtuazji w środku lasu! AM-muszę to powiedzieć - był z początku bardzo zły na tego na trzykółce za hałasy. Jakimś cudem prędko mu to całe naprężenie przeszło.

- Co w tych kundlach jest takiego, że gdy widzą motor albo rower, to szaleją? - skarżył się kierowca w żółtych goglach. - I to samo mają listonosze!

- Gryzą?

- Są gryzieni.
- Ten nie grznie - M wyciągnął palec w moją stronę.
- Tak do końca nigdy nie wiadomo. Pan na wczasach w okolicy?
- Nie. Na dłużej.
- Rozkręcamy jakiś biznes?
- Niezupełnie.
- Proszę pana, warto! Warto się postarać! Kto nie zdąży i nie

wsiądzie do pociągu z destynacją, proszę pana, sukces, przegra życie.
Jaka branża?

- Czy ja wiem...

- Pan powinien już się zdecydować. Jak najprędzej. Szczerze radzę. Ja rzuciłem studia doktoranckie, nie żałuję! - z wielką dumą wskazał ręką na czterysta siedemdziesiąt pięć krawatów w różnych barwach, wzorach i opakowaniach. - Jedwabne, szlachetne, szyte ręcznie, krój klasyczny, zgodny z tegoroczną modą z Mediolanu. Towar pakowany jest ozdobnie, dzięki czemu może być prezentem dla mężczyzny wymagającego. I kolory! Granatowe tło urozmaicone błękitnymi akcentami, złoto, chaber, morska zieleń, biel i lazur prosto z nieba nad Italią.

M wysłuchał melodeklamacji ze zmieszaniem. Czuł się winny, że nic, kurde, nie kupuje, nic z Wenecji ani z Mediolanu. Zdobył się wyłącznie na pytanie:

- A jak idzie?

- Jak na razie, proszę pana, nie za bardzo. Brak nawyków, brak wrodzonej elegancji. To się zmieni.

Bardzo liczę na ten moment.

Skłonił tajemniczo głowę, po czym spojrzął na zegarek, wsiadł pospiesznie na trzykółkę, uruchomił motor i zawołał:

- Już jestem spóźniony. Przepraszam. Jak pan zdecyduje się na krawat...

Reszta jego słów rozwiała się z obłokiem spalin.

M stał dosyć długo w jednym miejscu. Nie rozumiał, dlaczego zaraz na początku swych wędrówek spotkał pana w żółtych goglach. Oczekiwał przecież czegoś odmiennego, innych przygód. Czy to miała być podpowiedź, sygnał od uparcie milczącego kierownictwa ludzkich lotów?

Zaczął się głowić, jak ma rozpoznać, co jest wiarygodnym głosem stamtąd, a co tylko nieistotnym szumem. Zastanawiał się, czy na pewno każdy fakt i każde słowo zawsze muszą znaczyć coś ważnego. Czy nie może sobie coś po prostu istnieć, zdarzyć się jak katar albo przelot meteoru?

Ano właśnie, jedenaście sekund po odjeździe komiwojażera M zaliczył świeże uderzenie prosto w czaszkę. Meteoryt brzmiał tak samo dziwnie jak rozmowa o krawatach: „Wabi”.

No kto to wymyślił i walnął tym na dół?

Sublokator pani Stanisławy Kosakowej spojrzął na mnie.

- Wabi - rzucił z rozbawieniem. - Dobre imię?

Uważałem to za bardzo głupi pomysł, ale znowu wariowałem.

*

Dotarliśmy do jeziora. Właściwie jeziorka. No dobrze, do stawu.

Woda była bardzo ciemna, nasycana przez stulecia cieniem lasu. Cieplesze deszczowe dni marca uwolniły ją od lodu. Jedynie przy brzegach staw jeszcze nie odmarzł. Nacisnąłem łapą na lodową szybę, zgmiotłem ją, a potem odgarnąłem cienką stłuczkę, aby chapnąć kilka łyków ciemnej toni. Chciało mi się pić, niesamowicie, bo biegałem cały dzień o suchym pysku, no, może nie cały, w każdym razie dosyć długo.

Do stawu wpływała ożywiona niedawnymi opadami struga. Ruszyliśmy w górę jej koryta. Ścieżka wiodła zarośniętym gęsto jarem wcinającym się w wysoką leśną skarpe. Na koronie jaru stały na słoniowych nogach buki, modrzewie i dęby. Skarpa przechodziła w rodzaj płaskowyżu, czyli wyższe piętro pradoliny rzeki Wisły. Okrywała go rozległa stara puszcza.

Dzięki swym lekturom sprzed tygodni i ćwiczeniom w zapamiętywaniu nowych informacji M rozpoznał, oprócz buków, dębów, sosen i modrzewi, także graby, wiązy, klony, brzozy, czarne olchy, świerki i jesiony, a w dodatku pojedyncze jodły, za którymi tak tęskniła pani Stanisława Kosakowa. Przyznaję, niektóre gatunki pomylił, ale z czasem się nauczył, jak nie mieszać grabu z bukiem.

Mój przyjaciel - tak ośmielę się go nazwać - był zmęczony, a zarazem wniebowzięty. To zdarzało mu się rzadko, wcześniej tylko przy parkanie DPS-u. Widocznie zmęczenie sprawiło, że nie bardzo zauważył, kiedy zgubił koci ogon z grzechotkami dokuczliwych myśli. Jeszcze nie przebywał w lesie całym sobą, ale był w nim już głęboko, mniej więcej po szyję, i naprawdę wiele słyszał.

Też słyszałem bardzo wiele, a najwięcej, proszę państwa, nosem (tak jak barwy widzę uchem). Z tym że - jeszcze raz przypomnę ludziom nieuważnym albo tym z blokadą miażdżycową - ta opowieść nie jest o mnie i nieważne są te wyniuchane-wysłyszane ścieżki lisów, saren, łosi, dzików czy jeleni i innego cudownego mięsa snującego się bezproduktywnie po obejmowanym przez nas terytorium. Nie jest ważna plątanina głośnych woni w moim nosie ani to, że miałem straszną, no, potworną chęć upolowania jakiejś sarny. Liczy się jedynie fakt, że M na szczycie zbocza skręcił w prawo od strumienia, a to znaczy na południe, i parł w tamtą stronę siedemnaście minut i czterdzieści dziewięć sekund. Po tym czasie dotarł do stóp wieży ustawionej na najwyższym wzniesieniu brzegu pradoliny.

Wieża była metalowa, azurowa. Miała kilka pięter w formie platform i sięgała ze czterdzieści metrów prosto w niebo. Służyła leśnikom jako letni przeciwpożarowy punkt obserwacyjny. Wtedy, w marcu, wyglądała na zupełnie opuszczoną. Nie było dostępu, to znaczy drabiny, do najniższej kondygnacji, a wjazd w jej podłodze został zatarasowany klapą, pewnie po to, żeby nikt niepowołany nie pakował się na górę, nie rozrabiał tam i nie spadł. Czyli niemy zakaz wstępu. A M, mimo wszystko, zaczął wspinać się po żerdziach jednej z podpór.

- Zostań! - rzucił w moją stronę.

Czasem zachowywał się jak starzec, a czasami jak czternastolatek. Tym razem był dzieckiem. Ledwo uciekł, hultaj, z trumny, a już zgrywał alpinistę i chojraka. Ucapiałem go za dół

nogawki. Szarpnął nogą i po wszystkim. Właził dalej. Od pierwszego piętra szło mu łatwiej, bowiem wyżej nie zamknięto włazów na platformy i ostały się drabinki.

Mocno wiało, tak więc M - mniej więcej od połowy drogi - już czuł pietra. Wieża kołysała się, żelazne belki drżały, a konstrukcja dziwnie wyła i buczała. Mój przyjaciel starał się nie patrzeć w dół, na ziemię. Kontrolował każdy ruch, zważając, aby na szczelbelkach zawsze opierały się dwie dłonie oraz stopa (wariant pierwszy) albo ręka i dwie stopy (wariant drugi).

Doskonale się orientowałem, co przeżywa. Psy to odbierają siódmym zmysłem, nie tylko z trzech metrów, ale też z daleka, z Antarktydy i Maroka, jeśli ktoś jest im naprawdę bliski. Skakałem na wieżę, skomlałem, potem dla odmiany ryłem i kopałem w mokrym piachu, na którym pęczniały korzenie przypominające grube żyły na powierzchni męskiej dłoni. Chciało mi się wyć, naprawdę. Znowu ryłem i skakałem, wreszcie dałem temu spokój, tylko stałem, przebierałem w miejscu parą tylnich łap, bezwiednie, i gapiłem się nerwowo na wspinacza.

Kiedy wydeptałem niemal lej po bombie, M osiągnął cel - strażnicę na wierzchołku. Był to rodzaj kiosku z krótką ławką i stolikiem. Każda z czterech ścian strażnicy miała spore okna, bez zawiasów. Latem musiał tam panować niezły zaduch, ale teraz hulał wiatr, przedostający się do środka przez wybitą ptasim ciałem szybę. Buda na żelaznych nogach kołysała się wraz z koronami wielkich sosen. Osiągała gdzieś z półtora metra odchylenia od teoretycznego

pionu wieży. Można było dostać mdłości jak na morzu podczas sztormu.

M nie wymiotował. Co więcej, zapomniał o jękach konstrukcji. On po prostu sapał, pocił się, choć było raczej rzeško, siadał na drewnianej ławce, wstawał, tupał i znów siadał, i przyklejał nos do zimnej szyby.

To wszystko dlatego, że zobaczył, proszę państwa, cuda.

Las rozciągał się szerokim pasem z południa na północ, równoległe do koryta szarej Wisły. Na północy zieleń rozlewała się aż po horyzont. Pośród niej rdzewiały plamy drzew liściastych, a raczej bezlistnych, czekających na wiosenny wielki wybuch. W mocnym słońcu migotały tu i ówdzie wody leśnych stawów i strumieni. Na północnym wschodzie zza krawędzi lasu wystawała czapka miasta, niewielkiego, ale ze szpitalem, urzędami i szkołami. Czapka unosiła się na dwóch jeziorach i była koloru dachówek i anten.

Na wschodzie, za puszcza, na łagodnych wzgórzach drzemały pola pokreślane zygzakami dróg, właściwie alej, z charakterystycznymi dla tej ziemi szpalerami starych grabów, lip i klonów. Pośród wzgórz czuwały wsie z ceglano-kamiennymi kościołami. Gdzieś pomiędzy strefą pól a krańcem lasu przebiegała linia kolejowa z niewidoczną z oddalenia małą stacją Mleczne Pole. Czasem słyhać było pociąg, lecz nie dało się go dostrzec. M tego żałował, bo pociągi są niesamowicie piękne, zwłaszcza te na bocznych szlakach, te niespieszne i dalekie jak zabawki małych dzieci.

Nieopodal toru ułożyła się krajowa szosa. Razem z torem

prowadziła na południe, docierając do sporego miasta, o wiele większego od tego pod czapką. Słońce stało właśnie z tamtej strony, a więc widok był nieostry, na dodatek miasto ukrywało się za wzgórzem, no i to, że tam w ogóle jest, istnieje, ogłaszało tylko szczytem katedralnej wieży i kilkoma fabrycznymi kominami.

Po zachodniej stronie pradoliny cuda były jeszcze bardziej niepojęte. Na przeciwnym brzegu Wisły, na wyniosłej skarpie stał krzyżacki zamek z narożnymi wieżyczkami. Pilnował krainy fałdowanych pól i borów. Bory szły ogromnym łukiem, od wysokich wzniesień ponad rzeką aż po samo połączenie ziemi z niebem, tak daleko, że nie dolatywał tam już wzrok - i zatrzymywał się, i musiał wracać.

A po naszej stronie Wisły lasy podchodziły do koryta rzeki dużo bardziej powściągliwie, w jednym miejscu, tam, gdzie - zgodnie z czarno-białą fotografią i wiadomościami zawartymi w przewodniku z biblioteki pani Kaczor - można było znaleźć „unikatowy obszar roślinności typu stepowego w miejscowości Sarnia Góra”. M o mało nie wycisnął nosem okna. Cisnął tak z powodu wyśnionego miejsca z fotografii, ale także dlatego, że w strażnicy nad drzewami przeniknęło go wspomnienie bardzo mocne, dotykalne, z owych lat, gdy siedział na krawędzi chmury i spoglądał godzinami na Warszawę, Raszyn i w ogóle.

To wspomnienie ożywiło się z powodu szarych czapli. Czy było przypadkiem, że wracały właśnie w owej chwili? I czy całkowicie przypadkowo mogły być aż tak podobne do kolegów z eskadr

transportowo-sanitarnych, którym śpioch naprawiał kiedyś lotki i ustawiał awionikę? W przeciwieństwie do spotkania z komiwojażerem obraz ptaków zdawał się prawdziwym znakiem z góry. W każdym razie tak odebrał go lokator spod dwunastki i przez siedem minut i dwadzieścia dziewięć sekund (owszem, krótko, ale jednak) był głęboko przekonany, że dowie się kiedyś, po co, na co i dlaczego wrócił z bazy nad Warszawą i w dodatku znalazł się w tych lasach.

Czaple rozpląnęły się nad Sarnią Górą. M opuścił wzrok ku ziemi. Na przestrzeni między rezerwatem a strażnicą lasy odsuwały się od rzeki i wiślanej pradoliny i wspinały na polodowcową skarpe, dając miejsce płaskim łągom, polom i jezioru. kolei, tylko tak, jak przychodziły mu do głowy. Później, niemal dzień po dniu, coś dopowiadał, korygował bądź wyjaśniał. Czasem milczał. Kiedy milczał o czymś ważnym, to słyszałem, jakby mówił. Psy potrafią takie rzeczy, wspominałem.

Nie dam łapy, czy naprawdę wszystko idealnie mi powtarzał, każdy szczegół. Przecież miał kłopoty z potłuczonym, bardzo długo śpiącym mózgiem. Może coś dokładał do rzeczywistości? Odejmował? Mylił, mącił, zapominał? Przeinaczał? Zmieniał barwy i nastroje? Tego nie wiem. Przekazuję tylko to, co usłyszałem, słowo w słowo, tak mniej więcej, bo potrawy odgrzewane potrzebują trochę przypraw, żeby były bardziej strawne.

Gadał, gadał, a tymczasem okazało się, że doszliśmy do zapachu wsi - Starego Jaru. Najpierw pojawiły się dwa domy, jeszcze w lesie, potem utwardzona droga, która wychodziła spośród drzew i zbiegała

ze wzniesienia, dosyć stromo, w stronę głównych zabudowań. Dobrze, powiem to od razu: w marcu Stary

Jar wyglądał raczej smutno, ale - proszę się nie martwić - latem, kiedy zieleniły się ogrody, okazywał się naprawdę ładny.

Wieś różniła się od mazowieckich czy kieleckich, jakie M znał z chmury i z dzieciństwa. Nie było w niej stodoł, za to były małe domy z ogrodami, trochę w stylu peryferii poniemieckich miast na Ziemiach

Odzyskanych. Stodoły, obory i chlewy mieli tylko gospodarze mieszkający na obrzeżach wsi od strony rzeki oraz ci porozsiewani, hen daleko, na samych polach, jako że w istocie uprawiali ziemię, hodowali krowy, świnie albo owce.

Starojarski lud z posesji z ogrodami miał się zupełnie innych zajęć w innych miejscach. Dam przykłady.

We wsi można było znaleźć: urząd gminy, małą pocztę, parę sklepów, kiosk, piekarnię i masarnię, szkołę podstawową i przedszkole, cegielnię i tartak, remizę strażacką stanowiącą jednocześnie klub kultury, bibliotekę, knajpę u Słowika, ogrodnictwo, SKR - to znaczy Spółdzielnię Kółek Rolniczych - z maszynami i urzędnikami, filię banku spółdzielczego, centrum skupu żywca, aptekę Eskulap i ośrodek zdrowia z zastrzykami, fryzjera, plebanię i kościół, policyjny posterunek (najczęściej zamknięty) oraz garść prywatnych, głównie jednoosobowych firm krawieckich, budowlanych, transportowych i naprawczych.

Część obywateli dojeżdżała do roboty do miasteczka nad jeziorem lub do miasta z kominami.

Gdy M przyjrzał się już panoramie gminnej wsi i byliśmy gdzieś w połowie utwardzonej drogi, zjawił się listonosz. Zjeżdżał z góry na rowerze. Był szczęśliwy. Promieniał tym szczęściem na dolinę rzeki Wisły.

Jechał z tak rozpostartymi ramionami, jakby chciał przytulić cały świat, całować go, pocieszać. Gęba mu się śmiała i zionęła oparami wina z jabłek zaprawianych związkami siarki. Poczuliśmy te opary, kiedy rowerzysta mijał nas jak wichur, w rozchełstanej kurtce Poczty Polskiej, z torbą nonszalancko przewieszoną za nerkami i krawatem trzepoczącym tuż za karkiem. Rower brzęczał, kierownica się trzęsła, podskakiwała, a pocztowiec - jak cyrkowy akrobata - jechał całkowicie pewnie i radośnie. Nawet przez sekundę nie myślałem, żeby go pogonić i postraszyć, co należy do psich obowiązków wobec wszystkich listonoszy we wszechświecie.

W jaki sposób pan listonosz M. Goliński wyhamował i zatrzymał się na dole, tego nie wiem. W każdym razie, kiedy dotarliśmy tam, nie natknęliśmy się na żadne plamy krwi lub mózgu na asfalcie czy na płotach, nie wały się zniszczone części rowerowe, rozrzucone listy i depesze. M odetchnął z wielką ulgą.

Okazało się, że nie powinien być się martwić. Potrzebował więcej wiary w ludzki geniusz, więcej zaufania do funkcjonariuszy Poczty Polskiej.

Wsi spokojna, wsi wesola - to są słowa powtarzane niegdyś przez mojego wuja w sytuacjach, gdy goniono nas z kijami lub ciskano żuzłem w nasze zady. Trudno orzec, czy tym razem pasowały

do rzeczywistości w Starym Jarze. Było głośno, tłoczno i ruchliwie. Trwał spęd żywca. M domyślił się, że to dlatego M. Goliński tak świętował. Miły czas dla listonosza niekoniecznie musiał być najlepszą porą na mój spacer po gościńcu. Korzystając z doświadczenia zdobytego podczas roku intensywnych studiów w szkole wuja, nie afiszowałem się zanadto, przemykałem raczej opłótkami i zachowywałem maskujący dystans.

Wszędzie było pełno błota, ryku cieląt, kwiku macior, ludzie wydzielali się do siebie, jakby w uszach mieli korki, huczał jeden wielki motor w małych fiatach, polonezach, przerdzewiałych volkswagenach i ursusach. Jako podstawowy sprzęt transportowy jawił się ciągnięty za traktorem dwukołowy kojec z żelaznymi barierkami, pojazd do przewozu pojedynczych sztuk nierogacizny, bydła, owiec albo niewiast w czapkach, chustach i paltotach z brązowego misia z dodatkami. Baby przyjeżdżały na zakupy, dla rozrywki, do dentysty lub fryzjera, potem marzły na przyczepach i czekały, aż mężowie wrócą od Słowika, to znaczy z miejscowej mordowni.

A mężowie wypełniali obowiązki. Po sprzedaży świni albo krowy był mus wypić coś mocnego z sąsiadami z drugiej strony pola czy z za lasu. Omawiano przy tym ważne sprawy. Wytyczano perspektywy rozwojowo-upadkowe gospodarki, przedstawiano wizje apokaliptycznych zdarzeń w gminie i na całym wielkim świecie. Czasem i maciory było mało, żeby pokryć wciąż rosnące koszty debat połączone ze stratami, które wynikały z jakichś zniszczeń albo zguby

w ubikacji czy cholera wie gdzie znowu, w korytarzu lub pod stołem.

M wydawał się oszołomiony, chyba mocniej niż po zejściu z czubka wieży. Miał wyraźnie słabszą głowę od miejscowych. Co się dziwić, że go ścięło, skoro dostał w łeb tym wszystkim, co zobaczył i usłyszał w Starym Jarze, a do tego - po upływie ledwie paru godzin - zabłąkanym skrawkiem Drogi Mlecznej.

„Przycupnął w kałuży pod dźwigiem i zasnął. Pokusa jest wieczna” - tak to, proszę państwa, brzmiało, bardzo kiepsko, trzeba przyznać, jednak lepiej niż panowie, panie i pojazdy w punkcie skupu.

M oddalił się. Pomału.

Czuł się jak po dwustu pięćdziesięciu gramach świństwa Hinza, tyle że nie wydawał się szczęśliwy szczęściem listonosza Golińskiego. A poza tym, już mówiłem, zalaatywał tylko wiatrem. To jest bardzo dobry zapach - bezpieczeństwa i nadziei.

*

Między Starym Jarem a osiedlem, czyli zydlungami, droga wiodła u podnóża lasu. Od zachodu dotykała pól i pastwisk. Właśnie po zachodniej stronie traktu, sześćset metrów za ostatnim domem we wsi zaczynało się jezioro, kilkunastohektarowe, raczej płytkie. Otaczały je szuwary. W lecie nie za bardzo udawało się wyszukać tam wygodne miejsce do kąpieli. Owszem, w trzcinach kryły się pomosty zbudowane przez wędkarzy, przypominające trampoliny albo kładki na pływalniach, ale wędkujący strasznie nie lubili, jak ktoś skakał, mącił wodę, hałasował i tak dalej.

M zatrzymał się przy trzcinach. Starał się odzyskać spokój po

nadmiarze wiejskich wrażeń. Miał do przemyślenia kilka kwestii, w tym te cztery najważniejsze:

Pierwsza. Czy dręczący hałas w Starym Jarze płynął z zewnątrz, czy ze środka pań i panów tak silnie obecnych w punkcie skupu i gospodzie? Druga. Mylił się czy rzeczywiście ludzie we wsi jakoś nieprzyjemnie spoglądali w jego stronę? Trzecia. Czy handlarz krawatów, który kręcił się wśród ciżby, zdołał sprzedać chociaż część towaru? I czwarta. Co będzie na obiad?

Wszystkie wątki jakoś mu się poplątały.

M nie ruszał się znad brzegu. Miał ochotę obmyć umysł, jeśli już nie w samej wodzie, to przynajmniej w jej widoku. A poza tym chciał nacieszyć się jeziorem, w DPS-ie z jezior mieli tylko wannę. Gdy obmywał się z hałasu i próbował dostrzec lub usłyszeć to, co było rzeczywiste, a nie mogło przebić się przez plątaninę jego myśli, dotarłem do miejsca pod krótkim pomostem, gdzie napiłem się jak wielbłąd.

Zaraz za jeziorem las przelewał się na polną stronę drogi. W obrębie tej leśnej zatoki kryły się zabudowania, do których prowadził ponadstu-metrowy, wysypany szutrem dojazd. Na dojeździe, blisko drogowskazu „Leśniczówka 0,1 km”, M zobaczył straszne bydlę. Wyglądało na odyńca.

Dzik był niemal czarny. Jakiś łysy. Biegł w kierunku mego towarzysza, a więc ten, ratując życie, wskoczył na kilkunastoletnią sosnę. Przycupnięty na gałęzi, z metr dwadzieścia ponad ziemią, starał się odzyskać oddech wojownika. Puls walił mu w skroniach tak

mocno, że aż chwiał niewyrośniętym ^Irzewem.

Nie mogłem już czekać - a siedziałem za zimowym krzakiem malin - podbiegłem do zwierza, obwąchałem jego rufę, szczeknąłem dwa razy, ten zupełnie się nie zdenerwował, kwiknął, fuknął i oddalił się w głąb lasu.

To nie była wcale dzika tylko bardzo dziwna świnia. Konkretnie wietnamska.

M zsunął się z sosny. Trwało to o wiele dłużej niż wchodzenie. Poprawił ubranie. Nie patrzył mi w ślepia i próbował poświstywać. Jeszcze raz ukryłem pysk w zaroślach. Zaciskałem mocno zęby, żeby nie rozszczekać się psim śmiechem na rozległą pradolinę rzeki Wisły. Kiedy się opanowałem, pokazałem mu dyskretnie, co powinien zrobić dobry sąsiad. Wystarczyło kilka szczęknięć, wychylenie ciała w stronę świni, która buszowała w zagajniku, i zrozumiał.

Wygoniłem zwierzę na szutrową drogę, a M wydał mu pasterskie polecenie:

- Już, gruba, do domu!

Dom świni wietnamskiej nie znajdował się daleko, w Indochinach, lecz za płotem z grubych drągów i otwartą ufnie bramą.

Przestrzeń między płotem a frontonem leśniczówki wypełniał dziedziniec. Pośrodku podwórca był gazon otoczony pętlą podjazdowej drogi. Pętlę okalały krzaki bzu, akacje, kasztanowce i jawory, stół z ławkami, ptasie budki i donice na sadzone wiosną kwiaty. Na dwóch grządkach przed budynkiem kołysały się wyschnięte malwy, a w słomianych czapkach spały róże.

Leśniczówka miała urok starych domostw. Zbudowano ją z czerwonej cegły i nakryto dwuspadowym dachem. Domowników, gości i interesantów witał ganek, który obrastały pędy winorośli. Dom i jego otoczenie wydawały się nadzwyczaj dobrze utrzymane i zadbane, wzorem wszystkich leśniczówek w naszym kraju.

Świnia zatrzymała się w pobliżu ganku, na podjeździe, jak taksówka. M nie wtarabanił się na schody, tylko został przy niej i pilnował, żeby nie uciekła, mała jedna. Nie mógł pukać czy zadzwonić, więc zawołał:

- Halo! Proszę państwa! Halo!

Nie zająknął się, wołając. Był wyraźnie w dobrej formie.

Najpierw zaczął szczekać pies, za drzwiami. Usłyszałem, że to jamnik. Po chwili na ganku pojawiła się kobieta. Właściwie dziewczyna. Miała ze dwadzieścia kilka lat, lecz wyglądała jeszcze młodziej, naprawdę dziewczęco. Przed wyjściem na zewnątrz zdążyła założyć pikowaną długą kurtkę i wełnianą czapkę z kolorowym reniferem. Bardzo mądrze. A są tacy, co nie dbają o te sprawy, i jest kłopot. Zawsze mam na sobie coś ciepłego.

- Dzień dobry - M uklonił się jak uczeń i wskazał na świnie. - Znalazłem na drodze.

- Dzień dobry. Przyprował pan Egon?

- To Egon?

- Wyłazi przez dziurę - pokazała ręką gdzieś na drugą stronę domu. - Pobusza w chrustach, pobusza, potem wraca.

- To przepraszam.

- Nie, no ładnie z pańskiej strony.

Poprawiła sobie włosy wychodzące spod krawędzi czapki. Odwróciła przy tym głowę, jak gdyby nie chciała, żeby ktoś zaglądał w jej źrenice i wykradał z oczu to, co pozostawało tam w ukryciu. M pomyślał, że dziewczyna trochę się go boi. Czym prędzej oznajmił:

- Mieszkam niedaleko, na osiedlu.

Zaraz potem niby się przedstawił, ale nawet ja nie zrozumiałem, co wymruczał. Inna rzecz, że pozostawałem dość daleko, w cieniu lasu, no i nadal nieźle wiało.

- Marta Bernatowicz - odrzekła dziewczyna na ganku.

M uklonił się szarmancko.

- Czy zagonić gdzieś Edwina?

- Egona - poprawiła go z uśmiechem. - Nie trzeba.

A jednak się przydał. Owszem, świnia okazała się nadzwyczaj grzeczna, bez sprzeciwu przetruchtała za budynek leśniczówki, popędzana przez jamnika, weszła do zagrody przy chlewiku i zajęła się obwąchiwaniem swoich włosów, lecz ktoś musiał zamknąć bramkę. Trudna czynność, nie dla kobiet.

- To jest zoo? - zapytał M, popatrując dookoła.

Na znacznym obszarze ogrodu za domem stało kilkanaście klatek o wielkości i konstrukcji wojskowych namiotów. Każda klatka miała stelaż z drewna lub metalu obciążony siatką z drutu, a także drewnia-no-ceglane, wyściełane słomą przybudówki. Mieszkały w nich ptaki. Niektóre siedziały na zewnątrz - na rosochach czy poziomo zawieszonych żerdziach - inne pochowały się przed chłodem marca.

- Raczej szpital - odrzekła dziewczyna. - Mój tata żartuje, że mamy przytułek dla aniołów po upadkach.

Na skraju przytułku rósł niewielki sad domowy, obok wytyczono grządki warzywka, a opodal stało kilkanaście uli. Widać było wielką troskę o to wszystko, lecz największą o zwierzyńiec, no dobrze - ptaszarnię (tylko Egon nie miał skrzydeł, chociaż wylatywał sobie na spacer).

- Czasem ojciec znajdzie jakąś mizerotę, a czasami ludzie ze wsi coś przyniosą - wyjaśniała. - Nie tak dawno ktoś podrzucił nam pod bramę rannego jastrzębia.

Stanęli przy klatce z apatycznym gołębiarzem. M zdał sobie sprawę z tego, że ptak nie brzmiał jak zwierzęta wysłyszane tego przedpołudnia w lesie. Jego ton był osłabiony, zakłócony jakimś szumem.

Kiepski dźwięk dochodził także z paru innych klatek i szauerków. Poza gołębiarzem znajdowały w nich schronienie sieroty puszczyka przywiezione z jakiejś akcji przez strażaków, bielik (absolutnie autentyczny!), kania ruda (jak z obrazka!), senny puchacz, cztery dzikie kaczki, para siwych czapli i bociany - biały (gdzieś z komina czy ze słupa) i czarny (z uroczyisk).

- Tak od lat - mówiła dalej. - Bywa, że udaje nam się wykurować jakąś bidę, a potem wypuścić na wolność, ale większość pozostaje tu do końca.

- Moja gospodyni przygarnęła kalekiego szpaka... Miejscowa specjalność?

- Nawet nie wiedziałam, że ktoś jeszcze opiekuje się ptakami w naszej okolicy. A o kim pan mówi?

- A o pani Kosakowej.

- Tej z osiedla? Ano tak, powiedział pan, że mieszka na zydlungach.

- Od wczoraj. Przyjechałem, właściwie przyszedłem wieczorem.

- Też wczoraj wróciłam...

Nagle rozryczała się jak głupia. I z miejsca uciekła. Jamnik za nią. M całkiem zabraniał. Przecież nie powiedział nic obraźliwego, nic przykrego.

A powinien był uważać! Od chwili strzyżenia w szpitalnej łazience bał się rozmów z kobietami, szczególnie z młodymi, szczególnie z ładnymi. Teraz, pierwszy raz od niepamiętnych czasów, odważył się mówić z kimś takim, no i wydawało się, że jest wspaniale. Prawie wcale się nie jąkał i wymawiał wszystkie głoski jeszcze lepiej od spikerów w Polskim Radio, a w dodatku nie za bardzo wstydził się swojego kuśtykania.

No i co? Masakra. Koniec świata.

Ktoś stał w oknie leśniczówki wychodzącym na zwierzyniec. M uchwycił wzrok osoby ukrywającej się za szybą i zasłoną. Miał wrażenie, że to było dziecko, w każdym razie nikt w mundurze leśniczego.

Pokuśtykał swoją drogą, włócząc koci ogon z brzęczącymi pytaniami, czy przypadkiem nie wysłali go tu, na dół, tylko po to, by zaganiał zagubione wieprze, albo po to, by naprawiał ptaki z awariami

awioniki, albo trzymał straż na leśnej wieży nad doliną rzeki Wisły, albo stale wpędzał w irytację i odstręczał różne panie, zwłaszcza piękne. A może miał inne zadania, tak tajne, że miały być przed nim odkryte dopiero pięć minut przed akcją? Nie wiedział. Wiedział tylko, że był głodny.

*

Zbliżaliśmy się do zabudowań w Nowym Jarze. Pozostałem nieco z tyłu. Miałem mnóstwo leśnych nor do obwąchania oraz innych ważnych spraw do załatwienia. Znaczenie tych działań może pojąć tylko specjalista. Państwa nie zamierzam nimi nudzić.

M szedł przodem, zaciągając lewą nogą. Był zmęczony - nic dziwnego, że zaciągał coraz mocniej. Nim rozszczękał wszystkie kundły na łańcuchach i przy płotach na osiedlu, przyszła mu do głowy smutna myśl - nie meteoryt, ale jego własne spostrzeżenie: W zwierzyńcu źle brzmiały nie tylko ptaszory. Chciał prędko ustalić - ustalić z pamięci, póki z niej nie wyparowały echa dźwięków - co jeszcze innego odzywało się niepokojącym dysonansem w jego uchu. Niestety, nie zdążył. Wybuchły psie wrzaski, a potem zgiełk bitwy.

Walka rozgrywała się na łące rozciągniętej między dwoma szeregami domów. Rozpoczęła się około sześciu minut wcześniej. Zaraz zdam relację z jej przebiegu, jednak najpierw szepnę ze dwa słowa o społecznym środowisku i teatrze działań zbrojnych. Informacje te zdobywaliśmy dosyć długo, przez tygodnie i miesiące po przyjeździe M na północ, ale trudno żebym trzymał państwa bez tej wiedzy aż do wiosny albo lata.

Już mówiłem, że posesja pani Kosakowej znajdowała się w szeregu tych gospodarstw, które dotykały ściany lasu. W pierwszym domu, licząc od Starego Jaru, mieszkał szofer wielkich ciężarówek Paweł

Danielewski z bardzo zgrabną żoną Basią i córkami - Martyną i Zuzią - o długich kończynach i zamiłowaniu do muzyki. Do stada należał kot Wasyl, który włóczył się po nocach, by nad ranem walić pięścią w okno kuchni.

Obok nich mieszkała najsilniejsza z kobiet na planecie, czyli Rena Szlagoniowa. Miała grubo ponad pięćdziesiątkę, podnosiła jedną ręką worek żyta, lała męża za pijaństwo i goniła wszystkich drani, którzy wyciągali go na wódkę czy tam wino. Dzieci pani Szlagoniowej wiodły dość skomplikowane życie osobiste, gdzieś za lasem, tak że trójka ich potomstwa z różnych związków zostawała w Nowym Jarze pod opieką mocnej babki, wielce dbałej o przychówek, energicznej i poczciwej, choć ulegającej żywiołowi bałaganu, który czynił spustoszenia na podwórku.

Po sąsiedzku żyła skromnie nasza gospodyni. Za obszarem jej ogrodu i za płotem, w czwartym domu kryli się Knafflowie, bardzo starzy. Pan Konradek Knaffel był kulawy i nerwowy. Jego żona malowała wszystko na niebiesko w białe cętki - meble, zegar, telewizor, każdy talerz, kubek, nawet lustro. Dzięki temu mieli ładnie i zupełnie nie musieli kontaktować się ze światem. Świat okropnie ich oboje denerwował, zwłaszcza banda osiedlowych małolatów. P. Konradek musiał czasem spuszczać spodnie i wypinać się na te

bachory w akcie zemsty za prześladowania. A stara Knafflowa miała kłopot z niegojącą się, otwartą raną na żylaku. Pomagało tylko jedno. Sam widziałem, jak dawała ją do wylizywania suczce Perle, takiej drobnej, o paskudnie wylupiastych ślepiach. Nie kontaktowałem się z tą panną. Przedkładałem nad nią damy większe, bez wytrzeszczu i o wiele bardziej rozgarnięte.

Dalej stał nietynkowany dom rodziny Tuchłów, gdzie w czterech pokojach bytowały cztery liczne pokolenia, na dodatek z tłustym kotem, rywalem Wasyla. Wspominałem kiedyś, że ten bydlak Tuchłów topił się w jeziorze, a ja udzieliłem mu pomocy, wbrew zasadom psiego powołania.

Jeszcze dalej można było trafić do Skowronków i Osińskich, niebywale przyzwoitych ludzi, a na końcu tego rzędu zabudowań do Ladachów.

Ladachowie okresowo pili - ojciec z matką - a czwórka ich dzieci nie miała wyboru, no i sama się starała o jedzenie, opał, buty i tak dalej.

W drugim rzędzie domów, tym od strony płaskich pól, mieszkali: Lubińscy, Stycznio wie, Ruckowie, Szmaglińscy, Skórowa i Wirkus.

Pierwsi z wymienionych prowadzili w Starym Jarze sklep spożywczy i piekarnię, a ich młode, żrąc słodycze, wciąż czekały na niedzielę, żeby matka z ojcem byli w domu. Drudzy rok po roku wyjeżdżali do

Zagłębia Ruhry. W końcu pozostała tylko babka Hildegarda i jej

kwadratowy syn, kamieniarz Józef. Trzeci mieli dwóch niemłodych synów, z których jeden był czyściochem, a drugi - przeciwnie - brudasem, bo ten pierwszy, czyli Roman, zmieniał gacie nawet co dzień - o czym zapewniała jego matka - a ten drugi, znaczy Karol, nie zmieniał, przez co zlatywał starym kozłem. I jak taki miał w ogóle znaleźć sobie żonę? W czwartym domu R. Szmaglińska, bardzo chuda, jędzowata urzędniczka SKR-u, z szesnastoletnimi bliźniaczkami z pretensjami, Lilianą i Lidką, co dzień próbowała otruć swą teściową, tak przynajmniej rozgłaszała jej ofiara, utrzymując, że synowa daje jej na obiad żaby i jaszczurki zamiast zupy ogórkowej i drugiego. Ta piąta - Helena Skórowa - była koleżanką naszej gospodyni, a szósty - wesoły pan Wirkus, pracownik tartaku - miał zwyczaj wtrącania w rozmowie „królowo radziecka” lub „królu radziecki” i płakał w kościele, jakby musiał raz na tydzień równoważyć, odkupywać swą powszednią radość życia.

Nowy Jar, jak widać, został pobłogosławiony dzieciami. Nastolatków była garstka. Ci trzymali się osobno i ciążyli raczej w stronę metropolii, w stronę światowego życia w Starym Jarze albo nawet w powiatowym mieście pływającym na jeziorach.

Powracam do bitwy. Walka, jaka zagłuszyła w głowie M słabnące echa z leśniczówki, rozgrywała się z udziałem wojsk zdecydowanie małoletnich, to jednak nie znaczy, że niedoświadczonych w ciężkim boju.

Sytuacja była dramatyczna. Rycerze krzyżaccy, którzy powrócili już ze szkoły w Starym Jarze, zastąpili drogę Mazowszanom. Uczynili

to na wysokości domu Szlagoniowej. Mazowszanie od Ladachów tego dnia wagarowali, bo musieli skombinować drewno do westfalki i do pieców. Wtedy, kiedy mieli zapas drewna i jedzenia, wypełniali obowiązek szkolny bez zarzutu. Właśnie powracali z lasu - to pchając z wysiłkiem, to ciągnąc jak muły dwukołowy wózek na sflaczałych gumach. Przewozili wielką stertę chrustu, a w niej parę podwędzonych na wyrębie pniaków.

Komtur Łukasz od Osińskich wydał krótki rozkaz: „Halt! Kontrola!”. Jego ludzie - wnuki Szlagoniowej, dwaj Lubińscy i Martyna Danielewska (jej siostry zabrakło, bo już miała lat trzynaście i gardziła dziecinadą, wycinała zdjęcia piosenkarzy i tańczyła) - otoczyli polski poczet. Tak, przypadki szmuglu broni z Kujaw, a zwłaszcza z Mazowsza, broni trafiającej w ręce buntujących się poddanych mistrza, powtarzały się w tym czasie nader często. Już, już miała zacząć się rewizja, kiedy niepokorni Mazowszanie wydobyli z wózka jesionowe i bukowe miecze przypominające zwykłe pały, a Justyna - wyraźnie najstarsza i wiekiem, i rangą - wysunęła kopię z brzozy. Natarli na wroga. Rozgorzała krwawa walka.

Ponad zydlungami wzbijał się straszliwy szczęk oręza, bolesny kwik koni, ranieni rycerze wołali o pomoc, ktoś prosił o łaskę, aż w końcu Justyna wrzasnęła, że ona chromoli, bo Łukasz jest martwy, trafiła go w serce, a ten dalej, kurna, lata, zamiast sztywnieć i się zamknąć. I to samo Danielewski Ta idiotka ma przebitą grotem czaszkę, a wciąż ordzi. Martyna wrzasnęła, że, dupa, nieprawda! Jej urwało tylko nogę. A komtur nie poległ, bo posmarowany został

maścią, co ożywia ludzkie trupy.

Doszło do gorszącej awantury. Niebywale przykra sprawa, zwłaszcza że gwałtowna polemika rozgrywała się na polu bitwy, a trzeba pamiętać, że poczet Mazowszan miał jeszcze siekierę schowaną pod chrustem.

Może dobrze, że w tej chwili nadszedł M - o którym trajlowano na osiedlu już od rana - no i dało się go spytać:

- Proszę pana, można ożyć?

Właściwie powinien był wiedzieć. Ostatecznie, kto w tych sprawach miał się orientować lepiej niż mastodont - obudzony, wytrzępany z kurzu i pajęczyn po tysiącach nieruchomych dni i nocy? Więc dlaczego M nie umiał zdobyć się na jedno jasne słowo? Stał, milcząc, i myślał. A napięcie stale rosło. Na szczęście ktoś inny wyskoczył z szeregu z następnym pytaniem, dość ważnym:

- To pan jest ten chory na głowę z Warszawy?

M nawet nie zdążył przytaknąć, a już pofrunęły dalsze strzały:

- W Warszawie jest basen?

- Mieszkał pan w wieżowcu? Takim z windą?

- Skąd pan idzie?

- Ma pan żonę?

- A w Warszawie jest ta sama Wisła co za polem?

- Latał pan odrzutowcami?

- A umie pan inne języki, kanadyjski albo ruski?

- To jest pana pies? On gryzie? - ta strzała świsnęła, pojawiłem się na łące.

- Co pan będzie tutaj robił?

Chciał, naprawdę, odpowiedzieć na zadane mu pytania, po kolei, elegancko, ale zorientował się, że mówi coś innego:

- Na płaszczu zakonnym krzyż noszony był na sercu, nie na plecach - wskazał na krzyżaków w prześcieradłach. - Na tunice, nazywanej dawniej kiecą, też naszyty był wyłącznie z przodu, na piersi rycerza. Takie rzeczy, proszę państwa, warto wiedzieć.

Dzieciary zamarły, aż zdawało się, że trzeba będzie je smarować tamtą maścią, tą, wiecie, dla trupów.

Ojcowie, niestety, takich i podobnych kwestii nigdy im nie wyjaśniali, no bo albo ich nie było, znaczy ojców, albo byli czymś zajęci, albo co niektórzy mieli trudność z utrzymaniem równowagi i zebraniem głębszych myśli, albo znali się na całkowicie innych sprawach. Zrobiło się cicho, nawet psy przestały wreszcie szczekać. M mógł dodać parę uwag. Zacinał się lekko, naprawdę nieznacznie:

- W potyczkach na miecze stosowano dużą różnorodność cięć i pchnięć. I zasłon - wyjął z rąk

Mariusza od Ladachów groźne drewno i jął demonstrować to, co mówił. - Walczący przyjmował postawę odwrotną, czyli jego lewa noga była z przodu. To logiczne, przecież w lewym ręku trzymał tarczę.

Wyprowadzał uderzenia z zamachem na głowę, na policzek lewy, prawy, na boki i piersi.

M nie przypominał sobie, gdzie wyczytał te mądrości. Pewnie w jednej z owych książek studiowanych przy parkanie. Sporo innych

rzeczy też zapomniał, no, na przykład, jak nazywa się ten rowek w głowni miecza. Najważniejsze jednak, że pamiętał sprawy zasadnicze.

- Teraz pchnięcia. Zadawane były górą albo dołem. I obrona. Jeśli uderzenie przeciwnika parujemy mieczem, a nie tarczą, to staramy się, by przyjmowane cięcie schodziło po głowni, zatrzymując się na jelcu. Jeszcze jedno. Pamiętajcie o ciężarze i ogromnej bezwładności broni. Cięcia trzeba wykonywać środkiem głowni, a nie sztychem, inaczej za mieczem polecą wam ręka, rozumiecie, jego impet was pociągnie i przeciwnik utnie wam przedramię. A poza tym cała bitwa była super, uśmiechnął się lekko, oddał oręż Ladachowi, po czym odszedł, prosto w stronę domu pod dwunastką.

A ja za nim.

Wojska nie wróciły już do bitwy. Z miejsca wzięły się do egzercerun-ków. Ćwiczyły te cięcia i pchnięcia, które demonstrował sublokator pani

Kosakowej, i nie była to masakra, tak jak zwykle, lecz piękny fechtunek, szermierka artystów.

M kuśtykał ścieżką koło świerka. Nadal kołatały mu się w głowie dwa pytania postawione przez rycerzy - ostatnie i pierwsze. Kto zapomniał, czego dotyczyły, ten niech lepiej zrezygnuje z tłustych kiełbas i przestawi się na rzodkiew.

*

Na obiad nie było morderczej kiełbasy ani nadmuchanych nowalijek, tylko żytni barszcz z niezatapialną flotą skwarek, ziemniakami i drobionym do talerza chlebem. Barszcz gotował się w

saganie, który wchodził przez fajerki w żywy buczynowy ogień w szporze, a ziemniaki dochodziły w srebrnym garnku dołożonym przez B. Hinza przy sprzedaży Grubej Berty. Na patelni podsmażała się słonina i cebula na okrasę do kartofli.

Pachniało tak mocno psim niebem, że aż mi skręcało puste kiszki, a dokładnie czcze jelito. Niby mogłem uciec przed przykrością, wejść do szopy i położyć się na workach wypełnionych wonnym suszem, lecz aromat z wnętrza domu trzymał mnie jak krótki łańcuch i siedziałem z nosem przy szczelinie między progiem a krawędzią drzwi z szybkami.

Już wszystko wiadomo - zostałem na dworze. Nie wystosowano do mnie zaproszenia. Za to M nie musiał wachać progu. Podziękował mi za wspólny rekonesans, poklepał po grzbiecie, po czym wielkopańsko wszedł do sieni. Ściągnął buty i kapotę, pokulał do kuchni i przywitał się z sąsiadką H. Skórową, która właśnie odwiedzała panią Kosakową.

Sąsiadka Skórowa, korpulentna jak beczułka, nie znosiła długiej zimy, much, wybuchów, bezsenności i przeciągów. Żyła z renty i wiedziała bardzo dużo różnych rzeczy o zydlungach. M odniósł wrażenie, że specjalnie przyszła go zobaczyć.

Jak już przyszła, to i zjadła.

M przytachał trzecie krzesło i przystawił je do stołu koło okna. Gospodyni odmówiła dziękczynienie.

Przeżegnali się, usiedli i zaczęli obiadować. Szpak jak zwykle kucał na lodówce i się wtrącał.

- Zładowałam dzisiaj barszcz, bo było późno. Jakoś tak mi zeszło u Rosińskiej - wyjaśniła pani Kosakowa. - U nas barszcz jadało się codziennie na śniadanie, nie na obiad, ino że on taki szybki i tak samo syty jak co inne, to go uwarzyłam na południe. No, na zdrowie!

Barszcz smakował - jakby tu powiedzieć? - nie z tej ziemi. Już po pierwszej łyżce M oszalał, po każdej następnej coraz bardziej tracił zmysły. To prawda, był głodny, a głodnemu posmakuje nawet wapno, wszakże specjał gospodyni rzeczywiście zasługiwał na szaleństwo. Wiem, co mówię, skosztowałam - z tym że nie od razu i nie w domu.

Co ciekawe, pani Kosakowa nie lubiła się zajmować gotowaniem. Gotowała tak jak podczas zniw, oszczędnie, z musu, bo we zniwa nie ma czasu na pichcenie, marudzenie ani nawet na niegospodarne umieranie - za dużo roboty w stodole i w polu. Gospodyni już nie miała pola ani krowy, ale nadal uznawała, że przy garach traci chwile, jakie mogłaby poświęcić lepszej sprawie. Wołała pracować w ogródku. Nade wszystko uwielbiała troszczyć się o róże. Zimą nie gardziła cerowaniem, poza tym robiła ziołowe nalewki. Nalewek nie piła, tylko używała do nacierań. Miała także inne ważne sprawy, które załatwiała na wychodnym. One bardzo długi czas pozostawały dla sublokatora tajemnicą.

Krótko mówiąc: pani Kosakowa swoje pasje znajdowała poza kuchnią. Mimo wszystko, jakimś cudem, to, co właśnie parowało na talerzach, odbierało ludzką mowę. M zaledwie zdołał wybulgotać, z barszczem w ustach:

- Ale dobre!

Szpak potwierdził. Pani Kosakowej było miło.

M tak bardzo się zakochał w białym barszczu, że już tego albo następnego dnia uprosił gospodynię, aby gotowała taki jak najczęściej. Potem jedli go właściwie na okrągło. Sublokatorowi się nie nudził, jak nikomu się nie nudzi chleb, powietrze albo uśmiech bliskich osób. Pani Stanisława Kosakowa potrafiła upitrasić barszcz klasyczny, czyli żytni na zakwasie, albo lżejszy, na serwatce.

Czasem odczuwała nagły przymus, by przyrządzić coś innego, też pysznego: fasolową czy kapuśniak, ogórkową, krupnik lub pomidorową z makaronem. I bywała jeszcze kartoflanka, którą gospodyni nazywała w skrócie „rzadkie”. Chodziło o „rzadkie ziemniaki”. Gospodyni wymawiała oba słowa po swojemu, co brzmiało jak „rzodkie zimnioki”, mniej więcej.

Oprócz zup zjawiały się na stole świetne pyzy bądź kopytka, kluski z białym serem i skwarkami, pierogi z kapustą, z grzybami, z twarogiem, no a w czerwcu - z truskawkami prosto z krzaków, które posadzone były koło płotu, albo z jagodami prosto z lasu. Zdarzała się również kapusta, najlepsza ta z grochem!

Natomiast w niedzielę gospodyni gotowała rosół.

Podawała go z fasolą. A na drugie była rosołowa kura, do kury ziemniaki, buraczki z jabłkami czy w lecie mizeria - jak kiedyś, w Kieleckiem, tam, w domu.

- Gdzieś ty, synek, dzisiaj bywał? - zapytała pani Kosakowa.

- A tak rozglądałem się po okolicy.

- I co, ładnie?

- Bardzo, bardzo - odpowiedział z gorącymi ziemniakami w ustach, przy czym trochę się poparzył i zająknął. - A najpiękniej to, wiadomo, w lesie.

- Że też ty się nie zgubiłeś, synek!

- No tak jakoś się orientowałem - sublokator się uśmiechnął. - Zresztą może to ten pies wybierał drogę?

Akurat przebiegłem za oknem, bo musiałem zmanifestować swą obecność.

- Ciebie dot duch prowadził, a nie zwierzak.

- Jo, jo, pan., powiedziała H. Skórowa (miała twardy, pruski akcent, jak wszyscy z tych rodzin, które tu mieszkały od pokoleń). - To je ważny, kto prowadzi!

Koleżanka pani Kosakowej wydawała się przejęta. I dlatego nam opowiedziała o Józefie kamieniarzu, synu starej Hildegardy. No więc kiedyś, kiedy był napity i wracał po nocy do domu, napotkał pod lasem takiego czarnego w anzugu i dalej szły oba. Tamten tak go podpierał, prowadził. Aż na końcu Józef znalazł się w pokoju, przy wersalce, zaczął odgrzebywać swoją pościel... A trzeba pamiętać, szepnęła Skórowa, iż ten Józef bardzo bluźnił przeciw Bogu, tylko pozostało mu od dziecka takie coś, że zawsze żegnał się przed spaniem; tak go matka jego nauczyła. No i wtenczas, przy tym czarnym i wersalce, przeżegnał się krzyżem. Patrzy się, że stoi w wodzie, tak po pas w zalewach koło drogi. A już, już się kładł pod kołdrę, znaczy na dno.

- Ty masz widzieć! Jo! By zasnął tam na amyn... - zawołała. -

Eno raz, wytrzeźwioł! Jo, pani, jak skoczul, jak pognał na zydlung, eż gwizdoł! Dwa minuty i beł doma.

H. Skórowa jeszcze raz wytarła sobie usta i zaraz dodała, że Józef po wszystkim odmalował krzyże na cmentarzu. I nie pił przez tydzień, ze strachu, a później to samo na nowo, to samo... Szpak potwierdził te ostatnie słowa.

- Człowiek ślepy - zawyrokowała pani Kosakowa. - Bez pomocy boskiej nie rozpozna, kto go wodzi.

- Abo zwodzi - dołożyła słowo H. Skórowa.

M zasłuchał się w rozmowę obu kobiet. Chciał rozważyć i ułożyć sobie w środku to, co do tej pory powiedziały, każda swoją własną, mocną mową. Wielka szkoda, że akurat trafił na przeszkodę. Wybryk łyżki. Poczuł, że zaczęła mu się wiercić, kręcić w dłoni, jak kot chcący się wydostać z objęć dziecka. Prężyła się krnąbrnie, wyginała w stronę w okna, z dużą siłą, tak że barszcz ulewał się z powrotem do talerza.

Dziwna sprawa. M był absolutnie przekonany, że nawalił mu pod czaszką jakiś obwód, transformator, coś ważnego. Przy tym bardzo nie chciał okazywać, że ma kłopot. Na szczęście dosyć prędko zauważył, że niewiasty też zmagają się z łyżkami.

- Jo, jo, znowuj! - odezwała się Skórowa.

- Eyii, przejdzie za sekundę - oświadczyła pani Kosakowa.

No i przeszło.

Zanim M się zebrał, by zapytać, co się stało, gospodyni, jakby nigdy nic, zaczęła snuć opowieść z własnej przędzy, podejmując

zasadniczy temat porzucony na czas zmagania ze sztukami.

Tam u nich był znachor. Mieszkał pół godziny drogi koniem od skraju Lipnicy. I ten znachor, o nazwisku

Walendowski, brał czasem chorego do lasu pod górą. Brał takich, co mieli chorobę w żywocie, a nie rany od siekiery. Wyszukiwał w lesie drzewo pasujące do bóleści i usadzał przy nim, w przytuleni. I tak trzeba było siedzieć parę godzin, a tamten się modlił, palił sobie papierosa albo drzemał. Wtedy ta choroba przechodziła z ciała w brzozę, świerk, sosnę czy modrzew. One potem wnet marniały, usychały, po tygodniu można było pójść zobaczyć. No i jak to wszystko się robiło? I kto temu błogosławił?

Gospodyni zakasłała i zbudziła tym sublokatora. Bo M zasnął. Przy stole. W pół puenty. Nie dlatego że się znudził. Nie, przeciwnie, obie opowieści były bliskie jego sercu, ale miał już tyle spraw do przemyślenia, tyle wrażeń do strawienia razem z barszczem, że przygniotło go to wszystko jak pierzyna wypełniona ciepłą wodą. Przebudził się tylko na moment i nie poruszając zuchwą, wymamrotał:

- Czy zostało coś z obiadu?

- Zostało, zostało. Niech ino przestygnie. Zładuję mu później - obiecała gospodyni, bo wiedziała, o co chodzi, lub raczej o kogo. - Temu psu ze ślepiów dobrze patrzy - powiedziała to do H. Skórowej, jakby chciała się usprawiedliwić.

Oprócz barszczu ze słoniną znalazł się - specjalnie dla mnie! - stary, ale za to duży garnek. Czuję się ogromnie wyróżniony. Nie miałem własnego naczynia od wieków. No a barszcz smakował - jak

to ująć? - dokładnie tym niebem pachnącym spod progu.

Po jedzeniu się zdrzemnąłem - tak jak M i bardzo wielu innych panów.

*

M regenerował się szesnaście godzin. Dosłownie: szesnaście. Gospodyni się martwiła, że on znowu zasnął na ćwierć wieku. Wieczorem sprawdziła mu czoło i oddech. Odzyskała całkowity spokój wtedy, kiedy w nocy usłyszała, jak M schodzi do klozetu. Zszedł, choć kusił go ten hełm wermachtu pod paprotką.

Spał w ubraniu, jak partyzant. Najprawdopodobniej przeżył bardzo ciężki szok tlenowy, a do tego zmienił klimat i przedobrzył, a to nie był jednak olimpijczyk, wyczynowiec, i powinien był zaczynać od spacerków, nie od maratonu.

Oczywiście rano zmagał się z trudnymi pytaniami, państwo wiedzą, po co, na co i dlaczego, stare sprawy.

Dodatkowo czuł się chory. Nie to, żeby mu leciało z nosa, tylko taki był ogólnie osłabiony i wyżęty jak przy grypie. Na szczęście, z dołu dochodziło przytłumione echo jutrzni:...Chwała Ojcu, Synowi Jego przedwiecznemu, i równemu Im w Bóstwie Duchowi Świętemu...

Zrobiło się lepiej. O wiele.

M jeszcze przez moment leżał cicho pod pierzyną, potem wstał z tapczanu i przywitał świerk za oknem.

W nocy ustał wiatr i chwycił mróz, a do tego zaczął padać śnieg - z początku drobny, potem gęstszy. Z czasem pokrył cały świat nad

rzeką Wisłą. Wysrebrzył też drzewo. Było ładnie, jeszcze ładniej niż dzień wcześniej.

Po lekturze paru miejsc z tej grubej książki, jaką zostawiła mu przy łóżku siostra Dominika, kiedy odchodziła ze szpitala, wyprostował się o dalsze cztery stopnie, zszedł na dół i nareszcie umył się porządnie. W łazience był bojler, to prawda, lecz poza tym czuło się tam ziąb północy. Z czasem sublokator pani Kosakowej przyzwyczał się do tego jak polarnik.

Przy śniadaniu gospodyni podziwiała, ileż M potrafił przespać. Chciała nawet opowiedzieć mu o krewnym, który spał tak samo długo, kiedyś, dawno, ale już musiała lecieć w dyrdy do Ireny Szulistowej, za jezioro. Miała sprawę. W mig wyładowała się i poszła. Zazwyczaj jeździła na damce kupionej od Hinza, tylko że ten nocny śnieg zasypał ścieżki i zrobiło się za ślisko. Wyruszyła pieszo, z kijkiem w rękę. Po minucie rozplynęła się w marcowej beli. O tym krewnym zdała sprawę kiedy indziej.

M zawołał mnie do domu. W korytarzu było ciepło i pachniało prosto z kuchni. Dostałem chleb z serem i picie, czyli resztki ze śniadania. Czy to wszystko nie znaczyło, że M mnie polubił i mam szansę, żeby zostać z nim na zawsze? Nie mogłem się mylić, bo gdy patrzył w moją stronę, to miał bardzo uśmiechnięte oczy.

I nie mówił mi, że śmierdzą. Szybko zjadłem, a potem, na dworze, z ogromnej radości wytarzałem się w ponowie.

Moja radość prędko zbladła. Doszło do rozmowy z psem Szlagoniów. Nie wydawał się przyjazny.

Powiedzcie, jak może być przyjazne zwierzę, które wabi się Borygo? Taki pies w ogóle traci chęć do jakichkolwiek form współżycia społecznego, z wyjątkiem bijatyk albo wyzywania innych od najgorszych.

W dodatku Borygo wył czasami do księżyca. Nie dziwiłem się, że robi to, co robi, i zdarzało mi się nawet - proszę o wyrozumiałość - wyć z sąsiadem, chociaż nie był moim kumplem. M tego nie lubił.

Sublokator pani Kosakowej podłożył do pieca w piwnicy, pozmywał, pogadał przez moment ze szpakiem i przezornie zajrzał do szauerka. Kończyło się drewno, czyli pozostało samo grube. M udziobał tylko tyle, żeby wystarczyło gospodyni do obiadu, i obiecał sobie, że porąbie więcej po południu. Jak najprędzej musiał iść do lasu. Mówię, musiał!

Tym razem wziął plecak, niewielki, z Vancouver, taki na najpotrzebniejsze rzeczy. Ludzie zawsze noszą coś ze sobą. Uważają, że bez tego, bez różnych klamotów, nie poradzą sobie w życiu. Są wyjątki. Pani

Kosakowa prawie nigdy nic nie brała na wychodne, nawet klucza, najwyżej różaniec i chustkę, i portfelik do kościoła.

Ruszyliśmy naszym szlakiem, tym zaczynającym się za furtką w cieniu lasu.

Tak jak wcześniej (i jak później), uwodziły mnie cudowne wonie świeżych tropów, wszelako wiedziałem, że jeżeli bym pogonił jakieś zwierzę, nawet lisa albo kunę, no to umarł w butach, miałbym całkowity szlaban i nie mógł już nigdy wędrować po lasach w

towarzystwie pana M, na pewno. Dlatego, choć zwykle woń biegającego mięsa była wprost oszalamiająca, zwalczałem pokusę, aby nie pogrzebać spraw najbliższych sercu. Mówię o tym teraz i nie będę już powtarzać.

M zamierzał tego dnia połączyć trochę krócej, po pierwsze, z powodu pogody, a po drugie, przemęczenia i w ogóle. Trochę krócej, ale też na tyle długo, by przemyśleć pewne sprawy. Tego, co mu się myślało, nie uważał tego dnia za złom ciągnięty za ogonem, no, może z wyjątkiem obrazów pożaru pałacu, łazienki w szpitalu, listonosza na rowerze i nie-załatwionych spraw w urzędach.

Tak więc - idąc za pytaniem gospodyni - starał się wykombinować, jak to jest i jak to było, że na

Mokotowie mało brakowało, aby zgubił się na amen, a wśród drzew - inaczej, jakoś wiedział, jak ma trafić w różne miejsca, jakby w uchu miał busolę. Czyżby słyszał strony świata?

Rozważając owo zagadnienie, korzystał ze starych hipotez. Próbowaly one wytłumaczyć, skąd w człowieku, który po dwudziestu jeden latach wrócił z chmury, wzięło się pragnienie lasu. Kto jada orzechy, pamięta. Spośród tych teorii dwie, a nawet trzy zdawały się nadzwyczaj użyteczne. Znakomita orientacja M w przestrzeni mogła mieć uwarunkowania genetyczne lub też być zwyczajnym atawizmem. I nie było całkowicie wykluczone, że w mózgu chorego, który przespał długość psiego życia, doszło do incydentalnych zmian w układzie zwojów. I gotowe! Człowiek czuje, czego nie czuł, słyszy to, co niesłyszalne jest dla innych, a nie umie zapamiętać ceny chleba.

M nie skłaniał się wyraźnie ku żadnemu z przedstawionych tu wyjaśnień.

Wracał również do pytania zadanego przez dzieciary na zydlungach, czy naprawdę można ożyć, a jeżeli ktoś ożyje, no to co powinien z sobą zrobić. Przegadał już o tym siedemdziesiąt jeden godzin z J.

Bocianem, jednak widać, takie sprawy trzeba wciąż na nowo sobie przepowiadać - albo w duchu, albo na głos.

Zastanawiał się też nad tym, kto naprawdę go prowadzi, czy w ogóle jest ktoś taki, a jeżeli, to czy to jest Arfiel na motorze, czy raczej ktoś inny, kto przybiera cudzą postać i kto może kazać M położyć się w głębokiej wodzie bądź umyć się w ogniu. Tego nigdy nie wiadomo tak do końca. Tu trzeba uważać.

Pośród wszystkich tych niełatwych myśli, od czasu do czasu pojawiał się obraz. M widział wyraźnie twarz Marty, tej dziewczyny w czapce z reniferem. Po prostu ją widział i było mu przykro, że tak dziwnie się rozstali. Teraz doszedł z nią do strugi. Ona go doprowadziła.

Woda jeszcze nie zamarzła, zapewne dlatego, że płynęła nader wartko. Potok meandrował w dół po zboczu, pośród choin i kurdupłowatych buków. Wpadał do leśnego stawu pokrytego już warstewką lodu.

Ten bagienny staw, leżący w zagłębieniu między wzniesieniami, otaczały maszty sosen, gęste świerki i jałowce, wciąż nagie modrzewie i graby. Tu i ówdzie porastały go wysepki traw z

dzieciarnią brzoź i sosen. Brzozy, które ośmieliły się wyrastać z wysp na wodzie, młodo uschły. Suche były też wywroty - dwie potężne, obalone wiatrem jodły. Wyglądały jak pomosty dla wędkarzy amatorów - borsuka i lisa.

M zatrzymał się przy ujściu strugi do jeziora. Śnieg padał bez przerwy, absolutnie bezszelestnie, jakby wcale nie miał ciała. Słysząc było szmery wody, szelest sójki. Nikt nie ciskał błotem i nie warczał. Można było stać nad brzegiem, niczego nie szukać i na nic nie czekać. Ziemia, woda i powietrze brzmiały niemal idealnie. Mówię niemal, bo przeszkadzał jakiś szczegół, coś drobnego.

M zastygł bez ruchu, na czterdzieści siedem sekund, po czym podszedł do strumienia. Zdjął parę rękawic.

Przykucnął. Przemieścił w potoku trzy spore kamienie. Woda miała uścisk lodu, aż kruszyła kostki w dłoniach. Nawet nie wiem, czy to zauważył. Chwilę słuchał. Było lepiej, z tym że nadal nie tak doskonale jak na wieży, podczas tamtych siedmiu minut z sekundami.

Wytarł dłonie o nogawki kanadyjskich spodni i w skupieniu nadal nasłuchiwał. Po siedmiu sekundach wydobył z plecaka scyzoryk od boksera R. Solaka i podszedł do drzewa, które rosło za strumieniem.

Siedziałem jak trusia.

Ze starego świerka odpadała chora kora. M oczyścił pogryziony przez robale obszar pnia i wykonał trzy nacięcia. Tak samo jak wtedy, kiedy w puszczy przy parkanie DPS-u robił karby na topoli, zupełnie nie wiedział, dlaczego ciął właśnie trzy razy i dlaczego w tych, a nie w

innych miejscach. A potem uczynił coś jeszcze - rozdzielił konary dwóch stojących ramię w ramię kilkunastoletnich sosen. Nawet w tej bezwietrznej chwili drzewa ocierały się o siebie, odzierając skórę aż do kości. M odciągnął i ułożył ich gałęzie w taki sposób, aby nie stykały się ze sobą. Powrócił nad wodę.

Panowała wielka cisza.

To nie była cisza martwa, ale żywa.

To nie był brak dźwięków, ale ich zupełna zgoda.

To był pokój między żywiołami. Na zewnątrz i wewnątrz.

To była muzyka - dokładnie ta sama co kiedyś, na górze.

Przed niedzielą M narąbał sporo drewna. Odkrył przy tym, że mimo wszystko nie zapomniał, jak wywija się siekierą. Będąc dzieckiem, musiał łupać deski na rozpałkę do pieców i kuchni. Siekiera, jak niegdyś, trafiała gdzie trzeba. To było wspaniałe ćwiczenie dla ciała i ducha, dużo lepsze od treningów prowadzonych w smrodzie salki rehabilitanta J. Maciąga.

Rąbał drewno i w tym samym czasie snuł wspomnienia i bieżące rozważania o naturze świata i okolic. Dla swojego ucha. Pogadywał coraz częściej, nie tyll^b w dREWUTNI. O dziwnej ulicy pogrzebów w Warszawie opowiedział mi, pamiętam, kiedy szliśmy do Starego Jaru po pierwsze zakupy.

Potrzebował czegoś konkretnego na kolacje i śniadania. Dłużej już nie wypadało nadużywać dobrej woli i zapasów gospodyni.

Robienie sprawunków okazało się nie takie łatwe dla kogoś z zaświatów, kto ostatni raz kupował kostkę masła latem 1970 roku.

Wyraźnie zapomniał, jak się zachowuje i co mówi klient w sklepie, miał kłopot z pieniędzmi, bo te były całkiem inne, o ogromnych nominałach, a i same sklepy się zmieniły - wyglądały trochę jak we Francji w lipcu wspomnianego właśnie lata, kiedy M poleciał do Paryża samodzielnie zbudowanym odrzutowcem.

Na przekór trudnościom sublokator pani Kosakowej bardzo dzielnie sprawił się w spożywczym. Potem zyskał sławę wśród narodów jeszcze jednym aktem bohaterstwa. Zrobił to w blaszano-betonowym pawilonie pod przedziwnym szyldem: Market artykułów rolno-przemysłowych. Wszedł śmiało do środka i poprosił o nieduże radio na baterie (z możliwością podłączenia do kontaktu), nocną lampkę i przedłużacz.

Owszem, spociał się z emocji i zaciął przy mówieniu, ale takie rzeczy są normalne, kiedy człowiek dokonuje rzeczy wielkich.

Postanowił rzucić się na te luksusy, mimo że pieniądze z jego renty ledwo wystarczały na chleb z dżemem. Dzięki nowej lampce i odbiornikowi mógł na swym poddaszu czytać książki i słuchać muzyki całkowicie różnej od tej, jaką częstowali wszystkich Szlagoniowie, którzy wystawiali radio na podwórko. W muzyce puszczonej po zmroku szukał przede wszystkim tego, czego stale nasłuchiwał w lesie. Znajdował to rzadko. A gdy znalazł, prawie płakał - jak kot Tuchłów i pan Wirkus.

Przy okazji eskapady do Starego Jaru M zapisał się do biblioteki. Kierowniczka - pani Rena Osowicka - była ufna, co niestety wykorzystał kiedyś Grzebisz, nauczyciel, z tym że w całkowicie innej

sprawie, takiej bardziej damsko-męskiej. No więc pani Osowicka była ufna i wpisała M do kartoteki, mimo że ten nie miał z sobą dokumentu, a ona w ogóle nie знаła człowieka. Czytelnik-kandydat nie nosił dowodu, ponieważ nie nabrał nawyków osoby dorosłej. Pani Rena Osowicka pożyczyła M dwie pierwsze książki warunkowo. Na szczęście nie zawiódł. Oddał obie po tygodniu, nie zgubił, nie zniszczył, a w dodatku przyniósł dowód osobisty, jak wcześniej obiecał. Nie wszyscy mężczyźni łamią serca ufnych kobiet.

Jeszcze w sprawie biblioteki. Wybór książek, które M pożyczył jako pierwsze, wydał się R. Osowickiej trochę dziwny. Jedna z tych pozycji traktowała o gatunkach drzew liściastych, a ta druga o krzyżakach i cystersach.

Podczas zakupowo-bibliotecznych szaleństw w Starym Jarze M został schwyty. To nie tak, że narozrabiał i zgarnęła go policja. Pochwycono go inaczej - za pomocą spojrzeń i jęzorów. A zrobili to nie policjanci, tylko najwspanialszy specjaliści w obrabianiu innym tyłków, czyli panie pod sklepami - kolejcory, jak je nazywała gospodyni, i panowie w gumofilcach, furgonetkach i pojazdach osobowych trzymający dyżur koło knajpy. O mnie nie mówili prawie wcale, bo jak zwykle podczas wizyt w Starym Jarze nie afiszowałem się zanadto, nie rzucałem ludziom w oczy.

Co do M, to okazało się, że: a) przyjechał spod Radomia, b) rodzona matka porzuciła go w dzieciństwie na lotnisku, c) przybrany ojciec zamordował córkę siostry.

I te rzeczy.

- To je, pani, soma prawda! - zapewniała damy Irma Zając, bardzo gruba.

A panów zapewniał W. Sawczyn, że ten wypłosz siedział w wariatkowie, wypuścili go w wyniku jakichś kombinacji i przysłali do Nowego Jaru, żeby pozbyć się kłopotu z narkomanem.

- Zwyrrodnialca wpierniczyli do normalnych! - oświadczył W. Sawczyn, przy czym użył dużo mocniejszego czasownika.

- Dzisiaj szczury mogą łązić między ludźmi - wycedził A. Rehlich.

- Ja bym wiedział, jak załatwić całą sprawę - dał do zrozumienia Wiesław Sawczyn (znowu nie podaję jego wypowiedzi w pełnym brzmieniu).

Wśród rozmówców byli tacy, co przytakiwali z aprobatą obu panom, lecz byli i inni, którzy mieli wątpliwości co do przedstawionych tez i sądów. Ci milczeli. Nastawienie pierwszej grupy dyskutantów wydawało się dość bliskie temu, jakie mieli lokatorzy z piątki w DPS-ie. Mówię o pensjonariuszach, którzy nie znosili obecności kulawego, bardzo chcieli mu dowalić, może nawet zgładzić go w sekretny sposób. Z tym że dżentelmeni w DPS-ie mogli M naskoczyć i nagwizdać. Tymczasem W. Sawczyn i jego kolega A.

Rehlich mieli dużo większe doświadczenie oraz możliwości naskoczenia albo nagwizdania. Pies to czuje na kilometr.

M tym razem nie usłyszał żadnych rozmów prowadzonych za plecami i nie chwycił błysków spojrzeń. On w ogóle zauważył w Starym Jarze bardzo mało - przede wszystkim sprzedawczynie, obie

bardzo atrakcyjne i kobiece. Było mji cokolwiek głupio, że zagląda im w dekolty. Robił to co prawda tylko w myślach, mimo wszystko postępował nieprzystojnie. Ostatecznie czynił to bez oficjalnej zgody właścioiełek pięknych biustów.

Wracając do domu, M przez moment kombinował, czyby znowu nie pojawić się przed gankiem obrośniętym winoroślą - na podjeździe dla interesantów i Egona. Niestety, nie było żadnego bydłęcia, które można by uczynnie odprowadzić gospodarzom. M pokręcił się pod drogowskazem „Leśniczówka

0,1 km”, nasłuchiwał, czy ktoś nie wychodzi do ogrodu, no i w końcu zrezygnował. Pokuśtykał na zydlungi, pod dwunastkę.

A tam wydarzyło się coś niezwykłego. Otrzymałem zaproszenie! Niby krótkoterminowe, ale zawsze. M zapytał gospodynię, czy podczas tych mrozów pies mógłby nocować na chodniku w korytarzu. Gospodyni oznajmiła, że psisko nie kuzyn i ma siedzieć na podwórzu, żeby gonić dziada i łachmytę, a nie rozwarszawiać się po domu, wnosząc błoto, pchły i smrody. Tak mówiła na początku. Po godzinie trochę zmiękła, gdy zorientowała się, że zamarzył rezerwuar. Wtedy sublokator dostał zgodę na wpuszczanie mnie do domu tylko na noc.

- Ino nie za długo będzie tego zbytku, do pierwszej odwilży i fora - powiedziała gospodyni. - Psu należy uszykować budę, a nie łóżko z pierzynami.

M bardzo dziękował. I już tego dnia, właściwie nocy, spałem sobie pod wieszakiem z paltem pani

Kosakowej i zieloną kurtką jej sublokatora. Kto przez rok

wysypiał się na ziemi, ten rozumie, co to znaczy łaska ciepła. Kto tego nie zaznał, niech powstrzyma się od zabierania głosu.

Spałem dobrze, tylko miałem dziwne przebudzenie. Szpak pomylił moje futro z mchem lub porostami na pniu drzewa. Łaził po mnie i coś gadał. Nie dziabnąłem go, bo to dreptanie i skrobanie w kłębach sierści wydawało mi się bardzo miłe. Zresztą fajnie mieć kolegę, nawet jeśli jest nieduży i ma niskokaloryczny ptasi mózdzek.

Trochę później, podczas porannego mycia zębów, M powiedział mi, że przed zaśnięciem trafił go kolejny meteoryt. Zacytuję to, co zapamiętał ze zderzenia: „Naszym celem jest zbieranie błota i przechowywanie go w cielejących skórkach”.

Sublokator spod dwunastki chciał od razu iść na skargę - tak jak kiedyś, po walnięciu w ciemność w DPS-ie - lecz nadal nie wiedział do kogo. Poza tym to była niedziela i ten ktoś na pewno by nie urzędował.

*

Dziwię się, że M pamiętał rano o tym głupstwie - o meteorycie wbitym w ciemność - bowiem nocą miał przeżycia znacznie, znacznie istotniejsze, doświadczenia innej rangi. No cóż, tak to chyba jest, że w biednych głowach miesza się bez przerwy to, co błahe, z tym, co ważne, ładne z brzydkim, święte z byle jakim i tak dalej. Zresztą, dzieje się tak nie tylko w głowach, ale w kosmosie wirującym dookoła gwiazd człowieczych. Nawet pies to dobrze widzi, choć nie dysponuje wzrokiem uczonego ani nowoczesnym teleskopem.

Mam uzasadnione podejrzenie, że z soboty na niedzielę M brał

udział w festiwalu filmów pod pierzyną.

Seans był tak samo intensywny jak te, które odbywały się z wykorzystaniem konwertprojektora J.

Bociana.

M szedł lasem. Najwyraźniej także nocą nie zamierzał z tego rezygnować. Było widno, ciepło i bezśnieżnie. Wędrował beze mnie, pozostałem pod wieszakiem.

Co ciekawe, M nie kulał. Poza tym był sobą, ze wszystkimi zmartwieniami, pragnieniami, niepokojem i zachwytem. No na przykład wciąż dziękował Panu Bogu, że nie snuje się akurat Raławicką, Gagarina czy

Puławską. Raz nawet się wydarł ze szczęścia, że nie jest na Woli, na ulicy Leszno albo Czumy.

Najpierw włóczył się na dole, w młodym borze niedaleko domu, potem wlaź na zbocze pradoliny. Nie znał tam każdego drzewa po imieniu, lecz z wieloma zdążył się już zaprzyjaźnić w ciągu pierwszych dni wędrówek i znaczenia terytorium. Wśród zaprzyjaźnionych były dwa modrzewie. Teraz zauważył między nimi coś zdumiewającego - morski pejzaż.

Zacznijmy od tego, że na lewo i na prawo oraz z tyłu, między pniami wszystkich innych drzew na grzbiecie pradoliny widać było dalsze pnie, gałęzie, skrawki nieba, jakieś błyski polan, jak to w lesie. A pomiędzy modrzewiami o numerach bocznych 847.851 i 847.852 lśniło morze i piaszczysta, pusta plaża - gdzieś ze

139 metrów od sublokatora pani Kosakowej. M sprawdził raz

jeszcze, żeby mieć zupełną pewność. Z trzech stron - zieleń albo niebo. A przed nim - brzeg morza.

Aż usiadł. Na tyłku, jak kundel. Było to naprawdę niesłychane, bo M nigdy, ale to przenigdy nie rozkładał się na ziemi, nawet, proszę państwa, latem. Być może dlatego, że dowiedział się od swojej mamy - kiedyś, kiedyś - o znajomym, który w maju czy tam w kwietniu siedział, głupek, na kamieniu i potem był szpital - zapalenie czegoś w środku, cewnik w cewce i tak dalej. Straszne sprawy. M nie chciał kłopotów z gruczołem krokowym, pęcherzem i cewką. A tym razem jednak usiadł. Zapewne z wrażenia.

Spoglądał na fale. Docierały gdzieś tak do połowy szerokości plaży, a jedna - bosmańska - zapędziła się pod same wydmy. M patrzył i dumał. Przypomniało mu się, jak to latem 1970 roku znalazł się na moment na Wybrzeżu z siostrą Klarą z sanatorium prewentorium dla gruźlików-ast-matyków. Brylowali na sopockim molo i spotkali znanych piosenkarzy. A w tej chwili gapił się na fale sam jak palec. I dlatego więcej widział. No i bardzo dużo słyszał - chór morza i choin.

Po dwudziestu dwóch minutach z prawej strony kadru wszedł na plażę M. Goliński, przypomnę - listonosz. Prowadził swój rower, bo nie radził sobie z jazdą w grząskim piachu. Strasznie dyszał. Jeszcze bardziej się zasapał, kiedy zaczął wpychać rower ścieżką w górę wydmy i do lasu, tam, gdzie siedział M pomiędzy modrzewiami 847.851 a 847.852. To sapanie listonosza bardzo psuło śpiewy chóru.

M. Goliński wdrapał się na zbocze i przystanął przy

sublokatorze pani Kosakowej. Był zziębnięty, język zwisał mu do samej ramy rowerowej. Nie potrafił wyartykułować żadnej głoski, zwłaszcza tych zębowo-językowych (czy na odwrót). Dyszał, dyszał, w końcu zrezygnował z przemówienia i po prostu wyjął z torby list, i podał go adresatowi. Ten uprzejmie podziękował.

List był dziwny. Bez koperty i bez znaczka - samo pismo. M przeczytał tekst od razu, oczywiście w duchu, a nie na głos:

Drogi M!

Na przykład fala. Jest chwilową formą wielkiej wody, istnieje przez moment i rozplywa się na zawsze.

Ważne, co udało się jej wynieść na brzeg morza - kawałek bursztynu czy śmierdzące ścierwo śniętej ryby.

Z najserdeczniejszymi uściskami, Julian B.

Już mówiłem, list był dziwny. Rodził bardzo wiele pytań. Najważniejsze z nich związane były z jego treścią, choć intrygowały także inne: Gdzie został nadany? I kiedy? Czy J. Bocian zdążył go napisać przed inauguracją kina własnych filmów i Pałacu Jesiennego? Czy możliwe, by przesyłka szła pół roku? Jak dotarła tu, na północ, bez wskazania adresata i w dodatku bez ofrankowania?

Chciał zapytać o to listonosza, ale ten już ruszył z grzbietu skarpy. Jechał w dół, z rozpostartymi ramionami, tak jak lubił. Na dole wywalił się na bok, podźwignął, otrzepał i poczłapał w lewą stronę kadru, podmywany morską wodą.

Zamiast nowej pieśni chóru M usłyszał dzwonek telefonu.

Brzęczał z tyłu - nie na plaży, tylko w lesie - niezbyt głośno, z

tym że dokuczliwie i uparcie. M nie miał wyboru. Wstał, odwrócił się od głosu morza i wszedł między skrawki nieba, pnie, gałęzie, błyski polan, takie rzeczy.

Szukał uchem. Po minucie i sekundzie znalazł. Stał przed grubym dębem o numerze bocznym 695.271. W jego pniu widniały maskowane korą drzewiczki. M otworzył je i wypuścił impet dzwonka.

W dziupli skrywał się aparat z bakelitu, staroświecki, z obrotową tarczą nad cyframi, czarny, lśniący, bardzo ładny. Tylko szkoda, że tak brzęczał. M podniósł słuchawkę i przerwał dzwonienie. Wyrzekł eleganckie: „Halo”. Nikt się nie zgłosił, nie odpowiedział. M powtórzył głośniej: „Halo!”. I wtedy usłyszał muzykę, a właściwie nie muzykę, tylko pojedynczą nutę, ton doskonałego kamertonu.

Sublokator pani Kosakowej stał i słuchał. Trwało to mniej więcej dziesięć sekund. Potem, kiedy M odwiesił już słuchawkę, zamknął dziuplę i szedł ścieżką dzikich zwierząt, ten telefoniczny dźwięk wciąż pozostawał w jego ciele. Dzięki niemu mógł z łatwością stroić drzewa - bezimienne i te z imionami - a do tego ciemny strumień, wiatrołomy i wykroty, po kolei, wszystko, co nie brzmiało, jak powinno, co dudniło, nie współgrało między sobą, co prosiło się o łaskę pojednania z tonem z bakelitowego telefonu.

Nie musiał niczego nacinać, przesuwać, ustawiać - wystarczało, że dotykał lub potęrał. Czynił to zupełnie bez wysiłku, bez wahania, bez szukania wyjściowego dźwięku a-razkreślne i bez niepewności dalszych brzmień idealnego diapazonu.

Był tak pochłonięty tą robotą, że nie zauważył, kiedy wszedł w

głęboką ciszę. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nie musi już niczego więcej stroić. Różne barwy leśnych głosów zlały się w kompletną przezroczystość. M zatrzymał się, by nie zakłócać tego stanu szmerem ruchu.

Kilkanaście metrów dalej na zwalonej sośnie siedział człowiek. Siedział tyłem do sublokatora spod dwunastki, pochylał się lekko i wodził patykiem po ziemi. Ubrany był w rodzaj tuniki sięgającej aż do kostek. Na ramiona opadały mu splątane ciemne włosy. Przypominał bezdomnego a zarazem króla, samotnego władcę na wygnaniu, bez korony i bez armii.

M - podobnie jak stworzenia leśne, wodne i powietrzne - był onieśmielony obecnością bezdomnego króla. Stał i patrzył. Tym razem nie podam, ile trwało to, co robił, bo czas także się zagapił.

W osobliwym przygarbieniu siedzącego objawiała się powaga, nawet smutek. Im dłużej M patrzył, tym bardziej to widział i tym mocniej dziwił się nieznanemu, bo sam był radosny jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy jeździł rowerem na nowe lotnisko. Radość - teraz rzadkie i przelotne cudo w jego sercu - pochodziła z telefonicznego kamertonu i strojenia wiatrołomów i wykrotów.

Człowiek, rysujący coś na ziemi, odwrócił się lekko i spojrzał przez ramię. M rozpoznał go. Od razu.

Rozpoznał i zdębiał. Właśnie taki półz-dębiały podszedł do zwalonej sosny na odległość szeptu i zaczął się jąkać:

- Przepraszam...

Tamten czekał, patrząc ze spokojem. M zawahał się, czy mówić

dalej. Skoro już zdarzyło mu się to spotkanie, skoro mógł się zwrócić do monarchy bez korony i bez armii, to powinien był powiedzieć coś ważnego, coś naprawdę istotnego, zapytać o wszystko, co go tak głęboko nurtowało, a zapytał o coś dziwnego:

- Czemu nigdy się nie śmiejesz?

Nadal panowała wielka cisza, roztrącona lekko jego głosem.

- Ja właściwie nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek chociaż się uśmiechnął... - wymamrotał M, niepewnie, bo nie mógł dać głowy, że przeczytał z całkowitym zrozumieniem właściwe rozdziały tej księgi, którą zostawiła siostra Dominika.

Zapytany dźwignął się z siedziska na pniu drzewa. Stanął przed sublokatorom pani Kosakowej i przytulił go do siebie bardzo mocno.

M w ogóle przestał istnieć. To znaczy, on istniał, ale nie osobno w swojej skórze, nie oddzielnie od człowieka, który go otaczał ramionami, ani nie odrębnie od obejmującej ich zieleni.

Wrócił do istnienia osobnego, kiedy poczuł na policzku wilgoć. Potem na tunice bezdomnego ujrzał plamy. M widział, jak rosną, nasycają się czerwienią. I wówczas zrozumiał, że to ciało pod tkaniną i dusza pod ciałem są w istocie niegojącą się, otwartą raną. Odsunął się prędko, nie z odrazy, ale z lęku, że zadaje dodatkowy ból poranionemu.

Tamten stał przed M, bez słowa, i dawał odpowiedź.

*

Bardzo długo leżał z przymkniętymi powiekami. Potrzebował dużo czasu, by ułożyć sobie wydarzenia i emocje pulsujące jeszcze w

jego sercu. W końcu wstał, zapisał to, co zapamiętał z listu od Bociana, zszedł na dół, zamienił dwa słowa ze szpakiem, umył zęby i powiedział mi o pomieszaniu z poplątaniem w swojej głowie - wspominałem.

Po śniadaniu wybrał się pomału do kościoła w Starym Jarze. Pani Stanisława Kosakowa wyładowała się i wyszła znacznie wcześniej, jako że nie mogła jechać na rowerze. Dołączyła do niej H. Skórowa, bo to razem zawsze raźniej.

M kazał mi zostać. W porządku, zostałem, choć wiadomo, co sądziłem o tym niewpuszczaniu zwierząt do świątyni. No i okazało się, że są zwierzaki, którym wolno wejść za próg kościoła. M musiał to przyznać, kiedy zdawał mi relację z nabożeństwa.

Od wczesnego ranka trwała spowiedź. Dyżur miał sędziwy proboszcz Lewandowski. Przed konfesjonałem siedział - kto?, no właśnie - pies kurdupel, strasznie brzydki, choć dla księdza Antoniego najpiękniejszy w całym świecie. Ludzie we wsi już przyzwyczaili się do tego, że tłustawy Bąbel stara się nie odstępować swego pana na dwa kroki. Wprawdzie byli kiedyś tacy, co pisali w jego sprawie do biskupa, ale w końcu dali spokój.

W sumie, co takiego złego robił Bąbel? Przecież on nie podsłuchiwał, był za stary, żeby coś wyłapać z ludzkich szeptów. Czasem warknął, no i dobrze, bo w ten sposób budził księdza Antoniego, który łatwo tracił kontakt z otoczeniem. Bądźmy, proszę państwa, sprawiedliwi - Bąbel powarkiwał tylko na nielicznych. On wyczuwał, kto jest draniem i przychodzi do spowiedzi bez prawdziwej

skruchy i postanowienia, że naprawi, co spartaczył. W pewnym sensie przeprowadzał wstępny przesiew wśród grzeszników. Kto nie umiał wyzbyć się człowieczej pychy, szedł gdzie indziej.

Pies był przydatny szczególnie przed świętami, trzymał rygor, kiedy formowały się kolejki penitentów i niektórzy chcieliby się wcisnąć przed innymi. Zresztą nie zostawał na liturgii.

Zanim M zobaczył Bąbla przed konfesjonałem, postał chwilę przed kościołem, żeby się nacieszyć jego niebotyczną wieżą z ciemnej cegły. Wypatrzył ją kiedyś na kiepskawym czarno-białym zdjęciu w przewodniku z biblioteczki DPS-u. Wypatrzył i przepadł, już wiemy. W przyziemiu tej wieży znajdowała się zachodnia kruchta z kąpielnicą i klęcznikiem, a na pierwszej kondygnacji, na emporze rozłożyły się organy.

Wyjaśnię bez zwłoki, że pan organista H. Jarocho, bardzo chudy, żeby nie powiedzieć ^biedzony, zazwyczaj miał trudność z wcelowaniem już za pierwszym razem w odpowiednie klawisze manualów i pedału. Jak nie trafiał, to poprawiał aż do skutku, bo z natury był perfekcjonistą. H. Jarocho grał na trzeźwo, tylko że klawiszy było dużo, a on przeszedł ledwie roczne przeszkolenie, dawno temu. W sumie jakoś sobie radził. Trochę gorzej H. Jarocho śpiewał. Jeszcze gorzej śpiewał parafialny chór zdominowany przez rodzinę Pakizerów. Ryczeli tak strasznie, że Bąbel wył z bólu, chociaż podczas mszy przebywał na plebanii i - mówiłem - nie dosłyszał.

Nawę oraz prezbiterium ozdabiałały rzeźby i obrazy, które nie zostały wywiezione przez proboszcza

Corneliusa w styczniu 1945 roku ani zrabowane potem przez Sowietów, przede wszystkim dziewiętnastowieczne malowane stacje Męki Pańskiej. Najstarszy w kościele był krucyfiks z lipowego drewna. Umieszczono go na tarczy nad krawędzią prezbiterium. W prawej nawie, na konsoli, stała święta

Katarzyna z cierniową koroną na głowie, a w lewej błyszczała Maesta. Obraz trafił do kościoła w Starym

Jarze już po wojnie, jakimś całkowicie niepojętym cudem. Madonna z Dzieciątkiem zasiadała na wysokim tronie. Była tajemniczo uśmiechnięta. Na gotycko-złotym tle, jak na grubym płaszczu słońca, pofruwali aniołowie i klęczeli święci pańscy w aureolach i pokłonach. W pobliżu Maesty kryła się niewielka płaskorzeźba. Skamieniały święty Michał - patron tej świątyni - wbijał płomienisty miecz w rozwartą gardziel smoka. Archanioł był młody jak chłopcy z Powstania, ci na dawno wypłowiałych zdjęciach i ci, którzy pili kompot z mirabelek w Pałacu Jesiennym Juliana Bociana.

M usiadł na przedzie, w jednej z ławek z poduszkami. Przekonał się zaraz, że uczynił bardzo głupio.

Okazało się, że miejsca z wygodami są od wieków zarezerwowane. Przyszła gruba pani Neugebauer, obrzuciła M spojrzeniem właścicielki zagrabionych latyfundiów, no i musiał poddać się bez walki. Usiadł z boku. Przyszła pani Piłat z łysym mężem. I to samo. Usiadł cztery rzędy z tyłu. Przyszła drobna pani

Drywa, bez małżonka, bo ten nie żył, i już, proszę bardzo, do widzenia. Więcej nie próbował wtrzytnąć się na zasiedziane i wygrzane

stałe miejsca, zwłaszcza że mierzony był uważnym okiem ludu.

Lud reprezentowali przede wszystkim: Irma Zając i jej kумы, Arnold Rehlich - w kalesonach, które wychodziły mu z nogawek - oraz jego towarzysze w gumofilcach. Nie było wśród mężczyzn Wiesława

Sawczyna, bo ten nie uczęszczał do kościoła, miał powody. A poza tym spojierali w stronę przyjezdnego:

Danielewscy i Tuchlowie, Skowronkowie i dzieciaki od Lachów, oboje Lubińscy, Styczniowa, Osińscy, Szmaglińska i Wirkus, pani Stanisława Kosakowa i jej koleżanka H. Skórowa. Trochę później, przed kościołem, M rozpoznał jeszcze kilka innych osób: ufną panią z biblioteki, paru dżentelmenów spod gospody oraz pracowników punktu skupu. Jasne, że większości wiernych, którzy mu się przyglądali, M zupełnie nie kojarzył, no na przykład wójta Z. Błasiaka albo kościelnego Joachima Rucka z bardzo małą liczbą zębów, krewnego tych Rucków z osiedla.

Sublokator pani Kosakowej znalazł sobie w końcu miejsce na dość wąskiej ławce tuż pod ścianą. Mury nałykały się ostatnio mrozu i wionęły nim na ludzi, a ci wydychali kłęby pary. Było zimno, i to bardzo, ale kiedy do ołtarza wyszedł ksiądz wikary Raciborski, zrobiło się cieplej i o wiele, moi drodzy, jaśniej. Tego ciepła i jasności nie zgasiły nawet ryki ambitnego chóru Pakizerów i niecelne uderzenia H. Jarochoy. Nie zgasiły ich, jak mówię, dysonanse organowe i skowyty na emporze - bujające ozdobami ze sreber, styropianu i bibuły - a w dodatku nie uległy one przeraźliwym trzaskom damskich portfeli i

łoskotom spadających na posadzkę lasek, parasoli, a także kaszlowi, kichaniu i szuraniu mokrych butów.

Od ołtarza płynął całkowicie inny dźwięk, podobny do leśnego. Ton dobiegający z prezbiterium, chociaż cichy, zdawał się przenikać wszystkich wiernych, którzy się zanadto przed nim nie wzbraniali. Miało to poważne konsekwencje. Gęby i zacięte mordy różnych panów przemieniały się w zupełnie ludzkie twarze, kolejcory zyskiwały godność i wdzięk kobiet, przeklęte bachory stawały się dziećmi, wstrętne dziady mężczyznami, zawistnicy sąsiadami, wrogowie bliźniami, i tak dalej, i te sprawy.

Niby wydawało się, że nie ma żadnych szans na takie cuda, a tymczasem to się jednak, proszę państwa, działo. Co ciekawe, ksiądz wikary nie wyczyniał żadnych sztuczek i nie tańczył, nie jodłował, kazanie miał krótkie, na temat, o Bogu i ludziach, nie zawodził przy tym i nie wrzeszczał, patrzył wszystkim prosto w oczy i nie robił min, gdy mali ministranci pogubili się z dzwonkami po komunii.

M wyczuwał pewne pokrewieństwo między tym, co wydarzało się w kościele, a spotkaniem, które przeżył nocą w lesie. „Dobrze nam tu być” - usłyszał w głowie, lekko z tyłu. Przypomniało to puknięcie spadającą gwiazdą, tyle że te słowa pojawiły się od środka, a nie z zewnątrz. M próbował potem, już na dworze, zachować ich ciepło tak długo, jak umiał.

Koło drzwi wyjściowych ze świątyni zatrzymało go pytanie gospodyni:

- Coś ty, synelj tak tam ciekął przed mszą świętą z miejsca w

miejsce, juści z przodu, juści z tyłu?

Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawiła się Martyna Danielewska, żywe srebro. Chciała przybić piątkę ze znajomym znawcą spraw rycerskich i zakonnych. Chętnie przybił. Zaraz podbiegł komtur Łukasz od

Osińskich a tuż za nim młodzi Ladachowie i Lubińscy i przybili dalsze piątki. Pani Kosakowa się dziwiła, że dzieciaki takie śmiałe i w ogóle.

- Musi, one swoje czują - powiedziała.

- No jo, pani - potwierdziła H. Skórowa.

Rodziny rycerzy też dość miło przywitały się z przyjezdnym. Natomiast I. Zajac z kumami i A. Rehlich z wierną gwardią w gumońlcach spoglądali na przybłędę krzywym okiem. Widać, wiatr gwizdzący u stóp wieży musiał rozwiać w nich muzykę, która wypłynęła od ołtarza. Przy okazji trzeba stwierdzić, że zmieniła się pogoda na cieplejszą, z tym że mokrą.

Mimo wiatru i wilgoci przed kościołem zjawił się sprzedawca najpiękniejszych ozdób męskich Gino Lido

Collezioni, Wenecja-Mediolan - krawaty na każdą okazję i porę. Niestety, miejscowi panowie i panie wcale nie interesowali się asortymentem, unikali wzroku jegomościa przy trzykółce z brezentową budą i szeptali o głupocie takich z miasta, którzy myślą, że tu, na wsi, w gminnym sklepie Rychlikowej nie ma pięknych ubrań na niedzielę i dodatków.

- Będzie lepiej, inwestuję w zmiany świadomościowe! - zawołał

sprzedawca, kiedy spostrzegł znajomego z leśnej drogi.

Obrócił w powietrzu zielonym krawatem w plastiku i dodał:

- To co, rozkręcamy jakiś biznes?

M pozdrowił go z uśmiechem i odkrzyknął:

- Zobaczymy!

Powracał do domu samotnie. Pani Kosakowa i Skórowa pojechały z Osińskimi, którzy mieli wolne miejsca w polonezie. A dzieciaki gdzieś zniknęły z rodzicami, bez rodziców, wszystko jedno. W pobliżu jeziora M spotkał Szlagoniów i Rucków, którzy szli na mszę późniejszą, odprawianą przez proboszcza Antoniego.

Wymienili pozdrowienia. Przy znajomym drogowskazie „Leśniczówka 0,1 km” minął go czerwony passat kombi, rocznik 84. W środku siedział pan w paltocie leśniczego, młoda dama w czapce z reniferem i ktoś jeszcze. M chciał im pomachać, ale jakoś się krępował.

Czekałem na niego pod lasem. Sądzę, że ucieszył się na widok mego pyska. Podczas powitalnych skoków i karesów uwaląłem mu zimową, kanadyjską kurtkę, a on nawet nie pomstował. Zamiast na mnie krzyżeć, cicho spytał:

- Wabi, a ty wiesz, dlaczego tutaj jesteś?

No co miałem odpowiedzieć? Po prostu merdałem ogonem. I tyle.

*

Na niedzielny obiad była kura w dwóch odsłonach, bardzo pyszna - wiem, co mówię, bo i ja użyłem w kurzym rajku. Przy rosoli z

makaronem ponownie pojawił się kłopot z łyżkami. Wyginały się i wrywały w stronę okna. M trochę się dziwił.

- Tu się nie ma czym dziwować, a i lękać nie ma czego - zapewniała gospodyni. - Zapytałam dusz czyścicówych, czy to jakie znaki od nich, ich wołanie.

- No i?

- Eyii, gdzie tam! Diabeł też tu nie śpi, ja ci mówię, synek, bo bym czuła i złe rzeczy by się działy.

Rzeczywiście, nawet szpaczek nie przejawiał oznak niepokoju. Był wesoły i wciąż gadał.

- Ale to jest jednak osobliwe.

- Zaraz, synek, osobliwe - pani Kosakowa się zaśmiała.

I opowiedziała, jak to u nich się zdarzyło coś naprawdę dziwnego, chyba jeszcze za Bieruta. Lech

Firmanty wracał z łąki, bo szła burza. Był już we wsi, na gościńcu, a tu piorun strzelił go tak straszny, że nic z chłopca nie zostało. Odnaleźli tylko buty, zsunięte równiutko, że niejeden nie ustawił tak pod łóżkiem.

M bardzo nie lubił piorunów. Trochę się tą opowieścią zdenerwował. Gospodyni nie zauważyła jego miny i ciągnęła:

- I zasznurowane były oba. Takie cuda! Musi, Lech wyskoczył z nich czy wyparował - wyjaśniała gospodyni.

Po chwili dodała, że w tych butach nie spaliły się zelówki ani przy-szwy, nawet nie cuchnęły spalenizną, niczym nowe. A że nikt z rodziny nieboszczyka ich nie zabrał, to wziął je Kapusta. Tadeusz. I to

jeszcze długo, długo w nich pochodził, aż do Gierka, no bo jak się obstaluje coś droższego i lepszego, to posłuży człowiekowi całe lata.

Rzeczywiście, opisana przy rosole sprawa z Kieleckiego wydawała się niezwykła. Osobliwa. Co nie znaczy, że te tańce łyżek w Nowym Jarze były przez to mniej zdumiewające.

M zostawił sobie rozważania nad łyżkami na zupełnie inną porę. Za to po południu, kiedy wybraliśmy się do lasu, znowu włókł za sobą ogon z uwiązany doń żelastwem paru pytań:

1.

Dlaczego niektórzy miejscowi tak nachalnie mu się przyglądają?

2.

Czy nie warto by nareszcie pójść do gminy, żeby się zameldować i różne takie?

3.

Co go tak ostatnio pobolewa w dolnych partiach i czy w związku z tym nie grozi mu cewnikowanie?

4.

Czy to jest w porządku, że ludzie pracują (w tym nieletni Ladachowie), a on tylko sobie łązi, nawet jeśli był stuknięty zdrowo w czaszkę i uznano go za inwalidę?

Włókł ten złom przez całą puszcę, kawał drogi, aż do miejsca, gdzie interweniowałem. Uczyniłem to, bo pojawiła się realna sprawa, a nie jakaś puszka przy ogonie. Dałem M wyraźne znaki, żeby poszedł za mną, i to prędko. Chociaż brakowało mu tresury i miał prawo nie rozumieć mych poleceń, poszedł.

Prowadziłem go zamaskowanym białym duktem, a ten doprowadził do polany.

Miejsce było nie z tej ziemi. Otaczały je modrzewie, gigantyczne, pewnie dwustuletnie albo starsze. W ich sąsiedztwie, bliżej drogi, rosły dęby, parę rosochatych lip i młode buki. Dalej, za bezlistnym towarzystwem, stały zwarte ściany świerków, grupy sosen i jałowców. Gdyby komuś chciało się pokopać, to spod śniegu na polanie wychynęłyby uśpione krzaki wrzosów. Nie kopałem, bo musiałem się ukrywać, żeby nie wystraszyć pewnej pani.

Sublokator spod dwunastki spostrzegł ją po drugiej stronie, w osłoniętym iglakami kącie. Tak, to była

Marta Bernatowicz, ta od chorych ptaków i Egona. Rzeźbiła coś w śniegu. M zatrzymał się przy dębie, ze dwadzieścia metrów od niej. Zobaczyła go, a może usłyszała, i aż się cofnęła za krzaki jałowca.

Szumiało mu w uszach. Z przejęcia. Właściwie chciał uciec, a jednak zawołał:

- To pani... Dzień dobry!

- Dzień dobry.

Miał wrażenie, że się bała. Czyli kiepsko wystartował.

- Lepiej pójdę...

- Widzieliśmy się już dzisiaj - zagadnęła, jakby wcale jej nie zależało, żeby zaraz sobie poszedł.

- Państwo chyba jechaliście czerwonym passatem? - udawał naiwnie, że dopiero teraz coś kojarzy, przy czym mocno się zacinał, tak jak kiedyś.

- A pan maszerował na zydlungu.

- Wracalem z kościoła.

- No to słyszał pan naszego organistę i chór parafialny Pakizerów?

- Tak, słyszałem. Mocne głosy.

M dostrzegł jej uśmiech. Z daleka. Zapewne dlatego przekroczył polanę i zatrzymał się o wiele bliżej

Marty. A ona od razu rzuciła:

- Niech pan się nie gniewa, że tak się rozryczałam i zviałam.

Wtedy, u nas.

- Konstytucja gwarantuje pani prawo do śmiechu i płaczu.

- Naprawdę? To dobrze.

- Mam nadzieję, że co złe, minęło.

- Nie minęło.

Pojawiłem się na horyzoncie, jako że nadeszła moja pora, a dziewczyna, hop, schowała się za kawalerem jak wcześniej za krzakiem.

- To mój pies! - zawołał M. - Nie gryzie.

Podbiegłem ciut bliżej. Pracowałem całym ciałem, najbardziej ogonem. Jestem pewien, że mnie zrozumiała. W każdym razie wysunęła się zza pleców M i rzekła:

- Cudna morda!

Chciałem ją serdecznie ucałować w same usta, ale powstrzymałem odruch serca, bo wiedziałem, że kobiety nie od razu są gotowe na czułości. Oblizane, wycierają się i pluja.

- Jak się wabi? - zapytała.

- Wabi.

- Poważnie? To fajnie!

Chwilę potem, kiedy dotykała mojej sierści, nie umiała się powstrzymać, żeby nie wyskoczyć z dobrą radą:

- Chyba warto go wykąpać.

M nie przyszło to do głowy ani razu. Widział sprawę z innej strony:

- Utraci zapach i nie poznam go po ciemku.

Marta znów się uśmiechnęła.

- Zawsze wędrujecie razem?

- Prawie zawsze - M pogłaskał mnie po karku. - Właściwie od chwili, gdy wylądowałem w Nowym Jarze.

- A co pana tu przyгнаło?

- To trudno wyjaśnić - odrzekł sublokator spod dwunastki.

Co miał odpowiedzieć, dziwak jeden? Wiedział, że nie może zdradzić swych sekretów bez ryzyka narażenia się na kpiny. I na nowe nieporozumienia. Nauczył się tego w szpitalu i w kontaktach z niektórymi pensjonariuszami DPS-u.

- Nie przyjechał pan, by podkurować się jak nasze ptaki?

- Te na dożywociu?

- Nie! Te, które wypuszczamy.

M zrobiło się gorąco.

- Pani chyba orientuje się, co było ze mną - zaczął jąkać się o

wiele mocniej niż poprzednio.

Marta prędko zrozumiała, że ten temat nie jest neutralny.

- Odwiedziła nas znajoma ojca. Pracuje w urzędzie. Trochę nam opowiadała... że miał pan wypadek, dosyć dawno temu.

- A potem leżałem jak bela w szpitalu. Mówiła?

- Mówiła.

- Czyli wszyscy wszystko wiedzą.

- Wiedzą tylko to, co chcą, nic więcej. Poza tym są ślepi i głusi!

- sama się zdumiała tym wybuchem.

Musiałem zaszczekać, żeby opanować trochę sytuację. M zareagował, tak jak trzeba:

- A mogę zapytać, co pani porabia?

Przez chwilę milczała.

- Spełniam swoje obowiązki. Właściwie to wszystko.

- Rozumiem - wydukał.

Ale co on mógł zrozumieć?

- Zeszłej zimy zmarła mama - Marta powiedziała to właściwie mimowolnie, a potem już poszło. - Ktoś musi prowadzić nasz dom... i tak dalej. Ojciec tego nie potrafi. Zresztą on jest pochłonięty lasem, a u nas zajmuje się tylko pszczołami, ogrodem i sadem, wiadomo - nie teraz, od wiosny. No i opiekuje się ptakami.

- Wtedy, koło klatki z gołębiarzem, kiedy pani napomknęła o przyjeździe, myślałem, że pani wróciła z daleka - M wymówił wszystko bardzo ładnie, z nieznacznym jękaniem w rzadko używanym słowie napomknęła.

- Nie, pozałatwiałam kilka spraw i tyle. Nie mogę wyjeżdżać na dłużej, muszę być przy mojej siostrze.

- Dlaczego?

- Kłopoty - rysowała czubkiem buta w śniegu. - Tak na co dzień ledwie mogę wyrwać się do lasu przy jeziorze, koło domu. Tylko niech pan nie zrozumie tego jakoś źle, że ja marudzę czy narzekam!

- Nic takiego nie...

- W porządku - nareszcie przestała zajmować się śniegiem. - Dziś dostałam dłuższy urlop, trzy bite godziny, no i zaraz tu przybiegłam - rozejrzała się wokoło. - Szkoda, że polana jest daleko od nas, bo w tym miejscu człowiek jakoś odzyskuje siły, równowagę, spokój myśli. Ludzie nazywają je Polaną

Apostołów. To od tych dwunastu przepięknych modrzewi - powiodła spojrzeniem po najwyższych drzewach w okolicy.

Dopiero w tej chwili usłyszał, co powinien był usłyszeć dużo wcześniej. Dotąd żadna część starego lasu nie grała mu w uchu tak dobrze. Tu nie było czego stroić. Modrzewie, choć gołe, bez zieleni miękkich igieł, miały w sobie coś z owego dźwięku, jaki M otrzymał we śnie.

- Czy ja pani nie przerwałem ważnego spotkania...? - zapytał niepewnie.

Przez moment nie mogła zrozumieć, o czym on w ogóle mówi.

- Z kim? Może ze Stwórcą? - rzuciła. - Proszę pana, tam jest pusto - wymierzyła palcem w niebo - a tutaj przynajmniej są drzewa.

M z lekka zatkało. Przełknął korek i wyszeptał:

- Jeżeli to prawda, to dlaczego dzisiaj...

- Czemu pojechałam do kościoła?

Skinął głową.

- Ze względu na siostrę i ojca.

- A kiedyś bywało inaczej?

- Być może. Ale z czasem stałam się zupełnie obojętna na iluzje i odporna na metafizykę.

Oboje umilkli.

Musiałem znów działać, bowiem sprawa mogła się zakończyć, zanim jeszcze się zaczęła. Więc zrobiłem to, co następuje: położyłem pysk na śniegu, podkuliłem przednie łapy i młócąc tylnymi, jałem sunąć po polanie jak amfibia, śnieżny statek, coś w tym stylu. Ze sterzącym w górę zadem jeździłem z prędkością torpedy, co chwila zmieniając kierunek, robiąc pętle i zygzaki, rysując przekątne, promienie i łuki. Jaki był sens w tej głupocie? Nie wiem. Śmigiałem i tyle.

Marta przyglądała mi się ze zdumieniem.

- Co on robi? - wybąkała.

- Wabi, proszę jfani, płuży - M pozbierał się dość prędko po kiepskich sekundach rozmowy. - naciera się zapachem śniegu. Pani wie, że w absolutnej śnieżnej bezwonności zawiera się cała paleta zapachów? Nasycone białą wonią zwierzę, może potem ją rozkładać na części składowe, czyli wydobywać sobie z sierści, co tylko zamarzy: zapachy smażonych kotletów, narzędzi w garażu, najpiękniejszych samic w okolicy, benzyny lotniczej, brzożowego

ognia w szporze, letnich tropów kuny albo lisa, starych butów i tak dalej...

To nie było wcale takie śmieszne, tymczasem dziewczyna zaczęła się chichrać. Ona chyba miała w sobie ogromną tęsknotę za śmiechem. Tak jej się nagromadziła i była pod takim ciśnieniem, że teraz wystarczył psi wygłup, trzy słowa bez sensu i wszystko wybuchło. I dobrze. Z tym że M się lekko zdumiał tą reakcją.

Nawet zaczął popatrywać, czy się nie opluł i czy ma zapięte skromnie spodnie.

Najważniejsze, że spotkanie nie skończyło się na nowo płaczem. Dostatecznie dobry efekt.

- Muszę iść. Przepraszam - M zrozumiał, że wypada się pożegnać, bo zanadto się zagalopował. - Do widzenia.

- Tylko niech pan się nie zgubi! - nadal miała roześmiane oczy.

- Będę orientował się na tę polanę - odpowiedział i pokulał na południe.

Biegałem z radości. Ganiałem jak wariat.

W poniedziałek doszło do wybuchu. Właściwie ten wybuch trwał przez cały tydzień po niedzieli ze spotkaniem z córką leśniczego K. Bernatowicza. To eksplodowała oczywiście wiosna. Grzało słońce.

Stopniał śnieg i obudziły się zapachy. Nad leśnymi jeziorkami, po zgniecionych zimą trawach stąpały żurawie ogromne jak strusie. Wołały tak głośno, że ich klangor niósł się całe kilometry nad drzewami.

Do tej pory M nie słyszał żadnych ptaków. Mówiąc

precyzyjniej, trochę słyszał, ale nie tak, żeby je porządnie zauważyć, z wyjątkiem dzięciołów i czapli. Być może milczały - ze smutku i zimna. Teraz otworzyły im się dzioby i szalały, orkiestrując las na własną modłę. Wkrótce rozpoczęły się skrzekliwe żabie gody, głównie na zalewie nieopodal leśniczówki.

Wybuch wstrząsnął całą ziemią w pradolinie rzeki Wisły i zrobiło się fenomenalnie. Pomstowali tylko alergicy. Byli również tacy, którzy narzekali na wiosenne przemęczenie, przedłużony czas reakcji, obniżoną zdolność koncentracji, nasilanie się objawów chorób serca i krążenia i zwiększoną liczbę zgonów wśród znajomych. Wszystko to przez prędkie przechodzenie organizmu ze spokoju zimowego w stan wiosennej aktywności. Wuj mi mówił. Nie będę rozprawiał o promieniowaniu ultrafioletowym, przysadce mózgowej ani zaburzonej równowadze hormonalnej - szkoda nerwów, proszę wierzyć.

M też zdawał się zmęczony, zdekoncentrowany, napromieniowany, zaburzony, ale wcale nie narzekał.

Wręcz przeciwnie, chwalił Boga, że pozwala mu wędrować pośród sosen, a nie siedzieć w smrodzie poczekalni na Centralnym albo kuleć na Grójeckiej, róg Wawelskiej. A najbardziej cieszył się, że nie butwieje z rurką w ustach i z odleżynami śmierdzącymi na kilometr.

W tym pierwszym wiosennym tygodniu, we wtorek, M obudził się przed piątą i był całkowicie przekonany, że za chwilę będzie musiał iść do szkoły. Dławił się poranną kluchą strachu jeszcze

bardziej niż przed laty, kiedy wlokąc się na lekcje, robił w majty, jakby prowadzili go na szubienicę. Na szczęście, o świcie świerk rozśpiewał się w duecie z kosem i odegnał fantazmaty. Tak więc nie groziły M apele, jatki w klasach ani przesłuchania w gabinecie dyrektorki, co nie znaczy, że w ogóle był bezpieczny. Wzywał go powszechny obowiązek meldunkowy.

Urząd gminy w Starym Jarze mieścił się w budynku z metalową chorągiewką, która obracała się na wietrze i skrzypiała. Niepotrzebny był subtelny węch ogara, aby wyczuć, że panował tam okropny smród stę-chlizny i skarpetek elastycznych ze ściągaczem. Nie trzeba było wzroku rybołowa, by zobaczyć śliskie meble z lat osiemdziesiątych, fusy w szklankach, damskie plastikowe kapcie z kokardami, oberwane klamki, obwieszczenia z wykrzyknikiem, wyliniałe wykładziny, paprotki w agonii, urzędniczki z pazurami i pęknięte umywalki z zaciekami.

Sublokator spod dwunastki znał te smrody i widoki z dawnych czasów, sprzed powrotu, i dlatego chciał się schować, ale natknął się na C. Pikulską.

C. Pikulska go poznała. Była oschła. Jakaś taka obrażona. Wyrzucała M, że zjawił się za późno, ostatecznie są przepisy, on nie robi tu nikomu żadnej łaski. Zostawiła go na korytarzu. Musiał siedzieć, długo czekać i opanowywać przykrą czkawkę. Naturalnie nie wpychałem się do biur urzędu gminy, zatem radził sobie sam, bez opiekuna.

Warto dodać, że gdy tkwił na ławce w korytarzu, pośród

gadatliwych chłopów z kaszkietami i czapami w twardych dłoniach, zauważył, że do wójta wprowadzono gościa z zagranicy. Z honorami. M był bystry i domyślił się, że przybysz jest ze Szwecji. A domyślił się, dlatego że przez okno spostrzegł srebrne volvo z charakterystyczną rejestracją, bardzo piękne pięknem odrzutowych samolotów wielozadaniowych albo rakiet. Sublokator pani Kosakowej samoloty kochał nadal.

Urzędniczka C. Pikulska wysunęła wreszcie pyszczek z nory, oddała M dowód z wpisanym meldunkiem i jakieś papiery - skierowanie oraz informacje dla ośrodka zdrowia, coś w tym stylu, takie sprawy.

Podziękował i dał dyla. Absolutnie nie zamierzał zgłaszać się w ośrodku. Poza tym specjalnie nadrobił z kilometr, żeby tylko nie przechodzić koło szkoły.

Od tej pory starał się możliwie jak najrzadziej bywać w gminnej metropolii, najwyżej w niedzielę i święta.

Co do dni powszednich, to zdarzało mu się wpaść do biblioteki, spożywczego lub apteki, z tym że czynił to oszczędnie, w sytuacji wyższej konieczności.

No właśnie - apteka. M musiał zawrócić spod lasu, bo zapomniał - mimo stałych ćwiczeń umysłowych - kupić gospodyni duże plastry i sól emską. No więc wrócił.

Wszedł do środka, powiedział dzień dobry i zająknął się przy drugim słowie, bowiem natknął się na Martę Bernatowicz. Kupowała masę różnych rzeczy: całe torby opatrunków, strzykawki, lekarstwa i

coś tam.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Dzień dobry - rzuciła i dodała szeptem do magister Wandy Rajskiej:

- Czyli w piątek?

- Jeżeli dostanę już w czwartek, zadzwonię - odparła magister.

- Dziękuję.

Dziewczyna zaczęła się zbierać.

- Pomogę - M zaofiarował swoją pomoc i podniósł z podłogi pudełko witamin.

- Nie trzeba - odparła. - Ja sobie poradzę. Tata mnie odbierze samochodem.

Użerała się nerwowo z klamotami, a M patrzył, jakby pierwszy raz ją widział. Być może dlatego, że zobaczył ją bez czapki, bez zimowej kurtki, w dodatku okropnie zmieszaną. Była niebywale szczupła. Jej skóra na szyi i rękach miała złoty odcień lata. Ciemne włosy aż prosiły się o dotyk.

Kiedy już zebrała wszystkie torby i ruszyła w stronę drzwi, szepnęła:

- Ja przepraszam. Do widzenia.

Niby nic, pospieszne wyminięcie się znajomych, a zrobiło mu się przykro. Właściwie dlaczego? Co w tym złego, że dziewczyna nie chciała go prosić o pomoc i prawie uciekła? Czy to nie są te humory młodych kobiet? Oczywiście przyszła mu od razu na myśl pielęgniarka Anna Wilkosz, niebywale atrakcyjna. I od razu wyrósł

mu paskudny koci ogon z uwiązany doń żelastwem.

Całe to włóczenie przykrych myśli i emocji, które rozpoczęło się w aptece, trwało, gdy kuśtykał drogą między lasem a jeziorem, i ciągnęło się, gdy zjadał barszcz z zaskwarzonymi ziemniakami, rąbał drewno, przekopywał grządki blisko płotu i czytał u siebie, na górze, przy muzyce z miniradia, jakieś książki historyczne, biologiczne i opowieść o człowieku, który stracił rozum w dżungli. Skończyło się wnioskiem, że dziewczynę odstręczyły te głupoty, które gadał na Polanie Apostołów. Dodatkowy wniosek brzmiał następująco: musi strzec się i uważać, żeby znowu nie bolało, i to jeszcze bardziej niż w szpitalu, w DPS-ie i tak dalej.

Na szczęście, w życiu mego przyjaciela były też powody do radości. Dla przykładu: nie odczuwał już ucisku w dolnych partiach, czyli nie groziło mu cewnikowanie, a w sobotę gospodyni zładowała groch z kapustą i M szalał, razem ze mną, który otrzymałem dodatkowo świńską kość z resztkami mięsa. Szaleliśmy obaj w zachwyceniu. Potem puszczaaliśmy mocne bąki, jako że na świecie wszelka wzniosłość miesza się z pospolitością, wielka sztuka z fizjologią - oto jedna z tych nielicznych rzeczy, jakie wiemy.

Poza tym Knafflowie zza płotu pogodzili się z Tuchlami.

Stary Knaffel, ten kulawy, i małżonka jego, malująca wszystko na niebiesko w białe cętki, najpierw strasznie się zdenerwowali. A to było tak, że kiedy wreszcie przyszła wiosna, kiedy wyroiły się robaki i żdźbła trawy, w ogrodzie Knafflowiej zjawily się kury. Z tym że kury były Tuchłów. Knafflowa się wściekła. A najbardziej, proszę państwa,

wtedy, kiedy jej rodzony mąż przypadkiem odkrył nielegalną furtkę w płocie, zrobioną przebiegle pod osłoną ciemnej nocy i zamaskowaną jakąś dechą - taką furtkę, żeby kury mogły sobie łatwo i niepostrzeżenie wchodzić do ogrodu Knaffłów, za ich domem. Ogród ten - niedotykany ludzką ręką, latem zarośnięty niczym dżungla - słynął w całej okolicy, zwłaszcza w kręgach osiedlowych dzieci, które były przekonane, że mieszkają tam pytony. Kury też ceniły sobie tanto miejsce i niczego się nie bały.

Popępiały przy tym duży błąd, bo p. Konradek celnie rzucał kamieniami.

Były krzyki, wygrażania, wyganiane kurzych okupantów, szczucie Perłą, obietnice krwawej zemsty, drutowanie tajnej furtki. Na dodatek Knaffel spuścił spodnie i się wypiął. I wtedy - o cudzie! - choć zdawało się, że Tuchłów[^] odpowiedzą zmasowanym ogniem z wielu armat, wyleją gnojówkę czy coś tam, niespodzianie zapanował pokój. To wszystko dlatego, że Truda Tuchłowa, przewodniczka kilkupokoleniowego stada, rozmawiała wcześniej z naszą gospodynią, a ta coś jej klarowała. No i stało się, że zamiast węża i skorpiona Tuchłowa podała Knafflowej pięć jajek. I przepięknie powiedziała:

- Co my sze tam moma klóczicz? Zbliżajo sze szwienta, weż pani te jaja, to je sobie pani pomalujysz na nebesko w biały kropki.

Tak zapanowało odprężenie, obustronne zawieszenie broni, z przymykaniem oka na wycieczki kur

Tuchłowych do ogrodu i z okazjonalnym podrzucaniem Knaffłom paru jajek.

Mniej więcej w tym czasie udało się także zażegnać dość poważny konflikt zbrojny na granicy z Kujawami.

Tam zaczęło się od tego, że krzyżacy w swojej bucie zaatakowali polski gród Ladachów. Wywiązała się zacięta bitwa niedaleko bramki na posesję pani Kosakowej. A że M akurat wracał z jeziora, to dołączył. Brzydził się powszechną znieczulicą, postanowił działać, być pomocny.

Posłużył za konia. Walczył na nim drobny rycerz z kucykami ze sławnego rodu Danielewskich. To natychmiast wywołało protest przeciwników. Martyna wrzasnęła, żeby już zamknęli brudne mordy, że dobra, w porządku, ona potem pójdzie do niewoli. Poszła, tak jak obiecała, a zdobyczny rumak służył

Mariuszowi od Ladachów. Koń należał się Justynie, to znaczy dowódcy, ale Ladachówna się wstydziła być wożona przez obcego i w dodatku dorosłego. Po sześciu minutach bitwa wypaliła się i zgasła, jako że wierzchowiec dziwnie wierzgał i walczący pokładali się ze śmiechu. Tu warto zaznaczyć, że rycerz leżący na ziemi to rycerz bezradny.

Sceny te obserwowała bardzo silna Rena Szlagoniowa. Uważała, żeby M nie zrobił czegoś złego jej wnuczkom albo innym małoletnim, bo mówili we wsi tacy, którzy wiedzą, przede wszystkim Irma Zając, że to może być zboczenie. Szlagoniowa trwała w gotowości do natarcia. Okazało się, że nie musiała walić piąchą, bo ten M nie zachowywał się paskudnie.

Jednak absolutnie najwspanialsza sprawa wydarzyła się na ósmy

dzień po rejteradzie śnieżnej zimy.

Najpierw pani Kosakowa niby zapomniała o regulaminie i sypiałem nadal pod jej dachem, mimo że ustały ostre mrozy. Byłem cichy, bezszelestny, niewidzialny. Nocowałem na poddaszu, żeby pozostawać jak najdalej od domowych ścieżek gospodyni. Wszakże w końcu ona już musiała coś powiedzieć.

- A ten dalej smrody, pchły przynosi z dworu, gułaj jeden.

I wiecie, co wtedy się stało? Usiadł na mnie szpak i zaczął się domagać:

- Tutaj, tutaj, tutaj!

No i pani Kosakowa się poddała. Tylko przykazała mnie wykąpać i zaszczepić. M bardzo dziękował i obiecał spełnić jej życzenia.

- W komórce jest bomba na wodę - poinformowała gospodyni.

M był absolutnie przekonany, że znów huknął go kosmiczny kamień.

*

Bomba okazała się prawdziwa. M odnalazł ją niedługo po rozmowie z gospodynią, a pomogły mu w tym łyżki.

Dziesięć minut po wydaniu zgody na drugiego lokatora pani Stanisława Kosakowa pojechała na rowerze w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Zostawiła obiad w garnkach - ino wstawić na gorącą blachę i gotowe.

Przed pierwszą w południe M rozpałił ogień w szporze, podgrzał sobie barszcz, ziemniaki, zaczął jeść i z miejsca się zaczęło.

Łyżki wcale nie szalały, proszę państwa, co dzień. Robiły to tylko od czasu do czasu, tak jak M nie zawsze słyszał brzmienia rzeczy, miejsc i ludzi. Tego dnia akurat tak wypadło, że znów były wyginania, wyprężania się i dziwne tańce. M poszedł na całość. Chciał wreszcie zrozumieć, o co tutaj, kurde, chodzi.

Wyjął pozostałe sztuce gospodyni, żeby przeprowadzić naukową obserwację, może nawet eksperyment.

Łyżeczki, widelce i noże - z innego kompletu niż łyżki stołowe - wydawały się spokojne. Za to wszystkie stare łychy swawoliły, za wyjątkiem jednej, takiej nowszej. Wyrywały się jak ptaki - na podwórko - bardzo mocno.

Trzeba było zamknąć szpaka w przedpokoju. M nie słuchał jego pyskowania i otworzył okno w kuchni.

Łyżki zaraz się wygięły jeszcze mocniej i ciągnęły eksperymentatora na dwór. Proszę bardzo, przelazł przez parapet. Pociągnięty został dalej, w stronę szopy.

Mowa tu o szopie z grubych desek, a nie tej ceglanej, gdzie M rąbał drewno do kuchenki. Jakoś nigdy wcześniej tam nie zajrzał, chociaż czasem dochodziły stamtąd dziwne gwary. Wyjął skobel w drzwiach i wszedł do środka, w przetykany pasemkami światła półmrok. Łyżki wysmyknęły mu się z dłoni i śmignęły w stronę kosza w rogu pomieszczenia. M usłyszał brzęk radości. Na ten sygnał rozgadało się dokoła wiele innych osobliwych sprzętów. J

Kiedy jego wzrok już przywykł do półmroku, M rozpoznał - oblepione kurzem, odchodami nocnych zwierząt, przerdzewiałe i

zmarniałe - trzy imadła, stół kowalski z metalowym rantem, dwa kowadła, gwoździak do wykonywania ćwieków, śrubstag, w którym gwintowało się hacele, duży stos surowca żelaznego, to znaczy sztabiki z Ostrowca, z huty pod wezwaniem M. Nowotki, ostrzak (taki kamień pokręcany korbą), dmuchawę, taboret z szufladą na narzędzia i drobiazgi, trójnóg do przytrzymywania końskiej nogi podczas okuwania, cęgi rozmaitej masy i długości, ciesiołkę pomocną przy wyrobie trzonków siekier, a także gotowe obręcze, hacele, hufnale, podkowy, lemieszce, siekiery i bogaty wybór młotków.

Rozpoznał te rzeczy, bowiem znał je z opowieści gospodyni o mężowej kuźni w Świętokrzyskiem, o kuciu na ostro na zimę, o opiłkach, jakie co dzień wyciągała chłopu z oczu, i w ogóle o tym, jak to żyło się pomiędzy ogniem pod saganem z ziemniakami a tym, w którym rozżarzały się podkowy. Teraz przypomniało mu się to i owo z barwnych wspomnień pani Kosakowej, chociaż zwykle słuchał jej, aż przykro wyznać, bez skupienia, rozmyślając o czymś innym.

Całe to żelastwo w szopie pytlowało jak najęte, a najgłośniej łyżki w koszu. M podszedł krok bliżej i zobaczył w jego wnętrzu stare noże i widelce. Wtulone w ich sztywne objęcia spoczywały duże łychy, te, co go przywiodły tutaj z kuchni. Wyglądały na uspokojone i, co więcej, dobrze brzmiały.

Nareszcie zrozumiał: do tej pory - oderwane od swych bliskich - wyginały się z tęsknoty. Kiedyś ktoś rozdzielił je od mężów, zapewne dlatego że widelce były połamane i szczerbate, noże - tępe i okropnie poczerniałe, a łyżki stołowe - jak robotne wiejskie baby - nadal

zachowały niezłe zdrowie i wciąż mogły służyć ludzkim gębom. Nikt nie pytał, czy im dobrze, czy nie płaczą za towarzyszami doli i niedoli, z którymi przeżyły swoje najpiękniejsze świętokrzyskie lata, a więc same chciały to okazać, tyle że niełatwo było pojąć te ich bunty i narowy.

M zostawił je w spokoju. Następnego dnia zakupił w Starym Jarze komplet sześciu łyżek firmy Nogat.

Gospodyni powiedziała tylko: „ładne, ładne” i „dziękuję”. Nie spytała, po co przyniósł nowe łyżki i gdzie się podziały tamte stare. Ona chyba już od dawna coś podejrzewała.

Tak więc jedna tajemnica już została wyjaśniona. Przy okazji wyświeśliły się i inne.

Przede wszystkim M po ciemku wdepnął w bombę. Na początku jej nie zauważył, bowiem przykrywały ją jutowe worki. Leżała na ziemi, pośrodku szauerka. Porządna, z lotkami. Miała ze trzy metry albo więcej.

Przekrojona była wzdłuż, od głowy do ogona, i wybebeszona, tak że wyglądała jak koryto. Bomba oczywiście też gadała, od momentu kiedy się pozbyła jutowego knebla.

M usiadł na stołku kowala i słuchał.

Sprzęty z kuźni, jak wiadomo, należały niegdyś do małżonka pani Kosakowej. Co do bomby, to tu M naprawdę musiał się wysilić, by zrozumieć, jak to z nią w istocie było. Ona sama uważała się za heroinę wielkiej wojny. Pozostałe rzeczy wyśmiewały ją i podawały inną wersję jej historii. W sumie z różnych sprzecznych z sobą głosów

wynikało, że została wykonana w Essen i miała wybuchnąć na froncie. Ale jakoś nie wybuchła, z czego kpiły śrubstag i dmuchawa. Warto wiedzieć - jak utrzymywały dwa kowadła - że front stał paskudnie długo między Nieskórzowem a Lipnicą. W Nieskórzowie byli Ruscy, a w Lipnicy szwabski wermacht. Kiedy front się wreszcie ruszył, pozostało po nim mnóstwo biedy, nieszczęść, tak że ci z Lipnicy i ci z Nieskórzowa całe lata targowali się przez szosę, którzy z nieproszonych gości byli gorsi.

Goście z obu stron naprawdę nieźle dali ognia, lecz przynajmniej pozostało po nich sporo złomu.

Gospodarze skrzętnie złom zagospodarowali.

Lepszych siekier i lemieszki jak z niemieckich panter i tygrysów nikt nie widział. Oprócz czołgów i innego żelaznego świństwa do niewoli poszła właśnie bomba. Przecieli ją wspólnie Władek Kosak i Chodorek, stelmach z Kalin. Jakim cudem obaj to przeżyli, nie wiadomo. Potem podzielili się zdobyczą. Połówka kowala nie poszła na przetop. Służyła przez lata za poidło dla kur, gęsi, kaczek, nawet kotów, a czasami za koryto dla świniaków. Tutaj bomba zaprotestowała, utrzymując, że służyła tylko koniom - zwierzętom szlachetnym i pięknym. Sprzęty w szopie zakrzyczały ją od razu, przekonując M ze śmiechem, że chłepały z niej wyłącznie wieprze i obsrywał drób na krzywych łapach.

Kiedy w końcu się uspokoiło, do rozmowy dołączyły szczątki mebli i chlebowa dzieża z resztką przyschniętego i skamieniałego ciasta z dawnych epok. Przedmioty drewniane - także te z

wyposażenia kuźni - przyjaźniły się z metalowymi; ostatecznie wiodły wspólną walkę z żywiołami czasu i rozpadu. Te z żelaza użerały się najczęściej z rdzą i złodziejami, a te z drewna z pleśnią, kornikami i szczurami. Mimo nieco innych osobistych wrogów pomagały sobie, ile mogły. Łączyły je także wspomnienia i gadki, jakie przenikały wieczorami poprzez ściany z grubych desek.

M szanował d[^]eje młotków, dzieży, cęgów i hufnali, ale nade wszystko pragnął się dowiedzieć czegoś więcej o kielecko-powiślańskim życiu gospodyni. Było mu okropnie głupio, że potrafił rozpoznawać dziwne sprzęty z wiejskiej kuźni, a o sprawach czysto ludzkich miał pojęcie raczej marne. Już mówiłem, zwykle puszczał gadki pani Kosakowej mimo uszu, myśląc raczej o jedzeniu, o pięknych kobietach i lesie.

Dlatego M siedział na stołku kowala i słuchał, wreszcie słuchał, a nie kombinował.

Tak do końca nie wiadomo, czy w tej szopie M wysłyszał wszystko z głosów rzeczy, czy wybrzmiały w nim raz jeszcze słowa gospodyni. Może właśnie teraz owe słowa wychodziły z ciemnych kątów, układając się w obrazy, a gawędy drewna i żelastwa tylko w tym cokolwiek pomagały? Nie potrafię tego stwierdzić, mimo że siedziałem wtedy blisko M, na ciepłym worku.

No więc z panią Stanisławą Kosakową było tak, że przyjechała z Kielecczyny do Nowego Jaru jeszcze w końcu lat 70. Przyjechała razem z mężem Władysławem, kiedy ten już bardzo osłabł i chorował. Nie był w stanie dłużej walić młotem. Mimo to ewakuował sprzęty z

kuźni. No a nasza gospodyni się uparła, żeby wraz z dobytkiem zabrać bombę. Oni chyba sobie tak myśleli, że to wszystko znów się przyda, że powrócą do nich dobre dni, podobne do tych, jakie przeżywali tam, w Lipnicy, pośród świętych krzyży, pól i pastwisk ojcowizny.

Rodziców ściągnęła na północ ich córka Helenka, mieszkająca w Nowym Jarze od lat 50., kiedy wyszła za męża za Klemensa Kleisa, miejscowego, który miał posadę kierownika w niewielkiej zwirowni za lasem.

Helenka mówiła: „Tatuś już nie może się wysilać, tu wam będzie bardzo dobrze, pod naszą opieką, z wnukami, a mamusia zajmie się ogrodem”. I tak trwało ze trzy lata. Ale w roku 1982 umarł Władek.

Wcześniej cierpiał. Wreszcie, jakoś zimą, Klemens przyszedł z pracy i powiedział, że wyjeżdża. To był bardzo dobry chłop, naprawdę, tylko że po prostu nie wytrzymał. Stale go ciągnęli na esbeckie przesłuchania w sprawie jego działalności w związku Solidarność, który został rozwalony milicyjnym łomem. I wmawiali mu, że jest zwyczajnym frycem, i najlepiej, żeby spieprzał. Wyjechał z bliskimi w 1 roku. Helenka płakała, błagała: „Mamo, wyjedź razem z nami!”. Ale pani Kosakowa się uparła. Nie, za skarby! Absolutnie nie wyobrażała sobie, że zostawi grób swojego męża, rzeczy przywiezione z lipnickiego domu i kościół pod lasem, gdzie mogła się modlić jak człowiek, po polsku. A poza tym, powtarzała, starych drzew nie przesadzają, już na pewno nie do Reichu. M usłyszał jeszcze, że Helenka wysyłała i wysyła swojej mamie to, co może, i

odwiedza ją, zazwyczaj w lecie, tyle że ostatnio ma kłopoty - z finansami i z czymś jeszcze.

Zrobiło się cicho.

M siedział na stołku, a ja na jutowym worku obok niego.

Wtedy on wykombinował, idąc za sugestią gospodyni, że najlepiej będzie, jak wykąpie mnie w tej bombie. I tak właśnie zrobił, trochę później, przed świętami. Wyszorował mnie całego, bez pardonu, choć prosiłem i błagałem, żeby zmoczyć i namydlić tylko łapy.

Stawiam kość przeciwko marchwi, że rozmowy młotków, bomby i kowadeł nie zdziwiły państwa bardziej niż chleb z serem na śniadanie. Zatem jeśli martwe rzeczy mogą gadać i wydaje się to dość normalne, to dlaczego ludzie uważają za zupełnie niemożliwe, aby mówił do nich pies, stworzenie obdarzone przecież mózgiem, krtanią i jęzorem? Nie pojmuję, czemu nawet M uważał, że psy porozumiewają się słowami tylko w bajkach. Nawet M!, więc czego miałem i mam się spodziewać po tych wszystkich, którzy nigdy nie dzielili z psem radości ani bólu i nie mieli tylu osobliwych przygód co lokator pani Kosakowej?

O, próżności i zarazem ignorancjo homo sapiens! Na początku tej historii przedstawiłem krótki traktat o psich możliwościach intelektualno-ora-torskich. Nie zamierzam go powtarzać. Dodam tylko, że czasami miałem chęć wygłosić do ludzkości jakieś jedno mocne zdanie, no, powiedzmy: „Przekonuję się, że ciężki sprzęt, na przykład obrabiarki, istnieje naprawdę, uwierzcie”. Może ktoś by

wreszcie coś zrozumiał, nie wiem.

Najmocniej przepraszam. Emocje.

Teraz, wbrew prześmiewcom, niedowiarkom i pyszałkom, wracam do głównego nurtu opowieści.

To był poniedziałek przed świętami Wielkiejnocy, bardzo piękny. Tego dnia wyruszyliśmy w stronę Sarniej Góry, tej z czarno-białego przewodnika. Szkoda tylko, że już obudziły się i grasowały w trawie kleszcze, dużo gorsze od pcheł, bąków i komarów razem wziętych. Wędrowaliśmy dość długo, lecz nie osiągnęliśmy celu ekspedycji. Zatrzymało nas buczenie, dysharmonia, chore brzmienie, i M musiał się tym zająć. Przypomnę tym wszystkim, którzy zajadają się kiełbasą, że czasami - nie bez przerwy - mój przyjaciel słyszał, że coś gra lub nie, i tyle.

Sprawa dotyczyła kilkunastu wielkich sosen, które zostawiono żywe na wyrębie. M zajmował się drzewami i ich otoczeniem przez godzinę albo dłużej, a i tak niewiele zdziałał. Najpierw usiłował stroić miejsce do podstawowego tonu ciszy. Bez sukcesów. To pewnie dlatego, że w powietrzu ciągle tlił się niewygasły krzyk ścinanych pni, płonących igieł i gałęzi.

W drugiej próbie starał się ożywić w uchu a-razkreślne z bakelitowego telefonu, aby stroić las do tego dźwięku, tak jak we śnie. Niestety, na próżno. Przeszkadzały mu dalekie wrzaski kani i pogłosy mechanicznej piły.

Przy trzecim podejściu zdecydował się na przywołanie pewnych nut, akordów i przebiegów harmoniczných spośród tych ofiarowanych

światu przez kantora i kompozytora z lipskiego kościoła św.

Tomasza. Dobrze wiemy, że i tamten musiał otrzymywać je telefonicznie albo w jakiś inny sprytny sposób. Niestety i tutaj M poległ. Rzecz zupełnie idiotyczna, zamiast kantat stale słyszał czeską śpiewkę o języku; przyczepiła się i koniec.

Sublokator pani Kosakowej nie był tego dnia najlepszym instrumentem do strojenia czegokolwiek, trzeba przyznać. Zirytował się i jął przeklinać, co już ostatecznie położyło całą sprawę. Opuściłem nisko uszy, podkułem ogon i biegałem jak najdalej od furiata. Sprawiał mi fizyczną przykrość nie tylko świństwami na ustach, ale także jakimś drzeniem wydobywającym się z jego ciała.

Jak się biega, to się węszy. Węszyłem, wietrzyłem i przypadkiem wywęszyłem. Na ściółce wśród choin siedział-leżał wystraszony moim nosem ptak z awarią usterzenia. Był zbliżony wymiarami do gołębia.

Upierzenie miał brązowe, pokryte białymi płaskimi kropkami. Jego niemal czarne skrzydła zdobił dodatkowy zielonkawy połysk. Uwaga, przypomnę: wbrew plotkom i mitom, psy widzą kolory, a jeśli nie widzą ich wszystkich, to czują.

Powiem jasno, bardzo ucieszyłem się ze znalezienia tego ptaka, chociaż jemu było przykro. Od razu poczułem, że może mi pomóc. Obwąchałem go z daleka. Ze strachu udawał groźnego. Zawołałem M szczekaniem. Ciskał się jak dureń po wyrębie i nie przyszedł. Musiałem tam pobiec i przyciągnąć go za nogę. Bulgotał ze złości. Jak zobaczył ptaka bez polotu, to mu przeszło.

- Wabi, co ja mam z tą bidą zrobić? - spytał.

Już miałem na końcu jęzora odpowiedź, ale się pohamowałem.

Ludzie mają pewną wspólną cechę. Na ogół nie lubią pomagać leżącym, krwawiącym, skręconym czy sinym. Bo to jest okropny kłopot. Przy tym łatwo się pobrudzić. I zakazić. Można także spóźnić się do pracy. Wahającym się przychodzi w sukurs podejrzenie albo nawet przeświadczenie, że można niechcący zaszkodzić ofierze. Czyli lepiej, żeby zajął się nią specjalista, oczywiście taki, który ma o wiele więcej czasu.

Naturalnie, kiedy zdarza się, że mdleje jakaś piękna i pachnąca mydłem panna, wtedy, owszem, ludzie reagują dużo chętniej, ale jak się dusi stary dziad lub tłusta baba z owłosieniem na goleniach, to już bywa dużo gorzej. Ratownicze prawo wieku i urody.

Psy nie bardzo to pojmują, bo są głupsze. One jak już uważają kogoś za swojego, to są mu po prostu wierne, niezależnie od tego, czy ten ktoś jest strasznie gruby, brzydki, biedny, owłosiony, chory czy odwrotnie. Widać, to jest taki dosyć prymitywny instynkt organizmów ewolucyjnie niższych. Organizmy znacznie wyższe, te najwyższe, nie kierują się instynktem, tylko subtelными pojęciami, na przykład ideą rodziny człowieczej, przy czym ta idea chyba im wystarcza i nie muszą już zajmować się praktyką.

Co do ratowania zwierząt, a nie bliźnich, no to tutaj jest podobnie. M zupełnie nie odbiegał od przeciętnej. On się brzydził. Coś go mocno przestrzegało, żeby nie dotykał truchła leżącego na igliwiu, bo zarazi się od niego mokrym parchem, dzumą, grypą albo

świerzbem. I pewnie by poszedł za głosem rozsądku, gdyby nie to, że siedziałem przy nim jako świadek, psie ojto sumienia (takiej ludzkiej właściwości reliktovej, ale nadal istniejącej) i pukałem zimnym nosem w jego rękę. Głośno sapnął, ściągnął kurtkę i podsunął ją pod ptaka. Ten próbował się wyrwać. M przytrzymał go (patykiem), zawinął i zabrał.

Szedł nadzwyczaj prędko jak na niego. Chyba jasne, dokąd się kierował, dokąd spieszył. Kiedy zbliżaliśmy się do leśniczówki, było późne popołudnie. M rozglądał się ukradkiem dookoła, jakby kogoś wypatrywał.

Bardzo starał się nie kuleć.

Tym razem otworzył leśniczy, p. Kazimierz Bernatowicz. Zwalisty, wysoki. Odrobinę rozespany. Nie okazał entuzjazmu. Wziął ptaka na rękę i powiedział niskim głosem, z kresową melodią:

- Orzechówka. Samiec orzechówki. Wygląda, że walczył. Gniazda pewnie bronił, on odważny. A ja wątpię, żeby się wylizał.

Bernatowicz był konkretny. W komórcie za domem dość dokładnie przejrzał rany ptaka, czymś je maznął, coś tam jeszcze przy nich zrobił i zaniósł chorego do klatki w ogrodzie. Tam położył go na słomie, podał wodę i posypał trochę bukwii.

M przyglądał się tym operacjom. Cieszył się, że nie zostawił orzechówki przy wyrębie, ale jeszcze bardziej był zadowolony z tego, że mógł wreszcie włożyć kurtkę, no bo trochę zmarzł, a jak wiadomo, bał się chorób i cewnikowania. W tym czasie siedziałem za płotem, w ukryciu. Mimo wszystko zeszło na mnie.

- Ja coś panu teraz powiem - rozpoczął leśniczy, kiedy stali i gapili się na orzechówkę, która kokosiła się na słomie.

- Chyba wiem. Pan nie przepada za takimi podrzutkami - M trochę się jąkał, z tym że mówił dość wyraźnie. - Mogę się dołożyć do leczenia...

- Nie, nie o to idzie, panie! Poradzimy sobie bez sponsora. Chodzi mi o tego psa, co pan z nim wszędzie się prowadzasz, a najgorzej, że po lesie. To kategoriycznie zabronione. Takie psisko może robić wielkie szkody.

- On nie gania...

- Pan posłucha, ja sam widział was przy bagnach. Przez lornetu. Człowiek niech tam sobie spaceruje, proszę bardzo, ale psa zostawiać w domu! Jeśli ja go jeszcze raz zobaczę na oddziałach, a specjalnie na ostojach, to będę zmuszony zastrzelić. I pan nie bierz tego osobiście. Takie prawo. Bo psy w lesie zagryzają i szaraki, i borsuki czy tam lisy, a i na jelenia, bywa, rzucą się. A jak nawet nie skaleczą, to wypłoszą i zwierzyna denerwuje się, przestrasza. Pies był, jest i będzie drapieżnikiem. Pan rozumiesz?

M całkiem zatkało. Dostyc długo musiał zbierać się, by odpowiedzieć.

- No, rozumiem.

- Ja nie chcę nikogo ukrzywdzić. Dlatego uprzedzam.

- W porządku.

Ktoś zawołał spod zachodniej ściany leśniczówki:

- Panie Bernatowicz! Panie Bernatowicz!

To było dwóch mężczyzn, a właściwie meszczyzn - jak mówiła kiedyś babcia Maria na Okęciu - poważnych, zaradnych, takich, którzy znają się na cenach gruntu, kursach walut, wylewaniu fundamentów, na wędzeniu kiełbas i reperowaniu wielkich maszyn, lubią zjeść i wypić, trochę śmierzdzą i śpią twardym, zdrowym snem do rana. Kobiety ich lubią, bo oni stawiają im domy.

- Zawsze czegoś chcący. Dnia im mało - wymamrotał pan leśniczy. - Widzisz pan, interesanci. Do widzenia.

- Do widzenia.

To był jednak bardzo kiepski dzień dla M, należy przyznać. Ptaki w klatkach spoglądały na mojego przyjaciela ze współczuciem. Egon dość złośliwie się uśmiechał.

M opuścił wolno ogród, powłókł się przez podjazd koło ganku i wyszedł na drogę wśród choin, tę wiodącą w stronę drogowskazu „Leśniczówka 0,1 km”. Tam usłyszał za plecami czyjeś kroki. Doskonale wiedział, kto go goni. Odwrócił się prędko i pierwszy wypalił:

- Przyniosłem...

- Słyszałam - przerwała dziewczyna. - Mam do pana ważną sprawę.

- Do mnie?

- Chciałabym pogadać. W tej chwili nie mogę, a jutro wyjeżdżam, pewnie wrócę w Wielki Piątek, ale wtedy muszę przygotować święta, a potem, wiadomo, Wielkanoc... Może zobaczymy się we wtorek albo wcześniej - w drugie święto?

Drugie święto. Na Okęciu tak się nie mówiło.

- Po obiedzie - uściśliła.

Czy M miał w ogóle jakąś szansę, aby wytłumaczyć jej, że nie powinni się widywać? Nie tłumaczył, nie marudził, tylko spytał:

- Ale gdzie?

- No oczywiście w lesie, ale w miarę blisko domu.

- Może w górę od jeziora, właściwie od stawu wśród grabów...

- Tego z bardzo ciemną wodą?

- Właśnie. Sto pięćdziesiąt kroków wyżej jest mała, ukryta wśród świerków polana.

- W porządku Dziękuję. Aha, proszę się nie gniewać za aptekę.

Wszystko panu wytłumaczę.

Odkręciła się na pięcie i pobiegła. M spoglądał za nią. Ja gapilem się na niego.

- Co my teraz mamy zrobić, Wabi? - jęknął, całkowicie skołowany.

- Poradzimy sobie, chłopie - wyszeptałem.

Pewnie tego wcale nie usłyszał, bo nie zdziwił się, że mówię.

*

Pani Stanisława Kosakowa zaprosiła go do stołu, mimo że kolację jadał zwykle sam, ze swego. Chętnie usiadł. Była z nimi w kuchni H. Skórowa. Wyglądało na to, że zdarzyła się okazja.

- Coś markotny? - zapytała gospodyni.

- Taki dzień. Bywają gorsze.

- A o, u mnie trochę lepiej. Przyszła paczka od Helenki, mojej

córki. Wielki Tydzień, więc nie będziem się tu rozwarszawiać, ale popróbować mus, za zdrowie dobrej duszy. Jak Pan Jezus zmartwychwstanie, to pojemy, synku, trochę śmielej.

Dostał słomkę w dużym kubku i miał sobie wziąć do chleba coś ze smakołyków wydobytych z Grubej

Berty, to znaczy lodowy od Hinza.

- Ano, takie gorsze dni bywają - powiedziała pani Kosakowa. - Dajmy na to, chce się dobrze, a wychodzi nie za bardzo.

I od razu podzieliła się wspomnieniem, jak to kiedyś baby od nich, te z Koła Gospodyń, pojechały na wycieczkę do Sopotu. Siedzą wszystkie na tej plaży, grzebią w piachu, a Czesia Kot patrzy, przyodziewek leży blisko brzegu, przy nim okulary, buty, zostawione całkiem same. Zaraz poszła się zaopiekować, bo złodziejstwo wszędzie straszne. Chciała pomóc. Zwija, co tam było, i pakuje, a tu z morza jeden chłop wydziera się: Milicja! Baba kradnie! Straszny wstyd dla Czesi, tak przy ludziach. A Kotówna chciała tylko się przysłużyć i skąd miała wiedzieć, że są tacy, co zostawią ubiór i polecą moczyć się w tej wodzie.

- No, jo, pani - przytaknęła H. Skórowa.

Jedli dalej. Było smaczne. Wiem coś o tym, bo dostałem później, co zostało i coś jeszcze.

Po przełknięciu kromki chleba z miękkim serem, odezwała się sąsiadka. Powiedziała, że tu, w Starym

Jarze, też był taki, co chciał zrobić jedno, wyszło drugie. Krzemień od Renaty z żelaznego. On dał się do Reichu i tam zaraz

przechrzci! się na Steinert. Po paru miesiącach wypożyczył prima auto, żeby każdy myślał, że to jego, i przyjechał nazad na Wielkanoc, coś jak teraz. Ubrany był ładnie, z sygnetem, w anzug, minister! I poszedł do knajpy, żeby z kolegami napić się, wiadomo. I piją, tak piją, a on niby że zapomniał słowa do rozmowy - Sicherung czy coś tam - i do nich tak gada: Jak to, kurdy, po waszymu? Ci koledzy wzięli go za knajpę i tam mu zrobili krótkie odświeżenie materiału. Po tej lekcji Krzemień leczył gębę kompresami, tak że wstydził się pójść do kościoła i chyba nie poszedł w Wielkanoc!

Pani Kosakowa się uśmieła. M nie zauważył logicznego związku między opowiedzianymi historiami a zmartwieniem, z którym wrócił, ale najważniejsze było coś innego - to, że dobrze jest, jak opowiada się historie. Wtedy milej być ze sobą i świat zdaje się o wiele lepszy i piękniejszy, nawet jak się zdarzy taki trochę gorszy dzień lub przyjdzie starość na człowieka, chociaż w środku człowiek młody.

Zamiast snuć wspomnienia z dawnych czasów, M powiedział kilka słów o poranionym ptaku i leśniczym.

Nie wytrzymał i wyjawiał także to, że Bernatowicz go postraszył.

- On nerwowy - skwitowała gospodyni.

- Ne dziwota - powiedziała H. Skórowa. - Óny tyra majo piekło.

I opowiedziały, jedna z drugą, co się dzieje.

M o mało nie spadł z krzesła. Odechciało mu się jeść zupełnie. A wszystko dlatego, że tam, w leśniczówce, chorowały bardzo ciężko nie tylko ptaszory. Okazało się, iż na początku marca powróciła ze szpitala w Gdańsku młodsza córka leśniczego.

Taka mała, przed maturą. Lekarze musieli jej wyciąć coś z głowy i dostała jeszcze chemię.

Teraz - jak utrzymywały obie panie - ta Monika siedzi w domu, żeby jakoś dojść do siebie. Podobnież nie mówi. Nie wychodzi prawie, tylko tyle, że na mszę niedzielną ją zabiorą. Ojciec i ta jego starsza córka Marta są okropnie zrozpaczeni, tym bardziej że matka umarła niedawno, i to na podobne jakieś święństwo. A Marta musiała się wrócić gdzieś z miasta. Nawet dobrze, bo gadają, że łatwego życia tam nie miała. Od miesięcy opiekuje się Moniką, zupełnie jak mama. Co to z tego będzie, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że jak jest choroba w domu, to pieniądze uciekają niczym zboże z dziurawego pytła, więc nie jest im lekko. Tak się ludzie strasznie meczą, nie wiadomo za co i dlaczego.

M skamieniał. Obie panie też siedziały w zamyśleniu. Gospodyni pozbierała się najprędzej.

- No to może my się pomodlimy, żeby Pan Bóg ulżył tej niedoli.

Uczyniła to po prostu, jakby ktoś zaproponował kawę lub herbatę. Przenieśli się zaraz do pokoju obok kuchni. Pani Kosakowa zapaliła grubą świecę, po czym ustawiła ją na stole, przy którym usiedli.

Przeżegnali się i odmówili dziesiątek różańca. Najpierw jeden, potem drugi, no bo jakoś czuli, że jest dobrze, że ta ich modlitwa przechodzi przez sufit i wyżej, wznosi się jak dym z komina, ale nie rozplywa się zupełnie w wielkim niebie, tylko pozostaje tam na zawsze.

Na początku M był trochę skrępowany, a potem zapomniał o sobie i już było wszystko jak należy, bez dystansu i kombinowania. Absolutnie się nie wymigiwał, kiedy gospodyni zapytała, czy nie odmówiliby komplety. No i proszę bardzo, odmówili. Za Monikę, jej rodziców, Martę i za chorych, znękanych, przeraźliwie przerażonych, zagubionych, opuszczonych i tych wszystkich bez nadziei.

Leżałem pod stołem i byłem szczęśliwy.

Potem sublokator pani Kosakowej odprowadził H. Skórową. Ona oczywiście знаła drogę i nie bała się upiorów, ale M pomagał jej w dźwiganiu litrowej butelki oliwy przysłanej przez Helę i siatki buraków darowanych dodatkowo przez sąsiadkę.

Kiedy przechodzili przez osiedle, słychać było psie szczekania, ujadania i bulgoty, wszakże psy - z nosami wetkniętymi w płoty i parkany - były ciche, nie hałasowały. Nawet wydawały się nadzwyczaj osowiałe, jakieś smutne. Więc kto szczekał, jakie licho? M po chwili zorientował się, że ujadanie, nawet wycie, dobiega zza okien. Mowa o niebiesko migoczących oknach niemal wszystkich zydługowych domów.

Nie zachował się nadzwyczaj elegancko, bo zerknął do środka trzech budynków po kolei. W każdym ujrzał i usłyszał dokładnie to samo. To szczekały i warczały szalejące tam telewizory. Ujadały tak jak samochody na Puławskiej, kto oszczędnie jada smalec, ten pamięta. Tyle że telewizory, w odróżnieniu od pojazdów, szczekały na swoich, nie obcych. Wyraźnie rządziły w swych stadach. Danielewscy, Szlagoniowie, Knafflowie, Tuchlowie, Skowronkowie,

Osińscy, Lubińscy, Styczniowie, Ruckowie, Szmaglińscy i Wirkus siedzieli jak trusie, słuchali ich warknięć i wilczych rozkazów, przekonani, że się dobrze bawią. M zrobiło się okropnie przykro. A mnie, kurde, jeszcze bardziej.

Wróciliśmy pod dwunastkę. Było cicho. Zresztą u nas cicho było zawsze. Owszem, owszem, pani

Stanisława Kosakowa też miała odbiornik - od Helenki, nie od Hinza - lecz trzymała go za pysk, na krótkiej smyczy. Nie miał prawa rządzić się w jej domu. Dawał głos niezwykle rzadko, tylko gdy mu na to pozwalała. Był tak wychowany, ułożony, że nie budził gospodyni, kiedy przed nim zasypiała. Zawsze miała w ręku mokrą ściere, na wypadek gdyby jednak nie potrafił się zachować.

No więc było cicho, tak spokojnie, że wyraźnie usłyszałem, jak M dostał z góry w samą czaszkę meteorytowym zdaniem: „Miód i bursztyń pozostaną z nami na noc po zgaszeniu ostatniego Słońca”.

Dostał, umył się, wysikał, wszedł na górę, na poddasze, a tam - zgodnie ze zwyczajem - wziął głęboki oddech, odliczył pięć sekund do tyłu i wskoczył w przerębel wilgotnej pościeli, uparcie zimowej, wbrew wiośnie na dworze. Tym razem nie czytał. Powiedział dobranoc i zasnął.

*

Jak zwykle przed świtem sublokator pani Kosakowej walczył z niepokojem. Trochę przegrał, trochę wygrał. Kiedy się rozwidniło, odzyskał wiarę w kosa, we mnie leżącego na podłodze koło szafy, w świerk za oknem, w Ostatnią Wieczerzę, w szmer jutrzni i w kolejną

szansę na odnalezienie tego, co miał znaleźć. Znowu mógł wyruszyć w drogę.

Tego ranka poszedł w pola, w stronę Wisły. Tam miał prawo chodzić razem ze mną.

Dzień wstał mglisty, mimo to wypatrzyliśmy tu i ówdzie bociany na gniazdach lub w pracy. M zarejestrował także - z dość daleka, a więc raczej uchem, a nie okiem - czerwonego volkswagena leśniczego, który jechał w stronę Gdańska, powolną pierdziawę sprzedawcy krawatów i volvo sunące z północy. Pierdziawa i volvo chwilowo nie miały dla niego większego znaczenia. Obchodził go passat.

Podejrzewał, że leśniczy wiezie córkę do szpitala, że Monika jedzie pod eskortą starszej siostry i ma termin badań diagnostycznych albo termin czegoś straszniejszego.

Państwo pewnie domyślają się, że tego ranka sublokator pani Kosakowej znowu włókł za sobą ogon ze słowami i hałaśliwymi obrazami. Były to natrętne myśli o Bernatowiczach i chorobach czyhających z nożem na człowieka, o strzelaniu z flinty do psów w lesie, o niespodziewanej prośbie Marty i o atrakcyjnych seksualnie paniach, tych ze sklepów w Starym Jarze, czyli o żalonych żądach w lędźwiach, a także o myszach za szafą i o ciągłym chłodzie na poddaszu. Dobrze wiemy, że mieszanie rzeczy ważnych z kretyńskimi stało się prawdziwą specjalnością tych łobuzów, którzy przyczepiali M żelastwo do ogona.

Sublokator spod dwunastki wychodził ze skóry, aby jakoś sobie

radzić. Muszę tu uczciwie przyznać, że pracował co dzień, intensywnie, nad wy-swobodzaniem się od trenu, który mu zagłuszał brzmienie świata. Dzięki temu coraz częściej przydarzało mu się istnieć właśnie tam, gdzie przebywało jego ciało, w czasie jak najbardziej teraźniejszym. Czyli trochę się podszkolił, jednak jeszcze bardzo, bardzo wiele musiał się nauczyć, dużo ćwiczyć. W porównaniu z nim najgłupszy szczeniak, byle kundel łańcuchowy był prawdziwym arcymistrzem przeżywania w przytomności i z radością każdej chwili, gdy akurat nic nie boli.

Dotarliśmy do wychudłej rzeki, która przepływała niemal równolegle do koryta wielkiej Wisły. Nad jej brzegiem wyniuchałem w polu dużo skorup i okruchy starych cegieł ze śladami ludzkich palców. Pani z biblioteki powiedziała później M, że to z pewnością są pozostałości krzyżackiego dworu, bo gdzieś właśnie tam stał Binnenhof, zabudowania, w których rezydował i gospodarował urzędnik zakonny

Waldmeister. Ja wiedziałem o tym oczywiście już od dawna od mojego uczonego wuja.

Włóczyliśmy się wśród pól mniej więcej do południa i do końca tej wędrówki sublokator pani Kosakowej opowiadał mi o swoich sprawach. Opowiadał znacznie intensywniej niż zazwyczaj, bo zakładał, że już nie pogada ze mną w lesie.

Rzeczywiście, po obiedzie pozostawił mnie za furtką, którą zamknął na żelazny, kuty haczyk.

Zaskamlałem.

- Wabi, kurde, zostań! - odpowiedział.

Uważałem, że przesadza z posłuszeństwem, obawami i rozsądkiem, zwłaszcza że leśniczy Bernatowicz akurat wyjechał i nie było zagrożenia ogniem z armat. M odwrócił się na pięcie, żeby nie spoglądać dłużej w moje ślepie. Pokuśtykał ścieżką pośród sosen. A ja, hop, przez dziurę koło zabudowań Szlagoniowej za nim. Oczywiście miałem plan. Specjalny. Awaryjny.

Odtąd w lesie byłem niewidocznym, absolutnie bezszelestnym cieniem mego przyjaciela. Podążałem jego śladem, trochę z boku, pilnowałem i czuwałem nad nim z oddalenia. A on o tym nic nie wiedział. Zresztą, może nawet coś tam zwietrzył czy usłyszał, lecz udawał, że mnie nie ma, jakby miało to ocalić moją skórę.

Myślę, że zadowalała go taktyka strusia.

Ochraniałem M z dystansu i przez to nie mogłem na przykład łapać go za rękaw albo portki, kiedy włąził w głupie miejsca. A on już pierwszego popołudnia wszedł na wieżę. Znowu! Po co tam się wtarabanił, nie wiem. Chyba tylko po to, żeby mnie porządnie zdenerwować. Myślałem, że padnę i, jak kiedyś, wydreptałem i wyryłem lej po bombie. Przez tę całą konspirację nie mogłem się nawet porządnie wyszczekać.

No więc wspiął się na platformę ażurowej wieży i tam siedział. Mgła podniosła się na tyle, że zupełnie nieźle widział - państwo wiedzą - lasy, linię Wisły, zamek z narożnymi wieżyczkami i tak dalej. Kawał świata. Gapił się w bezkresnym zachwyceniu, a strażnica kołysała się na lekkim wietrze. M płynął nad morzem modrzewi i

sosem, niczym majtek na bocianim gnieździe hiszpańskiej karaki szukającej brzegów

Indii.

Nagle wieża zadzwoniła, jakby ogłoszono alarm na pokładzie - raz, drugi, dziesiąty. M wychylił się przez kwadrat wjazdu. Po żerdziach konstrukcji wtrynął się listonosz M. Goliński. Wspinaczka zajęła mu miesiąc, chociaż wchodził bez roweru, tylko z torbą. No dobrze, nie miesiąc, ciut krócej, z tym że kiedy dotarł na platformę, musiał się położyć na podłodze. Gdy odzyskał wreszcie oddech, jęknął:

- Wody.

- Nie mam - stwierdził z żalem sublokator pani Kosakowej.

- To nieładnie. Nie mógł przynieść?

- No co, tutaj?

- Tak trudno przewidzieć, że przyjdzie listonosz? Ja dla adresata ryzykuję, kurna, życie, a ten... - nagle usiadł. - Jeszcze mi podwędzą, gnoje, rower!

Natychmiast wyjrzeni. Na szczęście rower nadal stał oparty o róg wieży i posypiał.

- Czy jest do mnie jakiś list? - zapytał M.

- Za chwilę będzie. Trzeba czekać na strzyżyka. Przepraszam, pomyłka, na kruka. Na kruka!

M. Goliński wytłumaczył, że w strukturach Poczty Polskiej działają strzyżyki (*Troglodytes troglodytes*) i kruki (*Corvus corax corax*). Nie posługiwano się już gołębiami (*Columba livia*).

Korzystanie ze strzyżyków było zgodne z tendencjami do miniaturyzacji sprzętu i przesyłek. Kruki zatrudniano z racji ich inteligencji i zdolności dźwiękonaśladowczych.

Listonosz wciąż dyszał i głądził:

- Nie mógł odpowiedzieć na poprzedni list, ja pytam. I teraz kłopoty dla niego i poczty, bo nadawca jest uparty, a przy tym wydziwia jak hrabia.

M zupełnie nie pamiętał, żeby ktoś do niego pisał, z wyjątkiem pocztówek załączanych przez Andrzeja i

Goškę do paczek z Kanady. I był jeszcze list nadmorski, ale przyszedł przecież we śnie, a więc skąd

Goliński mógłby o nim wiedzieć? Zgadzało się jedno - sublokator spod dwunastki rzeczywiście w żaden sposób nie dał odpowiedzi na ten sygnał od Bociana.

Zgodnie z zapowiedzią listonosza po czterech minutach i trzydziestu dwóch sekundach zjawił się masywny kruk w chromowej czemi. Wleciał przez zachodnie okno budki, to z wybitą w zimie szybą.

Usiadł na stoliku dla strażników i poprawiał sobie dziobem wygląd.

- Depesza głosowa - wyjaśnił Goliński. - Podpisać mi tutaj i spadam.

Listonosz podsunął formularz wydobyty z dużej torby. M grzecznie podpisał.

- Porządnie odsłuchać! - M. Goliński wskazał palcem kruka. -1

najlepiej prędko odpowiedzieć.

Tamten znowu coś wymyśli i ja się wykończę. Bo to niby że doręcza kruk lub strzyżyk, a z pokwitowaniem dyga kto? Wiadomo! Golas.

Golas - tak mówiono o Golińskim w okolicy.

Znikł we włazie. Schodził z wieży ślamazarnie, ale wbrew niemądrej zapowiedzi wcale nie spadł. Bez żadnego skrępowania popiardywał z nerwów i napięcia. W końcu dotarł do roweru i wrócił do domu, gdzie czekała zaniepokojona żona i wystygły dawno obiad.

Ptak spokojnie siedział na stoliku. Gapił się na lasy, linię Wisły, zamek z narożnymi wieżyczkami i tak dalej. M odkaszlnął. Kruk przypomniał sobie robocie, uklonił się lekko i odtworzył precyzyjnie wiadomość głosową:

- Dwa Tes trzy przecinek jedenaście do trzyście.
- Przepraszam. Nie bardzo chwyciłem...

Ptak odtworzył, trochę wolniej, każde słowo. Potem znowu się uklonił wyfrunął przez zachodnie okno. Zawodowiec. Nienaganny profesjonalista.

Wiemy dobrze o kłopotach M z pamięcią krótkotrwałą. On też o tym świetnie wiedział i dlatego starał się ze wszystkich sił utrzymać w głowie słowa przekazane mu przez kruka. Absolutnie nic z nich nie rozumiał, ale ufał, że wyjaśni mu się wszystko trochę później, na spokojnie, kiedy już zapisze je na kartce i przemyśli.

0, jakże zazdrościł szachistom! Wyświetlała mu się w ciemnym miejscu pod ciemieniem ta historia, którą państwo pewnie znają:

Bobby Fischer zatelefonował kiedyś do pewnego znajomego arcymistrza z

Rejkiawiku. Kolegi nie było, odebrała jego kilkuletnia córka i gadała dłuższą chwilę po islandzku. Po kilku godzinach Bobby jeszcze raz zadzwonił. Tym razem odebrał kolega, już wrócił. Fischer mu powtórzył, słowo w słowo, wypowiedź tej małej, prosząc o przetłumaczenie na angielski.

M, niestety, tak nie umiał. Nie tylko nie umiał zapamiętać stu piętnastu słów islandzkich, ale miał potworny kłopot z zachowaniem w uchu ledwie siedmiu, i to polskich. Ogromnie żałował, że ostatnio mało ćwiczył.

Szedł, ostrożnie jak z jajkami, i powtarzał sobie na okrągło tekst depeszy. Sto metrów przed furtką potknął się o wystający korzeń. W jednej chwili rozsypały mu się wszystkie głoski, rozwały i potłukły.

Powitałem go w ogrodzie. Wyglądał dość kiepsko, jakby dostał błotem w plecy. Zakręciłem się przy drzwiach wejściowych i wślizgnąłem przez próg domu jako pierwszy. Pognałem do kuchni. Szpak wytrząsał kuper na lodówce. Dałem mu dyskretny znak. Zrozumiał.

Kiedy sublokator pani Kosakowej ciężko usiadł koło zlewu, szpak zawołał: Tutaj! Tutaj! Tutaj! Czyli wrzasnął tak jak zwykle, ale M usłyszał słowa kruka. Takie cuda, jak mawiała nasza gospodyni.

Odetchnąłem.

Potem, żeby nie wywalić się na schodach, wspinał się na górę tak ostrożnie jak arlekin z porcelany.

Doniósł siedem słów do siebie na poddasze, zapisał je zaraz na skrawku papieru i zasnął na kwadrans, zmęczony jak Fischer po walce ze Spasskim.

Gdy odczytał wreszcie tekst depeszy i pomyślał nad nim - co zajęło mu pięć minut i dwadzieścia siedem sekund - okazało się, że to wcale nie jest list, lecz adres. Wszelako ten adres doprowadził go do listu.

Wtedy okazało się coś jeszcze, list nie został napisany i wysłany tylko i wyłącznie do sublokatora spod dwunastki, ale także do Tesaloniczan. Tesalonicznie mieli do czytania trochę więcej, a M mniej, zaledwie fragment, który teraz zacytuję:

Słyszymy bowiem, że niektórzy wśród was postępują wbrew porządkowi: wcale nie pracują, lecz zajmują się rzeczami niepotrzebnymi. Tym przeto nakazujemy i napominamy ich w Panu Jezusie Chrystusie, aby pracując ze spokojem, własny chleb jedli. Wy zaś, bracia, nie zniechęcajcie się w czynieniu dobrze!

M usiadł, bo akurat stał, gdy czytał.

Myślał o tym liście przy kolacji i potem w ciemności, kiedy już się rozgrzał pod pierzyną. No i właśnie pod pierzyną przetłumaczył sobie jego słowa na coś dużo bardziej współczesnego i zupełnie praktycznego:

Weź się, chłopie, do roboty i nie czekaj na powtórne wniebowzięcie.

Musiał przyznać, że od dawna chciał pracować tak jak inni, ci z zydlungów, pól, Starego Jaru i tak dalej.

Czasem było mu okropnie głupio, że tak sobie łązi polem, lasem, a ci inni urabiają sobie ręce. Przydarzyło mu się nawet, parę razy, że się z lekka obwącichał. Podejrzewał, że zajężdza ścierwem śniętej ryby. A najbardziej wstydził się ostatnio przed M. Bernatowiczówną. No więc, proszę bardzo, postanowił, że założy własną firmę. Oczywiście, wiedział doskonale, że jako rencista nie ma prawa zarobkować, ale kto zabronił mu pracować bez zapłaty albo raczej dla odpracowania swojej renty? Jaką taką rentę przecież otrzymywał, chociaż nawet pies by z niej nie wyżył, gdyby nie dostawał kieleckiego barszczu. Sublokator pani Kosakowej wpadł na pomysł, żeby nie przyjmować więcej tych pieniędzy jako datku czy jałmużny, lecz traktować je jak rodzaj stałej pensji wypłacanej za spełnianie wyznaczonych sobie samodzielnie obowiązków.

Potrafił pracować, naprawdę! Czy kiedyś, na górze, przez prawie ćwierć wieku, nie zasuwał jak motorek przy naprawach i codziennej konserwacji usterzenia, awioniki i hydrauliki transportowców i myśliwców?

Czy nie brał udziału w stałych zrzutach życzliwości, śmiechu i nadziei nad obszarem Europy Wschodniej, części świata z permanentnym deficytem tych pierwiastków ludzkiej duszy? Jeszcze mało? Łapy to miał całe, kurde, w białych smarach.

Tu, na dole, postanowił robić nadal to, co czynił do tej pory w Nowym Jarze, tyle że planowo i systematycznie, w sposób absolutnie zdyscyplinowany, z pełną świadomością tego, że to jego zawodowe powołanie - nie wiadomo, czy życiowe, ale zawodowe bez wątplenia.

Te jego działania wyglądały z zewnątrz na dziwactwa, ale czy na pewno wszystko, co jest dziwne, trochę inne, zawsze bywa niepotrzebne, godne wzgardy?

Kiedy stworzył swoją firmę pod roboczą nazwą Strojenie Zieleni i Reszty oraz przyjął stanowisko jej prezesa, odczuł ulgę i natychmiast zasnął snem sprawiedliwego.

Przez następne dni pracował jak najęty, od rana do nocy. Dzięki temu jadł swój chleb bez wstydu, ze spokojem i wyczuwał, że nie cuchnie śniętą rybą. A co robił? Proszę bardzo:

1.

Metodycznie stroił większe albo mniejsze partie lasu, czasem tylko pojedyncze drzewa czy tam krzaki, zazwyczaj od 7:30 do 12:09 lub 13:07, z przerwami na oddech.

2.

Czytał książki i zdobywał wiedzę - wieczorami.

3.

Ćwiczył pamięć i wymowę - też wieczorem.

4.

Stosował ćwiczenia przepisane przez rehabilitanta J. Maciąga - niemal zawsze po południu.

5.

Pomagał w ogrodzie i w domu - po obiedzie albo rano, jeśli rano, to strojenie wypadło po południu.

6.

Opowiadał dzieciom na osiedlu o rycerzach i w ogóle - w

zależności od terminów krwawych bitew i rozejmów.

Dobrze wiedział, że to nie jest ani pełny, ani najważniejszy odzew na korespondencję od Bociana, a szczególnie na list pierwszy. Wiedział również, że nie bardzo zna odpowiedź na ostatnie zdanie w drugim liście, jednak był zadowolony, i to bardzo. Co ciekawe, rano czuł się dużo, dużo lepiej - mniej znękany.

Poza pracą słuchał radia. I coraz to częściej rozmawiał z leśną Martą Bernatowicz. Rozmawiali w jego głowie. Nie wiedział, dlaczego i po co. Ostatecznie w jego sercu królowała pielęgniarzka Anna Wilkosz, niebywale atrakcyjna, chociaż małpa. A poza tym, nawet gdyby nie królowała, to i tak znajoma z lasu i ptaszarni była absolutnie nie dla niego, nie dla walniętego, bezdomnego i kaleki - mówię, żeby sprawa była jasna.

Aha, jeszcze jedno, bardzo ważne, sublokator pani Kosakowej niebywale intensywnie ćwiczył. Zamierzał osiągnąć tężyznę fizyczną tygrysa. Mniej więcej.

Ćwiczenia i prace prowadzone w ramach firmy nabierały szwungu i rozpędu. Zwolniły, przycichły tylko podczas Wielkanocy.

Okres bezpośrednio przedświąteczny upłynął spokojnie. Z istotnym wyjątkiem. Gospodyni czuła się rozczarowana, że jej sublokator ani razu nie pokulał do kościoła i nie wziął udziału w liturgii Wielkiego Tygodnia. Chłopy zawsze robią po swojemu, a więc nie pisnęła ani słowa.

Z Triduum Paschalnym mój przyjaciel miał naprawdę spory kłopot. I nie bardzo umiał wytłumaczyć, o co chodzi. Opowiadał

mętnie o bezdomnym królu bez korony. Mówił, że nie może mu przysparzać więcej bólu. Przekonywał, że nie umie się pogodzić z uśmiercaniem bezbronno Boga i Człowieka, nawet jeśli potem zmartwychwstaje, aby zbawić całą ludzkość.

Mój przyjaciel gadał takie rzeczy, bo - jak zawyrokowaliby zapewne ludzie mądrzy - nie osiągnął jeszcze dojrzałości, nie zrozumiał tego, co jest najważniejsze. M był świadom swej głupoty, ale nadal nie udawał, że przeżywa Wielki Piątek w uniesieniu. W Wielki Piątek był zgnębiony. Świątecznie przeżywał Niedzielę

Paschalną. A najbardziej kochał pieśń sprzed siedmiu wieków Chrystus zmartwychwstał jest. Kiedy słuchał jej lub chciał zaśpiewać, ścisnęło go w gardle. M pilnie się starał, żeby nikt nie zauważył tych emocji - przede wszystkim Irma Zając.

Na śniadanie wielkanocne byłem zaproszony wraz ze szpakiem. Jeśli nawet nie za bardzo zaproszony, to na pewno nie goniony z kuchni i pokoju na podwórze. Oczywiście to, co zładowała gospodyni, smakowało oszałamiająco, wiem, co mówię, bo dostałem barszcz z kiełbasą, trochę później, kiedy wystygł.

Ludzie najpierw podzielili się święconką i szczerymi życzeniami, a my z ptakiem dobrym słowem, bardzo cichym, by nie prowokować żadnych pytań. M do barszczu wrzucił sobie gotowane w cebulowej wodzie jajko, chrzan, buraczki, coś tam jeszcze i coś jeszcze, i unosił się ze szczęścia pod sufitem. Gospodyni śmiała się, a jednocześnie była dumna. Smakowali także to i owo z wonnych wędlin, smakołyki z paczki od Helenki, a na deser sernik, babę z

rodzynkami i makowiec.

Było kubek w kubek jak w psim raju.

Święto zobowiązywało wiernych do radości, a tu pani Kosakowej się zebrało na wyznanie:

- Ano, widzisz, synek, stary człowiek, to już, mówię, do niczego. Takie cuda. Wstrętnie pachnie, gubi rozum, nie ma zębów. Dziecko, dziecko nawet jak się sfajda, to jest piękne, takie, no, do ukochania, a jak stary usra się w chorobie, trudno przemóc obrzydzenie, taki przykry... - mimowolnie wykręcała sobie palce. - Pojedz jeszcze tego placka, w święta możesz sobie nie żałować.

Gospodyni podsunęła M makowiec. Jakoś nie mógł. Nie w tej chwili. Podziękował.

- Ino to ci powiem: krzyż starości tak nie ciśnie, jak się robi co pożytecznego i nie kisi cięgiem w smutku - przekąsiła tę sentencję babką z lukrem. - No, ten placek mógłby trochę dłużej zostać w piecu - oceniła.

Rzeczywiście, baba mogła być cokolwiek bardziej dopieczona.

M zapytał, czy w tym wszystkim, co mówiła gospodyni, kryje się jej sekret zniknąć z domu po obiedzie bądź pod wieczór. Zamiast jasnej odpowiedzi uzyskał zachętę do poczęstowania się sernikiem. Wsunął sernik, a pytanie pozostało bez odzewu. To pytanie nie dawało mu spokoju. Niuchał, niuchał i wyniuchał, ale, proszę państwa, nie od razu. Powiem o tym trochę później.

Po śniadaniu wielkanocnym dzieciary z osiedla szukały zająca. M nigdy nie słyszał o takim zwyczaju (na

Okęciu i na Solcu zając nigdy się nie zjawiał), ale że dowiedział się o wszystkim dostatecznie wcześniej, chyba w środę, no to zdążył przygotować coś do gniazd w ogrodach. Tak więc, prócz słodczy od najbliższych, rycerstwo z sąsiedztwa znajdowało kawałeczki cegieł. Każdy z tych ułomków był zaopatrzony w certyfikat stwierdzający, że to autentyczna cegła średniowieczna, z prawdziwymi odciskami ludzkich palców, i że kto przyłoży do niej swoją dłoń, to tak, jak gdyby podał rękę komuś żyjącemu w dawnych czasach. Podawanie rąk przez wieki robiło wrażenie i praktykowano je z prawdziwą pasją.

A dzieciaki od Ladachów odnalazły upominki od zająca nie w ogródku, ale w lesie, blisko domu. W gniazdach oprócz cegieł były czekolady (dołożone z paczki pani Kosakowej). Starzy Ladachowie jakoś chyba zająca zapomnieli. Pamiętali za to o siarkowym winie bez zagrychy od rana już leżeli urąbani jak melony, nie za bardzo zmartwychwstali.

M też dostał od zająca skromny prezent. To nie była średniowieczna cegła, tylko zgrabny aerolit. Spadł na mego przyjaciela prosto z nieba, blisko dębu o wyglądzie zastygłego słońca. Aerolit walnął go odświętnie, prosto w czoło, i M ujrzał wszystko jak wydrukowane: „Zwykle raz w tygodniu foki proszą o pierwiastek kwadratowy z siedemnastu albo z innej trudnej liczby”.

Bardzo mu się podobało to, co dostał, i tym razem wcale się nie zżymał.

*

W lany poniedziałek padał słaby deszcz, na szczęście ciepły.

Mój przyjaciel usiadł sobie na pniu sosny, naturalnie na plecaku, żeby potem nie obudzić się z cewnikiem w pewnym miejscu. Czekał tam na pannę

Bernatowicz. Nie wiedzieć dlaczego, denerwował się jak ogar. Aby nie poddawać się emocjom, wracał myślą do poranka, kiedy dzieci oblewały się kubłami wody.

Wszystkie bitwy z krzyżakami były betką w porównaniu z tą batalią. Najbardziej ucieupiał kot Tuchłów.

Przypadkowo sięgnął go chluzt z wiadra. Przez pięć minut wrzeszczał wniebogłosy i otrząsał się, jak gdyby ktoś go raził prądem w wąsy, aż zrobiło mi się trochę żal tej kreatury. Już mówiłem, toleruję kocią rasę, przy czym toleruję ją w sekrecie, bo to w psiej profesji zabronione. Z drugiej strony, nie przesadzam z ciepłym uczuciem i mam dość wyraźny pogląd: kot to jest rezerwa mięsna w gospodarstwie. Tyle.

A podobno w Starym Jarze oblali z hydrantu sprzedawcę krawatów. Na szczęście towar był zabezpieczony pod brezentem na pierdziawie. Sprzedawca zapewniał, że w ogóle się nie gniewa, i jeszcze dodawał:

- Dobra wróżba, będzie lepiej.

Z rozmyślenia nad dyngusem wyrwał M gwałtowny ruch i zgiełk pomiędzy sosną o numerze bocznym

2.375.967 a wysokim dębem nr 76.949. Wszystko rozgrywało się wyłącznie tam i nigdzie indziej, w żadnym innym leśnym kadrze.

Trwało gorączkowe polowanie, dosyć dziwne, takie raczej

kłusownicze. Kłusownicy mieli jednakowe kurty moro, wojskowe buciory i hełmy. Zapędzali ludzi na polanę otoczoną drutem. Zapędzali, lejąc ich pałami, kolbami kałachów, kijami. Wrzeszczeli do tamtych, że to taki lany poniedziałek. Łowili niektórych, stosując obławę, innych znajdowali tu i ówdzie schwytyanych we wnyki. Ktoś kołysał się na konarze dębu uwieszony na stalowej lince, która przecinała jego nogę tuż nad kostką.

Sublokator pani Kosakowej uszczypnął się w rękę. Nie, nie spał.

Schwytni mężczyźni leżeli na ziemi jak zabite pałką fokii. M kompletnie nie był w stanie ani pobiec w tamtą stronę, ani zwiewać. Zesztywniał ze strachu - zwierzęcego przerażenia. A pomiędzy sosną o numerze bocznym 2.375.967 a wysokim dębem nr 76.949 jeden z tych upolowanych próbował się wymknąć z drucianej zagrody. Jeszcze raz zarobił kijem w łeb i upadł. Patrzył w stronę mego przyjaciela.

Krwawił z nosa, ust i uszu. M już widział kiedyś ową twarz, na pewno, trochę starszą, ale widział. Ranny usiłował coś powiedzieć. Sublokator spod dwunastki nie potrafił go zrozumieć. Owładnęło nim poczucie bezradności. Jedyne, co zrobił, to poruszył lekko głowę. W prawo. Dzięki temu pomiędzy bukami 60.854 a

60.859 zobaczył dziewczynę.

Chciał zawołać, żeby uciekała. Nie dał rady. Jeszcze raz popatrzył w lewo. Między sosną o numerze bocznym 2.375.967 a wysokim dębem nr 76.949 nikogo już nie było. Nie zostały nawet sidła ani wnyki, ani żadne ślady krwi na liściach. Ta zdumiewająca,

nagła nieobecność brzmiała równie przeraźliwie jak rozgrywające się przed chwilą sceny polowania.

Sublokator pani Kosakowej nie mógł się wydobyć z odrętwienia. Ledwie zdołał wstać, żeby powitać nadchodzącą prędko Martę:

- Cieszę się, że pani przyszła, mimo deszczu.

- Przyszliśmy. Z Moniką, siostrzyczką. O, tam - pomachała komuś, kto udawał, że go nie ma - za jałowcem. Ona trochę się krępuje.

- Nie podejdzie?

- Zobaczymy. A gdzie Wabi?

- Został.

Niezupełnie. Od razu wyjaśnię, warowałem całkiem niedaleko. Udawałem nieobecność niczym panna za jałowcem, tylko lepiej, w lepszym miejscu.

- Aha, ojciec panu coś nagadał!

- Zwyczajnie zażądał, żebym nie zabierał psa do lasu.

Powstrzymała się od komentarza, powiedziała tylko:

- Byłam pewna, że pan przyjdzie z kumplem, jak za pierwszym razem.

Duży punkt dla Bernatowiczówny. Już kolejny.

- Czy ta sprawa, ta do mnie, czy ona związana jest z Wabim?

- Muszę zacząć od apteki - szepnęła dziewczyna. - Niech pan się nie gniewa. Zachowałam się jak dzika. Okropnie nie chciałam, żeby pan zapytał, po co mi te stopy lekarstw. To nie była dobra pora na rozmowę.

- A teraz?

- A teraz - patrzyła mu w oczy - widzę, że pan wie...

- Niewiele.

- No dobra, mam w dupie, co już nagadali różni ludzie - mówiła pospiesznie. - Sprawa ma się tak, w połowie listopada moja siostra przeszła ciężką operację, a potem tortury, przez całe miesiące. To jest w gruncie rzeczy jeszcze dziecko - zerknęła za siebie - a ma takie pochrzanione życie, takie od szpitala do szpitala, od bólu do bólu, od wyroku do wyroku. Pan te sprawy pewnie lepiej zna ode mnie - mówiła za głośno, ale się zreflektowała. - A to pierdzielone świństwo znów odrasta... Przepraszam. Ja normalnie nie przeklinam - uchwyciła jego rękę i puściła. - Chirurg nie chce tego ruszać. Na szczęście nie widać przerzutów.

M strasznie się spocił.

- Teraz najważniejsza kwestia, ta, dla której umówiłam to spotkanie - jeszcze raz, dyskretnie, popatrzyła na Monikę przyczajoną za iglakiem.

- Chciałabym poprosić... chciałabym poprosić, żeby pan jej pomógł.

- Ja... jak to? - ładzo mocno się zająknął; miał tak zawsze, kiedy czymś się denerwował. - Nie jestem lekarzem.

- Mnie zależy tylko na tym, żeby pan czasami ją rozśmieszył!

M zapomniiał zamknąć usta ze zdumienia i wleciała mu tam pierwsza pozimowa mucha w okolicy.

- Nie wyczuwam. Czym rozśmieszył?

- Tak normalnie. Sobą.

M skurczył się cały do rozmiarów dorosłego jeża. Naturalnie, dobrze wiedział, że pokraka może bawić, wiedział, jak komiczne jest jąkanie czy tam wywalanie się na równej drodze. Mimo wszystko nie przepadał za tym, gdy kobieta nazywała go kaleką albo za takiego uważała, państwo pewnie pamiętają.

- Mam bełkotać - spytał ze ściśniętym gardłem - wesoło kuśtykać? I to jej pomoże?

- No, co pan, oszalał?! Może źle się wyraziłam. Ja myślałam tylko i wyłącznie o tym, że pan umie tak zabawnie coś powiedzieć, jak wtedy o Wa-bim. A Wabi też zdaje się bardzo wesoły, w dodatku komicznie powtarza wiele pańskich ruchów, nawet spojrzeń. Dzięki waszej dwójce pierwszy raz się śmiałam, pierwszy raz od niepamiętnych czasów.

M pomału wydobywał się z przykurczu.

- My w domu dajemy Monice opiekę i miłość - ciągnęła - czyli pewnie to, co najważniejsze, ale nie umiemy z niej wykrzesać wesołości, nawet głupawego chichotania, wie pan, śmiechu, który mógłby bronić ją przed strachem.

- Pani siostra musi się spotykać ze swoimi, takimi jak ona, po prostu z kumplami ze szkoły, a nie z jakimś dinozaurem.

- Oczywiście. Tylko że ich nie ma! Nie ma! Gdzieś, kurtka, zniknęli. Ludzie boją się choroby, panicznie się boją cierpiących, kompletnie nie wiedzą, jak zachować się, co mówić, a pan takie rzeczy musi wiedzieć, po tych wszystkich własnych przejściach...

Nie zauważyli, kiedy się zbliżyła. Stała tuż przy nich.

- O, to jest Monika! - zawołała prędko Marta.

M uklonił się jak uczeń.

Młodsza Bernatowiczówna nie odpowiedziała ani słowem. Patrzyła na niego odważnie, jakby uwolniła się od skrępowania. Zdawała się niższa od siostry i puciołowata jak przedszkolak. M widywał kiedyś takie twarze, opuchnięte po lekarstwach. Jej lewa powieka zostawała półprzymknięta. Pozbawioną włosów czaszkę okrywała bawełniana, żółta chustka. Panna w chustce nie mówiła, ale słyszał ją dokładnie, odbierał jej brzmienie. Nie było podobne do tego, jakie go dręczyło podczas polowania albo kiedyś, na

Puławskiej. To był ton ginących drzew na krańcach lasu, takich, których nie potrafił uratować.

Za pomocą czterech krótkich gestów zapytała, jak się czuje. Jak się czuje M! Czy ma bóle i tak dalej.

Odkąd wyszedł ze szpitala, nikt mu nie zadawał takich pytań, z wyjątkiem Bociana, to jasne, ale nawet

Bocian robił to w zupełnie inny sposób, bez owej niezwykle skupionej uwagi.

Odpowiedział, że jest dobrze, a potem sam spytał Monikę o zdrowie, czy często wychodzi na spacer, te rzeczy. Poruszyła lekko dłonią i M to zrozumiał, bo doświadczał kiedyś, tak jak ona, przerażenia własnym ciałem.

Zrobiło się cicho. Kapał słaby deszcz i koniecznie trzeba było coś powiedzieć. Wtedy sublokator pani

Kosakowej dostał w ciemność po raz pierwszy. Odruchowo wyrzekł na głos to, co właśnie go trafiło:

- Botanik Zalewski wytrząsa swą głowę jak kalosz.

A po chwili dostał drugi raz, też mocno. Od razu powtórzył:

- Wypadają jakieś drobne, w sumie 157 złotych. Sporo.

Potem już dostawał raz za razem, jakby co dziesiąta kropla deszczu była sydereitem lub aerolitem. Nie nadążał z wyświeczeniem i odczytywaniem ich kosmicznych, idiotycznych treści, z tym że robił, co się dało, bez jąkania:

- Wypadają połamane słowa, zardzewiałe klucze, dokumenty i zupełnie zapomniane myśli, na ten przykład: Sąsiad z dołu nie wychodzi teraz na dwór, bo kiedyś zaplątał się w fale radiowe i upadł.

Marta spoglądała na sublokatora pani Kosakowej z bezmiernym zdumieniem, jakby chciała mu powiedzieć: To w ogóle nie jest śmieszne. Pan opowie coś o Wabim. A on gadał dalej jak po śliwkach:

- Ostatni wypada na ziemię strasznie ciężki głaz zgryzoty. Taki o wymiarach 94 na 61 na centymetrów. Bardzo ostry na krawędziach.

Starsza córka leśniczego K. Bernatowicza nadal wydawała się wyraźnie wystraszona, natomiast ta młodsza przeciwnie. M zobaczył na jej ustach cień uśmiechu. Dlatego dokończył historię, która uderzyła go z wysoka:

- Botanik Zalewski zakłada swą głowę z powrotem, jak czapkę. Potem idzie bardzo lekki. Odnosi wrażenie, że została wyłączona grawitacja, więc rośliny, żaby, instrumenty dęte i szarpane, nawet konie unoszą się same w powietrzu na grzbietach.

Deszcz ustał, zupełnie, i przestały spadać syderyty, achondryty i sy-derolity. Pomiędzy drzewami 60.967 a 76.949 panowała całkowita cisza, jakby nigdy nie o<f>yło się tam polowanie i nie zdarzył lany poniedziałek.

- Słońce jak bałija, a wy jeszcze śpita! - zawołała pani Kosakowa.

Rzeczywiście, M zasnął, pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Była ósma. Gospodyni wspięła się na schody prowadzące na poddasze, bo już miała trochę stracha, co się dzieje. Sublokator pięknie podziękował, a potem - gdy przez siedem minut i dwanaście sekund jeszcze leżał - rozmyślał o cudzie, o tym, że nie zbudził go niepokój w brzuchu, tylko dobry i życzliwy człowiek.

I mnie ta pobudka przypadła do gustu. Pani Stanisława Kosakowa zwróciła się do nas, do nas dwóch widzianych razem! Warto było czekać na tę chwilę, chociaż mało się nie wykończyłem, zanim M wypuścił mnie na siku i zanim dobiegłem do naroża szopy z drewnem. Świerka nigdy nie moczyłem. Wyjaśnię od razu, w nadchodzących dniach, tygodniach i miesiącach zdarzało się jeszcze, że M budził się zduszony niepokojem, ale znacznie, znacznie częściej wrywał go ze snu duży budzik w kształcie muchomora. Kto nie zrywał się przez lata o czwartej nad ranem, ten raczej nie pojmie, jak można się cieszyć z przysypiania aż do pół do siódmej, do dzwonienia trującego grzyba.

Wróćmy do pierwszego dnia, gdy sublokator spod dwunastki trochę zasnął. Co prawda, nie doznał objawień, żadne z jego

najważniejszych pytań nie znalazło słowa odpowiedzi, nie otrzymał listu z pocałunkiem od dyplomowanej pielęgniarki Anny Wilkosz, niebywale atrakcyjnej, pozostawał sam jak palec, nadal kulał, jękał się i zapominał to i owo, całkiem sporo, nie wypiękniał i nie zmądrzał, lecz odczuwał coś takiego jak przed laty, gdy budował z cegieł samoloty. Czuł w sobie energię i światło. Taki stan wewnętrzny ludzie nazywają pasją. Pasja niekoniecznie znaczy szczęście. Poza czasem na Okęciu M doświadczał tego stanu tylko w pierwszej fazie po wylądowaniu i potem, na krótko, gdy razem z

Bocianem finalizowali prace nad Pałacem Jesiennym na Solcu.

Trochę zasnął, no więc spóźnił się do pracy. Postanowił to nadrobić po południu, a na razie zajął się strojeniem czterech młodych buków, które rosły całkiem niedaleko domu gospodyni. Ktoś skaleczył je żelastwem i marniały. Przypuszczalnie zrobił to traktorem stary Szlagoń. Jak się napił, lubił warczeć, demonstrować męską siłę.

Zresztą fascynacja motorami była na wsi dość powszechna. Piły spalinowe, elektryczne, śmierzące pierdziawy, ciągniki, blaszane przyczepy i do tego radioodbiorniki na podwórkach, wszystko, co huczało i ryczało, było w cenie, otoczone bałwochwalczą czcią, pogańskim kultem. Wsi właściwie już nie dało się wystroić. Sublokator pani Kosakowej nie miał co do tego żadnych złudzeń. Zastanawiał się czasami, czy nie znalazł się na powrót na Puławskiej róg Madalińskiego. Na szczęście, o cudzie, miał furtkę do lasu.

Niezależnie od falstartu M próbował wykonywać swoją pracę jak najlepiej, co nie było takie łatwe, bo od rana las wariował.

Wariował codziennie od pierwszego tchnienia wiosny, tak jak wariowała pani

Kosakowa na grządkach przed domem. Mój przyjaciel zauważał tę euforię dużo intensywniej niż dotychczas. Las zieleniał, rósł i wyśpiewywał.

M zatrzasnął własny dziób i słuchał, nawet stroił pewne drzewa do szczególnie pięknych dźwięków wydawanych przez rudzika (*Enthacus rubecula*). Szkoda, że niektóre inne ptaki miały dosyć wstrętne i skrzekliwe głosy. Każdy modli się, jak umie, twierdził sublokator spod dwunastki, i nie rzucał badyłami w tych krzykaczy, a ja twierdzę, że powinien był, szczególnie w sójki (*Garrulus glandarius*). Wiem, co mówię, bo tam byłem (incognito) i słyszałem.

Ćwiczenia fizyczne przepisane przez rehabilitanta J. Maciąga i pomoc w ogrodzie przeniósł na godzinny przedwieczorne, bowiem po południu, zgodnie z daną sobie obietnicą, M wrócił do lasu. Miał sporą awarię jaworów w pobliżu polany, gdzie napotkaliśmy w marcu Martę. Dziwne, później raczej tam nie chodził, a przecież pokochał to miejsce od razu. No może nie dziwne, bo Polana Apostołów nie potrzebowała stroiciela. Poza tym mój kumpel chyba chciał tam wrócić kiedyś z Martą, a nie tylko z cieniem psa przybłądy. Teraz zajrzał tam na chwilę. Modrzewie szumiały wiosenną zielenią. Było, kurde, fantastycznie. Mój przyjaciel przysiadł na plecaku, pod siódmym modrzewiem i zasłuchał się w błogosławiony, absolutny spokój lasu.

Już od następnego dnia powrócił do normalnej dyscypliny pracy

i o odpowiednich porach prowadził strojenie zieleni i reszty, odbywał lektury, ćwiczenia wymowy, mentalne i ogólnosprawnościowe, pomagał przy domu albo starał się udzielać małodatom odpowiedzi na pytania o ciężar kirysu, liczebność krzyżackich chorągwi, zasięg kuszy czy przyczyny bezdennej głupoty chłopaków albo kompletnego debilizmu dziewczyn.

Jestem niemal przekonany, że na nastrój mego przyjaciela miały wpływ zupełnie nowe obowiązki i zadania jego firmy - konwentykle z Martą i Moniką. Widywali się co trzeci dzień, mniej więcej, w zależności od pogody i od formy młodszej Bernatowiczówny.

M przychodził trochę wcześniej. Stroił przestrzeń, żeby Marta była spokojniejsza, a Monikę mniej bolała głowa. One o tym nawet nie wiedziały, natomiast M chwycił, rozpoznawał silny związek między nastrojeniem a nastrojem. Nic dziwnego, że przykładał wielką wagę do możliwie najczystszej brzmienia istnień poszczególnych i całości ich polany.

Spotykali się i było różnie. Najczęściej gadali. O wszystkim. Monika mówiła spojrzeniem i gestem. Potem on z nienacka walił coś głupiego, coś z kosmosu, i one się śmiały. Twierdził, że to scenariusze własnych filmów, takie do natychmiastowego wyświetlania sobie w głowie.

Podczas tych projekcji siostry czasem tak kwiczały, że M musiał zatrzymywać całą akcję, żeby nie zrobiły sobie krzywdy.

Repertuar obejmował bardzo różnorodne życiowe historie, na przykład: a) o walce Jakuba z korozją aniołów, b) o Lityńskiej, która

przez zupełną nieuwagę albo pośpiech znalazła się w jabłku Newtona, oraz o tych, którzy mają jeszcze gorzej, bo znaleźli się w pociskach z karabinu wielostrzałowego i koniecznie muszą zdecydować, kiedy wysiąść, c) o Ciborskiej, która obudziła się bez ciała i nie mogła się normalnie umyć, d) o sąsiedzkich kłótniach nieba z piekłem, jako że na dole zawsze jest za głośno i w dodatku nie wiadomo, do kogo zadzwonić, żeby zrobił tam porządek, e) o Odyseuszu, który wylądował w Świnoujściu, żeby się dowiedzieć, kto tam rządzi - Lajstrygoni, Cyklopi, Kalipso czy Scylla, f) o smutku kotletów, pomidorów i ziemniaków na minutę przed obiadem, g) o kacze krzyżówce, która rzuca cumy na przystani, a obsługa kładzie trap z mocnymi poręczami, i o pasażerach, uśmiechniętych, bo choć na otwartym morzu mocno wiało, to nikt nie czuł chłodu w gęstym pierzu, h) o wersalce orbitalnej i o misji ratunkowej lady masamiczej z Gostynina, i) o Lidii Dawidziak, która chora jest na siebie, a profesor Piskór twierdzi, że to może być nieuleczalne, j) o tym, że dwa małe ząbki czosnku i niestety randka bywa nieudana, k) o tym, że chodzili i chodzili, a teraz nie chodzą i leżą znużeni. I tak dalej, sporo innych.

M czasem powtarzał niektóre historie - te szczególnie ulubione przez Monikę i jej siostrę. To były relacje z podróży lotniczych do Francji i Stanów. On je przeżył jako chłopak, latem 1970 roku. Marta i Monika nie wątpiły ani trochę, że M opowiada im zdarzenia autentyczne, nieco dziwne, ale absolutnie wiarygodne, zresztą prawdę się wyczuwa pewnym nerwem pod łopatką i one ją czuły.

W końcu kwietnia Marta powiedziała M o sprawie aktualnej i

zupełnie nie do śmiechu.

Zatrzymał się u nich, na piętrze, pewien Szwed, właściwie Polak, który musiał emigrować na początku lat 80. Paweł Wyżykowski, miły człowiek, pod czterdziestkę, w okularach. Przed stanem wojennym działał w związku Solidarność. Wtedy mieszkał i pracował w Gdyni. 13 grudnia zgarnęli go w nocy i dostał za swoje.

Skatowali go w obozie. Ten obóz był w mieście z katedrą, za lasem.

Wtedy - od południa aż do późnej nocy 14 sierpnia 1982 roku - ci z milicji i służby więziennej, wyekwipowani tak jak zomo, katowali, szczuli psami i ciężko ranili ponad osiemdziesięciu internowanych.

Wraz z wieloma innymi Wyżykowski znalazł się w szpitalu. Długo leżał, potem jeszcze leczył się w Uppsali, już jako uchodźca. A teraz, po latach, przyjechał do Polski, bo wierzył, że tu można wiele zrobić. Miał dobre pomysły i rozmawiał o nich z wójtem.

M przypomniał sobie srebrne volvo i zrobiło mu się dziwnie przykro. Dlaczego? W czym przeszkadzał mu pan Paweł Wyżykowski, miły człowiek pod czterdziestkę? Mój przyjaciel wstydził się tych uczuć. Tego dnia niewiele mówił. Zresztą, on, Monika i jej siostra niekoniecznie wciąż gadali. Bywało, że długo milczeli, nie z powodu jakiejś kłótni, tylko że akurat dużo lepiej było nic nie mówić, nic kompletnie.

Czasami grywali w ulubioną grę Moniki. Dla tej gry nie mieli nazwy. Ktoś podawał pierwsze zdanie, potem, po kolei, każdy

dopowiadał dalsze słowa i tak snuła się opowieść z milionem szczegółów, które nie składały się w specjalne sensy, ale za to w wielką radość. Monika, jak zwykle, wyrażała swoje myśli wyłącznie oczami i ruchami głowy albo dłoni.

Pewnego wieczora skierowała wskazujący palec w stronę M, a ten zrozumiał, że ów gest już nie oznacza pan, lecz ty. I tak nadszedł czas mówienia sobie po imieniu. Usłyszałem - a psie ucho w takich sprawach się nie myli - że odczuli wielką ulgę, wszyscy troje, jakby odłożyli na bok coś niewygodnego i szli dalej dużo lżejsi.

Zawsze byłem bardzo blisko. Zapewniałem im ochronę. W czwartek 29 kwietnia zaszczeakałem na wściekłego lisa, który cuchnął nieszczęściami. No i wszystko się wydało. Spodziewałem się okropnej awantury. Tymczasem był spokój, nikt na mnie nie wrzeszczał. Marta ucieszyła się tak bardzo moją obecnością, że M nie miał szans pogonić mnie do domu. I co więcej, dopuszczono psa do konwentykli.

Szalałem ze szczęścia. Poza tym przeważnie milczałem i biegałem dookoła, z przerwami na sesje babskiego głaskania.

Siostry poprzysięgły zachowanie tajemnicy. Ani słowa o mnie, zwłaszcza ojcu.

Zachowanie zasad ścisłej konspiracji obowiązywało całą trójkę także w kwestii całkowicie podstawowej, czyli schadzek na polanie. Świat nie musiał o nich wiedzieć ani się zajmować tym, że spotykali się ze sobą: kulawy włóczęga-jakała i dziwak, nastolatka, której bali się normalni ludzie, bo nosiła w sobie czarny kamień, i dalece podejrzana miss powiatu, która nie wiadomo co robiła przez pięć lat,

gdzieś w wielkich miastach - trzy człowiecze biedy (i do tego pies przybłąda). W dodatku naprawdę nie było powodu, żeby komukolwiek w świecie zdradzać, że czuliśmy się ze sobą dużo lepiej niż z innymi, porządnymi obywatelami gminy.

A właściwie to bezpieczni i spokojni czuliśmy się tylko ze sobą. I z lasem.

*

Każdy, kto przytomnie słuchał mojej opowieści, wie, że równolegle do organizowania tajnych konwentykli, prac przy domu pani Kosakowej, rozmaitych ćwiczeń oraz lektur firma M przeprowadzała regularne strojenie zieleni i reszty. Należało to do jej kluczowych obowiązków, o czym nie wypada zapominać. Państwo znają nawet rozkład godzinowy owych działań. Wydawało się, że wszystko idzie tak, jak trzeba, a jednak... no właśnie. W końcu kwietnia i z początkiem maja okazało się, że są konieczne duże zmiany.

Sytuacja była taka: bywały dni świetne, dość dobre, przeciętne i straszne.

W te świetne - wszystko w lesie brzmiało fantastycznie, a M tylko nasłuchiwał, chodził, patrolował oddział po oddziale i uśmiechał się jak terier.

W te dobre - pewne miejsca brzmiały nie za bardzo, jednak wystarczyło zrobić dwa nacięcia na gałęzi, przestawić w strumieniu trzy większe kamienie, aby znowu było tak jak trzeba.

W te przeciętne - sublokator spod dwunastki z jednej strony

napotykał dysonanse, z drugiej sam był w kiepskiej formie. W owe dni korzystał z dźwięków i zestrojów harmoniczných, jakie czerpał z kompozycji puszcanych nocami przez radio. Na przykład polanę w oddziale 108, czyli dosyć spory obszar ze świerkami, sosnami, brzoami i grabem, podstroił udatnie do melodii Kaszyckiego „Pamiętasz, była jesień”. Ta piosenka była, jest i będzie arcydziełem. Żaden przedstawiciel świata fauny nie miał co do tego wątpliwości. Las dawał się stroić także do chorałów gregoriańskich z benedyktyńskiego Solesmes, kantat organisty i kantora z lipskiego kościoła św. Tomasza, polonezów i mazurków przygodnego organisty z warszawskiego kościoła wizytek, Kwartetu na koniec świata Oliviera M. z Paryża, utworów z albumu The Dark Side of the Moon kwartetu z Londynu, a także wokaliz rudzika i kosa z okolic.

Natomiast w dni straszne M nie dawał, kurde, rady. Czegokolwiek się dotknął, to paskudził, tak jak - pamiętają państwo - na wyrębie, wtedy, gdy znalazłem orzechówkę.

Skąd te straszne dni i skąd porażki?

Po pierwsze, z powodów wewnętrznych. Czasem M nie umiał znaleźć w sobie połączenia ani z dźwiękiem z bakelitowego telefonu, ani z brzmieniem żadnej spośród kompozycji puszcanych nocami przez radio. I w ogóle słabo słyszał. Albo wcale.

Niekiedy powodem przegranych był nie tyle stan psychiczny stroiciela, ile jego mierne kompetencje.

Ostatecznie M nie zdobył wykształcenia w kierunku muzycznym, z wyjątkiem walnięcia ciemieniem o beton i spędzenia

dość długiego czasu nad ziemią i w łóżku, co dość trudno porównywać do praktyki dyrygenckiej w filharmonii albo studiów w klasie fortepianu. Nie umiał zbyt wiele, nie był w stanie opanować naprawdę rozległych przestrzeni współbrzmienia ani nie dosięgał górnych dźwięków wielu starych, wybujałych dębów, modrzewi i sosen.

Dni straszliwe i przegrane zdarzały się także z powodów zewnętrznych. M odkrywał miejsca tak potwornie rozstrojone, że doprowadziłyby do załamania nerwowego nawet stu profesjonalnych stroicieli - miejsca, w których już nie dało się nic zdziałać. Myślę tu nie tylko o wyrębach.

Mówię również o tych jamach, dołach, zwykle na obrzeżach lasu i przy duktach, gdzie hołota wywaląa gruz, eternit, stare pralki, wanny, zdechłe krowy i trabanty i do tego rozrywała grunt gąsienicami tak głęboko, że przez lata nie mógł się zbliżyć. W takich strefach śmierci sublokator pani Kosakowej zdawał się bezradny i - co więcej - czuł się chory. Musiał z nich uciekać, by ratować to, co było do uratowania scyzorykiem od boksera R. Solaka.

Przy okazji zdradzę państwu pewien sekret. Zdarzało się czasem, że M zamiast coś nastroić, perfidnie rozstrajał. Podam przykład. Raz wykonał cienkie cięcie, cienkie, ale w odpowiednim miejscu, na zderzaku wielkiej ciężarowy, którą ktoś rozjechał pół młodniaka, potem pozostawił ją wśród trupów i poszedł po pieńki, gałęzie czy coś tam. Kiedy szofer wrócił do szoferki, nic w pojeździe nie działało, a konkretnie rozsypały się normalne dźwięki samochodu, zamiast grania

tłoków słycać było tylko jazgot, całkowitą kakofonię niezwiązanych z sobą części. Dodatkowo ten kierowca wpadł w kłopoty osobiste. Piszcział głosem przedwojennej pensjonarki i strasznie się wstydził. Przez tydzień.

W kwietniu straszne dni zaczęły zdarzać się niepokojąco często. To skłoniło mego przyjaciela do refleksji.

Coraz jaśniej widział albo raczej słyszał, że po prostu jest za słaby i za głupi, nieskończenie mały w wielkich lasach, jak jedyny dzięcioł w całej tajdze albo pojedynczy sanitariusz na bezkresnym polu walki.

Porównanie z tym sanitariuszem nie jest tak do końca pozbawione sensu, bowiem lasy stale odnosiły rany w ciężkim boju z tałajstwem - wspominałem o tym dziesięć sekund temu. Zresztą nawet to, co już zostało pozszywane, opatrzone, nastrojone - poszczególne drzewa, grupy roślin i obszary - bardzo łatwo rozstrajało się z powrotem. Wystarczyło, że zmieniła się pogoda, wiatr złamał gdzieś konar, spadł zbyt kwaśny deszcz, zawiało smrodem z miasta ukrytego na południu, już nie mówiąc o wypadkach, kiedy ktoś z premedytacją coś podpalił, ukradł, wyciął czy wyrzucił w krzaki jakieś świństwo, zastawił potrzaski lub wnyki, a robota zaczynała się od nowa.

W tej niełatwej sytuacji mój przyjaciel, zamiast się zniechęcić i marudzić, zaczął jeszcze intensywniej myśleć. Kombinował - tu uwaga! - czy nie dałoby się stroić lasu kompleksowo, nie po jednym liściu, ale hurtem.

Zrazu marzył o strojeniu całej puszczy z czubka wieży. Tylko jak, praktycznie, miał to robić? Była to zdecydowanie misja dla aniołów, a nie ludzi, z tym że tamci z baz powietrznych zajmowali się czymś innym i nie mogli się rozpraszać. Potem wpadło mu do głowy coś innego i to nie był wcale meteoryt.

W nocy z 10 na 11 maja sublokator pani Kosakowej wyszedł na podwórko. Oczywiście stałem przy nim, z ufnym łbem pod jego dłonią. Noc była bezchmurna, a niebo gwiazdziste, tak jak kiedyś nad Królewcem albo jeszcze dawniej nad Fromborkiem. M gapił się w górę. Nie za bardzo znał się na tych wszystkich konstelacjach srebrnych światel, tymczasem okazało się, że nawet laik może dostrzec coś ważnego. Otóż mój przyjaciel zauważył, że odwieczna cisza nieba w żaden sposób nie poddaje się dudnieniu, zgrzytom i hałasom, jakie unosiły się z zydlungów i waliły w sufit nocy.

Harmonia przestworzy nie traciła swej doskonałości mimo wycia psa Borygo, o którym wspominał możliwie najrzadziej, żeby się nie denerwować. Nie stawała się podlejsza od jazgotu Szlagoniowej, nie niszczył jej Knaffel i jego szczekania na żonę płaczącą z powodu chronicznej i bolesnej rany na żylaku, nie zakłócał bełkot u Ladachów i rodzinne huki w domu Tuchłów, nie dotykał koci zgiełk w zaroślach i ogrodach. Ta muzyka sfer - jak uczenie określał ją mój przyjaciel - nie marniała od piskliwych utyskiwań i lamentów teściowej Szmaglińskiej na otrucie żabą i jaszczurem ani od nocnego ujadania i rządzenia się telewizorów, nawet od chrapania Z. Wirkusa, tego, który - kiedy nie spał - powtarzał „królowo radziecka” i płakał w

kościół co tydzień.

Pod tym niebem M zrozumiał, że jest nikim. Jest nikim i niczym, ale może się do czegoś przydać. Pojął, że powinien popробować stroić las do ciszy nieba albo raczej ciszą nieba. Bezpośrednio!

Ten rodzaj strojenia nie mógł być wykonywany scyzorykiem. Trzeba było zrobić jakieś sprytne połączenie dołu z górą - zwornik, który służyłby do stałego albo okresowych transferów harmonii z jej niewyczerpanego i najdoskonalszego źródła wprost do pokasującego lasu. Te transfery były pomyślane jako rodzaj muzycznych transfuzji, z jednoczesną regulacją rytmu serca za pomocą synchronizowania jego pulsu z biciem arcyserca kosmicznego. Mam powtórzyć czy wystarczy?

Tej nocy nie zasnął. Bez przerwy rozmyślał, jak to można uskutecznić i czym się posłużyć. Technicznie.

Później bardzo dużo czytał, przede wszystkim o pitagorejczykach, Arystotelesie, świętym Augustynie i

Keplerze. Książki o tych myślicielach M pożyczał od starego księdza Antoniego, który miał bogatą bibliotekę. Bogatą i różniącą się od gminnej, bo dominowała w niej wyraźnie teologia, filozofia, kynologia i historia. Ksiądz Antoni nie uważał mego przyjaciela za zboczeńca i był absolutnie zachwycony, że ktoś chce skorzystać z jego zbiorów. Pies Bąbel nie czytał, wolał siedzieć przed konfesjonalem.

Oprócz prowadzenia intensywnych lektur, sublokator pani Kosakowej przypominał sobie prace, w których asystował Bocianowi,

oraz niegdysiejsze budowanie samolotów. Do tego dość dużo rysował. Jego firma miała teraz całkiem nowy dział - badawczo-naukowo-rozwojowy. M wiedział dokładnie, że J. Bocian byłby z niego bardzo dumny.

Gospodyni trochę się niepokoiła dzikim okiem lokatora. Pomyślała, że tak bywa, kiedy chłopca opanuje jakaś mania albo baba, albo sobie coś ubzdura, co zazwyczaj nie wychodzi mu na dobre. Żeby przestrzec

M przed nieszczęściami, pani Stanisława Kosakowa opowiedziała mu historię z Kieleckiego o kimś innym z rozgorączkowanym okiem. Bo Kepler Keplerem, ale mądrość bierze się nie z książek, tylko z życia, chyba jasne.

A to było tak, że Czesia Chodorkówna, bardzo ładna, miała wzięcie. I jak już się wydawała za bogacza, co posiadał cztery konie i taksówkę, pozostali czuli się okrutnie odtrąceni, a najbardziej Stasiu Słapek. Ten, podczas wesela - a że było bardzo ciepło, to weselne stoły stały na podwórzu - najpierw wlaź na dach stodoły, po sąsiedzku, i piał stamtąd pół godziny niczym kogut. Piał i płakał, aż go zdjęli z dachu i zamknęli w jakimś chlewie. Z chlewa uciekł. Złapał trąbkę Firmantego i przez kwadrans trąbił jak najęty, aż go znowu dogonili i wsadzili do piwnicy u Rusaków. A on uciekł po raz drugi. Wtedy wyprowadził motor brata, Kazimierza. Tamten był akurat w wojsku, nic nie wiedział, co się dzieje. Stachu zaczął jeździć tym motorem po gościńcu, w te i nazad. W końcu, żeby jego straszna rozpacz objawiła się całemu światu, przejechał trzy razy z zapalonym

snopem zboża za plecami. Wyglądał jak piorun. No i żarty się skończyły.

Obali go wodą i zgasili błyskawicę. Z tym że Stach się palił dalej w samym środku. A jak płonie w chłopie taki ogień, to trzeba uważać...

M wysłuchał tej historii, a potem zapytał, czy może korzystać z narzędzi i sprzętów przywiezionych do

Nowego Jaru przez świętej pamięci męża pani gospodyni. Pani Kosakowa aż westchnęła. Podumała, podumała, no i w końcu pokiwała, biedna, głową. Może chciała, w głębi serca, żeby to żelastwo całkiem nie umarło, żeby w jakikolwiek sposób posłużyło jeszcze ludziom. Nie wiem. W każdym razie dział badawczo-naukowo-rozwojowy ulokował się i podjął pracę w Szopie Wspomnień.

Dziewczynom, na razie, M nie mówił o tej sprawie ani słowa. Oczywiście spotykali się jak zwykle, gadali, milczeli i sporo się śmiali. M łapał się na tym, że czeka na każde z tych spotkań, czeka coraz niecierpliwiej i o wiele rzadziej myśli o dyplomowanej pielęgniarce Annie Wilkosz, niebywale atrakcyjnej, ale nie aż tak zachwycającej jak przed początkiem jego znajomości z leśną Martą Bernatowicz.

No więc spotykali się jak zwykle. Nadal czuli się ze sobą dużo lepiej niż z innymi. Z czasem to zaczęło tamtych innych irytować. Z czasem, czyli wtedy, kiedy sekret konwentykli przestał być sekretem wyłącznie Moniki, M, Marty i moim.

*

W maju jak to w maju było oszalamiająco, z tym że gryzły już komary (*Culex pipiens*), muchy (*Musca domestica*), bąki (*Tabanus bovinus*) i najgorsze z wszystkich stworzeń we wszechświecie - kleszcze

(*Ixodes ricinus*). Bez nich świat b[^]Jby tak piękny! I byłby po stokroć piękniejszy, gdyby nie powywieszano wszędzie ogłoszeń tej treści:

W sobotę 15 V, w godzinach od 9:00 do 12:00, odbędzie się w Starym Jarze okresowe szczepienie psów przeciwko wściekliznie. Uwaga: obowiązkowemu szczepieniu podlegają wszystkie psy powyżej drugiego miesiąca życia.

Miałem więcej niż te przepisowe dwa miesiące, więc nie było żadnej szansy, żebym się wymigał czy wymówił. A igieł nie lubię, tak jak każdy samiec, niezależnie od gatunku, chyba wiecie.

W istocie trzęśliśmy się strasznie już w przeddzień. Każdy z nas poważnie kombinował, czy nie uciec w pola lub do lasu, lecz były poważne powody, dla których nikt nie zwiął. Ostatecznie trzeba jeść i kogoś kochać. W dodatku niektórzy koledzy nie przegryźliby łańcucha.

W dniu szczepienia już z daleka dało się zobaczyć, czy to człapie pies, czy idzie suka. My - skuleni, przerażeni. One - dużo bardziej rozluźnione i swobodne. Suki twierdzą, że jeżeli samce miałyby się szcenić, przechodzić te bóle, to zaginałby gatunek. Być może. Nie będę się kłócić z damami.

M prowadził mnie na sznurku, bo nie miałem żadnej smyczy. W końcu po co smycz wolnemu? Albo może byłem psem paradnym? Wzorem wielu innych delikwentów zapierałem się, jak mogłem, wreszcie dałem za wygraną i dowlokłem się za moim zdrajcą na błotnisty plac przy punkcie skupu.

Zewsząd nadciągały inne psy, zapierające się, skomlaące, podkulone, drżące, zaślinione, z rozbieganym, przerażonym wzrokiem, albo suki, udające, że w ogóle nie ma sprawy, że to śmiech na sali i przedszkole.

Pojawiały się okazy fantastyczne i zwyczajne, psy szkielety, psy karykatury, psy dorodne i miniaturowe, długie, krótkie, oberwane, udręczone, cwane, sprawne i kulawe, hałaśliwe i milczące. Były psiska z metropolii starojarskiej, towarzysko wyrobione i światowe, i te z okolicznych wiosek, z samotnych gospodarstw gdzieś w polach, zagubione i oszołomione, jakby przyjechały na Manhattan. Te ostatnie już marzyły najwyraźniej powrocie do słodkiego bezpieczeństwa płotu, budy i łańcucha.

Koleżanki i koledzy docierali na plac pieszo albo przywożono ich wozami, na przyczepach ciągnikowych, w bagażnikach rowerowych i tak dalej. Co ciekawe, zawsze eskortował je mężczyzna albo dziecko. Panie z psami raczej się nie pojawiały.

Egzekucje odbywały się pod gołym niebem, przy bydłowej wadze i przy stole z papierami, narzędziami tortur i czymś jeszcze. Pomagier mężczyzny ubranego w biały fartuch napełniał strzykawki. Właściciele ogłupiałych zrezygnowanych psów trzymali je za pyski

(hańba!). Weterynarz chwycił skórę na psim karku, podciągał do góry (nie lubię!), wbijał igłę (nienawidzę!), coś naciskał, chwila moment i gotowe.

Podeszliśmy do stolika o 10:07. Walnęli mi szprycę. I od razu przyszła wielka ulga. Chciało mi się biegać, tarzać w błocie i jodłować, ale nie mogliśmy zaraz odejść, bo oprawca spytał zdrajcę, jak się wabię.

Oczywiście doszło do nieporozumienia, jako że nadzwyczaj trudno pojąć zdanie: „On się wabi Wabi, proszę pana”, zwłaszcza jak ktoś jąka się z przejęcia. Weterynarz spytał jeszcze o nazwisko właściciela, adres, rzucił sumę należności, i już miałem dostać certyfikat, kiedy - podczas wystawiania dokumentu - doszło do nieprzewidzianych komplikacji.

M usłyszał z tyłu, ze schodów gospody dość donośne męskie głosy:

- O, jest ta pierdoła!
- Co? Która?
- Ten frajer z zydlungów.
- Nie widzę.
- Tam, stoi na środku. Z tym żółtym śmierdzielem.

To ostatnie słowo dotyczyło mnie. Naprawdę.

- Ale się tu zadowił!

To z kolei dotyczyło M. Na pewno.

- Dostanie po ryju, to wróci, skąd przylazł. Skończy się robienie u nas gnoju.

To też odnosiło się do M. Bezwzględnie. Panowie na schodach jakoś go tak, kurczę, nie lubili. Głosy należały do Sawczyna i Rehlicha. Stali w otoczeniu dworu panów w gumofilcach i ich psów po weterynaryjnej egzekucji.

Do sublokatora pani Kosakowej docierało każde poszczególne słowo i brzmienie całości rozmowy przed knajpą. Całość wybrzmiewała jeszcze gorzej od najgorszych miejsc w Warszawie. M nie miał pewności, czy tego rodzaju dialogi dałoby się czymś podstroić. Chyba nie. Niestety.

- Irma Zając mi gadała - ciągnął Rehlich, na tyle donośnie, by słyszeli to nie tylko ci na schodach - że ten śmieć bez przerwy włóczy się po lasach. Coś tam, w mordę, kombinuje, coś ciągle cuduje.

- Przede wszystkim pieprzy się po krzakach z Bernatowicz - uzupełnił wspólną wiedzę Wiesław

Sawczyn. - Z tą starszą. Suka gziła po miastach, ze trzy lata albo dłużej. Jak ją tam już żaden nie chciał, to wróciła. I się wzięła za kalekę! - ryknął śmiechem.

Ogromnie przepraszam, że podaję wszystkie kwestie w pełnej wersji, a nie tłumaczeniŁ albo skróty.

Uważam, że czasem potrzeba, aby państwa też coś zabolalo. Moze wtedy troche lepiej zrozumiecie, co czul w glowie, sercu i zoladku moj przyjaciel. Nie zdrajca - podkreślam - przyjaciel! Zapomnialem juz o sznurku, igle, szprycy i tak dalej.

- Teraz dodatkowo kręci z tym cwaniakiem z zagranicy! - dodał Sawczyn.

Weterynarz wypisywał zaświadczenie bardzo długo, pewnie przez to, że nie pisał, tylko słuchał. M spoglądał tępo na strzykawkę. Zaciskały mu się pięści, aż trzeszczało. Tak samo trzeszczały mu zęby.

- A z pierdołą założyli jakąś sektę, coś robią z drzewami - Rehlich splunął i niechcący opluł psa kolegi w gumofilcach. - Podobnie wciągnęli w te czary jej siostrę. Ta gówniara jest na wykończeniu, a ci jeszcze włączają ją po lesie!

M rzucił się nagle w kierunku gospody. Przekuśtykał może siedem, może osiem pierwszych kroków, kiedy wystrzelono w niego pocisk. Tym pociskiem był ogromny pies Rehlicha, Cezar. Mam swoją teorię. On nie musiał być poszczuty i spuszczonej z krótkiej linki, wystarczyło, że nałykał się wyziewów siarki buchających z gęby swego pana i odpalił, eksplodował.

Wszystko trwało siedemnaście sekund. Pies Rehlicha rwał przez błoto, a nikt nawet nie zawołał:

„Wracaj!”, „Zostaw!”, coś w tym stylu. Przeciąłem mu drogę. Zdążyłem uderzyć, zanim dotarł do swojego celu.

Cezar był z półtora raza cięższy i większy ode mnie. Zaatakowałem go od strony grzbietu. Najpierw wykonałem mały zwód, a potem momentalny skok na kark i wcisnąłem przeciwnika w ziemię. Tamten całkowicie się pogubił. Zanim skumał, co się dzieje, już trzymałem go za gardło. Zaczął rzeźzić i wytoczył kolorową pianę.

Nie mówiłem jeszcze, że w potrzebie walczę koncertowo, jak artysta. To są słowa M, nie moje. Wilcze samce się nie chwala.

Powiem tylko, że wyszkolił mnie mój wuj, ten przyszywany, no i życie. Z tym że tak w ogóle to nie przepadam za bójkami. W dodatku nie lubię się pastwić. I właśnie dlatego policzyłem do dziesięciu, a potem puściłem to ścierwo.

Doszedł do mnie wrzask, przekleństwa, echa zamieszania przed gospodą, a ze wszystkich stron szczekania, ujadania koleżanek i kolegów, psów dorodnych i miniaturowych, długich, krótkich, oberwanych, udręczonych, cwanych, sprawnych i kulawych. Zanim Cezar zebrał dupsko, byłem gotów, żeby zejść im wszystkim z oczu, psom i ludziom, zwłaszcza panom w czapkach i gumiakach, nastolatkom z okrucieństwem w płowym oku, weterynarzowi z pomagierem i w ogóle reszcie gapiów. Już łapałem mego przyjaciela za nogawkę, żeby jak najprędzej zlaźł ze sceny razem ze mną, kiedy wystrzeliły w naszą stronę dwie kolejne zapienione bestie. Poszczuli je na nas - tym razem otwarcie - W. Sawczyn i kumpel

Rehlicha, Morowski, który jeździł starą pręgą, czyli ciężarowym wozem do transportu kłód i dłużyc.

Przyjąłem szczepionkę, a jednak się wściekłem!

Pies Sawczyna był mniej więcej mojej wagi, a ten drugi trochę większy. Straszne mordy, takie jak ich właścicieli. I oba cuchnęły tym, czego nie znoszę, agresją i chamstwem prostaków. Doskoczyły i zdawało się, że zaraz znajdą i przegryzą mi tętnicę. Wywinąłem się spod obu pysków, dziabnąłem mniejszego tak ostro po mordzie, że od razu puścił juchę i zaczął się kręcić jak fryga. Ten drugi zawahał się krótko - przez jedną tysięczną sekundy - ale to zupełnie wystarczyło,

żeby poczuł mnie na karku. Tamten pierwszy jakoś się pozbierał i rąbnął mnie z boku. Oddałem z nawiązką. Zaczął krwawić na całego. Większy dorwał się do mojej przedniej łapy i prawie ją skrusił. Pochwyciłem go za gardło i od razu, bandzior, puścił. Lałem oba psiska, jak się dało, a one uparcie wgryzały się we mnie. Nic nie czułem, nawet tego, że pomagier kata w białym kitlu walił nas po grzbietach długim kijem. Po czterdziestu dwóch sekundach napastnicy dali za wygraną. Pies Sawczyna padł, a drugi uciekł, skowy-cząc jak krety. Nie goniłem go, bo po co.

Najważniejsze było jedno: ani pierwszy, ani drugi, ani trzeci nie tknął mego przyjaciela nawet końcem parszywego nosa.

Stałem w dużej plamie krwi zmieszanej z błotem. Stałem sobie i dyszałem, a potem usiadłem, no a w końcu już musiałem się położyć. Tak sobie leżałem, a M klęczał przy mnie i coś wrzeszczał, najprawdopodobniej do weterynarza. Mnie to raczej mało obchodziło, bo zrobiło się naprawdę dobrze, bardzo cicho i spokojnie, jakbym miał głęboko zasnąć.

Faktycznie, zasnąłem.

*

Już mówiłem o tym ze sto razy, lecz wolę powtórzyć, bo masa narodu ma poważne zmiany sklerotyczne: większość rzeczy, jakie opowiadam, znam z relacji mego przyjaciela. Zwykle ciągnął swoje monologi wieczorami na poddaszu albo wtedy, kiedy włóczyliśmy się po okolicy. Ćwiczył pamięć i j^ymowę i układał sobie wszystko w głowie. Podczas mojej rekonwalescencji dowiedziałem się od niego,

co zdarzyło się, gdy spałem, no i wszędzie tam, gdzie mnie nie było. A zdarzyło się naprawdę wiele.

Zacznijmy od tego, że na placu przy bydłęcej wadze był akurat pan z pierdziawą, to znaczy sprzedawca krawatów. Niekoniecznie lubił psy, za ich stosunek do samotnych komiwojażerów, mimo to zawołał do sublokatora pani Kosakowej:

- Ładujemy go do budy!
- Zachłapiemy wszystko krwią...
- To trudno.

No, naprawdę, są wśród ludzi tacy ludzie.

Weterynarz też był super. Wręczył M powyciągane z torby opatrunki i lekarstwa, coś spiesznie wyjaśnił, a potem obiecał, że przyjedzie, trochę później, bo musi dokończyć szczepienie.

Ze zdumieniem i radością muszę wyznać, że i sporo gapiów wzięło najwyraźniej naszą stronę, tak że

Sawczyn, Rehlich i Morowski nie za bardzo gardłowali, nawet nie składali M zażaleń. Zabrali pobitych i cofnęli się do poloneza A. Rehlicha, wściekle kurząc papierosy. Oni chyba nie lubili, jak zbyt wiele osób przyglądało się uważnie temu, co robili, zwłaszcza wtedy, gdy patrzący potrafili trzeźwo myśleć.

Przypadkowo pojawiła się policja. W. Sawczyn i Rehlich powiedzieli tamtym w radiowozie, że nic się nie stało i żeby spływali. I oni spłynęli potulnie i grzecznie.

Jechaliśmy na sygnale, ponieważ w trzykółce zepsuł się akurat klakson i nie można było go wyłączyć.

Ogromnie żałuję, że spałem. Byłbym bardzo dumny z takiej jazdy.

Okazało się, że nabrudziłem tylko trochę. Sprzedawca krawatów nie stracił towaru, a w dodatku zyskał wdzięczność. Może wdzięczność psa i jego kulawego pana to niewiele, a jednak niektórzy ją cenią.

Gospodyni zachowała się, wiadomo, jak to ona. Niby coś tam marudziła i gderiała, ale z miejsca wzięła się do gotowania wody w garach, szykowania czystych szmat, te rzeczy. Najważniejsze, że skutecznie ochrzaniła M i ten pozbierał się do kupy, przestał jęczeć, zaczął działać. Najpierw obmył mnie porządnie z krwi i błota w tej bombie na wodę, w której miałem pierwszą kąpiel, potem zaniósł na poddasze i z pomocą pani Kosakowej potraktował każdą z moich ran świństwami, jakie dostał od weterynarza.

Wtedy obudziłem się, liznąłem go po rękę, napiłem się wody i zasnąłem jeszcze raz, na dłużej. A bolało tak, jak nie wiem.

Koło pierwszej zjawił się zmęczony lekarz czworonogów. Obejrzał, co trzeba, posłuchał, pomyślał, walnął mi następną szprycę, zalecił, co robić przez kolejnych kilkadziesiąt godzin, i powiedział: „Zobaczmy”. M chciał mu zapłacić, a ten się nie zgodził. Uważał, że jest mi coś winien, że mu o czymś przypomniałem.

Mój przyjaciel to zrozumiał, ja nie bardzo. Tak czy owak weterynarz błysnął klasą. Odwołuję określenia

„egzekucja” i „oprawca”.

Zostawili mnie na górze i zeszli do kuchni na obiad. Weterynarz

grzecznie podziękował za miejsce przy stole i zaraz pojechał do jakiejś kobyły.

M nie imponował apetytem. Więcej gadał, niż pojadał. Opisywał gospodyni wydarzenia w punkcie szczepień. Szpak w ogóle się nie wtrącał. Siedział sobie na lodówce, osowiały, bo dobrze rozumiał, że jego kolega ma kłopot.

Kiedy przyszła H. Skórowa, sublokator musiał jeszcze raz, dokładnie, zdać relację z placu boju.

- To bandyty! - gospodyni pomstowała na Rehlicha i Sawczyna.

- No, jo pani - potwierdziła koleżanka gospodyni.

One zwykle były zgodne.

-1 to nie ma na nich bata! Nawet nie wiadomo, gdzie się skarżyć. A postawisz się Judaszom, to cię spalą lub zatłuką. Tera tego psa sponiewierały.

- Eno aby sze wylizoł, pani...

- Pies mocno uparty do życia. Żeby udowodnić postawioną tezę, pani Stanisława Kosakowa podzieliła się wspomnieniem z czasów frontu, kiedy

Niemcy przesiedlili ich za górę. Jej mamusia miała Rekxa. Przykazała mu, by został. Ale gdzie tam!

Smyrgnął i odnalazł swoich w nowym miejscu. Ci z wermachtu chcieli go zastrzelić, bo ujadał. To ten schował się głęboko w słomie i tak przeżył. Mama chciała się go pozbyć, przecież stale brakowało chleba i jak wyprawili się do Opatowa do szpitala, bo mamusia naszej gospodyni chorowała, to zabrali Rekxa do oddania. W mieście wzięli

go poczciwi ludzie. Nie minęły trzy godziny, wrócił. I merdał przy studni. No, nie można było psa przezynać. Później inni Niemcy go wywieźli wielkim autem z amunicją, gdzieś daleko.

A on zjawił się z powrotem, po tygodniu. Wtedy mama pani Kosakowej rzekła: „Dobrze, Reksiu, będziem razem bidę klepać”. I się został.

- No jo, pani. Tak to z psamy - spuentowała tę historię H. Skórowa.

Ktoś zapukał. Otworzyła gospodyni. M usłyszał z sieni powitania - dzień dobry, dzień dobry - i do kuchni weszła Marta. Leśna Marta Bernatowicz. Sublokator stracił mowę na dwadzieścia dziewięć sekund. Panie znały się od dawna, więc nie musiał ich przedstawiać.

- Dziecko, zjesz? - spytała pani Kosakowa.

- Nie, bardzo dziękuję - odrzekła dziewczyna. - Ja przyszedłam zapytać, co z Wabim.

Była mocno podenerwowana.

- Czas pokaże - zdołał odpowiedzieć sublokator, jako że go właśnie odetkało.

- Mogę go zobaczyć?

- No jasne. Na górze.

Na poddaszu Marta ukucnęła przy mnie i zaczęła głaskać czule i niezwykle delikatnie, co charakterystyczne jest dla kobiet, nie bardzo dla mężczyzn. Akurat nie spałem.

- No co, Wabik? Jak się czujesz?

W odpowiedzi polizałem ją po uchu, a ta głupia się poryczała-naprawdę! - i zaczęła szukać jakiejś chustki.

Marzyłem o jednym, żeby M zachował się jak trzeba, to znaczy też kucnął czy ukląkł i przygarnął czule

Martę, bo powinna była się wyryczeć na ramieniu dżentelmena. W sumie, gdybym miał być poraniony tylko po to, żeby oni tak się przytulili, to byłbym szczęśliwy.

A zatem marzyłem jak wściekły i do tego czułem, że tym razem M jest blisko, jest o mały krok, o oddech od wzięcia dziewczyny w objęcia i wtulenia się w jej włosy, czułem, że nareszcie jest ogromna szansa na przezwycięzenie jego chorobliwej nieśmiałości i obawy przed upokorzeniem.

Niestety, nic z tego. Kobiety nie zawsze są mądre i potrafią sporo zepsuć. Marta rozejrzała się dokoła i rzuciła nagle:

- Taki raczej kawalerski masz ten pokój.

Musiała to zrobić? Właśnie wtedy, kiedy sublokator pani Kosakowej umierał z przejęcia? Po takich uwagach, jak wynika z moich obserwacji, ludzie się nie obejmują.

- A jak dowiedziałaś się o całej sprawie? - M zdążył ochłonąć i natychmiast zmienił temat.

- Kiepskie wiadomości pędzą z wiatrem - Marta powróciła do głaskania mojej sierści. - Tak mówiła moja mama.

- Wiesz, że tamte psy wyraźnie gnały na mnie, przynajmniej ten pierwszy? A Wabi załatwił je wszystkie, sam jeden. Rozumiesz? To ja miałem być tak pogryziony.

Wtedy Marta Bernatowicz powiedziała coś dziwnego:

- Spotkałam w Krakowie starego malarza. To był bardzo mądry człowiek. Utrzymywał, że zwierzęta są bytami subtelnymi - w ten sposób nazywał anioły. Według niego te byty duchowe wcielone w zwierzęta uczestniczą w dalszym ciągu ofiary Chrystusa. Był zupełnie przekonany, że inaczej nie da się zrozumieć ich cierpienia, potwornego, niewinnego. Dla tych ludzi, którzy mają wiarę w odkupienie, to może coś znaczyć, tak sędzę, szczególnie wtedy, kiedy widzą, jak one nam służą, potrafią nas bronić...

M gapił się na mnie. Leżałem jak trusia. Jeżeli nie byłem aniołem, to i tak akurat przebywałem w siódmym niebie.

- No dobrze... a tamte na placu i w ogóle różne bestie?

- To są może anioły upadłe?

- Zepsute przez ludzi? - M podszedł do okna, świerk go zawsze uspokajał. - Powiedz mi, dlaczego

Sawczuk i ten drugi, i ich towarzysze, tak nas, kurde, nienawidzą?

- Sawczyn - poprawiła go dziewczyna. - Ciebie nienawidzą za to, że istniejesz.

- Tak po prostu?

- Jesteś obcy, trochę dziwny, jesteś inny. Zupełnie wystarczy.

- Co mają do ciebie?

- Oni mają coś do wszystkich, do każdego, kto nie jest z ferajny zomoli, ormowców, sowieckich klawiszy i do tego kłusowników.

- Rozumiem, że to są panowie o dużych zasługach dla władzy?

- I poprzedniej, i obecnej. Władza lubi silnych mężczyzn. Oni lubią silną władzę. Ojciec nigdy, nigdy nie pozwalał im się zbliżyć. Żadnych wspólnych interesów! Nawet pogaduszek o pogodzie. No a przede wszystkim był po drugiej stronie barykady. Poza tym nie kradnie, nie pije. To są rzeczy nie do wybaczenia - przerwała głaskanie. - Mnie prawie nie znają, podobnie jak ciebie, ale wiedzą, że olewam ten ich świat prowincjonalnych bonzów, szarych eminencji gminnej oligarchii i ich skretyniałych tłustych synów na wydaniu. Ja nimi pogardzam i oni to wiedzą. To mało?

Powróciła do głaskania.

- Chcesz jeszcze coś wiedzieć?

M nie patrzył Marcie w oczy. Odpowiedział jakimś niewyraźnym, ucieczkowym gestem.

- Chciałbyś spytać, co robiłam przez te lata poza Starym Jarem, ilu mnie tam miało? Powiedz!

Chcesz wiedzieć, co robię z...

- Już! Przestań.

- Tobie też pofltruli duszę?

Zapadło milczenie. Niedobre i przykre. Marta pierwsza je przemogła:

- Spotykamy się jutro, czy może już nie chcesz?

- Chcę! Bardzo - zawołał tak głośno, że aż usłyszała to na dole H. Skórowa i skinęła tajemniczo i porozumiewawczo głową w stronę zamyślanej gospodyni.

Marta pozostała z nami jeszcze kwadrans, zbyt długo nie mogła,

bo musiała wracać do Moniki. M siedział na swoim tapczanie. Spoglądał to na mnie, to na nią, przede wszystkim jednak na nią, na jej dłoń przesuwaną się po mojej sierści, na linię jej pleców i szyi, na włosy, które poprawiała krótkim gestem.

Tak trwaliśmy razem w ciszy. A ta cisza bardzo pięknie teraz brzmiała. Szumiał świerk, nie było słychać żadnej piły ani radia z łomotami. Było dobrze, tak jak w lesie.

Po majowym, które pani Stanisława Kosakowa prowadziła u stóp przydrożnego krzyża na osiedlu, odwiedziło nas na chwilę jeszcze parę innych osób - takich, co nie miały wszystkich i wszystkiego w dupie: Knafflowa, na szczęście bez Knaffla i Perły, ale za to z malowanym na niebiesko w białe kropki kubkiem miodu, pani Basia Danielewska, bardzo zgrabna, na szczęście bez kota Wasyla, Tuchlowa, oboje Osińscy, Skowronek bez żony, bo ta wyjechała na zarobek do Stuttgartu, Styczniowa, Ruckowa, a także radosny pan Wirkus, który przyniósł mi kielbasę, tylko że nie wolno było mi od razu jej spróbować, bo byłem w agonii.

A o 19:01 zjawił się wikary na rowerze. Ten młody. Zastał większość wymienionych wyżej gości i powiedział im, że ani proboszcz, ani on nie wiedzą nic o żadnej sekcji w naszym lesie. Dlatego błagają parafian, żeby nie słuchali złego słowa podłych ludzi. Pani Stanisława Kosakowa odetchnęła z wielką ulgą i poczęstowała księdza miodem.

W końcu przyszła banda małolatów, to znaczy dzieciarnia z zydługów. Nie za bardzo wychodziły jej starania, żeby zachowywać

się możliwie cicho. Aż musiałem stulić uszy. Jak ktoś żegna się ze światem, to hałasy nieco męczą. Mimo wszystko byłem wdzięczny, że dzieciary przyszły, pamiętały. A już całkowicie się rozanieliłem, kiedy okazało się, że - uwaga! - przyniosły mi medal. Od króla Jagiełły, rycerski, ze wstęgą. Chciały mi zawiesić go na karku. M nawet się zgodził, tylko baby zaraz nawrzeszczały, żeby dzieci nie męczyły psa, bo zdechnie.

Ja bym bardzo chętnie zdechł za taki medal, ale co kobiety mogą o tym wiedzieć?

*

W nocy M bez przerwy sprawdzał, czy oddycham. Koło drugiej przeniósł mnie na tapczan. Zawsze chciałem dostać się do tego rajku. Wyczyniałem różne cuda, żeby wreszcie tam się znaleźć, choć wiedziałem, że nie wolno, nie i koniec. Zwykle próbowałem wykorzystać porę porannego zamyślenia, tę szarą godzinę przed dzwonieniem muchomora lub po, kiedy sublokator pani Kosakowej leżał zatopiony w rozważaniu najważniejszych kwestii tego świata.

A robiłem tak, że najpierw przybierałem nadzwyczajnie obojętną minę, opierałem na posłaniu przednią łapę, czekałem minutę, aby uspokoić sytuację, no i kładłem łeb, niewinnie, że to niby tak przypadkiem, nie ma sprawy i w ogóle. Potem dokładałem drugą łapę i znowu czekałem, już dłużej, bowiem w tej zaawansowanej fazie akcji byłoby niedobrze stracić wszystko, co udało się uzyskać do tej pory. Zbierałem się w sobie i bardzo ostrożnie wtryniałem na tapczan jedną z tylnych łap, zazwyczaj lewą. Oczywiście znowu zastygałem

nieruchomo, z zamkniętymi powiekami, żeby mnie nie było widać. Tylko to zdradliwe serce stukało jak młotek. W finałowej fazie akcji dociągałem do tułowia czwartą łapę. I wtedy M wołał: - Gdzie pies się ładuje? Już, choda!

Mimo wszystko próbowałem. Wiele razy. No i w końcu - bardzo proszę! - doczekałem się upragnionego miejsca w woni ukiszonych poduch i pierzyny.

Koło trzeciej zdarzył się niewielki kryzys. M zasłonił sobie nos i jęknął:

- Myślałem, że byty subtelne nie smrodzą...

Zaraz po kryzysie nastąpiło coś fantastycznego. Sublokator pani Kosakowej zaczerpnął na boku powietrza i dodał:

- Nawet jeśli jesteś bytem niesubtelnym i tak zawsze będziesz moim kumplem. Najlepszym na świecie.

Mimo że na zewnątrz byłem obolały i dymiłem jak smażony, w środku ciała rozsadziło mnie potężne, jakieś takie, kurde, światło, identyczne z tym za oknem, przy czym tam, wysoko ono rozprysnięte było na miliardy srebrnych punktów, a we mnie skupione jak w kociej źrenicy. Nawet medal od Jagiełły nie miał tego cudownego blasku.

W ciągu dni^dopatrywali mnie na zmianę gospodyni, szpak i sublokator. To była niedziela, więc M nie szedł do roboty. Gdy wrócił z kościoła, zmienił mi nieświeże opatrunki i kazał pić jakąś miksturę, paskudną. Potem spałem, a on siedział trochę przy mnie, trochę w szopie. Kombinował coś z żelastwem, zresztą robił to codziennie.

Po południu, czyli po rosole, M poprosił panią Kosakową, żeby

zachodziła czasem na poddasze, a sam pokuśtykał na spotkanie, konwentykiel z Martą i Moniką.

Tym razem nie było zbyt łatwo o śmiech, nawet uśmiech.

Na początku obie siostry chciały wiedzieć, czy wracam do zdrowia. Strasznie się niepokoily i martwiły.

Potem Marta napomknęła o trudnej rozmowie.

Dwie godziny wcześniej jej ojciec oświadczył, że słyszał po sumie co ludzie gadają o schadzkach w jałowcach. „Toż wiadomo, plotki to pomyje - a specjalnie, gdy wychodzą od tej Zajęc i ormoli - ale może być w nich ciutka prawdy”. Dlatego uważał, że córki powinny natychmiast zaprzestać leśnych spotkań z tym dziwakiem. „Jego już widzieli kilka razy, jak majdrował coś przy drzewach, przestawiał kamienie w potoku, co nie jest normalne, on musi chorować na umysł. Jakie to jest towarzystwo dla was? Nie myślała ty, że to ryzyko dla Moniczki, dla jej zdrowia?”

Marta strasznie się zdenerwowała i rąbnęła ojcu wykład o zatruciu duszy kalumniami. A poza tym była twarda i utrzymywała, że ma prawo robić, co uważa za stosowne, jest dorosła. „Moni krzywda się nie dzieje, zupełnie przeciwnie, niech no tata przyjrzy się jej twarzy. Czy nie stała się jaśniejsza? Spacerzy po lesie są zdrowe, a rozmowy z kimś być może trochę dziwnym, za to bardzo sympatycznym stanowią rozrywkę, oderwanie od rutyny rekonwalescencji, zwłaszcza że on opowiada fajne rzeczy, jak podróznik”.

Bernatowicz lekko zmiękł, wszelako ostrzegł, że jak dowie się o

czymś paskudnym albo groźnym dla

Moniki, to zabroni wszelkich podejrzanych zbiórek, nawet jeśli ktoś jest przekonany o swej wielkiej dorosłości. Na koniec przypomniał, że nieboszczka matka patrzy z góry i nie wolno sprawiać jej już więcej bólu, bo wystarczająco nacierpiała się za życia. Wziął czapkę i poszedł podkarmiać ptaszory.

M zrobiło się naprawdę przykro z powodu opinii pana K. Bernatowicza, a zarazem miło, że M.

Bernatowicz oświadczyła ojcu to, co oświadczyła.

Z Marty jeszcze trochę się ulało:

- Ta hołota spod gospody czegokolwiek się nie dotknie, zamienia to w łajno. I to łajno potem się rozlewa.

- Nie bój się, nie damy się tym gnojom - M powiedział to spokojnie. - Przede wszystkim nie wpuścimy ich do naszego świata. Niech siedzą w tym swoim jak w chlewie.

- Pewnie powinniśmy zmieniać miejsca spotkań, żeby nas nie wytropili, nie nękali.

- W porządku. Zmieniamy.

Zachowanie zasad ścisłej konspiracji obowiązywało ich od dosyć dawna. Teraz powstawało nowe sprzysiężenie, mała leśna partyzantka naturalnie w ramach firmy Strojenie Zieleni i Reszty, o czym panie jeszcze nie wiedziały.

Sublokator spod dwunastki uznał, że pomimo zmartwień i kłopotów trzeba robić to co zawsze, czyli opowiadać różne rzeczy sprawiające ludziom radość. Zaczął trochę nie za bardzo. Opisał

dziewczynom obrazy, jakie objawiły mu się nocą, kiedy leżał koło psa zdechlaka. Mówię zaczął nie za bardzo, ponieważ te nocne obrazy nie były do śmiechu, zupełnie tak samo jak początek konwentyklu. Żeby państwa nie katować, pominę jąkania bazarza, dodatki i wtręty. Przekażę wyłącznie czystą treść tej opowieści.

Kraj, który M ujrział, wyglądał jak gdyby zniszczyła go powódź, huragan, wrogowie, zaraza lub bomba.

Było nadzwyczajnie zimno, chociaż działo się to wiosną. Pośród nagich pól, wyrwanych drzew i wraków samochodów wędrowali głodni i półnagdy ludzie. Pochodzili z jakiejś wsi ukrytej za wzgórzami.

Okolo południa weszli do małego miasta. Wydawało się zupełnie opuszczone. Brakowało nawet psów i ptaków. Sklepy i mieszkania stały puste, pozbawione jakichkolwiek sprzętów. W centrum miasta wznosił się imponujący gmach teatru, właściwie teatru-opery. Niepojęte, ale żaden żywiol nie dostał się wcześniej do środka budynku. W jego wnętrzach tułacze znaleźli puszyste dywany, blask luster, nietknięte ozdoby i meble. W garderobach leżały na stołach rozłożone rekwizyty i kostiumy, jakby wcale nie tak dawno temu zakończył się spektakl.

Dwie godziny później wędrujący opuścili miasto, kierując się drogą na zachód. Szli w bufiastych sukniach, pantalonach i kontuszach, ornatach i deliach, kapeluszach muszkietarów i mundurach pałacowej gwardii.

Nieśli chleb ze styropianu, atrapy owoców, bryły mięsa z masy

solnej, gipsowe kielichy oklejone złotą folią. Dzieci przytulały skrawki sztucznych futer i plastikowego kota bez ogona. Wszyscy wlekli się bez słowa, absolutnie nie wiadomo dokąd.

I tyle. Nic więcej.

Słuchaczki siedziały na pniaku. Nie umiały wzbudzić w sobie szczególnego entuzjazmu, więc naprawdę bardzo ładnie, że Monika przybliżyła się do M i pocałowała go w policzek. Przypuszczam, że po to, żeby się nie martwił niewypałem. Każdemu się zdarza. Pocałunek mógł być również komentarzem do wypadków w punkcie szczepień oraz do dyskusji ojca z siostrą. Być może. Tak czy siak, zrobiło się o wiele milej.

M ożywił się na tyle, że na deser zaserwował kilka nowych scenariuszy własnych filmów otrzymanych w formie syderytów. Dzięki temu Marta i Monika wyświetliły sobie w głowach trzy krótkie etiudy: a) o koniu w mieszkaniu, precyzyjnie mówiąc - w przedpokoju, czyli o tym, że gdy lokatorzy wybierają się po masło, muszą się przepychać z prawej strony, a wtedy obłazi ich farba ze ściany i włosie, i ciepło stworzenia, i woń konia w domu; b) o władzy Iwonki z Makowa nad młodymi i starszymi mężczyznami, o władzy tak wielkiej, że wystarczy jeden jej półśmiech, krótkie słowo, a panowie chodzą po suficie, tymczasem tak przecież nie wolno, bo to władza niedemokratyczna, a na przykład Danką z Uniejowa nie ma władzy absolutnej nad panami i to nie jest według niej w porządku; c) o R. Zakroczymskim z dwunastką szkolonych szerszeni, o jego przechadzce po Gnieźnie i o próbie odebrania mu portfela przez

krępych łobuzów, i co potem z nimi było.

Marta i Monika znów kwiczały, jak powinny, a na koniec ustalono tajne miejsce na sobotę (oczywiście blisko leśniczówki przez wzgląd na Monikę) i M wrócił do Nowego Jaru.

Czułem się o wiele gorzej. Nie chciałem przysparzać kłopotów, ale jakoś tak się, kurde, stało. M przestraszył się, jak nie wiem. Zaraz podał mi lekarstwo. No dobra, przyjąłem, choć wiedziałem doskonale, że pomogłoby mi coś innego. Nie mogłem mu tego wyjaśnić bo - jak państwo pamiętają - psy obowiązują cisza w werbalnym eterze.

Następnego dnia, to znaczy w poniedziałek, rano przyszedł weterynarz i potwierdził - było gorzej, bardzo marnie. Znowu walnął mi nielichą szprycę. Przed wyjściem oświadczył, że jeśli nie będzie poprawy, to zaproponuje inny zastrzyk. Taki, żebym niepotrzebnie się nie męczył. M machał rękami, jakby chciał odpędzić nietoperza.

W tej szczególnej sytuacji mój przyjaciel nie wyruszył tak jak zwykle na strojenie. Popracował w Szopie Wspomnień i bez przerwy mnie doglądał. Po obiedzie wyszedł sobie na pięć minut przez furtkę z haczykiem. Wytarzał się w lesie i wrócił do domu spokojny.

Wtedy wreszcie coś usłyszał. Słaby dźwięk z mojego ciała (nie ten połączony z wonią, inny). Słuchał mnie przez trzy minuty, a potem trafiło go w głowę coś z góry. Tym razem nie było to zdanie, na przykład:

„Zdunecki wychodzi na balkon i tyje”, ale meteoryt świadomości tego, co powinien zrobić, i to zrobić jak najprędzej. Zanim się okaże, co to było, muszę zasygnalizować, że dokładnie w

tamtej chwili listonosz

Goliński dostarczył kopertę. Z Warszawy. Z pieczętą szpitala.

M poczuł gorąco i usiadł. Od razu zobaczył wizyty kontrolne, pewną pielęgniarkę o nazwisku Wilkosz, może nawet atrakcyjną, ale małą, szczęśliwie dosyć już odległą w czasie i przestrzeni. Ujrzał także parę innych nieprzyjemnych rzeczy, przede wszystkim Raławicką róg Puławskiej.

Rozerwał kopertę. W środku znalazł wystukany na maszynie list z sekretariatu. Takich tekstów nie potrafię zapamiętać i odtworzyć. Najogólniej rzecz ujmując, szło tam o to, że pan doktor Pawlikowski, straszliwie zajęty, prosił rekonwalescenta M o towarzyszenie mu w wyjeździe do Paryża i wzięcie udziału w konferencji organizowanej przez Francuskie Towarzystwo Neurologiczne. Naturalnie zaproszony miał tam występować w charakterze cudu polskiej medycyny. Wszystkie koszty utrzymania i przelotów, i tak dalej, pokrywali organizatorzy. Stary doktor Pawlikowski dopisał odręcznie: „Namawiam! Pozdrawiam!”.

Mój przyjaciel zawsze marzył o podróżach, szczególnie lotniczych, do krain leżących możliwie najdalej od lęku i smrodu. Latem 1970 roku sam poleciał do Paryża z kolegami - Wiesiem i Kojotem. Przynajmniej tak twierdził. To zupełnie inna sprawa, więc nie będę do niej wracał. Natomiast przypomnę, jak ogromnie liczył na wyjazdy do Londynu i Monachium - wtedy, kiedy mieszkał w DPS-ie. Także tutaj, w Nowym Jarze, bywało, że tęsknił do Nowego Jorku czy Caracas. Jeszcze z miesiąc albo nawet dwa tygodnie wcześniej,

otrzymując zaproszenie na sympozjum, zrobiłby ze szczęścia w kanadyjskie portki. A teraz się zbiesił.

To nie tak, że nie chciał już podróży z cudzej łaski lub nie życzył sobie występować na jarmarkach. W końcu czego się nie robi dla nauki i z wdzięczności do doktora A. Pawlikowskiego. Powód był cokolwiek inny. M nie mógł wyjechać z doktorem, ponieważ miał teraz o wiele pilniejsze zadania na miejscu, swoje własne małowielkie ekspedycje, o celach o niebo ważniejszych od wszelkich eskapad do Francji, Szwajcarii, Meksyku, Japonii, Kanady i Konga. Właśnie następnego dnia o świcie ruszał w jedną z nich - do Sarniej Góry.

To mogła być bardzo znacząca wyprawa w historii ludzkości i, szerzej, w historii gromady Mammalia. Tak przynajmniej sugerował meteoryt wbity w ciemię mego przyjaciela.

Wcześniej rano zniósł mnie na dół. Wytłumaczył gospodyni, że zwyczajnie musi, musi, musi iść, a wtedy psu na pewno się polepszy, tak to czuje, na co ona powiedziała:

- Z Panem Bogiem.

Uprzedził, że raczej nie wróci na obiad, pożegnał się z nami i poszedł. Szpak zawołał za nim: „Tutaj, tutaj, tutaj!”, a to znaczy obiecywał, że pomoże mnie doglądać.

Nocą trochę popadało. Przestało dopiero po siódmej, kiedy M już dotarł do prowizorycznej kładki ponad strugą. Po wodzie biegały okrzakiem owady - nartniki (*Gerris lacustris*). Sublokator pani Kosakowej nie mógł wyjść z podziwu dla ich niezatapialności i skoczności, i tych wszystkich nartnikowych sztuczek, niedostępnych

gatunkowi homo sapiens.

Z kwadransa na kwadrans robiło się jaśniej. M przyjmował to z radością, bowiem - co tu dużo gadać czy ukrywać - bał się burzy. Wspominałem o tym kiedyś, przykra sprawa, dolegliwa zwłaszcza dla wędrowca, dziada z lasu.

Mój przyjaciel bardzo starał się uwolnić od udręki tego lęku, ale na nic. Przypominał sobie często, co wyczytał w jednej z książek z biblioteki księdza Antoniego: „Strach jest oczekiwaniem zła”. Tak za pośrednictwem paru osób przestrzegał go Platon. Sublokator pani Kosakowej przetłumaczył to na: „Lęk jest prowokowaniem złego”, i dlatego jeszcze mocniej usiłował pozbyć się piorunów z własnej głowy.

Niewiele osiągnął, lecz żywił nadzieję na zmiany, tym bardziej że sprostął innemu trudnemu wyzwaniu.

Właśnie w maju M wykształcił w sobie ostatecznie umiejętność gubienia kociego ogona, czyli trenu upierdliwych myśli. Nadzwyczajne osiągnięcie! Dzięki temu mógł być właśnie tam, gdzie był - w zieleni - a nie w imaginacyjnym kotle. To właśnie dlatego już za mostkiem czuł się lekki, chociaż na początku swej wędrówki w stronę Sarniej Góry włókł za sobą masę złomu.

Nie oznacza to, że w lesie nie pozwalał sobie na myślenie. Oczywiście, myślał i to sporo, tylko nie o bólu zębów, burzy lub Sawczynie i Rehlichu. Na przykład w ów wtorek w porannej wędrówce na północ towarzyszył mu głos pytań o naturze chałupniczo-epistemologicznej:

Jak to jest, że na wiosenny las nie można się napatrzeć? Z zimowym, jesiennym i letnim to samo, na pewno.

Jak to jest, że nie da się go objąć i przeniknąć, przyswoić go sobie ani najeść się nim raz na zawsze, na wieki, na amen?

Dlaczego tak trudno to przyjąć - zupełną bezradność wobec tej bujności i nadmiaru, szalonego nieograniczenia?

Może byłoby o wiele lepiej, gdyby lasy nie istniały? Może wtedy ludziom łatwiej by się żyło albo raczej umierało?

Na szczęście las istniał, przynajmniej ten wokół, na wschodniej krawędzi pradoliny rzeki Wisły. Na dodatek czasem ukazywał się las drugi, mieszkający w Jębi wody.

W obu lasach działało się dokładnie to, co trzeba. Światło odbijało się w wilgoci świeżej trawy, nikło w norach niewidzialnych lisów (*Vulpes vulpes*). W jednym i tym samym miejscu była jasność dnia i cień głębokiej nocy.

M zwyczajnie szedł, właściwie kulał, i nie chciał w tej chwili nic więcej - nic, z wyjątkiem tego, żebym wykaraskał się z bolesnej biedy. Dlatego tym razem nie przystawał na robotę, chociaż tu i ówdzie słyszał dysonanse, nawet zgrzyty. Ogromnie przepraszał, ale nie mógł brać się do strojenia, musiał wreszcie dojść do Sarniej Góry, musiał tam nareszcie dotrzeć dla mnie.

Droga wiodła u podnóża zbocza pradoliny, potem wspięła się na górne piętro. Sosny (*Pinus sylvestris*) rozsiewały się z wysoka. Mchy (*Bryidae*) wgapiały się w korony wielkich jodeł (*Abies*), a jodły patrzyły na krzaki borówek (*Vaccinium myrtillus*). Chrząszcz

(*Lucanus cervus*) przeciskał się przez liście, w te i nazad, jakby zgubił swój zegarek. A te suche liście z poprzedniego roku radowały się zielenią młodych.

Sublokator pani Kosakowej powstał chwilę pod przydrożnym gigantycznym dębem (*Quercus robur*), który przypominał sędziwego słonia (*Loxodonta africana*), właściwie słonice, dlaczego - nie powiem. Potem szedł krawędzią wyniesienia, lekkim łukiem na północny zachód. Szumiał wiatr odganiający chmury.

Pachniało sarnami (*Capreolus capreolus*). W każdym miejscu futro majowego lasu stawało się gęstsze, chociaż nadchodziło lato, a nie zima.

Po godzinie czy półtorej - tym razem nie podam dokładnie, bo czas się pogubił - mój przyjaciel wszedł na dukt biegnący wzdłuż strumienia, znowu w dół, w kierunku psich i krowich głosów wsi Dynowo. W ciepłe bagna spały dziki (*Sus scrofa*). W przydrożnych zaroślach nurkował zaskroniec (*Natrix natrix*). Parowały czarne stawy.

Nie za bardzo chciał przecinać wieś, więc obszedł ją lasem dokoła, zatrzymując się na chwilę przy cmentarzu wonitów. Na grobowych stelach zachowały się napisy, zapewne wersety biblijne i oszczędne epitafia wykaligrafowane dłutem kamieniarza w nieznanym języku, być może fryzyjskim, Plattdeutsch albo niderlandzkim. Były też niewielkie płaskorzeźby: ćma, klepsydra, zachodząca tarcza słońca, wąż pożerający własny ogon i złamana róża. M pomodlił się za wszystkich pod stelami, żeby nie cierpieli nawet tam, po drugiej

stronie, i by wreszcie sobie odsapnęli.

Za Dynowem zrobił postój czy też raczej posiedzenie na pniu klonu (*Acer platanoides*). Pień był mokry, a więc M - w obawie o swój pęcherz - usiadł na nieprzemakalnej kurtce od Andrzeja. Na skraju wyrębu odpoczywał jeszcze ktoś - schowany w ściółce jeż (*Echinaceus europaeus*), zwinięty w kłębek. Bębniły dzięcioły (*Dendrocopos major*). Szybowała i pokrzykiwała ruda kania (*Milvus milvus*).

Kiedy sublokator pani Kosakowej zbierał się do dalszej drogi, ujrzał, jak prześwitem pośród buków

(*Fagus*) i wysokopiennych świerków (*Picea abies*) wystartował czarny bocian (*Ciconia nigra*). M nie wiedział, jak dziękować.

Droga wyszła z głębi lasu i wiodła granicą między linią brzoź (*Betula pendula*) i borem a polami oziminy na zachodzie. Tu pola nie były tak szerokie jak pod Starym albo Nowym Jarem. W odległości kilometra, może dwóch płynęła Wisła, skryta za potężnym wałem przeciwpowodziowym. Z prawej strony traktu biegła skarpa. Podnosiła się stopniowo aż do wysokości ponad pięćdziesięciu metrów, stając się tak stroma jak wodospad.

M dotarł do miejsca, gdzie porastające skarpę drzewa ustąpiły miejsca bujnym trawom. Zrobił jeszcze kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się nagle i obrócił w stronę, z której przyszedł. Stał we wnętrzu fotografii numer dziewięć z Przewodnika po Powiślu i Żuławach odnalezionej w biblioteczkę pani Kaczor. Tyle że tym razem fotografia była barwna. Przypomnę, iż podpis pod tą ilustracją

informował, że jest to rezerwat, unikatowy obszar roślinności typu stepowego w miejscowości Sarnia Góra.

M na chwilę stracił oddech, tak jak wtedy w DPS-ie. I jak wtedy doskonale widział długie, łukowate zbocze pradoliny. Ciągnęło się w prawo, roztopiało w lesie, z którego - daleko, gdzieś ze trzy i pół godziny marszu z tego punktu - wyrastała smukła wieża. Teraz M już wiedział, że to kościół w Starym Jarze.

Gapił się na wielki las i wieżę i słyszał ich ciszę, która wydzwaniała na południe.

W końcu, kurde, doszedł.

*

Wspiął się na wierzchołek najwyższego wzgórza za granicą rezerwatu. Rosły tam topole (Populus), spore dęby i trzy sosny (ich łacińskie określenia podawałem trochę wcześniej). Między nimi leżał młyński kamień. I to właśnie stojąc na nim, M zobaczył wszystko, o czym można tylko marzyć: lasy, żyzne pola, łągi, mały zalew i trzy rzeki zbiegające się ze sobą przy ceglanych jazaclj. Starał się nie sapać, żeby to, co widział, nie uciekło, nie zniknęło, nie przestało brzmieć tak doskonale.

Usiadł sobie na kamieniu, a właściwie na złożonej w kostkę kurtce. Nadal, zapatrzony w pradolinę, jadł kanapkę z żółtym serem, pił wodę z cytryną, chwalił w duchu Pana Boga i prosił o życie dla pogryzionego na kawałki kumpla.

Po małym kwadransie do orkiestry pradoliny dołączył kolejny instrument. Towarzyszył mu wyraźnie wyczuwalny ciąg powietrza. M

przyszło do głowy, że to gra drewniany wiatrak, który musiał tutaj stać przed laty. Zapewne pozostał obecny w pamięci przestrzeni. Tylko czemu jego skrzydła warczały jak silnik Pratt & Whitney Canada PT6A-114A?

Kiedy sublokator pani Kosakowej popatrzył za siebie, żeby sprawdzić, co się dzieje, nie dostrzegł żadnego wiatraka ani turbośmigłowego samolotu. Zobaczył pilota ubranego w kombinezon ozdobiony cekinami i trzymającego w ręku hełm o kosmicznym kształcie i połysku.

M rozwrzeszczał się z radości. Nie dosłownie. Chciałem tylko zasygnalizować, że ogromnie się ucieszył.

Pilot usiadł przy nim na kamieniu, uściśnął mu rękę i poprosił o kanapkę, a potem, wcinając chleb z serem, przyglądał się ziemi, powietrzu i wodzie.

- Pięknie tutaj. Prawie jak tam, u nas - powiedział z pełnymi ustami, być może nieładnie, ale kogo to obchodzi.

- Oblędnie.

Posiedzieli, posiedzieli, wreszcie Arfiel spytał M:

- Jak zdrowie?

- Dziękuję.

- To dobrze.

- Dziękuję za wszystko - wskazał na urzeczywistnioną fotografię numer dziewięć z Przewodnika po

Powiślu i Żuławach.

- A daj spokój. Tylko służę. Jak każdy posłaniec.

Znowu posiedzieli trochę w ciszy.

- Chcesz o coś zapytać? - odezwał się Arfiel.

- A mógłbym?

- No pewnie.

- Po co ci ten cały hełm, jeżeli przyleciałeś lekkim samolotem albo, mówiąc precyzyjnie, będąc lekkim samolotem? - M zupełnie się nie jękał, mógłby występować na estradzie.

- Czasem się przesiadam na motocykl, nie pamiętasz?

Chwilę pogapili się przed siebie, bez niepotrzebnego gardłowania. Po łęgach przy wodzie kroczyły żurawie (Grus grus).

- Coś jeszcze? - Arfiel klepnął mego przyjaciela w ramię.

- Jak pomóc Monice?

- Po prostu rób swoje.

M podrapał się po nodze.

- Jaki jest ratunek dla Wabiego?

- Usłyszysz - Arfiel wypił resztkę cytrynowej wody.

- W porządku, a powiesz, po co w ogóle tu wróciłem?

Arfiel nie wymówił ani słowa, spoglądał z uśmiechem na Wisłę.

- Pytam, ale nie dostaję odpowiedzi.

- Dostajesz, dostajesz - Arfiel walnął się na trawie z rękami pod głową, jakby wcale się nie martwił, że przeziębii sobie nerki. - Ty szukasz objawień, a nie czytasz prostych, oczywistych znaków. Albo może im nie ufasz. Daj spokój z czekaniem na wielkie olśnienia, jakieś, kurczę, lewitacje, wybuchy magnezji, orkiestry anielskie, te rzeczy. Nawet jeśli się zdarzają, niekoniecznie uczą tego, co jest

absolutnie najważniejsze. Najważniejsze dzieje się dokoła ciebie. Tego jest naprawdę sporo.

Arfiel nieźle się rozgadał. M próbował wykorzystać tę okazję.

- Dobra, a dlaczego jestem aż tak wyróżniony tą twoją opieką, spotkaniem...?

- Nie, nie jesteś wyróżniony ani trochę. Każdy człowiek traktowany jest tak samo, lecz nie każdy chce nas widzieć, słyszeć i tak dalej. Potrzeba minimum uwagi. Nic więcej.

- To zapytam jeszcze - rzucił sublokator pani Kosakowej - dlaczego, no właśnie, dlaczego, mimo że tak wiele otrzymuję, nie jestem szczęśliwy? I nadal mam stracha jak w szkole. Bywam przeraźliwie skołowany...

- Bo to jest człowiecze.

- A spokój i radość nie przystają człowiekowi?

- Przystają. Ale ważne jest też, żebyś nie zagubił rozumienia innych i dzielił ból świata. I żebyś nie zgłupiał, nie zhardział jak szatan.

Znowu posiedzieli parę minut bez mówienia. Arfiel obserwował niebo nad polami. Szalały skowronki

(*Alauda arvensis*). Na zakolu szarej rzeki pokazały się trzy barki przewożące góry piasku.

- Co w bazie?

- W porządku. Wszyscy pozdrawiają cię z całego serca. Poza tym, jak zwykle, od groma roboty.

- A dlaczego właśnie dzisiaj mnie odwiedzasz i gadamy, właśnie

dzisiaj, a nie wczesnej?

- Kanapki z edamskim. Masz je pierwszy raz. I tyle.

Arfiel wstał, otrzepał kombinezon, przetaił hełm i zbierał się do drogi.

- Co, lecisz?

- Już pora.

Uściskali się jak bracia. M przypomniał sobie nagle o czymś ważnym. Zaczął intensywnie grzebać we wnętrzu plecaka. Grzebiąc, cały czas mamrotał:

- Zaczekaj, są jeszcze... wystartujesz, a ja będę miał... no, nie wiem, były tutaj... ze sto różnych pytań... pakowałem je, na pewno... których w porę nie zadałem...

Rzeczywiście, człowiek zwykle zapomina o tym, co jest ważne, i potem żałuje, że gdy było można, nie zapytał - no na przykład - o strojenie kompleksowe, tajemnicę listów od Bociana lub naturę zwierząt, państwo wiedzą, czy naprawdę są bytami subtelnyimi.

- Takie zawinięte w biały papier... a może w kieszeni...

Rzeczywiście, skryły się w kieszeni plecaka z Vancouver - ostatnie kawałki razowca z edamskim. Mój przyjaciel dobrze wiedział, że na górze, w bazie, sera nie ma.

Wyciągnął kanapki w kierunku Arfiela, ale ten, niestety, zdążył zniknąć. Musiał chyba zastosować funkcję startu bezgłośnego, dosyć często wykorzystywaną w sytuacjach awaryjnych.

Z grubsza biorąc, M miał teraz do wyboru: a) nie wierzyć w to, co było, podejrzewać, że rozmawiał sam ze sobą; b) wierzyć, ale

jednocześnie gnębić się, że wszystko stało się za prędko i w dodatku znowu został sam jak palec; c) wierzyć i uznać, że z tym palcem to przesada.

Wybrał opcję c), dlatego świat wciąż jawił mu się jako piękny, zwłaszcza że akurat nad polami i łągami latały bociany (*Ciconia ciconia*) - bez silników i bez śmigieł. Zgodnie z radą daną przez Arfiela nasłuchiwał.

Ptaki szybowały w ciszy.

*

Postanowił zejść do miejsca, gdzie łączyły się trzy rzeki.

Wybrał ścieżkę, która zaczynała się przy dębie, za północnym krańcem rezerwatu. Zbiegała ukośnie do zbocza, więc o wiele łatwiej było schodzić, zwłaszcza komuś, komu trochę szwankowała noga. Powiadam, zbiegała łagodnie i o wiele łatwiej było schodzić, ale M i tak wyłożył się jak długi, przy czym zarył nosem w trawę. Właściwie nie nosem, ale uchem. Mówiąc precyzyjnie - lewym. I właśnie tym uchem złowił osobliwe dźwięki. Podkreślam, że lewym, bowiem prawym słyszał jednocześnie coś całkiem innego - kiepski ton mojego ciała, jaki zapamiętał z poprzedniego dnia i tego rana.

I teraz uwaga! W uchu zanurzone w trawach wybrzmiewały takie nuty, które dołożone i zmieszane z tymi z mego ciała (słyszalnymi w uchu prawym) fundowały bardzo dobry zestrój. Pasowały do całości jak zgubiony fragment układanki.

Proszę teraz nie jeść ani nie pić, tylko chwilę skupić się na tym zdarzeniu.

M wciąż leżał z uchem w trawie. Wsłuchiwał się pilnie w poszczególne zioła tuż przy twarzy. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi wyłuskać, wyodrębnić ten jedyny, najwłaściwszy głos redukujący dysonanse i wypełniający dziury w mojej skórze. To nie było takie łatwe, bo wokoło rosło mnóstwo ziela i każdy z gatunków brzmiał nieco inaczej, a na domiar złego niektóre śpiewały w duetach, tercetach, kwartetach - szaleństwo!

Sublokator pani Kosakowej przeprowadził w głowie - dokładnie w połowie odcinka pomiędzy uszami - wiele testów akustycznych. I tak drogą prób i błędów znalazł. I był absolutnie przekonany, że znalazł, co trzeba. Ton wyszukanego ziela zupełnie odmieniał, łagodził i leczył brzmienie gnijącego mięsa.

Znalezisko wyglądało nader skromnie, niczym pospolity perz przydrożny. Nawet nie wiem, jaką toto miało nazwę, już nie mówiąc o łacińskim określeniu tego zielska.

M wyciągnął nożyk od Solaka. Tym razem niczego nie stroił, tylko przeprowadził sianokosy. Od razu zaznaczę: nie został przestępcą, bo pracował poza rezerwatem. Ściął prędko, co trzeba, pozawijał pokos w papier po kanapkach z żółtym serem, troskliwie ułożył w plecaku i wystrzelił prawie biegiem w stronę domu w Nowym Jarze.

Z tym wystrzelił trochę przesadziłem. M nie był sprinterem. Nie był też maratończykiem, a miał w nogach wiele kilometrów i jeszcze szmat drogi przed sobą. Mimo wszystko zdążył wrócić, zanim trawa całkowicie zwiędła i zapadła w martwą ciszę.

Szpak siedział bez słowa. Tuż przy mnie. Zdychałem.

Pani Kosakowa uważała, że nie przetrwam nadchodzącej nocy. Powiedziała o tym M od razu, kiedy wrócił. No a wrócił wykończony. Marzył, żeby walnąć się do łóżka. Słowa gospodyni przywróciły mu energię. W czasie, gdy podgrzewał się kapuśniak, sublokator przeprowadzał akcję ratunkową.

- Jedz, Wabi - zachęcał mnie szeptem, podsuwając pod nos chwasty.

Wielokrotnie widział psy pogryzające trawę, zatem był zupełnie przekonany, że nawcinam się świeżego zielska i to mnie uzdrowi. Kiedy okazało się, że nie chcę wcinać, spanikował. Chyba uznał, że już nie mam siły ruszać szczęką. Zaczął sam pakować mi do pyska to, co skosił w Sarniej Górze. Interweniowała pani

Kosakowa:

- Eyii, synek, pies nie krowa!

Przestał wpychać we mnie zbawcze zioła i klęczał, bezradny. Było mu okropnie przykro. Czuł rozczarowanie tym, że cała ta historia z zieleniną okazała się potworną lipą. Stary chłop, a chciało mu się ryczeć. I wtedy, nareszcie, dotarło do niego to, co chciałem i starałem się przekazać, wytłumaczyć samym wzrokiem, bo inaczej mi nie było wolno. Tak czy siak, zmiarkował, choć pewnie uważał, że sam to wymyślił.

Wbrew absurdalności tej idei, a także pomimo ryzyka, że wyrozumiała gospodyni tym razem nie zdierży i zawoła pogotowie dla niemądrych, M zrobił, co zrobił. Po prostu obłożył mnie trawą, a

szpak trochę mu w tym pomógł. Nie, nie było jej tak dużo, żeby przykryć grubą kołdrą wszystko od ogona aż do pyska, ale cała sierść i opatrunki posypane były w miarę równo, oczywiście z prześwitami.

Wyglądałem jak psia jajecznicą ze szczypiorem. Pani Stanisława Kosakowa ciut pochrząkiwała i modliła się pod nosem, odpędzając złe, pogańskie duchy.

Leżałem w pokoju przy kuchni, pod stołem, na derce z Lipnicy. Gdyby mnie tak nie bolało i gdybym nie zdychał, to byłbym szczęśliwy. Powierciłem się przez chwilę, żeby część szczypioru mieć pod sobą. Jedno źdźbło trzymałem w pysku. Poza tym wahałem, wdychałem to zielsko aż do zupełnego upojenia.

M dostał kapuśniak, jednak nie mógł jeść, zmęczony i bardzo przejęty. Za to wypił wiadro wody.

Gospodyni coś mu klarowała o niebezpieczeństwie leśnych guseł, potem poszła na majowe, a on przysnął, tak jak siedział koło okna, z łyżką w ręku, z czołem na ceracie przy talerzu.

Kiedy się obudził, było lepiej. Lepiej ze mną. Nie zdychałem. M od razu to usłyszał.

Najpierw musiał pobiec do łazienki po tym picciu, a potem ułożył się przy mnie. Nasłuchiwał metodycznie i fachowo. Nie miał żadnych wątpliwości - teraz brzmienie mego cielska wydawało się o wiele bardziej harmonijne, spokojniejsze niż piętnaście minut wcześniej (w sumie nie wiem, czy piętnaście, czy dwadzieścia, bo czas nadal był zupełnie pogubiony). Szpak tańczył na stole ze szpaczej radości.

Pogłos trawy nadzwyczajnie dobrze komponował się z psią

skórą, tak jak podczas testów w Sarniej Górze.

Zapach też był idealny, czego człowiek oczywiście nie był w stanie zauważyć, niemal całkowicie ślepy, głuchy i nieczuły na woń świata.

Po powrocie z nabożeństwa gospodyni z miejsca się zorientowała, że powracam między żywych. Nie była zdziwiona. Napomknęła, że wspomniała o mnie w swych intencjach różańcowych, a ludziska to przyjęli i nikt się nie burzył.

- Mus pomodlić się do Pana Boga, nie cudować z jakimś sianem!

M nie widział tu sprzeczności. Modlitwa to jedno, lekarstwo to drugie. Pani Stanisława Kosakowa sama brała aspirynę i bardzo kochała sól emską, już nie mówiąc o nalewkach - kasztanowej i z bursztynu. A trawa to zioła. Lekarstwa są różne i nie wszystkie trzeba łykać. Niektóre są po to, by grały. Ja przypomnę jeszcze o tym, że mogą mieć zapach.

Sublokator właśnie zbierał się, by zanieść mnie na górę, kiedy - puk, puk, dobry wieczór - przyszły Marta i Monika. Obie! Gospodyni mocno się przejęła ich wizytą (mój przyjaciel też się przejął), szczególnie widokiem młodszej córki leśniczego (a M starszej). Zapytała zaraz:

- A oparzyć pannom kawę?

Siostry grzecznie jej podziękowały, jedna słowem, druga gestem. Wtedy pani Kosakowa powiedziała:

- Bardzo pięknie, żeśta przyszły, bo smutek dzielony z innymi to

jeno pół smutku, a radość się mnoży.

Kiedy owe słowa już wybrzmiały i poukładały się głęboko tam, gdzie trzeba, w naszych kościach, leśna

Marta zapytała:

- Co ten Wabi taki w trawie?

Gospodyni wyszła się przewietrzyć do ogrodu; temat trawy już jej obrzydł.

Zanim mój przyjaciel odpowiedział na pytanie, zrobił, co zamierzał zrobić tuż przed przyjściem córek leśniczego. Szpak gardłował: „Tutaj, tutaj, tutaj!”, donjagając się, by towarzystwo pozostało na parterze.

Ptasi głos puszczone mimo uszu. I tak znów leżałem na tapczanie, na tej derce z kieleckiego, przystrojony chwastem z Sarniej Góry, a oni siedzieli koło mnie.

Kiedy M tłumaczył Marcie i Monice, czemu przypominam łąkę po koszeniu, te z początku śmiały się podobnie jak przy jego opowieściach meteorytowych, a potem słuchały poważniej, nie wiadomo - bardziej zaskoczone i zdziwione, przestraszone czy przejęte.

- A więc ojciec i gajowi rzeczywiście mogli widzieć, jak majdrujesz coś przy drzewach? - zapytała ze zdumieniem Marta.

Sublokator pani Kosakowej chciał tę sprawę wytłumaczyć jak najkrócej, ale musiał najpierw wspomnieć o

Puławskiej, Raławickiej i tych miejscach, gdzie wszystko źle brzmiało: panowie i panie, kichanie i kaszel, samochody, autobusy,

płatki śniegu, domy, rozkład jazdy autobusów, wieńce, trumny, tory tramwajowe, krawężniki, pasy, śmietnik, mokry asfalt, czarne ptaki, tandeta pod folią wystawiona na polowych łózkach rozłożonych na chodniku, nawet kot wyglądający z piwnicznego okna kamienicy za przystankiem. I szpitale. W drugiej kolejności opowiedział im o puszczy w DPS-ie, to znaczy akacji, dwóch świerkach, dwóch brzozech, topoli i lipie. Nie ukrywał, że je kochał i że niebywale pięknie grały nawet wtedy, kiedy trwały całkowicie bezszelestne. W trzeciej kolejności opisał dziewczynom, jak pewnego dnia usłyszał, że topola pod parkanem strasznie chrypi i jak naszło go, by użyć scyzoryka od Solaka.

No i wreszcie przyznał się do tego, co porabia w starojarskich lasach, w dni powszednie od 7:30 do 12:09 lub 13:07, z przerwami na oddech. Tylko nie powiedział nic o dźwięku z bakelitowego telefonu. Za to zwierzył się, że ma w zwyczaju stroić miejsce konwentykli, żeby siostry czuły się możliwie jak najlepiej, a Monikę nie bolała głowa.

- No to co? To teraz koniec? - jakoś tak mu się wyrwało.

Wariatów nie sieją, sami rosną jak po deszczu. Są, więc można się wystraszyć, gdy ktoś gada niestworzone rzeczy. Bernatowiczówny miały pełne prawo gnać przez pola z wielkim krzykiem, a jeśli nie zwiewać, to przynajmniej wstać, pożegnać się uprzejmie, na odchodnym zalewając, że „było cudownie, będziemy w kontakcie”. A tu nic. Głęboka cisza. Świerk milczał za oknem.

Za szybą obrazu mężczyźni przy stole siedzieli bez słowa.

Nawet szafa nie trzeszczała.

Musiałem coś zrobić, cokolwiek. Po prostu ziewnąłem i rozprostowałem tylne łapy. I leżałem sobie dalej - uwaga! - z uśmiechem. Uśmiechałem się podobnie jak Monika, choć może nie byłem tak ładny. Ona rzeczywiście uśmiechała się ostatnio coraz częściej. Tak więc kto miał oczy do patrzenia, uszy do słuchania, nozdrza do niuchania, ten powinien był coś zauważyć i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Na szczęście kobiety potrafią to robić.

Marta wstała wolno z miejsca, zrobiła dwa kroki ku oknu, od razu wróciła, zatrzymała się przed M i powiedziała:

- Pomogłeś Wabiemu, na pewno, więc pewnie pomagasz i drzewom.

I tyle. To było, jak gdyby przytuliła jego głowę, obiema rękami, do brzucha.

Potem znów usiadła przy mnie i choć była oddalona od mojego przyjaciela o dobre dwa metry, ten tak przeraźliwie pragnął, aby go objęła, że poczuł jej dotyk naprawdę.

M tkwił z twarzą zanurzoną w ciepłe Marty.

Był dziwnie spokojny. Wiedział, że nie zdarzy się nic złego, chociaż mogło się wydawać, że poddany jest podobnej próbie jak kiedyś w szpitalu. Trwał tak przy niej bardzo długo, aż do chwili kiedy

Bernatowiczówna zapytała:

- O czym myślisz? Jesteś z nami?

Ocknął się i odpowiedział coś błahego, właściwie coś mruknął. I

tyle.

Umilkli ponownie. W spokoju poddasza mój przyjaciel przypatrywał się przez siedem minut i dwadzieścia dziewięć sekund, jak Monika z Martą delikatnie drapią mnie po pysku, coś tam szepczą, poprawiają mi bandażę i posypkę z zielonego.

Obserwował trzy istoty znalezione gdzieś na samym końcu galaktyki, trzy z miliardów i miliardów, znękanie swoimi biedami, nieważne dla świata i ciche.

Patrzył na nas, aż huknęło go - jak zwykle - prosto w ciemność: „Nażarłaś się dziećmi zabitej Warszawy, a tych ci nie oddam. Zobaczysz”.

;

Pracował jak wariat, taki, co to go nie sieją, więc naprawdę nie miał teraz czasu na wyjazdy do Paryża, Rio de Janeiro czy Caracas. Poza tym nie musiał wyjeżdżać, był właśnie w podróży, mówiłem. Jej ważnymi etapami stały się dwie dalsze eskapady do zakątka Sarnia Góra - eskapady rowerowe, na niemieckiej damce gospodyni. Oczywiście chodziło o sianokosy, dzięki którym mogłem się nawdychać i nasłuchać świeżej trawy.

Wracałem do zdrowia tak prędko, że aż trudno było w to uwierzyć. Już po pierwszej dobie spania w zielsku poprawiłem się na tyle, że wylazłem samodzielnie na dwór i towarzyszyłem M przy dłubaninie w

Szopie Wspomnień. Po trzech dalszych mogłem znowu strzec mojego przyjaciela podczas jego zajęć w lesie.

A tam sublokator pani Kosakowej zaczął posługiwać się wspaniałą, szczegółową mapą z numerowanymi oddziałami, wysokością wzniesień, liniami przecinek i ścieżek. Dostał ją w prezencie od M. Bernatowicz.

Marta chyba chciała mu zaręczyć, zasygnalizować czymś konkretnym, materialnym, że naprawdę nie uważa go za głupka, a strojenie drzew i reszty wcale nie jest paranoją, w każdym razie nie w jej oczach.

Mapę opublikowało nadleśnictwo. Korzystając z niej, wprowadził do swych działań nieco więcej ładu i porządku. Codziennie wyznaczał kolejne kwartały do przesłuchań i strojenia, zakreślał obszary zrobione, łączył miejsca o zbliżonej melodyce i harmonii i te, które brzmiały bardzo kiepsko, o podobnym typie dysonansów. Mógł o wiele lepiej przewidywać, gdzie i co się może zdarzyć, jaki rodzaj harmonizowania jest potrzebny. Zaznaczał też punkty, w których natknął się na wnyki, sidła i potrzaski. W ten sposób pamiętał, gdzie wracać, żeby niszczyć nowo zastawiane świństwa.

Na tej samej mapie - sięgającej aż za linię Wisły - M odnalazł dodatkowe oznaczenia. Dzięki nim o wiele łatwiej trafiał albo pieszo, albo na rowerze gospodyni do ukrytych w polach kaplic, starych domostw i cmentarzy. Te ostatnie nie za bardzo dobrze brzmiały, zapomniane i zniszczone. M nie umiał ich wystroić scyzorykiem od boksera R. Solaka. Zastanawiał się, co począć. Naprawdę chciał pomóc, ale w pierwszej kolejności musiał dbać o las i żywych ludzi.

Cały czas pamiętał dotyk Marty i widział Monikę z opuchniętą twarzą dziecka. To sprawiało, że myślał i działał cztery razy intensywniej niż normalni pracownicy firm badawczo-rozwojowych. Niebywale dużo czytał i z pasją majstrował w szauerku. Wykonywał tam skomplikowane doświadczenia, których ani w ząb nie rozumiałem, coś budował, mierzył, skręcał i dopasowywał. A poza tym M nie zaniedbywał konwentykli.

Z powodu choroby nie uczestniczyłem w tym pierwszym spotkaniu z siostrami, jakie się odbyło zgodnie z zasadami nowej konspiracji, ale pojawiłem się już na następnym. Spotkaliśmy się nad strugą, nieopodal kładki, pod którą skakały nartniki.

Monika nie czuła się dobrze, mimo że - jak zwykle - M podstroił miejsce tajnej schadzki. Bolała ją głowa i chyba się bała, chyba utraciła wiarę w cuda. Pomogło jej trochę, kiedy zobaczyła mnie w zupełnie niezłej formie. Zresztą obie Bernatowiczówny ucieszyły się na widok mordy ozdowieńca. Ucieszyły się, a mimo to pozostawały przygaszone. Okazało się, że młodsza znowu musi jechać do szpitala na badania i ewentualny zabieg.

Sublokator pani Kosakowej najpierw trawił nowe informacje, potem zabrał się do dzieła. Przedstawił trzy skróty filmowych historii, otrzymane kiedyś w formie syderytów: a) o kompletnym braku zorganizowania na Żuławach, gdzie, pomimo apeli komisji społecznych, zniesiono za mało kamieni z okolic, a górale w Tatrach jakoś mogli, zyskując rozległe widoki, turystów i dutki; b) o pomniku łódki motorówki w Małydkowie koło skrzyżowania, otoczonym przez

przedstawiciele władz, wojskowych, uczniów szkolnych, poczet sztandarowy i orkiestrę męską, podczas uroczystej ceremonii złożenia trzech wiązanek kwiatów ciętych w folii i śmigielka wotywnego z szarfą; c) o ucieczce fortepianu i opiniach osób dość zorientowanych, że był bity i męczony, że bębnilo po nim bez pamięci i że teraz woli biegać na trzech nogach, owszem, głodny, ale wolny.

M te scenariusze trochę porozwijał i rozdmuchał, z tym że tak za bardzo nie działały. Dał spokój z filmami.

Ukucnął nad wodą i ni z tego, ni z owego rzucił pomysł, żeby zrobić listę wielkich cudów. Tych powszednich, od małego dzwonu.

Było to cokolwiek krępujące, jako że rozmawiać na poważnie o tych sprawach nie jest łatwo. Są nawet panowie i panie, przy których mówienie o cudach, aniołach, a zwłaszcza o Bogu jest odbierane podobnie jak puszczanie bąków w towarzystwie. Koniec, wstyd, kompromitacja, wykluczenie z grona świątłych osób, dożywotnia anatema i banicja.

Mój przyjaciel czuł, że Marta jest zakłopotana. Tymczasem Monika podeszła do brzegu potoku i zaczęła pisać końcem kijka na zmoczonym, ciemnym piasku.

Napisała: zieleń maja.

M dopisał obok: urok i uroda kobiet.

To Monika na to: zapach lip.

No to on: jedzenie (barszcz, chleb, pomidory, jajecznica i te rzeczy).

Wtedy dołączyła wreszcie Marta: ZDROWIE (nabazgrała

właśnie tak - wielkimi literami).

Skrobali na piasku we trójkę. Spis wydłużył się o następujące pozycje codziennego inwentarza: przyjaźń zwierząt, elektryczność, zapominanie złego, gojenie się ran, samoloty, odruchy człowieczej dobroci, każdy dzień bez wojny, krajobrazy, towarzystwo roślin, radość z pracy, śmiech, rodzina (jakkolwiek nie każda rodzina jest cudem, jak zauważyła Marta), powietrze (szczególnie nad ranem) i woda. Las nie został zapisany, bo to było nazbyt oczywiste.

Naturalnie dałoby się coś dorzucić, nawet sporo, ale już nie wystarczyło miejsca na wilgotnym piasku nad potokiem. Zresztą lista okazała się na tyle długa i treściwa, że Monika odzyskała lekki uśmiech.

Nie wiadomo, dlaczego dokładnie w tej chwili, kiedy zakończyli pracę nad tym spisem, Marcie przypomniała się historia, jaką usłyszała jako dziecko od swojego dziadka Stanisława. Dziadek

Bernatowicz opowiadał, że jechał bydłącym wagonem na zachód. Jechał z ukochaną żoną Anną, pięcioletnim synkiem Kazimierzem i trzyletnią córką Wandą. Był rok 1945, trwało wysiedlenie polskich rodzin z Wileńszczyzny, nazywane chytrze, po sowiecku, repatriacją. No i była jeszcze świnia w małej klatce. Pociąg stał i jechał dniami i nocami, a tymczasem świnia rosła. I kiedy urosła tak bardzo, że zaczęła już rozsadzać klatkę, babcia Anna (wtedy jeszcze młoda) powiedziała: Wysiadamy. I wysiedli. I to było właśnie tutaj, niedaleko.

- Jeszcze jeden cud powszedni. Dwa razy pomogły nam świnie -

skomentował tę historię mój przyjaciel.

- Jak to?

- No tamta i Egon. Bez nich nigdy byśmy się nie odnaleźli, nie poznali.

- Każdy ma takiego swata, na jakiego zasługuje.

Bernatowiczówny znów się śmiały. Tak samo robiły na następnym tajnym konwentyklu, nad jeziorem, blisko leśniczówki, kiedy M przedstawił im kolejne miniscenariusze z kina osobistych filmów. Mówię, obie panny śmiały się lub uśmiechały, choć za Wisłą czekał szpital.

W pewnej chwili Marta powiedziała:

- Zatrzymał się u nas ponownie pan Paweł z Uppsali. Trzeci czy już czwarty raz przyjechał w interesach. Najważniejsze, że zawiezie nas do Gdańska. Cudownie się składa, bo samochód ojca jest w rozsypce.

Jeszcze z pół godziny pytowała o uczynnym panu Wyżykowskim, jego sprawach i problemach. W tym czasie jej siostra wrzucała patyki do wody.

M mocno zmarkotniał. Uściskał Monikę, życzył dobrej i bezpiecznej drogi, najlepszych wyników na świecie i możliwie najszybszego powrotu do lasu. Chciał uściskać także Martę, ale stchórzył. Znowu. I tak zakończyła się ta schadzka.

Po drodze do domu spotkaliśmy na zydlungach bandę młodych Danielewskich, Lubińskich, Szlagoniów, Osińskich, Ladachów i Tuchłów. O dziwo, dzieciary nie walczyły tego dnia na miecze, tylko

grały w piłkę nożną. Dziewczynki bez przerwy wołały: „Ale nie tak mocno!”, a chłopaki nie słuchali i popisywali się strzałami, które mogły łamać palce albo kończyć się brzydkimi siniakami. Martyna krzyczała najgłośniej, wreszcie oznajmiła: „To pierdykam!”, i się zmyła. Za Martyną poszły inne zbuntowane damy z kucykami. I chłopakom - tym debilom - zrobiło się głupio, bo kto teraz miał stać w bramce, żeby oni mogli błyszczeć w polu?

Staął M i dobrze bronił. A dziewczyny się na niego obraziły, bo okazał się zwyczajnym łamistrajkiem.

Trzy minuty później wybaczyły jednak zdradę lokatora pani Kosakowej, to dlatego że chłopaki nie mogli mu strzelić karnego. Zawodniczki śmiały się zza płotu Danielewskich i wołały, że są dupki, nie dziewczyny, tylko tamci.

Owszem, przyznam, było głośno, ale to nie powód, żeby zaraz pokazywać goły tyłek. A tak właśnie zrobił stary Knaffel. Wyskoczył przed furtkę, nawrzeszczał, nawrzeszczał na wszystkich i publicznie spuścił spodnie, zresztą tak jak sto pięćdziesiąt razy wcześniej. M stracił apetyt. Na szczęście na krótko, bowiem na kolację był akurat pyszny twaróg ze szczypiorem, a na deser kompot ze słoika, rozwodniony, ale zawsze.

M dotarł na Wzgórze 271.

Niczym juczny muł lub osioł (Equus) w Pirenejach wtarabanił tam piętnaście kilogramów złomu. On nazywał to aparaturą. Złożył wszystko koło dębu (Quercus robur) o numerze bocznym 6.579 i usiadł na pniaku poza jakąkolwiek numeracją. Nawet nie podścielił

sobie kurtki! Ledwo dyszał.

Wzgórze 271 było piękne, położone nie aż tak daleko od zydlungów i od leśniczówki, za to dostatecznie na uboczu, poza biegiem ścieżek ja-godziarzy i grzybiarzy, podpalaczy, kłusowników oraz wszelakich innych drani i szkodników. Kupki suchych bobków w krzewach wrzosu (*Calluna vulgaris*) świadczyły o tym, że czasami błąkał się tam jakiś jeleni (*Cervus elaphus elaphus*) albo sarna (*Capreolus capreolus*).

Ze szczytu wzniesienia rozciągał się widok na dolinę rzeki Wisły. Sięgał aż do jej przeciwległego brzegu, miękkiego od lasów, które dochodziły wielkim łukiem do Borów Tucholskich i Kaszub. Pomiędzy lasami rosnącymi z obu stron wiślanej pradoliny kursowały rude kanie (*Milvus milvus*) i bieliki (*Haliaeetus albicilla*), przecinając jednym lotem granicę dwóch światów: zachodu i wschodu, a zarazem dwóch klimatów: oceanicznego i kontynentalnego.

Pejzaż nie był zasłonięty ścianą choin. Górną część owego zbocza, z którego M patrzył na zachód, wygolono ze starego drzewostanu, przykra sprawa, chociaż mój przyjaciel musiał przyznać, że otwarty widok sprawia mu ogromną radość. Na miejscu wyrębu rosły teraz bardzo młode sosny, świerki, brzozy i błyszczące buki. Ich łaćńskie miana podawałem nieco wcześniej. Wielki las wciąż szumiał po północnej, wschodniej oraz południowej stronie wzgórza.

Sublokator pani Kosakowej popatrzył, odpoczął, podziękował za to, że tu siedzi i że widzi to, co widzi, posłuchał, jak stroją najbliższe rośliny i ziemia, po czym wziął się do roboty.

Z powodów technicznych najlepiej byłoby umieścić aparat na wieży, tej leśnej, wystającej ponad światem, jednak nazbyt wiele osób miało tam swobodny dostęp. Mogły zdarzać się kradzieże lub niszczenie cennych instrumentów, już nie mówiąc o złamaniu tajemnicy przedsięwzięcia. Czyli wieża odpadała. No a Wzgórze 271 wydawało się w sam raz, pod każdym względem.

M od razu skupił się na maskowaniu. Poszło mu to nader sprawnie, tak że pierwsze partie urządzenia zupełnie zniknęły pod ściółką. Nawet leśnik czy kłusownik, przechodząc przypadkiem w pobliżu, raczej by nie odkrył elementów tego instrumentu i nie zwąchał, co się dzieje.

Mój przyjaciel był zadowolony z tego, co udało mu się zdziałać. Znow trochę się zziąjał, więc usiadł na karczycy, tym razem przezornie podłożywszy sobie pod siedzenie letnią kurtkę od Andrzeja. Rozpatrywał dalszą procedurę budowania aparatu, konsultując ją z fachowcem, to znaczy zgadując, co powiedziałby na to czy tamto Julian Bocian.

Rozmyślanie nad budową urządzenia przerwał mu natrętny dźwięk klaksonu. To trąbiło srebrne volvo.

Ujrzał je w przestrzeni między sosną 1.695.277 a samotnym klonem o numerze 96.294. Określenia Karla

Linne-usza dla tych roślin podawałem ze sto razy. Przy okazji warto wspomnieć, że Linneusz był z Uppsali, tak jak Paweł Wyżykowski. Ten ostatni właśnie przebił się przez zator w centrum Gdańska i szukał parkingu możliwie najbliżej wejścia do Kliniki

Onkologii.

Pomiędzy Jukami 153.374 i 153389 M zobaczył coś, co wydarzyło się zapewne nieco później. Marta wychodziła ze szpitala razem z panem Wyżykowskim. Rozmawiali. To był bez wątpienia miły facet i bardzo pocziwy, w okularach, tylko, kurde, cały czas dotykał jej ramienia, a raz ją pogłaskał po twarzy.

Sublokator pani Kosakowej nie chciał dłużej patrzeć w tamtą stronę. Niestety, gdzie indziej też buszował

Wyżykowski, powtórzę raz jeszcze: człowiek dobry i pocziwy, chociaż może niepotrzebnie tu przyjechał.

Pomiędzy świerkami 76.577 i 76.579 M widział, jak tamten spotyka się z wójtem, sekretarzem gminy i innymi mężczyznami w plastikowych garniturach i skarpetkach.

To, co mój przyjaciel widział i co słyszał, głównie słowa Marty Bernatowicz wypaplane nad jeziorem, wydawało się nadzwyczaj pogmatwane. Ze splątanych głosów i obrazów usiłował powyciągać jakieś sensy. W sumie dałoby się streścić ten bałagan chyba tak: pan Paweł Wyżykowski starał się rozkręcić biznes w Starym Jarze. Zresztą wiemy o tym nie od dzisiaj.

On miał z czego żyć, naprawdę, jakoś tak powiodło mu się w obcym kraju, ale nie potrafił się opędzić od myślenia o tej ziemi, którą pozostawił. Tak się zdarza, proszę państwa, pewnym egzemplarzom homo sapiens. Myślał głównie o konkretach, nie abstrakcjach, a więc o tym, żeby pozamiatać, posprzątać obejścia i domy, odmalować to i owo, no a przede wszystkim dać możliwie wielu ludziom dobrą pracę.

Chyba nie chciał zbawiać świata, tylko sprawić, żeby chociaż w jednym jego kącie panowało mniej chaosu i cierpienia.

Oczywiście mógł być się obrazić na tę okolicę, bo zarobił tutaj kiedyś w ryja tak straszliwie - państwo chyba pamiętają? - że zaledwie uszedł z życiem. Jednak wybrał właśnie to, nie inne miejsce, na przykład nie Gdynię, skąd przecież pochodził. Być może uczynił to z czystej przekory, a może to była taka jego zemsta na bandziorach, próba pokonania ich po latach w sposób dosyć osobliwy.

Tak czy owak, na początku myślał, i to było słyhać pod choiną numer 76.688, żeby w Starym albo

Nowym Jarze otworzyć fabrykę latawców. Prosta sprawa - papier z miasta tuż za lasem, listewki z tartaku i pola startowe nad Wisłą. Według niego te latawce, oszałamiająco kolorowe, stałyby się generatorami energii radości, tak potrzebnej w kraju, którego mieszkańcy zdawali się smutni jak trolle, nie umieli cieszyć się wolnością i bez przerwy narzekali. Poza tym uważał, że latawce można by wypuszczać w strony, gdzie jest znacznie, znacznie gorzej. Roił sobie takie rzeczy ze dwa lata, potem nieco zmienił plany.

Przerzucił się w myślach na stolarkę użytkową i to było doskonale widać koło klonu o numerze bocznym

96.379. Planował produkcję drewnianych kołysek, żeby dzieci w Polsce, a przynajmniej w okolicy, mogły być wykołysane, ukochane, no a dzięki temu wzrastać dużo radośniejsze i pewniejsze siebie w dalszym życiu. Na dodatek chciał robić pajace, dla samego śmiechu, przede wszystkim śmiechu z siebie, a w końcu wymyślił, że

koniecznie musi produkować budy i sprzedawać je za grosze, wręcz rozdawać, żeby polskie burki podwórzowe przestały nareszcie tak cierpieć jak w piekle.

Skończyło się na tym, że przyjechał z propozycją wypiekania - tu uwaga! - chleba. W Polsce chleb był raczej dobrze znany i lubiany od dość dawna i żaden przyjezdny misjonarz nie musiał na niego namawiać tubylców. Z tym że Paweł Wyżykowski chciał wypiekać chleb z dodatkiem mąki orkiszowej i szarłatu. Jeśli ktoś z dorosłych, wykształconych ludzi jeszcze nie wie, co to jest pszenica orkisz (*Triticum spelta*) albo szarłat (*Amaranthus cruentus*), niech zapyta ojca, matki. W każdym razie obie te rośliny miały być - w koncepcji pana Pawła - uprawiane na wspaniałych ziemiach wzdłuż prawego brzegu Wisły. Był gotowy kontraktować oba zboża u rolników w całej gminie. Był także gotowy uruchomić stary młyn w Borowcu, specjalną piekarnię, nowoczesną, a zarazem tradycyjną, no a przede wszystkim ściągnąć z zagranicy odpowiednie technologie i kapitał.

Zapewniał miejscowych, że chleb orkiszowy z dodatkiem szarłatu jest nie tylko bardzo pyszny, ale też nadzwyczaj zdrowy, długo zachowuje świeżość i - choć może to jest nie do wiary - wywołuje czystą radość, jeszcze większą niż latawce i pajace. Panowie w plastikach kiwali głowami, bardzo chętnie częstowali się próbkami różnych szwedzkich wiktuałów i napojów, ale z odpowiedzią ciut zwlekali.

Podczas jednej z dalszych wizyt - której mój przyjaciel mógł się przyjrzeć między sosną numer 5.679.457 a jej koleżanką o numerze

5.679.439 - gość z Uppsali przekonywał, że po nasyceniu rynku wewnętrznego będzie można eksportować chleb do Szwecji, Danii i Norwegii, gdzie pieczywo jest potworne - słodkawe i sztuczne (z wyjątkiem chrupkiego). Co za szansa - prawie krzyczał - dla naszych, to znaczy tutejszych rolników, młynarzy, piekarzy, kierowców, ich rodzin i gminy. Panowie w plastikach kiwali głowami, ale sprawy nadal grzęzły w miejscu, jakby ktoś rowerem wjechał w bagno^

Gość z Uppsali nie rozumiał, co się dzieje. Dodatkowo zdziwił się, gdy między dębem numer 75.697 a modrzewiem 6.859 ktoś mu porysował srebrny lakier samochodu. Pan Paweł pomyślał - przypadek, z tym że potem natknął się na zbitą szybę w tylnym oknie.

Sublokator pani Kosakowej obserwował go, jak ten uszczelnia folią swoje volvo i rozmyśla o naturze świata i okolic. Właśnie wtedy M rozpoznał jego rysy, mimo zmieniających fizjonomię okularów.

Rozpoznał człowieka, który - między sosną o numerze bocznym 2.375.967 a wysokim dębem nr 76.949 - usiłował wymknąć się oprawcom podczas polowania w lany poniedziałek, tego pana, który dostał kijem w łeb i upadł, i spoglądał w stronę mego przyjaciela, krwawiąc z nosa, ust i uszu.

Teraz M rozpoznał także tamtych, którzy bili. Tylko Wyżykowski nadal jakoś sobie ich nie przypominał.

Może tak dalece popsuł mu się wzrok po uderzeniu w czaszkę albo tamci tak się zestarzelili. No a przecież nawet państwo - przebywając dość daleko od Starego Jaru - też na pewno już od dawna domyślają się, o kogo chodzi, podobnie jak wiedzą, czym jest

tajemnica żelaznego aparatu oraz Wzgórza 271, zwłaszcza że w zdarzeniach, które tu przedstawiam, staram się nie mylić tropów i adresów. Poza tym to prosta historia, jaką opowiada się w podróży do Caracas albo Sarniej Góry.

Sublokator pani Kosakowej powrócił do domu markotny jak kiedyś, kiedy mieszkał w DPS-ie. Bogu dzięki, gospodyni zładowała fantastyczny barszcz z trzeszczącą skwarką i opowiedziała plotkę o Wirkusie, tym sąsiedzie, który miał w zwyczaju często wtrącać do rozmowy: „królowo radziecka” lub „królu radziecki”, i płakał w kościele. Przypominam, bo nie każdy jada to, co trzeba, i potem jest kłopot.

Skórowa mówiła, że Wirkus, w zależności od potrzeby, potrafi się nagle wydłużyć lub skrócić, w sposób całkowicie naturalny. Dowodziła, że nie wchodząc na drabinę, umie zerwać gruszkę z czubka drzewa, może również przejść pod stołem koło okna, żeby pozamiatać po obiedzie. Rzeczywiście, Wirkus nie miał żony i sam sprzątał i gotował. Czy dlatego nieustannie się uśmiechał?

Niby wszystko dobrze wiemy, ale okazuje się, że nie do końca.

*

Czerwiec nadszedł, nie wiadomo jak i kiedy. Przyniósł długie dni i ciepłe noce, tak że M już nie spał na kożuchu i w kapturze. Niestety, wraz z latem strzeliły pioruny. Mój przyjaciel miał się na baczności. Jeśli tylko wyczuł bądź usłyszał, że nadciąga ciężka chmura, wracał z lasu, nawet przed godziną zakończenia pracy, zwłaszcza że na Wzgórzu 271 pozostawał bliżej nieba i bez przerwy

stykał się żelastwem.

Dzięki Bogu tej soboty nie zbierało się na żadne burze, błyskawice i tak dalej. M nie musiał wstydzić się swojego lęku i mógł skupić się wyłącznie na tym, co jest ważne. Rano ważna była jajecznicza.

Niemal zawsze, kiedy wcinał ten największy przysmak we wszechświecie, zastanawiał się z prawdziwym niepokojem, czy z jedzeniem jajeczniczy nie jest trochę tak jak z przeżywaniem podarowanego człowiekowi czasu. Na początku wielka radość, eden smaku. Potem mechaniczny ruch widelca i myślenie o czymś innym, jakby wszystko miało tak trwać wiecznie i nie trzeba było się za bardzo delectować.

Wreszcie nagle przebudzenie, że to już, już, już się kończy, nie ma rady. Czyli jadł i martwił się, że jajecznicza prędko znika.

Przez to całe filozofowanie stracił czujność i dlatego szpak skurczybyk dziobnął mu z talerza dwa ostatnie najważniejsze kęsy. Widziałem to zajście i dziwiłem się przyjacielowi, że zachował święty spokój.

Na śniadanie musiał zjeść coś solidnego - myślę o człowieku, nie o ptaku - jako że zabierał dzieci na wyprawę. Na rowerach. Potrzebował dużo siły, do pedałowania i znoszenia trudnych sytuacji.

Wyruszyli dosyć wcześnie. Ja za nimi. Nie wziąłem ze sobą medalu od króla, bo by dyndał podczas biegu i przeszkadzał. Obiecałem sobie, że założę go przy święcie. A teraz uwaga: Monika i Marta przebywały nadal w Gdańsku, więc nie mogły jechać w

peletonie. Bardzo szkoda. Do gromady dołączyła za to pani

Danielewska, na szczęście bez kota. Wcześniej pomagała przy szukaniu sprzętu dla bezrowerowców.

Dzięki niej udało się pożyczyć kilka całkowicie sprawnych gratów dla Ladachów, paru małych Tuchłów i

Szlagoniów. Pożyczyli je: wikary i kościelny (ten drugi niechętnie, ale nie mógł się wymówić), kierowniczką biblioteki Rena Osowicka (bardzo ufna, co niestety wykorzystał kiedyś Grzebisz, z tym że w sprawie osobistej, a nie rowerowej), Z. Wirkus, a nawet Ruckowa, która wyciągnęła stary rzęch Karola

(tego, co nie lubił zmieniać gaci).

Podczas jazdy M uważał, żeby trzymać się na samym przedzie, no bo gdyby się zdarzyło, że podążałby za panią Danielewską (bardzo zgrabną), to mógłby mieć Wopot z zachowaniem równowagi. Już raz się zapatrzył na niezwykle kształtną rowerzystkę - kiedyś, kiedyś, na Okęciu - i skończyło się wypadkiem. Co ważniejsze, to nie było zachowanie godne prawdziwego dżentelmena.

W polach wiało i dzieciary się męczyły. Dlatego peleton dość często przystawał. Cieszyłem się bardzo, bo jako jedyny nie miałem roweru, a nie odzyskałem jeszcze całkowitej wydolności organizmu i sprawności wszystkich mięśni.

Na postojach ci, co mieli coś do picia i jedzenia, ciągle pili albo jedli. Inni, którzy nic nie mieli, udawali, że w ogóle nie są głodni i spragnieni. Mój przyjaciel ani nie jadł, ani nie pił, tylko opowiadał różne rzeczy, a kolarze go słuchali, mimo że gawędziarz jąkał się i

mówił dosyć cicho. Najpierw bąkał o lodowcu i dolinie rzeki Wisły, a potem o Prusach, miejscowych Indianach.

Zatrzymali się na dłużej nad wychudłą rzeką, która przepływała niemal równolegle do koryta wielkiej siostry. Stanęli w tym miejscu, gdzie przed Wielkanocą M wykopał cegły z odciskami ludzkich placów.

Teraz zboża i wysokie trawy uniemożliwiały łatwe znajdowanie takich skarbów. Coś tam jednak wygrzebano. Sublokator spod dwunastki pogawędził o krzyżakach i folwarku Binnenhof, gdzie rezydował i gospodarował urzędnik zakonny Waldmeister - kto jada orzechy, pamięta - aż dzieciary posmarkały się z wrażenia. Przynajmniej niektóre.

A w Dynowie weszli do kościoła, ja za nimi, choć znałem poglądy kościelnych, dewotek i w ogóle różnych takich. Wszedłem śmiało, bo tam wisiał piękny obraz z przedstawieniem mojej ulubionej sceny. Św. Roch wstępował razem z ukochanym psem do nieba. Tyle. Kto nie słyszał o tej sprawie, niech zapyta ojca albo matki.

Zakładając, że rodzicie i dziadkowie niekoniecznie poinformowali dzieci o tym świętym i w ogóle, M wyjawiał wszystkim, którzy nie zasnęli ze znużenia, jak to było z psem i świętym Rochem, a poza tym, przy okazji, przekazał słuchaczom garść innych sekretów świątyni, no na przykład, czemu prezbiterium skierowane jest na wschód, a nie na północ i dlaczego teraz siedzą w nawie, czyli w łodzi. Na ścianie przy kruchcie pokazał im kilka portretów malowanych na kawałkach grubej blachy. Przedstawiały

bardzo mądrych, dzielnych ludzi - Sierakowskich i Kochańskich. Przy okazji M napomknął też o polskich królach, starostach, rycerzach i chłopach, co przez ponad trzysta lat opiekowali się tą ziemią.

Potem trwał w milczeniu w pierwszej ławce, a Martyna, chyba razem z Ladachówną, nagle, bach, zaczęły mówić Ojciec nasz i zaraz Zdrowaś Mario, bez żadnych oporów, jakby sobie zaśpiewały. Dołączyły do nich inne głosy, przy czym niekoniecznie zaraz chłopców. Chłopcy zachowali męską godność i rezerwę. Żeby oddać sprawiedliwość, Łukasz mówił razem z dziewczynami.

Gdzieś z kilometr za kościołem rowerzyści odwiedzili zarośnięty cmentarz, który M odnalazł wcześniej, kuśtykając w stronę Sarniej Góry. Sublokator spod dwunastki wyjaśnił półszepem, że tu spoczywają potomkowie osadników, którzy dawno, dawno temu przyjechali z Niderlandów, zwłaszcza z Fryzji.

Zaproszono ich do Rzeczypospolitej jako tych, co radzą sobie z powodziami i codzienną ciężką pracą.

Największe wrażenie na wszystkich zrobiła historia o ziemi, jaką dostawali w dniu urodzin synowie z tych rodzin. Może będzie lepiej, jak przypomnę: Każdy krewny dawał im jej tyle, ile się zmieściło w jednej łodzi. Co roku. Po dwudziestu latach młodzi ludzie mogli z tej urodzinowej ziemi usypać niewielkie wzniesienie, taką wyspę na żuławie, aby wybudować na niej własny dom dla przyszłej żony i prychówku.

Nie wiedzieć dlaczego, najstarsza z Ladachów poryczała się jak głupia. Już nie pierwszy raz nie wiedzieliśmy czegoś na sto procent,

nawet na pięćdziesiąt; lepiej było się do tego przyzwyczaić.

Kiedy okazało się, że ci w tych grobach byli kiedyś żywi i prawdziwi, najgorsze łobuzy z zydlungów posprzątały wokół, co się dało, a na koniec wszyscy chwilę pomilczeli, również chłopcy. Sublokator pani spod dwunastki dał znak ręką. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Za Dynowem rowerzyści wspięli się na szczyty ludzkich możliwości. Oprócz tego, że zajęci byli powtarzaniem: „Proszę pana, kiedy dojedziemy?”, potrafili zainteresować się domami wybudowanymi przez Olendrów, widzieli na niebie bociany i w ogóle różne takie. Przynajmniej niektórzy.

W Sarniej Górze już nie mogli. Już nie mogli więcej patrzeć ani słuchać. M chciał im pokazać to miejsce, gdzie stykają się trzy rzeki, ale oni zamierzali jak najprędzej zsiąść z rowerów, najlepiej przy sklepie. Mój przyjaciel nie nalegał. Dobrze wiedział, z żywiołami nie ma żartów.

Musieli mieć nosa, bo minutę i trzydzieści osiem sekund po nich zatrzymała się przed sklepem trzykółka sprzedawcy krawatów. Mieli nosa, bo - uwaga! - kierowca pierdziawy rzucił między lud dwa słowa:

- Chcecie lody?

Zrobiło się głośno, chociaż jeszcze chwilę wcześniej wydawało się, że rowerzyści umierają z wycieńczenia.

Kiedy wszyscy otrzymali swoje porcje, fundator zawołał:

- Za zdrowie Wabiego!

Na niewielkim skrawku ziemi buzowało psie i ludzkie szczęście.

Podobno po uczcie przed sklepem ten gość z krawatami znalazł się na skraju wielkiej plajty. Nic dziwnego, nie zarabiał, ale wydawał. Nie wyglądał jednak na przygnębionego.

Mimo że nie byłem dzieckiem ani egzemplarzem homo sapiens, też dostałem coś pysznego - spory kawał salcesonu. Salceson mi pomógł. Znow poczułem siłę w łapach. Dodatkowo, gdy opuszczaliśmy Sarnią

Górze, nieopodal rezerwatu skoczyłem pod skarpe, żeby się nasłuchać i nawęchać mojej trawy. Dzięki temu odzyskałem równy oddech i przestało mnie rwać w boku.

Wracaliśmy leśną drogą, polegając czasem pod drzewami i szukając pierwszych jagód (*Vaccinium myrtillus*). Popołudnie grało i brzęczało, stukały dzięcioły (*Dendrocopos major*), umykał zaskroniec (*Natrix natrix*).

Na osiedlu jakoś trudno było nam się rozstać. Każdy przybił piątkę z M i nawet z panią Danielewską, bardzo zgrabną i cokolwiek obolałą w pewnym miejscu, tak jak większość rowerzystów bez treningu i praktyki.

Pod wieczór, pomimo zmęczenia, M poszedł na Wzgórze 271, a ja oczywiście za nim. Uważał, że musi zobaczyć, czy nie stało się coś złego. Było dobrze. Uspokoił się i zasnął na poszyciu (i na kurtce - proszę się nie martwić). Pilnowałem go od nieprzyjaciół, głównie od komarów i od kleszczy. Nie podaję już łacińskich nazw łąkowo-leśnych stworzeń. Tyle razy podawałem, że na jakiś cza mam dosyć.

*

Nazajutrz, to znaczy w niedzielę, sublokator pani Kosakowej, wychodząc z kościoła, natknął się na leśniczego K. Bernatowicza.

- Pan wsiada, podwiozę - zawołał leśniczy i otworzył drzwi swojego volkswagena.

M bardzo się zdziwił, a nawet przestraszył. Przecież wiedział doskonale, że ojciec Moniki raczej za nim nie przepada. Jechali niespiesznie.

- Ot, drynda - zagadał kierowca. - Rozwaliła się, gdy ja najbardziej auta potrzebowałem, znaczy gdy

Monikę do szpitala czas był zawieźć. Ale pomógł mój znajomy, pan go nie znasz, bardzo zacny i użyty człowiek.

- Już w porządku? - mój przyjaciel puknął lekko w dach pojazdu.

- Danielewski mi naprawił, ten od was, z zydlungów. Teraz sam pojedę po dziewczynki.

- A kiedy?

- Jak Bóg da, we wtorek rano.

- Można wiedzieć, co z Moniką?

- Badania, badania... i cisza, nie mówią - nagle zwolnił jeszcze bardziej, bowiem coś, co mu błysnęło w oczach, przeszkadzało obserwować drogę. - Jutro się okaże, czy ją puszcza.

- Szczęście, że w tym wszystkim nie jest sama.

Okazało się, że leśniczemu przeszkadza w dodatku coś w gardle. M chciał wysiąść przy tablicy

„Leśniczówka 0,1 km”, lecz kierowca się nie zatrzymał. Zakręcił w stronę swego domu i stanął przed gankiem.

- Chodź pan ze mną - rzucił do sublokatora pani Kosakowej. Wsiadł z samochodu i ruszył w kierunku zwierzyńca. M pomyślał, że leśniczy chce go zamknąć w klatce lub uśmiercić. Wstydził się okazać strach i wiać do lasu, więc pokulał karnie do ogrodu.

Przywitał go Egon, obwąchał, obwąchał, po czym wielkopańsko zlekceważył. W leśniczówce czekał jamnik, zazdroszcząc wieprzowi swobody zgromadzeń.

- No, podejdź pan bliżej - gospodarz zawołał od boksu przy szopie.

W środku siedział samiec orzechówki (przypominam - koniec z łaćńskimi terminami, przynajmniej na razie).

- A ten jednak się wylizał - leśniczy uchylił drzwi klatki, bezceremonialnie złapał rekonwalescenta i wyciągnął go na zewnątrz.

- Nie wierzyłem, że tak będzie. Pan masz chyba dobrą rękę.

- To nie ja go kurowałem.

- Może nie kurował, ale uratował. Tak i chciałem, żebyś pan zobaczył, jak ja jego puszczam wolno.

Mój przyjaciel odczuł ulgę. Chyba jednak nie miał skończyć w klatce ani w jakimś mokrym dole.

Podziękował i zapytał:

- Będzie latać?

- Zobaczymy.

Bernatowicz puścił pana orzechówkę, ten pofrunął kilkanaście metrów, po czym przysiadł na drewnianej żerdzi. Wypróżnił się śmiało i ponownie wystartował, testując swą wolność i skrzydła. Po

drugim etapie usiadł na gałęzi świerka na skraju ogrodu. Zaskrzeczał trzy razy, coś jak orzechów-kowe: „Do widzenia, proszę państwa, spadam”, i zniknął wśród choin.

- Ot, jednak on zdrowy - westchnął z ulgą Bernatowicz. - A nawet jak słaby i jak jego w lesie zjedzą, to przynajmniej jeszcze trochu zazna swojej szczęśliwości.

- Szkoda, że Monika z Martą... - M dalej się gapił w tę stronę, gdzie zniknęła orzechówka. - Ale by się ucieszyły!

- Pan posłuchaj - Bernatowicz zamknął klatkę. - Bardzo ładnie, że tak nimi się przejmujesz, tylko teraz lepiej będzie nie przeszkadzać i nie szkodzić... Pan rozumiesz?

Nie rozumiał. Wyglądało na to, jakby w jednej i tej samej chwili ojciec Marty i Moniki głaskał go po głowie i odganiał jak psa kijem. Była w tym wewnętrzna sprzeczność, głęboki dysonans, zapewne z powodu zbyt długiego nasiąkania ciała K. Bernatowicza dysharmonią chorych miejsc w niszczonej, rozkradanym przez hołotę lesie.

Wniosek, jaki M wyciągnął z tej rozmowy, raczej mijał się z intencją leśniczego. Sublokator spod dwunastki uznał mianowicie, że powinien - tu uwaga! - niezwłocznie osiągnąć gotowość do strojenia wszystkich tych obszarów puszczy, które wybrzmiewały jak pianino po pożarze czy upadku z dziesiątego piętra. Wszystkich naraz. Teraz widział dostatecznie jasno, że fatalnie jazgocząca przestrzeń może być naprawdę niebezpieczna, i to nie wyłącznie dla sióstr Bernatowicz i samego stroiciela.

No i jeszcze jedno, bardzo ważne. M nie miał zamiaru zostawiać

Moniki bez swojej pomocy, choćby wydawała się - ta pomoc - podejrzana, nader dziwna. Jakoś tak się, kurde, zawziął.

Roznosiło go i miał ochotę z miejsca rwać na Wzgórze 271, żeby zamknąć finałową fazę prac nad instalacją aparatu, wszakże nie mógł tego zrobić, bo była niedziela, a firma Strojnie Zieleni i Reszty święciła dzień święty.

Pani Stanisława Kosakowa też święciła i dlatego zładowała coś niecodziennego. Na obiad niedzielny, jak wiemy, musiał być obowiązkowo rosół (i kura na drugie), ale gospodynię naszedł nagle smak - w sobotę po nieszporach - i ugotowała ukrainkę, czyli ukraiński barszcz. Szaleństwo! M po pierwszych czterech łyżkach mało nie wpadł twarzą w zupę. Jadł i płakał ze wzruszenia, podobnie jak inni łzawią na koncertach symfonicznych lub wybitnych przedstawieniach. To było to samo. Absolutny zachwyty wielką sztuką. Uwielbienie dla doskonałości. Pożarł tyle, że już mało co zostało dla mnie. I właśnie dlatego z muzyką jest lepiej niż z barszczem.

Po tym, jak lokator pani Kosakowej otarł ukraińskie łyzy i opowiedział o powrocie orzechówki do zdrowia i lasu, gospodyni chwilę narzekała, że ją strasznie bołą członki, na pewno na zmianę pogody. I jeszcze mówiła, że dziecka za oknem od rana kicają i jak ona na to patrzy, to czuje się stara. Pani Kosakowa miała czasem gorszy dzień, jak każdy.

Na to weszła H. Skórowa. M podał jej krzesło, gospodyni talerz barszczu (czyli jeszcze mniej zostało dla mnie). Nim zaczęła wcinać, oświadczyła, że Konefał boi się wyłysieć. To, co nam zdradziła chwilę

później, podam teraz w tłumaczeniu z jej języka na psi jęzor narratora, bo zdradzając, przełykała i siorbała, i ktoś nieprzyzwyczajony mógłby mieć kłopoty z uchwyceniem pewnych sensów.

Otóż: R. Konefał, murarz-tynkarz, robił w mieście i dojeżdżał tam pociągiem, to znaczy dojeżdżał rowerem na przystanek kolejowy Mleczne Pole i tam wsiadał do osobowego. Problem w tym, że ktoś go przestrzegł przed działaniem jarzeniówek. Odtąd R. Konefał nie miał wątpliwości, że ich światło niszczy włosy i cebulki, i tak dalej. Gdziekolwiek wchodził, tam od razu gasił oświetlenie, tym bardziej że zwykłym żarówkom też jakoś nie ufał. No i dochodziło do pyskówek, czasem nawet rękoczynów, a najczęściej właśnie w tych pociągach do miasta i z miasta. Kiedy przybiegali konduktorzy, to Konefał radził im, by domagali się dodatków, szkodliwego, i nosili zawsze czapki. A ci, zamiast to doceniać, zamiast się zachwycać, że pasażer troszczy się o zdrowie ludzi pracy, wysadzali go po drodze i miotali za nim ciężkie słowa.

- No jo, pani! - zakończyła H. Skórowa.

Pani Stanisława Kosakowa odwdzięczyła się historią bez żadnego związku z pociągami, barszczem, orzechówką, bólem członków czy łysiną. Przywołała tę historię, a nie inną, bo ją naszło, a poza tym, jak się człowiek spotka z kimś przyjemnym, to mu opowiada różne rzeczy, niekoniecznie po kolei i na temat.

Powiedziała, że tam u nich to jednego z jej rodziny, Józefa Frejlicha, zabrali na wojnę, tę pierwszą, jak on właśnie się ożenił z Adelą od Kotów. Po dwóch latach dali mu przepustkę, ino od niedzieli

do niedzieli.

Trzy dni i trzy noce jechał i cały czas nie spał. Jak zajechał nazad do chałupy, to się nacieszyły sobą, on z Adelą, jak to młodzi, potem Józef nagle zasnął i nawet nie pojadł. Spał i spał, a jak się zbudził, to mus było wracać się na front daleki i tak znowu trzy dni jechał. A na froncie jeszcze onuc nie poprawił, jak go lotnik zabił z góry. Pochowali go gdzieś w polu. Tej Adeli synek z tego się pżostał, z tej przepustki, z tego ich krótkiego ucieszenia i nieszczęścia.

Zrobiło się cicho. Nawet szpak nie rezonował i nie dreptał. Tylko M zachował się nieładnie, bo zapytał:

- A na jakim froncie walczył ten pan Józef?

- A skąd ja mam, synek, wiedzieć? Jak ja miałam się go spytać?

Wiemy, że nie wszystko zawsze wiemy i tego samego w końcu musiał się nauczyć mój przyjaciel. I nauczył się, bo nie był głupi.

M wstawał od stołu, kiedy gospodyni wyrzuciła z siebie coś, co ją cisnęło od początku tej rozmowy.

- Wczoraj zajechały te dwa dziady.

- Które?

- Ten Sawczyn z tym drugim. Gadały z sąsiadem, Szlagoniem. Szlagoniowa do nich się wdzięczyła jak jaka panienka z warkoczem. Coś one im dały czy może zabrały, ja nie wiem. Pies ze strachu aż się schował.

- Wabi?

- Nie Wabi, Borygo! Wabi przecie ganiał z wami - pani Stanisława Kosakowa przysunęła się do okna. - Tamte dwa krogulce

przystanął tam, za płotem, i patrzyły się na dom, obejście, patrzyły, gadały, a potem splunęły i choda. Z czego takie ludzie żyją? Nic nie robią, taksówkami się rozwarszawiają.

- Toć ze zbójowania! - uznała sąsiadka. - Jo, pani.

Potem nasza gospodyni powiedziała jeszcze, że zdawało jej się, że jednemu z drugim leci z gęby czarna krew gruźlicza, po brodzie i brzuchu, na buty. Kiedy uchyliła szerzej okno, okazało się - bo usłyszała - że to były złe, ohydne słowa, diabelskie przekleństwa, dużo gorsze niż ta smoła i straszniejsze niż choroba.

Zrobiło się jakoś nieswojo. Okropnie. M poszedł do lasu.

*

Pani Kosakowa miała rację. Pochrzaniła się pogoda. Na szczęście nie czuło się w kościach wzbierania piorunów.

W poniedziałek mój przyjaciel przeprowadzał próby aparatu. Przebiegały dobrze i obiecująco. Cała instalacja była już na miejscu, tam, na Wzgórzu 271, maskowana sprytnie na noc, rozkładana na czas testów.

Następnego dnia w południe zyskał pewność, że można startować, czyli uruchomić urządzenie i przekonać się, czy działa. Właśnie wtedy, kiedy doszedł do takiego przekonania, dostał w ciemię syderytem. Tym razem usłyszał: „Zostawmy to wszystko. Jest dobrze. Żeglujemy jak modrzewie.”

Jak miał na to odpowiedzieć? Usiadł w swoim ulubionym miejscu i zagapił się na pradolinę. Leżałem opodal, więc komary wybierały raczej mój aromat, a nie jego. M udawał, że nie widzi psa i

koniec, choć chętnie korzystał z ochrony przed świnią. Nasza bliskość była nielegalna. Państwo wiedzą, że nie miałem prawa ani leżeć, ani siedzieć, ani biegać na obszarach nadleśnictwa. I dlatego obaj przyjęliśmy, że mnie nie ma, przyjęliśmy tak po polsku, czyli z lekkim przymrużeniem oka i dystansem do rzeczywistości i kodeksów.

Ktoś zaraz zapyta: Czy pies może zachowywać się po polsku, koreańsku lub hiszpańsku? Natychmiast odpowiem. Tak, jeżeli wiernie naśladuje swego pana, przyjaciela, przewodnika, obojętnie jak go nazwać.

Na przykład owczarek niemiecki z Radomia może zachowywać się odmiennie od swego krewniaka z

Hamburga, w zależności od ludzkiego charakteru, jakim przesiąkł. Jeden z nich pobiegnie - tak jak ja - do lasu, drugi raczej pozostanie w domu, zgodnie z obowiązującym i ogólnie szanowanym prawem.

Co do mnie, to jasne, że naśladowałem i wciąż naśladowuję M - szczególnie w gadce - już mówiłem o tym kiedyś, wszakże nie spodziewam się, by ktoś pamiętał; ludzie mają dużo innych ważnych spraw na głowie.

Przepraszam za wtręty. Powracam na Wzgórze 271.

M już zbierał się na obiad, kiedy ujrzał Martę Bernatowicz. Widział ją w trzech różnych kadrach między choinami i bukami (mniejsza o numery boczne drzew, naprawdę). Znajdowała się w podrzędnej restauracji w Amsterdamie, w szczecińskim mieszkaniu i

w jakimś zaułku w Krakowie. W każdym z owych miejsc i sytuacji wydawała się cokolwiek młodsza od tej, jaką mój przyjaciel znał z Nowego Jaru. Odmieniało ją poza tym to, że miała krótkie włosy, a najbardziej fakt, że wyglądała nader kiepsko.

Działy się z nią rzeczy bardzo przykre. M widywał ją w podobnych scenach dużo wcześniej, nawet jeszcze przed sobotą przymusowych szczepień. Kilka, może nawet kilkanaście razy chciał spytać dziewczynę o wszystko, czego bywał mimowolnym świadkiem, ale brakowało mu śmiałości.

W szczecińskim mieszkaniu z Martą działy się nie tyle rzeczy przykre, ile straszne. Odrzucając autonomię odrębnego czasu i przestrzeni, M po prostu rzucił się pomiędzy drzewa, pod którymi trwała jatka.

Wylądował idealnie w miejscu zdarzeń, tyle że nikogo tam nie znalazł. Znalazł tylko mokrą zieleni. Stał

Zupełnie zagubiony i bezradny.

Właśnie wtedy przyszła pomoc.

Na początku wydawało się, że będzie jeszcze gorzej, bo w pobliżu grabu 126.577 wybrzuszyła się niespodziewanie ziemia. Mech i jagodniki wypiętrzyły się na metr pięćdziesiąt i poszycie cicho pękło, rozjechało się jak wata, a z zieleni wywindował się wysoko - nie wiem, jak to ująć - chyba komin, raczej wieża z peryskopem i antenką. Mówię, na początku można było się przestraszyć. Po sekundzie odczuliśmy ulgę. Ktoś otworzył klapę w szczycie wieży i ukazał się oficer, elegancki, wyświeżony, w ładnej czapce. Wystawał do pasa.

Rozglądał się bacznie, wreszcie dostrzegł M i rzucił:

- Melduję uprzejmie, wróciły!
- Przepraszam?
- Panny Marta i Monika Bernatowiczówny.
- Rozumiem. Dziękuję.
- Przy okazji spytam, którą do Gdańska, Sobótki 16?
- Tamtędy - M pokazał mu kierunek. - To jest łódź podwodna?
- Nie. Melduję, że podziemna.
- Rozumiem. Dziękuję.
- Ja również. Pan pozwoli, że przejdziemy do pełnego zanurzenia.

- Naturalnie. Bardzo proszę.

- Do widzenia.

- Do widzenia. Dobrej drogi.

Oficer dał znak marynarzom ukrytym w kadłubie i zasalutował sublokatorowi pani Stanisławy Kosakowej, a ten grzecznie się odklonił. Oto, czym jest dobre wychowanie, dyscyplina i maniery. Nawet leśna dzicz umiała to docenić.

Okręt zniknął pod jagodnikami.

M nie czekał ani chwili. Ruszył w dół naszego wzgórza, a ja za nim. Kuśtykając na dwie czwarte, pędził w stronę leśniczówki.

Okazało się, że słowo oficera marynarki jest tak samo godne zaufania jak słowo Zawiszy. Na żwirze przed gankiem stał czerwony passat kombi, rocznik 84, a z domu dochodził zachwycony głos jamnika.

Dziewczyny już były na miejscu, na pewno.

Mój przyjaciel nie chciał ryzykować następnej rozmowy z leśniczym, dlatego poprosił o pomoc.

Spojrzeniem. Przyjąłem tę prośbę jak ważne zadanie. Rozwiązanie należało do mnie. Przedostałem się za płot ogrodu, znalazłem Egona i skłoniłem go do truchtu - dla zdrowia grubasa. Biegaliśmy blisko domu, ptaszory skrzeczały, aż wreszcie ktoś wyjrzał. W oknie zobaczyłem leśną Martę. Zatrzymałem się i bez szczekania powiedziałem jej ogonem, grzbietem, mordą i tak dalej, że jest sprawa. Zrozumiała.

M czekał w leszczynach, w pobliżu jeziora.

Przywitali się serdecznie, ale to nie znaczy, że dziewczyna padła mu w ramiona. Tymczasem M zamarł w zachwycie. Dlaczego? Dlatego że odniósł wrażenie, realne, iż zamiast po prostu powiedzieć dzień dobry, dzień dobry, oni przytulili się do siebie, właściwie z rozpędu czy jakoś inaczej, i że piękna Marta

Bernatowicz przyłgnęła do niego tak mocno, jak to tylko jest możliwe. Czuł jej brzuch i piersi, nawet biodra, czuł całą przy sobie tak blisko, że obrazy, jakie widział wcześniej w lesie, przestały się liczyć, nawet obraz pana P. Wyżykowskiego gładzącego ją po twarzy.

- Ty się dzisiaj dobrze czujesz? - Marta rzeczywiście stała przed nim, ale dużo dalej niż na dotyk.

M pozbierał się, przeprosił i zapytał z niepokojem:

-1 jak?

Domyśliła się, że chodzi o Monikę.

- Na razie żyjemy.
- Naprawdę?!
- Naprawdę.
- Czyli koniec? Koniec tej gehenny?
- Nie, ciągle początek.
- To co się zdarzyło dobrego? Opowiedz.
- Nie teraz. Muszę jak najprędzej wracać.
- Spotkamy się dzisiaj?
- Zapytam Monikę, czy da radę po podróży.
- A jak będzie mogła?
- To wieczorem. Tylko gdzie?
- Na Wzgórzu 271. Sprawdź na mapie. Jeśli twoja siostra powie,

że to za daleko...

- A daleko?
- Nie za bardzo.
- No to spróbujemy. Koło ósmej.
- Koło ósmej.
- Cieszę się, że już wróciłam... - uśmiechnęła się, dotknęła jego

ręki, potem odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu.

M coś jakby lewitował. To nie jest normalne, bezpieczne, więc wolałem go asekurować.

;

*

Dotarły na wzgórze o 20:19. Obie z miejsca mnie wytarłosiły. Wiem, że ludzie nie za bardzo lubią zapach przemoczonej deszczem

sierści, więc tym bardziej doceniałem takie bezpośrednie powitanie.

Nie padało, ale nadal było mokro. Mój przyjaciel przygotował wcześniej szałas pod długimi gałęziami świerka. Szałas nie należał do najdoskonalszych osiągnięć ludzkości, mimo to wydawał się przytulny i było gdzie usiąść na suchym. Zresztą mnie tam się podobał. Bernatowiczównom także.

Monikę wyraźnie zmęczyło podejście pod górkę. Wytrąbiła pół butelki wody mineralnej i odpoczywała, ciesząc się szałasem. Stanowczo nie chciała, żeby gadać o szpitalu. Marta okazała jej siostrzaną solidarność. M naciskał, podpytywał, lecz nic z tego - żadnych informacji ani zwierzeń - aż zrobiło mu się trochę przykro. Nie mógł pojąć, czemu nie chcą mu przekazać ani słowem, ani gestem tego, co jest najważniejsze, tylko nalegają na natychmiastowy seans w iluzjonie zwariowanych filmów.

Poddał się i zaproponował trzy świeże załączki arcydzieł ekranu: a) o ulewie w Iławie, tak gęstej, że pomiędzy obywatelami pływa ryba i można ją łapać bez żadnych uprawnień; b) o Janie Sawickim prowadzącym stado młodych samic i o zwarciu z Grabarczykiem próbującym wejść na jego terytorium; c) o odlotach bocianów, ścierniskach i dymach, i o dziecku z placem w buzi i z glutem do kolan.

Śmiechu było nie za wiele, tak akurat. Potem obie Bernatowiczówny naciągnęły M na ulubioną grę

Moniki, tę w tworzenie wspólnych opowieści. On nie miał do tego melodii, one oczywiście to wyczuły, no i zaraz im się odwiedziało.

- Zaczekajcie - rzucił i zostawił je w szalasię.

Słyszały, zdziwione, jak dzwoni żelastwem i szeleści gałęziami.

Po siedmiu minutach zawołał:

- Gotowe!

Dziewczyny wypełzły na zewnątrz i ujrzały urządzenie, które wyglądało jak przedpotopowa radiostacja albo radar z czasów bitwy pod Grunwaldem. Zmontowane było w głównej mierze z narzędzi kowalskich i sztuców połączonych drutem i klamrami. Cała ta aparatura nie prezentowała się aż tak wspaniale jak

Pałac Jesienny Juliana Bociana, wszakże mogła fascynować, zwłaszcza znawców. Siostry jakoś nie umiały się zachwycić.

- To przekaźnik stroikowy - zdradził sublokator pani Kosakowej.

Monika i Marta kiwnęły głowami, chociaż nie za bardzo rozumiały, co chodzi. Za to państwo już od dawna orientują się, że mój przyjaciel stworzył instalację do, cytuję, „transferu harmonii z jej niewyczerpanego najdoskonalszego źródła wprost do pokasującego lasu”. Czyli chciał podłączyć się do góry. Chciał, by niebo wyregulowało całościowo rytm, wysokość tonów, interwały i w ogóle brzmienie skrawka Ziemi, tego między miastem pływającym na jeziorach a miastem z katedrą.

Wyraźnie podkreślam, nie chodziło mu o całą Ziemię, aż takich ambicji M nie miał. Chodziło mu tylko o lasy. Zresztą nic innego poza nimi nie udałoby się stroić w taki sposób. Wszystko inne posypało się już tak dalece, że straciło wszelką zdolność powracania do błogosławionego ładu, no może z wyjątkiem gór, pustyń, niektórych

akwenów i pewnych budowli (takich raczej sprzed stuleci). A las nadal bywał miejscem a zarazem instrumentem wielkiej ciszy, nawet jeśli stale go raniono, rozkrawano, zaplutowano i niszczone.

Mniej więcej to właśnie M wyjaśnił obu Bernatowiczównom, przy czym prawie się nie jąkał. Mówiąc, robił mądre miny, zwłaszcza kiedy powoływał się na pitagorejczyków, Augustyna i Keplera. Użył także niecodziennych słów harmonia mundi, słów o woni gwiazd w kałużach.

Monika i Marta kiwały głowami, chociaż nadal nie za wiele pojmowały. Najważniejsze jednak, że nie dały dyla w gęstą zieleń. Większość ludzi by uciekła. Mam rację czy nie mam? Proszę sobie wyobrazić, że znajomy informuje państwa o tym, że poza zabawą z kozikiem zajmuje się jeszcze przekazem kosmicznych wibracji i synchronizacją rytmów ciał niebieskich z ciałami leśnymi. Zostajecie z nim czy uciekacie?

A dziewczyny nie wrzeszczały wniebogłosy i wytrwały przy szalasiu, już mówiłem. Czyli zachowały się jak wtedy, gdy M wyznał im, że stroi drzewa. Co sprawiło, że tak właśnie postąpiły? Czy zdecydowała o tym pobłażliwość dla rozbitej dawno temu głowy, kobieca sympatia, zaufanie do wariata czy uspokajające podejrzenie, że to wszystko, o czym opowiada, jest tylko kolejnym programem iluzjonu zwariowanych filmów? Nie chcę się narzucać z odpowiedzią.

Tymczasem M odkrył ostatni, schowany pod liśćmi, element maszyny.

- Czekałem z tym na was - oznajmił.

- Z czym?

- Z uruchomieniem przełącznika. Potrzebna jest spora energia.

- Musimy czymś kręcić?

- Żadnego kręcenia. Uważam, że proces indukcji i synchronizacji dołu z górą inicjuje się pragnieniem - użył właśnie takich słów, naprawdę. - Energia pragnienia może nawet dźwigać samoloty - M wydawał się przejęty wielką chwilą. - Spróbujemy?

Dziewczyny spojrzały po sobie i Marta szepnęła:

- W porządku.

Mój przyjaciel sprawdził połączenia w induktorze i przewody biegnące od niego na zewnątrz, do najbliższych drzew i krzaków. Trzeba państwu wiedzieć, że te drzewa łączyły się dalej z innymi za pomocą sieci korzeniowej, dotyku gałęzi i cieni, aż po krańce starojarskich lasów.

Wszystko wydawało się w porządku. M ukucnął przy aparaturze i rozpoczął ustawianie anten. Musiał dostosować kąty nachylenia do pozycji Ziemi względem Słońca. Antenami były łyżki i widelce (czerpały z tej funkcji niebywałą satysfakcję) wspomagane przez dziurawą miskę z blachy.

- Uwaga, gotowość! - zakomenderował mój przyjaciel.

Bernatowiczównom udzieliło się napięcie.

- Start! - zawołał M i spojrzał w górę.

Nie świeciła żadna gwiazda. To znaczy świeciła najbliższa i właśnie dlatego, choć minęła już 21:04, nadal było dosyć widno, jak to w czerwcu. Zresztą nawet gdyby było ciemno, widok zasłaniałyby

nam chmury.

Mimo wszystko sublokator pani Kosakowej mocno wierzył, że kosmos istnieje, nie zniknął do końca i ciała niebieskie wciąż krążą i grają.

Dziewczyny, posłusznie, pragnęły. A to wcale nie jest łatwo pragnąć czegoś tak na zawołanie. Robiły, co mogły, aż zaczerwieniły się na twarzach, jakby próbowały wstrzymać chichot, odkręcić pokrywkę słoika czy coś tam. Staralem się pomóc, dlatego machałem ogonem. M rozglądał się i nasłuchiwał.

Mijały sekundy.

Mijały minuty.

Las szumiał jak zwykle, nie trzęsła się ziemia, tu i ówdzie coś gwizdnęło, przefrunęło. Nie zdarzyło się nic więcej ponad to, co zdarza się po deszczu w letni wieczór. Czekaliśmy. Bezskutecznie. Mój przyjaciel kucnął przy antenach, majdrował coś przy nich, a potem ponownie posprawdzał przewody.

- W czasie testów było nieźle - wystękał przez ramię.

Dziewczyny kiwnęły głowami.

Napięliśmy się raz jeszcze.

Mijały sekundy.

Mijały minuty.

Zrobiło się, nie wiem, zrobiło się głupio.

M wstydził się spojrzeć w kierunku Moniki i Marty. Przeprosił i odszedł. Znowu miał czternaście lat, nie więcej. Chciał schować się w norze, powiedzmy borsuka, dlatego pokulał w kierunku szałas.

Drogę zastąpiła mu Monika. W jej oddechu nie brzmiała ani jedna nuta drwiny. Trąciła go w ramię.

Odważył się spojrzeć na małą. Wtedy zdjęła z głowy chustkę. Była już 21:17, a do tego chmury kradły światło, jednak M bez trudu dostrzegł, że dziewczynie odrastają włosy, że są już nad podziw długie, dosyć gęste, lekko błyszczą. Zauważył też, że mała ma na twarzy parę łez jak echo deszczu.

Sublokator pani Kosakowej milczał. Po prostu przesuwał palcami po głowie Moniki. I tyle.

Zbliżyła się Marta.

- Od kiedy? - ośmielił się spytać.

- W sumie... jakoś od niedawna.

Nie musiała mówić mu niczego więcej, choćby tego, że Monika nie dostała trzeciej chemii, a to pierdzielone świństwo w środku czaszki nie urosło nawet o milimetr ani nie rozsiało się gdzie indziej. Sam to słyszał. Docierał do niego rezonans, podźwięk ciała młodszej Bernatowiczówny, wcale nie tak nadzwyczajny, w istocie dość marny, przygaszony nadal cieniem śmierci, obolały, niespokojny, opuchnięty, lecz wreszcie z uchwytnym, wyraźnie obecnym akordem nadziei.

Za ten trójdzwięk M był gotów bez wahania oddać ton z bakelitowego telefonu i całą muzykę wszechświata.

*

Kilkanaście dalszych dni miesiąca czerwca M przeżył w radości i wstydzie. Cieszył się z błogosławionej zmiany w n a s t r o j u Moniki, był szczęśliwy z każdej chwili przeżywanej razem z Martą, a

zarazem czuł rozczarowanie niewypałem z przekaźnikiem stroikowym.

I tak właśnie, w uczuciowym rozdwojeniu, otrzepywał się z porannych niepokojów, jadał barszcz i jajecznicę, pogadywał z gospodynią i sąsiadką H. Skórową, pomagał przy domu, parę razy kupił chleb i coś do chleba, wypożyczał książki w bibliotece Reny Osowickiej i ze zbioru księdza Antoniego, ćwiczył pamięć i wymowę, wieczorami słuchał radia, wpatrywał się w obraz z Ostatnią Wieczernią, a po przebudzeniu w świerk za oknem.

Czasem był trafiany przez meteoryty, te filmowe i te mniejsze, na przykład przez taki idiotyzm: „A idź, babo! Tylko zostaw mi kapuśniak”. Zdarzyło się także, że puścił karnego (tym razem dziewczyny z zydlungów też grały, więc skończyło się na kłótni) i wziął udział w negocjacjach z krzyżackim komturem jako ekspert strony polskiej i litewskiej, a pewnej soboty spotkał pana od krawatów i ten mu powiedział, że zaczyna myśleć przebranżowieniu („Możliwości są ogromne, kto nie wykorzysta swojej szansy, przegra życie”).

Co poza tym? Bywało, że widział coś między drzewami, no, na przykład żółwia z karabinem maszynowym na pancerzu albo przedwojennych kłusowników wieszających leśniczego, też przedwojennego. W Boże

Ciało szedł w procesji, tak jak niegdyś na Okęciu, kiedy hałasował ministranckim dzwonkiem. Potem nadział się na W. Sawczyna, A. Rehlicha oraz kilku innych panów w garniturach z

elastilu i w sandałach, niebywale zaaferowanych i poważnych (oni jego nie spostrzegli). Niby nic, a ogarnęły M przeczucia, bardzo marne. I może dlatego dostał rozwolnienia gorączki. Pani Stanisława Kosakowa kurowała go nalewką na orzechach, więc choroba prędko ustąpiła. Ustąpiła, bo musiała - odór spirytusu jest morderczy. Doskonale wiem, co mówię, węch mam lepszy od każdego z tych, co chcieliby się spierać.

A kiedyś wieczorem M zamknął w lodowie łakomego szpaka gospodyni. Zupełnie niechęć. Był akurat bardzo zamyślony, a durne stworzenie wskoczyło do środka, na szaber. Na szczęście po sześciu minutach i pięciu sekundach jeszcze raz otworzył Grubą Bertę. Na półce z twarogiem zobaczył ptaszora ze szronem na piórach i smarkiem u dzioba. Przy okazji zdradzę zainteresowanym, że domownik pani Kosakowej wcale nie chciał zwiewać z domu i mogliśmy mieć otwarte okna. Owszem, wyskakiwał sobie na parapet, nawet dalej, ale zawsze wracał na lodówkę. Nadal miał awarię usterzenia i gdzie byłoby mu lepiej jak nie u nas.

I co jeszcze? Mój przyjaciel trwał w podróży. Chociaż nie przekraczał granic lasu, pól i pastwisk w pradolinie rzeki Wisły, ta peregrynacja wydawała mu się wielka, jeszcze większa od lotniczych wypraw do Paryża, Waszyngtonu lub Las Vegas. Trwał w podróży i pracował.

W wybranych oddziałach - głównie: 164,167,209 i 198 - stroił zieleń scyzorykiem, a raz musiał coś rozstroić, tak konkretnie - to był traktor H. Szlagonia, który zmasakrował wcześniej pięć tysięcy

leśnych istnień (Szlagoń potem musiał go naprawiać przez trzy dni czy nawet dłużej). Przemieszczając się pomiędzy oddziałami, M rozmyślał i wspominał. Myślał na głos, żeby słyszał. Wiedział, że mu stale towarzyszę, jestem blisko, w cieniu świerków albo leszczyn (nie podaję numeracji, bo to było wiele różnych egzemplarzy, które rosły w różnych miejscach).

Naturalnie sublokator pani Kosakowej uczestniczył pilnie w konwen-tyklach. Monika i Marta kucwały ze śmiechu, jak trzeba, a szczególnie, kiedy po raz szósty opowiadał o przygodach w Ameryce, jakie przeżył jako nastolatek. Oprócz tego, tak jak zwykle, streszczał im obrazy z iluzjonu głupich filmów. Kiedy te obrazy były marne, Bernatowiczówny nie kucwały, ale jednocześnie czuły się zobowiązane do przekazywania słów lub gestów pocieszenia („Interesujące, fajne, fajne”).

Dość często milczeli. Z Moniką i dla niej. W takich chwilach M ukradkiem popatrywał na dziewczyny, jakby pragnął się nacieszyć ich istnieniem, a zarazem wniknąć w przestrzeń niewypowiedzianą i zakrytą.

Zdawał sobie sprawę z tego, że prawie ich nie zna. Co w ogóle o nich wiedział? Gównno z makiem, jak mawiała pani Kosakowa, kiedy bardzo się denerwowała.

Tak, leżał w szpitalu dość długo, ale nigdy nie usłyszał tam wyroku rzuconego w biegu, w korytarzu, tak strasznego, że wszystko dokoła zapada się w nicość. Nie wiercili mu dziur w czaszce, nie grzebali nożem w mózgu, nie palili mu kobaltem ciała, nie wlewali w

żyły chemii, nie utracił całkowicie mowy, nie umierał z bólu nie do uśmierzenia, nie do wyrażenia żadnym słowem, nawet wyciem. Nie osuwał się w potworną beznadzieję po kolejnych złych wynikach, nie modlił się co dzień o koniec (nawet wtedy, kiedy siedział na parterze pałacu Juliana Bociana) i nie pytał Pana Boga, dlaczego tak strasznie, bezwzględnie uderzył. M nie musiał zmagać się ze świadomością, że nie zdarzy się już żaden cud, bo cudów nie ma, a jeżeli nawet są, to doświadczają ich wyłącznie inni - jacyś lepsi i wybrani. Nie pisał nocami do siostry i ojca, że już się pogodził, że powinni cieszyć się, gdy zdechnie, i nie musiał potem drzeć tych listów o trzeciej nad ranem.

Nie potrafił również wyobrazić sobie ukrytego świata Marty, nie tylko wydarzeń z jej tajemniczego czasu w miastach, ale przede wszystkim z czasu po powrocie do Starego Jaru. Co mógł wiedzieć o jej strachu?

Co o gniewie, bezradności, czuwaniu nocami i dniami, o ścieraniu krwi i czarnych rzygów, przyglądaniu się, jak wykończone, udręczone ciało chorej trzyma się kurczowo życia, mimo że marudzi coś o śmierci?

Wyobrażał sobie gówno z makiem. Nawet nie śmiał wyobrazić sobie więcej. Zamiast snuć fantasmagorie, starał się po prostu, tak jak umiał, dawać obu siostram to, o co go prosiła kiedyś Marta - chwile z błaznem.

Dodatkowo chciał im ofiarować cały las idealnego brzmienia. Był zupełnie przekonany o tym, że akord nadziei pulsujący w żyłach

małej Bern-towiczówny zrodził się po części z wielkiej ciszy. I był pewien, że ta cisza, która wcale nie jest brakiem dźwięku, będzie skuteczniejsza i mocniejsza, jeżeli obejmie obszary ich puszczy aż po jej najdalsze krańce.

Tego dnia - w sobotę - późnym popołudniem, kiedy wrócił z dodatkowej rundy majdrowania scyzorykiem przy bukach rosnących niedaleko Wzgórza 271, na podwórku zauważył rower, stary składak. Rower stał oparty o frontową ścianę domu. Merdałem ogonem z radości jak wściekły. M dostał wypieków. W kuchni zastał panią Kosakową w towarzystwie Marty Bernatowicz.

Gospodyni prowadziła krótki kurs warzenia kieleckiego barszczu. Sublokator usiadł z boku, ja zostałem w sieni pod wieszakiem, szpak też się nie wtrącał, ale nasze eleganckie gesty nie zostały docenione. Panie nas ignorowały tak dalece, że nie miało to znaczenia, czy milczymy, czy wrzeszczymy, harcujemy w kuchni, czy leżymy. Marta bardzo pilnie notowała każde słowo pani Kosakowej, o wszystko pytała, próbowała i wahała.

W trakcie finałowej degustacji barszczu - z mojej osobistej porcji, która pozostała z puli obiadowej - gospodyni przypomniała sobie o zegarze:

- Która to jest? Jużci późno!

Podreptała w dyrdy do pokoju, tam wyładowała się w minutę dziesięć, złapała portfelik, pożegnała się od drzwi wyjściowych, przechwyciła z rąk sublokatora czarną damkę, którą ten już zdążył wyprowadzić na podwórko, i pognęła do Starego Jaru, na czerwcowe.

M wrócił do kuchni. Marta stała przy emaliowanym zlewie i zmywała po szaleństwach kulinarnych.

Oczywiście była piękna, o wiele piękniejsza od dyplomowanej pielęgniarki Anny Wilkosz. O niebo fajniejsza. W dodatku zgrabniejsza nawet od sąsiadki Danielewskiej.

Stała bokiem do mojego przyjaciela, ubrana w sukienkę czy może w spódnicę (zawsze gubiliśmy się w sekretach damskiej szafy), bardzo krótką i odsłaniającą fantastyczne nogi. Ludziska z zydługów musieli już gadać, jako że te odsłonięte nogi przyjechały na rowerze.

- Głosiłeś peany na cześć barszczu na zakwasie - rzuciła przez ramię - więc postanowiłam w końcu sprawdzić, czy umiałabym go ugotować. A poza tym dzisiaj pomyślałam... - mówiła coś dalej, coś, co mój przyjaciel ledwie chwycił.

Właściwie w ogóle nie słyszał. Wydawało mu się nawet, że Marta zupełnie umilkła. To wszystko dlatego, że M znalazł się we własnej głowie. Odtąd widział rzeczy wielkie i doświadczał oszałamiających.

Najpierw dotknął ramion Bernatowiczówny, potem oparł dłonie na jej biodrach i położył albo raczej wtulił czoło w bark dziewczyny. Stali tak przez siedemnaście sekund, aż do chwili, kiedy ona odwróciła się powoli.

M nie cofnął dłoni z bioder Marty, więc tak trochę wyglądało, jak gdyby tańczyli, przy czym ona miała uniesione lekko ręce, nadal mokre. Zatrzymała się w obrocie, gdy poczuła jego twarz przy swojej.

Oto jakie sytuacje wydarzają się niektórym przy zmywaniu. Inni

przeżywają to, co najważniejsze, na gondoli na Canale Grandę albo nad Zatoką Meksykańską. Tymczasem ci dwoje stali między zlewem a westfalką. W dodatku tym innym przyśpiewuje w ważnych chwilach słowik albo Francis A. Sinatra, oni zaś musieli znosić gwizdy szpaka i wrzaski sąsiada K. Knaffla, który znowu darł się na dzieciaki. Czy można się dziwić, że uciekli z tego miejsca?

Przemknęli tuż przy mnie, a potem wchodzili po schodach, drewnianych, prowadzących na poddasze, tych, co zimą zawiewane były śniegiem. Zatrzymali się w pół drogi. Przez otwarte okno na pięterku nie wpadały więcej żadne wrzaski, tylko czerwiec z ciepłem lasów. M czuł się jak wtedy, w leszczynach, w pobliżu jeziora.

Marta stała stopień wyżej, z tym że M unosił się w powietrzu parę centymetrów ponad schodkiem. Już zdarzało mu się lewitować - w lecie 1970 roku, w hali portu lotniczego. Teraz lewitował jeszcze śmieiej.

Tulił i całował Martę, delikatnie, pamiętając, żeby jej nie pokłuć ostrą brodą. Czerwiec wlewał się przez okno, pocałunki smakowały czymś sosnowym i samolotowym, i tak mogło trwać bez końca, gdyby M nie wylądował nagle na swym stopniu kilkanaście centymetrów niżej od M. Bernatowiczówny. Mówiąc prawdę, znowu stał w pobliżu zlewu, a Marta kończyła zmywanie.

To wszystko dlatego, że wyleciał z własnej głowy.

Nic nie dzieje się zupełnie bez przyczyny, a przyczyną było to, że przez boczną ścianę czaszki M przebiły się dwa słowa, jak meteoryty, i dotarły aż do odpowiedniej strefy mózgu. Brzmiały niby

neutralnie - „Paweł Wyżykowski” - ale wywołały ostry alarm.

- Macie gości^ - wymamrotał mój przyjaciel.

- Nie słuchałeś? Dwa razy mówiłam, że przyjechał wczoraj, koło ósmej.

No i rozgadała się o tamtym panu. Trajkotała, że ich gość jest mądry, dzielny, a ze swoją sprawą w gminie ma kłopoty i zaczyna się domyślać, że z tych interesów nic nie będzie. Po prostu tu, w Polsce wciąż rządzą łapówki i starzy esbecy. Aż żal jest człowieka, jego dobrej woli i naiwnych marzeń emigranta. Poza tym okazał im tyle pomocy. I wciąż okazuje. Tak więc chciałyby go poczęstować czymś, co mu przypomni, że polskie nie znaczy wyłącznie paskudne i gorzkie.

Powiedziała o tym wszystkim, a potem musiała już wracać do domu.

M pomyślał sobie, że sukienka Bernatowiczówny (czy może spódnica?) na pewno nie była wybrana dla niego. I zrobiło mu się przykro. Niepotrzebnie! Nikt z nas nie jest pępkiem świata, żaden pies i żaden człowiek.

*

Zasypiał i budził się z Martą. Ale wolałyby widywać ją na jawie. Niestety, dziewczyna musiała zajmować się gościem, a co najważniejsze, Monika poczuła się gorzej. Tak więc nie odbyły się dwa zaplanowane wcześniej konwentykle. M z lekka wariował.

Po pracy kuśtykał w stronę leśniczówki z cegły, krył się w otulinie gęstych drzew i obserwował stamtąd dom i ogród. Pragnął

złowić choćby refleks światła z oczu Marty i starał się dojrzeć, czy ktoś gładzi ją po włosach. Nie próbował składać wizyt, bowiem bał się leśniczego, ponadto nie dążył do spotkania z tym z

Uppsali.

Na szczęście nie tylko wariował, ale jednocześnie zawziął się i działał. Chciał pokazać sobie i całemu światu, że też jest coś warty, jest mądry i dzielny, i wcale nie gorszy od prawdziwych mężczyzn z prawem jazdy i pewnością swego ciała. Jeszcze nigdy nie pracował tak sumiennie, intensywnie, wręcz szaleńczo.

Wrócił na wierzchołek Wzgórza 271 i majstrował tam przy aparacie. Postanowił, że spróbuje zmierzyć się ponownie ze strojeniem całościowym. To, co wydarzyło się przy pierwszej próbie przekaźnika czy też co się nie zdarzyło, to nie była jego wina. Tak uznał i koniec. Wytłumaczył sobie, że w kluczowej chwili harmonizowania góry z dołem muszą być na niebie gwiazdy i musi być większe skupienie na Ziemi. Tego wtedy brakowało.

A teraz uwaga. Na specjalną prośbę mego przyjaciela wypełniłem ważną misję. Przedostałem się powtórnie do ogrodu z ptaszorami, znowu pobiegałem za Egonem, by wywabić Martę z leśniczówki, no i przekazałem jej sekretny list bez znaczka. Wykonałem to tak sprytnie, że leśniczy Bernatowicz niczego nie spostrzegł - i dobrze - wiedziałem od dawna, że ma sztucer Mosin wzór 44, kaliber 7,62 x 53R, z lunetą 6 x 42 z podświetlanym krzyżem, celny.

Sublokator pani Kosakowej pytał w liście o Monikę i serdecznie

ją pozdrawiał. Poza tym zapraszał dziewczyny na wzgórze, po zmroku, chociaż na dwadzieścia siedem minut, naturalnie wtedy, kiedy mała będzie czuła się już znacznie lepiej. Na koniec napisał, że prosi o sygnał, czy przyjdą.

Odpowiedź uzyskał dość prędko.

Tego dnia nad lasem i polami stał przejrzysty, suchy upał. M zakończył pracę nieco wcześniej i pokulał w stronę leśniczówki. Nadchodził od strony jeziora. Już z drogi usłyszał zgiełk bitwy, szczególnej, bo to była bitwa morska. Mówiąc nieco precyzyjniej, sławna bitwa na zalewie.

Wszedł na pusty pomost dla wędkarzy. Na wodzie nie ujrzał trzydziestu okrętów elblązan i gdańszczan ani też czterdziestu czterech łajb krzyżackich, tylko dwie prowizoryczne tratwy. Mimo wszystko widok był wspaniały. Na trawie zakonu walczył komtur Łukasz od Osińskich w otoczeniu dwóch Lubińskich i

Martyny. Na pontonie należącym do Związku Pruskiego wojowali Ladachowie: Justyna, Mariuszek i

Przemek. Bitwa polegała na potwornym darciu japy i nękanii przeciwników kopiami z leszczyny. M przyglądał się zmaganiom przez minutę i dwadzieścia dziewięć sekund. Wreszcie stało się dokładnie to, co dzieje się na wojnie. Ktoś został trafiony i wypadł za burtę. Był to ośmioletni Przemek Ladach ze Związku Pruskiego. Zrobiło się cicho, a po chwili bardzo głośno.

Rzuciłem się w wodę, bo nie lubię, jak się topią, nawet koty. M rzucił się za mną. Po trzydziestu trzech sekundach dotarliśmy w

okolice tratwy z Ladachami.

Przemek zniknął.

M zaczął nurkować. Z miejsca zarył głową w mule. Nic dziwnego, było płytko, tak że sublokator pani

Kosakowej mógł normalnie stanąć na dnie, a woda sięgała mu ledwie do piersi. Przystrojony był peruką z zielonych farfocli i głębinowego szlamu. Załogi okrętów aż dusiły się ze śmiechu, a wraz z nimi śmiał się Przemek, który trzymał się spokojnie swojej tratwy.

M się, kurde, trochę zdenerwował, jednak nie powiedział ani słowa.

Bardziej szedł, niż płynął w stronę brzegu. W końcu wygramolił się z jeziora cały w błocie, glonach i ślimakach. Ciężko dyszał. Gdyby nie był tak zmęczony, wskoczyłby z powrotem do bajora, bowiem na poboczu drogi, przy szuwarach, parkowało srebrne volvo.

Koło samochodu stała Marta, ubrana w króciutką sukienkę (czy może spódnicę?). Mój przyjaciel zauważył na jej szyi kilka sznurków drobnych koralików. Była piękna. Najpiękniejsza. Co ciekawe, wcale się nie śmiała, chociaż M wyglądał jak ostatnia nędza.

- Myślałem, że gówniarz się topi... - wycedził.

- Widziałam.

- No właśnie - zdjął z ramienia jakieś świństwo.

- I dlatego się zatrzymaliśmy. To jest Paweł Wyżykowski - spojrzała na pana siedzącego w srebrnym aucie; kierowca pomachał zza kółka. - Wyjeżdża. Odprowadzam go kawałek, do Starego Jaru.

Przy okazji pozałatwiam sprawy we wsi.

- Rozumiem.

- Wszystko dobrze? Dasz radę? - pokazała drogę na osiedle.

- No jasne.

- To lecę.

Nim wsiadła do auta, rzuciła za siebie, dość cicho:

- Może dzisiaj? Przed dziesiątą.

M po prostu skinął głową. Co czuł? Proszę zgadnąć.

Cholerni smarkacze dogonili go przed zydlungami i przekonywali z całej siły, żeby nic nie mówił matkom ani ojcom. Używali przy tym przedwojennych słów: przepraszam, dziękuję i proszę, uznawanych przez badaczy za wymarłe. M się zgodził trzymać język za zębami, pod warunkiem że skubańcy pukną się, gdzie trzeba, i nie będą więcej robić głupich rzeczy na jeziorze, i tak dalej. Państwo wiedzą, co się mówi młodym ludziom w takich chwilach.

Gospodyni trochę się zdziwiła, że wrócił zmoknięty jak kurak i brudny.

- Laboga, chłopaku! - jęknęła. - Co znowu?

- Spociłem się. Upał - uśmiechnął się do niej.

I poszedł się umyć i przebrać.

Potem pomodlili się i zjedli. Było zsiadłe mleko z ziemniakami, ze skwarkami i cebulką. Fantastyczne.

*

Wtarabanił się na wzgórze, kiedy było jeszcze całkiem widno. Podstroił punktowo dwa buki w potrzebie i rozłożył urządzenie. Przed zmierzchem nadeszły dziewczyny. Wyczochrały mnie po grzbiecie, aż

miałem łzy w oczach.

M wydawał się spięty. Oczywiście pytał, co z Moniką (Bogu dzięki, czuła się już znacznie lepiej) i co z Martą (wszystko dobrze). Monika, jak zwykle, spojrzeniem i gestem zapytała M o jego zdrowie. Potem starsza Bernatowiczówna oznajmiła, że ojciec je puścił tak późno, bo to jest szczególna noc, wiadomo.

Wiadomo? Mój kumpel nie wiedział, a nie chciał już prosić o więcej wyjaśnień. Poza tym przypuszczał, że jeśli szczególna, to może dlatego że znowu są razem i że nie ma chmur nad lasem.

Powtórnie przeprosił za przykry niewypał z pierwszą próbą induktora. Powiedział dziewczynom o modyfikacjach wprowadzonych do aparatury - słuchaczki kiwały głowami - i spytał niepewnie, czy pomogą mu raz jeszcze w dziele harmonizowania dołu z górą. Naturalnie wyraziły zgodę, z tym że M miał najpierw im przedstawić parę streszczeń filmów z ich ulubionego iluzjonu.

Dysponował pewną liczbą nowych miniscenariuszy, a wśród nich: a) o kwestii, po co jest właściwie niedźwiedź, po co on tak łązi, je, śpi, gania owce, po co? b) o prezesie Butyrze, który pragnie być kochany, jak kiedyś przez mamę, a więc wykonuje szybkie telefony i już wszystko załatwione; c) o myśliwych w walonkach, polujących na pierzyny i na panie w sutych futrach; d) o zabawie w chowanego, kiedy żona chowa męża, a mąż już nie może.

Czyli miał w zanadrzu to i owo, lecz nawet nie zaczął, nie powiedział ani słowa. Był zanadto podenerwowany i skupiony na czymś innym. Co chwila spozierał na niebo i sprawdzał godzinę.

Monika i

Marta westchnęły. Na szczęście nie cofnęły swojej zgody.

Usiedli pod sosną o numerze bocznym 5.156.271, opodal szalasu. Przedtem M podścielił sobie i dziewczynom coś ciepłego pod wrażliwe dolne partie, by uniknąć niepotrzebnych komplikacji. Wiadomo, przesadzał, przecież było dosyć ciepło, a do tego w miarę sucho. Siedzieli, milczeli. Sublokator spod dwunastki ruszał nogą, tak potrząsał ze zdenerwowania.

Zrobiło się ciemno i na niebo wyszły gwiazdy.

- Możemy? - zapytał.

Gryzł palec jak uczeń.

- Możemy - powiedziała cicho Marta.

Identycznie jak ja pierwszym razem, M ukucnął przy aparaturze i rozpoczął ustawianie anten, czyli łyżek i widelców wspomaganych przez dziurawą miskę z blachy.

- Uwaga, gotowość! Jedziemy! - zawołał.

Powrócił na miejsce pod sosną. Skoncentrował się na swym pragnieniu. Oczywiście panie też robiły, co w ich mocy. Ja, swoim zwyczajem, starałem się pomóc, machając ogonem. Gwiazdy były bardzo srebrne.

Tyle.

Mijały sekundy.

Mijały minuty.

Las szumiał jak zwykle, nie trzęsła się ziemia, tu i ówdzie coś gwizdnęło. Nie zdarzyło się nic więcej ponad to, co zdarza się

wieczorem w puszczy po upalnym dniu bez deszczu.

Jeszcze raz ukucnął przy antenach. Przeglądał żelastwo, gorączkowo, przy latarce, nie chciał się, skubany, poddać, coś mruczał pod nosem, przestawiał widelce i łyżki, aż niechcący stuknął w miskę.

I wtedy te siksy, kretynki, zaczęły się chichrać. Nie umiały dłużej powstrzymywać śmiechu, który je rozsadzał od początku, śmiały się i przepraszały, śmiały się i tłumaczyły, że nie śmieją się z maszyny ani z poważnego konstruktora, że coś je napadało, jakieś lichy, nie wiadomo co w ogóle, i znowu skręcały się, piszcząc. M całkiem zbaraniał.

- No co... głupie baby? - jęknął.

A potem pomału, cal po calu zaczął się osuwać w ten szalony śmiech pod sosną nr 5.156.271. Najpierw niby krzywił się, powtarzał: „zwariowały, zwariowały”, lecz wkrótce sam parsknął jak szkapa. Chociaż noc objęła wszystko w lesie, mój przyjaciel widział coraz jaśniej, widział cały ten idiotyzm zamierzeń i marzeń o strojeniu całościowym za pomocą kieleckiego złomu, groteskowy patos swojej misji, arcyfarsę wielkich starań, obliczeń, konstrukcji, poprawek, i pychę kosmicznych urojeń. Zobaczył to wszystko i zaniósł się śmiechem pierwszy raz od niepamiętnych czasów, no bo wcześniej gadał różne rzeczy podczas leśnych konwentykli, ale sam się przy tym nie śmiał, taki, wiecie, smutny błazen. Mówiąc prawdę, także

Bernatowiczówny dużo częściej uśmiechały się, niż śmiały w iluzjonie zwariowanych filmów.

A teraz po prostu kwiczeli we trójkę jak dziki, tarzali się razem

po mchu i jagodach. Nawet ja się trochę śmiałem, naturalnie po swojemu. Śmieliśmy się wszyscy z tych łyżek, widelców i miski, z nabzdyczenia pana inżyniera, poza tym śmieliśmy się z Marty, z jej wielkich tajemnic i smutków, z milczenia Moniki i ze mnie, popiardującego mędrka. Śmieliśmy się jeszcze z jękania i chorób, szpitali i strachu, i bólu, i śmierci.

Wyliśmy ze śmiechu do utraty tchu, do skrętu kiszek, do niebezpiecznego skurczu w gardle, aż zupełnie opadaliśmy z sił, szczególnie oni, utrudzeni ciężką pracą mięśni, przepony i duszy. Wtuliliśmy się wzajemnie w siebie i leżeli, dysząc niczym kaszaloty. Ktoś parsknął ponownie - raz, drugi i trzeci - lecz śmiech już dogasał na amen.

M leżał na boku i zapatrzył się na gęste świerki.

Na początku myślał, że to, co zobaczył w ciemności, jest po prostu urojeniem. Pomiędzy drzewami

(mniejsza o numery boczne, dajmy temu teraz spokój) stał człowiek, który przypominał bezdomnego, a zarazem króla - samotnego władcę na wygnaniu. Uśmiechał się lekko, być może ten uśmiech był ściszoną echem jego i naszego śmiechu. Mój przyjaciel chciał natychmiast zerwać się i biec do niego, nawet trudno wytłumaczyć po co, ale człowiek podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć - zostań tam, gdzie teraz jesteś.

Wówczas M usłyszał, że las brzmi inaczej. Cały stał się wielką ciszą, taką, jakiej już nie trzeba więcej stroić.

No po prostu wszystko grało, tak jak trzeba, jak w kantatach

organisty z lipskiego kościoła św. Tomasza i w obrotach sfer niebieskich. Różne barwy leśnych głosów - szumy drzew, wołania nocnych ptaków - zlały się w kompletną przezroczystość. Monika i Marta też to chyba usłyszały, bo uniosły się na łokciach i w zdumieniu rozglądały dokoła. Przypadłem do ziemi. Przestałem oddychać, żeby tylko nic nie zepsuć, podobnie jak inne stworzenia podziemne, naziemne, powietrzne i wodne. Tym razem nie podam, ile trwało to, co trwało, bo czas się rozpląnął. Jak kiedyś.

W przestrzeni tej ciszy nikt niczego nie bał się, w ogóle.

Przestały się liczyć pytania, po co, na co i dlaczego (na przykład dlaczego tak boli albo po co łązi się po ziemi). I nikogo nie gnębiło nic aktualnego ani minionego. Mała Bernatowiczówna była całkowicie zdrowa, a wszyscy czuliśmy, że pod wielką czaszą nieba nigdy nie jesteśmy sami.

To skończyło się dokładnie wtedy, kiedy dotarł do nas hałas ognia.

;

Ledwo zjadłem, już zgłodniałem. To wszystko dlatego że przyszła sąsiadka i zeżarła moją porcję. Coś tam niby pozostało na samym dnie garnka, niestety nie tyle, żebym poczuł się szczęśliwy.

Byli tacy, którym gotów byłbym oddać ostatni kęs chleba, barszcz z kielbasą i te rzeczy. Mógłbym dla nich chodzić głodny przez pół roku albo dłużej, ale przecież nie dla H. Skórowej, ciekawskiej i grubej jak beka.

Kuliłem się w sieni i byłem nerwowy. Tymczasem tam, w

kuchni omawiano trudne sprawy.

- Weno wej, kobieto! - wyrzekała H. Skórowa. - Eno raz i by spalili luje cało wioskę! To sze dobrze nie widzało. Szwentojansko noc czy insza, mus dawacz baczenie na ogyń.

- A głupie te ludzie, oj, głupie! - zawołała gospodyni.

Czyli w nocy to nie płonął las, na szczęście. I nie płonął Stary Jar, zydlungi ani żadne z domostw w okolicy, Bogu najwyższemu dzięki.

Nie płonąła też stolica. Mówię o niej, bo w połowie czerwca M zobaczył wielką łunę na południu.

Spostrzegł ją z platformy leśnej wieży, kiedy wlaźł tam po raz trzeci. Był zupełnie przekonany, że to nie jest czerwień słońca, ale że to płonie powstańcza Warszawa. Właściwie ta łuna odbijała się wyłącznie w

Wiśle, jakby rzeka ją przeniosła przez pół kraju i pół wieku. Mój przyjaciel wiedział, że w tym ogniu ginie jego miasto i zostaje tylko popiół, czarne błoto, do którego niepodobna wracać.

- A to eszcze chłopcy sze popjuły! Idźta wy mnie! - H. Skórowa dalej wspominała festyn.

Powiedziała, że najgorszy to ten Sawczyn z tym Rehlichem, ich kamraci także samo. Ordzili, ordzili, wyzywali leśniczego, szymfowali i bluzgali, a na to patrzyły te szurki, co przy nich latały, przyglądały się tym lumpom i słuchały. H. Skórowa była przekonana, że te szurki, jak dorosną, dycht porobią się jak tamci.

- Co te oba takie wściekłe? - zapytała pani Kosakowa. - Co,

szaleju się najadły?

- Uni kombinujco cosz z takemy, które przyjeżdżajo do nich z miasta. I so bez to barzo ważni.

- A co one kombinują?

- Tajne sprawy. No jo, pani, co to tera sze wyrobią! Pierwy tego tak ne było.

- Z bandziorami i bolszewikami jak ze żmiją. Schowa się pod kamień i nikt nie wie, kiedy wyjdzie, znowu dziabnie. Takie cuda.

Gospodyni tłumaczyła, że u nich przed laty było bardzo dużo węży, a najwięcej na wyrębie, gdzie rosły jagody, dorodne - pokazała, jakie duże. Jak żmija ugryzła, okładano nogę albo rękę kwaśnym mlekiem, a dzieci biegały na łąkę po żaby i tymi żabami na dodatek okładano tam, gdzie puchło.

M nie chciał się wgłębiać w problemy związane z Sawczynem, Rehlichem, ich kumplami w gumofilcach i tak dalej. Nie chciał wpuszczać ciemnych typów do swojego kina ważnych filmów i dlatego po obiedzie ruszył jeszcze raz przez leśną furtkę. Miał do przemyślenia i do przemodlenia wiele spraw pilniejszych i ważniejszych od szaleństwa świętojańskich zabaw w Starym Jarze, nade wszystko wielką ciszę, która przeniknęła las ostatniej nocy.

To dumanie przebiegało bardzo dobrze aż do chwili, kiedy wszedł na Wzgórze 271. Wszedł i prawie zwymiotował, w każdym razie usiadł - wprost na ziemi, bez podściółki, jakby nie pamiętał o cewniku.

Wszystko było rozwalone, nawet szałas. Elementy urządzenia

walały się wokół, w promieniu stu metrów, niektóre zniszczone i brzmiały tak strasznie jak pęknięte osie kolejowych cystern. Na dodatek, nasze miejsce splugawiono. Zostało obsrane, dosłownie, i zapaskudzone różnym śmieciem.

Wstał, rozejrzył się raz jeszcze, tak uważnie jak zwiadowca. Nie zobaczył żywej duszy. Potwierdzam, nie było nikogo. Ci dranie odeszli już dawno. Nawet smród ich ciał i ubrań zdążył się ulotnić niemal całkowicie. Został tylko odór tego, co zrobili. Puknąłem M nosem, bo nie chciałem, żeby się zamartwiał.

Chyba nie docenił mego gestu. Nie powiedział do mnie ani słowa. Zasypał odpadki i gówna, potem wziął się do szukania i znoszenia w jedno miejsce fragmentów żelastwa. Pomagałem mu, jak mogłem.

W sumie, co nam pozostało, jak nie ratowanie skarbów z Szopy Wspomnień? Mój przyjaciel wybrał najcenniejsze, żeby je ewakuować w pierwszej kolejności. Resztę schował w nowej skrytce, kilkadziesiąt kroków dalej. Przy okazji zorientował się, że nie ma młotka i siekiery, poza tym brakuje widelców i łyżek. Ukradli?

Rzucili gdzieś w chaszczę? Trzeba było spenetrować obszar wzgórza drugi raz, możliwie bez emocji.

Sublokator pani Kosakowej postanowił zająć się tą sprawą następnego dnia, nie teraz - teraz pragnął wrócić na osiedle i trochę ochłonąć.

Nic do mnie nie mówił, mimo to słyszałem bardzo dobrze hałas pytań w jego głowie: Kto tu był? Kto?

Zabłąkani jagodziarze? Pracownicy leśni? Jakieś wredne srajdki ze wsi, czy może to tamci, przed którymi trzy kwadranse wcześniej umknął z kuchni? No więc kto tu był i dlaczego tak postąpił?

Cały czas go mdliło, a zarazem miał ochotę wrzeszczeć, biegać, szukać drani, skopać im śmierdzące tyłki, walić ich żelazem, gdzie popadnie, i utopić, aż sam się przestraszył tych myśli i uczuć. One czasem są, przychodzą. Lepiej nie udawać, że ich nie ma - tak uważał mój przyjaciel. I dodawał: Byle potem sobie poszły, zanim zdążą się zamienić w coś gorszego.

Zabrał z sobą tyle znalezionych sprzętów, ile tylko zdołał unieść.

Dotarł do posesji pod dwunastką wyjątkowo zmarnowany. Złożył rzeczy w Szopie Wspomnień i usiadł na zydlu kowala, by chwilę odsapnąć. Nadal nie mógł się otrząsnąć z obrzydzenia i wściekłości.

- Ja bardzo przepraszam - usłyszał w półmroku. - Ja przepraszam, że się wtrącam. Owszem, jestem z zagranicy, ale już od dawna pochłaniają mnie miejscowe sprawy - powiedziała emerytowana bomba, to znaczy ta bomba na wodę, w której kiedyś brałem kąpiel - i dlatego chciałam spytać, co się, proszę pana, porobiło?

- Szkoda, proszę pani, gadać - odpowiedział niemal szeptem.

- Pan mi mówi, szkoda gadać... Patrzę na kolegów i na koleżanki, którzy właśnie powrócili, i to samo - absolutna cisza. Co się dzieje?

Rzeczywiście, rzeczy przytargane z góry milczały jak martwe.

Wcześniej, w lesie, też trzymały język za zębami, nie pisnęły ani słowa o szczegółach swoich przeżyć, nie podały żadnych nazwisk, rysopisów ani tropów. Zresztą, trzeba przyznać, M nie pytał.

- Ktoś rozchrzanił urządzenie - wymamrotał z czystej uprzejmości wobec bomby.

- To, nad którym pan pracował najpierw tutaj, w naszej szopie?

- Ano właśnie.

- Czy są ranni?

- Tak. I zaginieni. Będę szukać.

- Dziękuję. W imieniu nas wszystkich. A zamierza pan zrekonstruować instalację?

- Nie wiem. Przede wszystkim, proszę pani, ja nie mam pewności, co sprawiło, że wydarzył nam się cud tej nocy. Przy całym szacunku dla składowych części urządzenia podejrzewam, że to niekoniecznie ono odegrało główną rolę.

- Tak czy owak jednak się udało?!

- Chyba tak... na pewno.

- Fantastycznie! A zatem powinien pan dalej...

- Mówię, nie wiem. Wzgórze 271 jest spalone, czyli zdekonspirowane. Nawet gdybym nadal mocno wierzył w skuteczność strojnika, nie mógłbym go tam odtworzyć.

- To może gdzieś indziej?

- Nie sądzę.

- Więc pan ją poddaje?

- Proszę pani, w żadnym razie! Im bardziej hołota demoluje

organiczną maszynę świata, tym bardziej potrzebni są tacy, którzy ten mechanizm naprawiają.

- Ale zrozumiałam, że pan już nie wierzy w użyteczność induktora.

- To nie znaczy, żebym zrezygnował z działań firmy. Obie siostry Bernatowicz bardzo potrzebują jak najdoskonalej wystrojonej zieleni i reszty. I nie tylko one.

- To co pan zamierza?

- Porzucić kosmiczne ambicje. Zaczynam dochodzić do wniosku, że harmonizowanie całych lasów, może nawet całej Ziemi, odbywa się stale, bez gadania i bez pompy, i bez korzystania z zardzewiałych aparatów. Przecież gdyby tak nie było, to już dawno zatriumfowałby kompletny chaos, ostateczna kakofonia. Jeżeli mam rację, że ktoś nieustannie stroi świat do tonu uniwersum, no to podstawianie żabiej łapy tam, gdzie kują konia, jest absurdem, a w dodatku bezczelnością.

- Taki nietakt wobec zawodowych stroicielei?

- I zarozumiałość. Niebotyczna.

- To co teraz?

- Już mówiłem, ktoś, to znaczy robotnicy terenowi, personel naziemny, powinien naprawiać detale, starać się o małą ciszę. A o wielką trzeba prosić, bo ona jest darem.

- Myśli pan, że mała cisza jest częścią tej wielkiej?

- Mam taką nadzieję.

- I dlatego będzie pan się starać, dbać o poszczególne drzewa?

- Jak dziękuję. Specjalnie w tych miejscach, gdzie spotykam Martę i Monikę.

- To pan już, przepraszam, zorientował się, dlaczego wylądował?

M nie odpowiadał przez trzydzieści dziewięć sekund, czyli długo. Wreszcie mruknął:

- Jak próbuję o tym mówić, to się jąkam - rzeczywiście, zaciął się i nie mógł złapać rytmu zdania. - A skąd pani wie, że to pytanie chodzi za mną od początku, od powrotu?

- Pan gadał do siebie przy pracy.

- Nie do siebie, do Wabiego.

- A niech będzie - bomba odchrząknęła. - Powiem panu, sama miałam wielki kłopot, żeby pojąć, po co mnie zrzucili.

- Nawet pani?

- Oczywiście. Za młodu myślałam, że jestem stworzona, proszę mi wybaczyć, do niszczenia sił i środków. No a wyszło na to, że przez lata byłam wanną i korytem na podwórku.

- Chwała Bogu!

- Jak najbardziej. To najlepsze, co mnie mogło spotkać. A u pana jak z tą sprawą? - nalegała na odpowiedź.

- To znaczy?

- Z pytaniem dlaczego i po co.

- Czasami ucicha, jak głód lub pragnienie.

Sublokator pani Kosakowej okrył rozmówczynię workiem z juty. Było jej niezwykle miło. Jemu też, bo miał wrażenie, że odzyskał

dwuśladami i mało kto chodził. M martwił się trochę, że obleżą go tabuny kleszczy przenoszących boreliozę, jednak nie zamierzał rezygnować z poszukiwań skarbów gospodyni.

Może mi nie uwierzycie, na wzniesieniu, na które wdrapała się droga, natknęliśmy się na pana z krawatami. Siedział sobie na pierdziawie i jadł bułkę z masłem i kielbasą.

- Dzień dobry! - zawołał z daleka i pomachał do nas kubkiem od termosu. - Łyczek kawki?

- Dzień dobry, dziękuję - odpowiedział mój przyjaciel.

- Dziękuję, poproszę, czy dziękuję, innym razem?

- Dziękuję, to drugie. Co pan robi w środku lasu? - spytał M, zapominając schować łyżkę.

- Teraz mam tu śniadaniową przerwę, a w ogóle jadę skrótem do Hajdunów, pewnie trochę wbrew przepisom, ale lubię leśne szlaki.

- W Hajdunach jest wzięcie?

- Na krawaty nie za bardzo. Za to można tam zbudować aauapark, przepiękny!

- A w tej wsi jest tyle wody...?

- Nieważne. Najważniejsza jest idea. I znalazłem świetny lokal - przełknął kęs kanapki - po składzie opału.

- To pięknie.

- Wchodzi pan?

- Dziękuję.

- Dziękuję, tak, wchodzę, czy dziękuję, innym razem?

- Dziękuję, to drugie. Ale życzę panu szczęścia.

Szczeknąłem z zapalem, potwierdzając, że naprawdę go lubimy. Sprzedawca krawatów przestraszył się z lekka - taki odruch listonoszy i handlowców-domokrąźców. Po chwili zrozumiał, co mówię. Chciał mi rzucić resztkę bułki, w końcu jakoś się rozmyślił, pewnie uznał, że to nie wypada.

- A pan już na obiad? - wskazał na dzierżoną przez M łyżkę.

- Nie... To trudno wytłumaczyć.

- Rozumiem, dyskrecja! Nie z każdego interesu zaraz trzeba się spowiadać - właściciel trzykółki porozumiewawczo mrugnął okiem. - Ja też życzę najlepszego.

- Wielkie dzięki! Do widzenia.

Łyżka się szarpnęła tak gwałtownie, że o mało nie zwichnęła M nadgarstka. Pognaliśmy za nią w dół wzniesienia, a potem znów w górę. Słyszeliśmy, jak pierdziawa odjeżdżała ku Hajdunom, by gonić marzenia sprzedawcy krawatów. A my goniliśmy w drugą stronę, dokładnie na północ.

Czy to było takie mądre gnać w poszukiwaniu kilku sztuców, siekiery i młotka, gnać w zupełną niewiadomą? Czy M nie powinien był obawiać się, że nie znajdzie tego, co mu ukradziono, za to wdepnie w kłopot, i to duży?

On zaś martwił się wyłącznie płochliwością leśnych ptaków. Z jednej strony twierdził, że rozumie, czemu uciekają, z drugiej uwierała go okropna przykrość, że nie przysiadają mu na głowie, nie lądują na ramionach (a przecież się brzydził pasożytów w ptasich piórach). Odbierał tę bojaźń jako osąd leśnych stworzeń, coś w rodzaju

orzeczenia: „Nie można ci ufać; ty nie jesteś, kotku, święty Pański, tylko dziwak do kwadratu”.

Przy kilkusetletnim dębie o numerze 0011 łyżka nagle się wygięła w lewo, to znaczy na zachód.

Zaczeliliśmy schodzić krętym, dość głębokim jarem o piaskowych zboczach, właściwie urwiskach, szalowanych korzeniami sosen, wierzb, świerków i buków. Po kilkudziesięciu krokach znaleźliśmy się w szerokiej rynnie, przypominającej kanion wyschłej rzeki. Piach pachniał igliwem, borsukiem i rybą.

Jakże często szwendaliśmy się po lesie od rana do nocy, nie napotykając tam nikogo, a owego dnia, nie wiedzieć czemu, zjawił się przed nami już drugi znajomy, tym razem groźniejszy, w mundurze, ze strzelbą przy biodrze. Jakoś go nie usłyszałem odpowiednio wcześniej, jakimś cudem nie zwietryłem. Absolutnie moja wina.

Leśniczy powoli podnosił dwururkę i celował prosto we mnie. To był ruski Iż-27, kaliber 12, o pionowym ułożeniu luf i parze spustów. Przypuszczałem, że załadowany jest ołowianymi brenekami, czyli do widzenia, piękny świecie...

- Nie! Niech pan nie strzela! - krzyknął M, próbując mnie zasłonić ciałem i trzymaną w dłoni łyżką.

- Uprzedzałem - rzekł spokojnie Bernatowicz, zdejmując nas z celu. - On się odsunie! Ja mówił, pies w lesie - wielka przykrość dla zwierzyny.

A M nadal nie zamierzał mnie wystawić na pewny strzał w czerep. I tak ten, co miał ochraniać, osłaniany był przez tego, którego

miał bronić. Ludzie mówią, że przyjaciół poznaje się w biedzie. Niniejszym potwierdzam.

- Kurde, proszę! - wołał sublokator pani Kosakowej. - Już ostatni raz, już nie będziemy!

Wskazujący palec leśniczego dotknął spustu. M gadał uparcie, jakby chciał słowamicatkać lufy.

- Pan ratuje zdychające ptaki... Psie życie mniej waży, mniej waży od wróbla? A w ogóle... pan przestanie... Co, pies to nie człowiek? - chyba trochę mu się pomerdalo, pewnie ze zdenerwowania.

Bernatowicz patrzył na mojego kumpla z głębokim zdumieniem, zaprawionym kroplą rozbawienia.

Najważniejsze, że opuszczaŁbroń, powoli. Wtedy, prawie jednocześnie, padły dwa ogłuszające strzały i poczułem ogień w tyłku, nie w środku, na zewnątrz.

M rzucił się w piasek i wrzasnął:

- Uciekaj!

Huknął trzeci strzał i pocisk trafił w kamień, dokładnie w tym miejscu, gdzie stałem przed chwilą. A nie było mnie już przy kamieniu, bo zdołałem dopaść do podnóża zbocza. Rozpaczliwie chciałem dostać się na górę, ponieważ nie lubię, jak do mnie strzelają, a strzelano właśnie stamtąd. Młóciłem łapami, lecz skarpa, nie dość że wysoka na sześć metrów i osypująca się pod pazurami, zakrzywiała się na kształt oceanicznej fali, czyli odchylała się do środka jaru, no i odpadałem od niej jak żuk gnojak.

- Odlóż broń! Na ziemię! - ryknął niedźwiedź Bernatowicz, wpatrując się w kogoś stojącego nad urwiskiem.

- Bo co!? Bo tak, cwelu, każesz? - odpalił ten z góry.

- A kto ma skasować szkodnika? - odezwał się inny. - Nie wypełniasz obowiązku, to musimy zrobić to za ciebie!

Nie udało mi się wleźć na zbocze, lecz przynajmniej byłem osłonięty czymś w rodzaju półki lub nawisu, więc hycle warczący nade mną nie mogli mnie sięgnąć ani wzrokiem, ani kulą.

- Nie masz pozwolenia na broń, Rehlich! Odebrane! Sawczyn i Morawski także samo - leśniczy wymierzył do tamtych z nadlufki. - Ja w imieniu prawa mówię, podnieś ręce jeden z drugim i nie ruszaj się, bo strzelam!

Odpowiedzią był upiorny rechot. W jego brzmieniu słyszeliśmy coś dużo gorszego od huków obrzynów.

- No, spróbuj! - wykrzyknął W. Sawczyn.

- Ja trafię na pewno - zapowiedział ojciec Marty.

Niestety, leśniczy miał tylko dwie lufy przeciwko trzem zbrojnym.

- Na pewno to trafisz do grobu - zawołał Morawski. - W mrowisku!

Panowie na górze wystrzelili nową salwą śmiechu.

- Przekonamy się, kto pierwszy? - ostrzegł panów Bernatowicz.

- Nie pierdziel! - odezwał się Rehlich.

Nie tłumaczę pewnych słów na język dżentelmena, bo, niestety, to się nie da. Bardzo proszę o wyrozumiałość.

- Pozwól odejść chłopakowi! - zażądał leśniczy.

M już nie był nastolatkiem, ale czasem tak go traktowano. Wciąż siedział na piasku, bez żadnej podściółki, ryzykując zapalenie ważnych rzeczy, i wciąż trzymał łyżkę w dłoni. Ojciec Marty zdołał zbliżyć się do niego, tak że miał go teraz za plecami.

- Puść tego człowieka!

- Rzuć, ciulu, giwerę! - z furią odparował Rehlich. - A kaleka frajer klęka! I przeprasza, że zapierdział naszą okolicę. Jazda!

Panowie na skarpie znów potwornie się zaśmiali.

Dzieliło mnie od nich ledwie kilkanaście susów - w poziomie, nie w pionie - jako że zdołałem wdrapać się na górę. Nareszcie tam byłem! Przemknąłem się sarnim podejściem, które wyniuchałem w południowym zboczu, niedaleko wlotu do wąwozu.

- Powoli... do tyłu - Bernatowicz syknął do sublokatora pani Kosakowej.

M natychmiast spełnił polecenie. Lepiej byłoby im wskoczyć pod ów nawis, na którym czaili się tamci, lecz leśniczy bał się osaczenia i wołał się cofać, trzymając parcianych snajperów na muszce.

- Nie próbuj uciekać! - strasznym głosem wrzasnął Rehlich. - Powiedziałem, Bernatowicz, kładź boka pod nogi, bo za chwilę cię rozwałę! I ciebie, i jego!

Skoczyłem na tego po lewej. Pozostali odruchowo wystrzelili - Panu Bogu prosto w okno - a ja z W.

Sawczynem zwałem się na dół, do wnętrza wąwozu. Gruby

nieźle się spierniczył. Mnie też zabolalo, ale pozbierałem się w sekundzie. Rwałem zygzakami za leśniczym i sublokatozem pani Kosakowej, którzy skorzystali z zamieszania i zniknęli z oczu kłusowników, za łukiem kanionu. Dołączyłem do nich z pewnym opóźnieniem. Bernatowicz, niby już nie młokos, a pędził jak gepard.

Nie dziwiłem się zausadto, że nikt nas nie gonił. Mogliśmy się odgryźć! Kłusownicy to wiedzieli. Musieli się liczyć z celną strzelbą leśniczego, moimi zębami i niepokojącą łyżką w ręku niepokojącego alochtona. A im samym brakowało jednej trzeciej siły ognia, dogodnej pozycji i przewagi zaskoczenia. Należało też, możliwie prędko, pozbierać Sawczyna, który stracił swoją integralność.

Jasna sprawa, będą gwizdy, ale chciałbym wam powiedzieć, że tym razem - niewątpliwie przez pomyłkę - meteoryt trafił we mnie, a nie w mego przyjaciela. To stało się wtedy, kiedy już zatrzymaliśmy się po biegu. Usłyszałem bardzo głośno i wyraźnie: „Sprzątaczką Borkowska znajduje pod łóżkiem odrąbaną głowę Sarzyńskiego, zagląda do środka i widzi, że denat miał więcej niż jedno marzenie”. Osłabłem.

*

Doszedłem do siebie dopiero w ogrodzie. Dziewczyny przemyły mi skórę i mięso na dupsku rozorane kulą kłusowników, założyły opatrunek, napiły, a na koniec podrapały za uszami, jak to one. M chciał im pomagać, ale był goniony, bo raczej przeszkadzał, poza tym istniała obawa, że zamierza mnie futrować jakimś chwastem. W końcu poddał się i tylko opowiadał.

Opisywał Bernatowiczównom, co zastał na Wzgórzu 271 i co wydarzyło się w wąwozie. Nadal rozgorączkowany, okropnie się jąkał. Nie wspomniał o spięciu z leśniczym i nie rozgadywał się o łyżce, natomiast powiedział - nadzwyczaj wyraźnie - że zrobiłem coś kapitalnego, że jestem prawdziwym obrońcą, komandosem, bohaterem, takie rzeczy, i to było bardzo fajne. Wiadomo, zad bolał, ale znowu czułem się jak w niebie.

- Czyli, Wabi, jeszcze raz dostałeś od tych samych - powiedziała cicho Marta.

- I oni ode mnie - pomyślałem zbyt chępliwie i za karę zad zabolął dużo mocniej.

Na szczęście nie byłem aż w takiej rozsypce jak wtedy, po walce na placu podczas szczepień w Starym

Jarze. Uznałem za szczęście również to, że kula nie została w moim tyłku, czerwiec brzęczał owadami, leżałem na trawie przed szopą z apteką z maściami dla ptaków, Egon szukał czegoś w ziemi, a M, Marta i

Monika znów mogli być razem. Żałowałem tylko, że jamnika zalewała krew z zazdrości i strasznie rozrabiał. Musieli go zamknąć w komórce na drewno.

Winny jestem wyjaśnienie. Po jatkach w piaskowym wąwozie dotarliśmy do doliny z rozlewiskiem

Czarnej Strugi i tam Bernatowicz wsadził nas do swego volkswagena, który stał w pobliżu zamkniętego jazu. Pomimo emocji M potrafił złowić brzmienie tego miejsca, podobne do echa w

cysternie topielców.

Tu strojenie scyzorykiem trwałoby ze trzy miesiące albo dłużej.

M zatkał mi ranę płóciennym kaszkietem, chroniącym go zwykle od słońca i kleszczy, i zapewniał leśniczego, że nie będzie żadnych śladów w środku auta. Bernatowicz machnął ręką, jakby nie dbał o te sprawy.

A teraz uwaga! Gdy przejeżdżaliśmy obok samotnego domu, ukrytego pośród olch nad brzegiem rozlewiska, mojemu kumplowi wyrwała się łyżka i przywarła do drzwi samochodu, właściwie do okna. M zapytał:

- Tam ktoś mieszka?

- To skrytka Rehlicha - wymamrotał ojciec Marty.

Rzeczywiście, za budynkiem parkował polonez zomola. Wyczuwałem stamtąd odór, który został na obsranym Wzgórzu 271 i stał nad wąwozem.

- Taka niby letnia dacza i wędkarska przystań, w istocie melina.

Budynek nad brzegiem zalewu przypominał raczej norę niż mieszkanie człekokształtnych. M bardzo chciał wysiąść, żeby szukać tam siekiery, młotka i rodziny łyżek i widelców, przy czym nie tłumaczył z detalami, o co chodzi, lecz kierowca nie zamierzał zatrzymywać się w odwrocie, tym bardziej że auto mogło zdechnąć w każdej chwili.

Podczas jazdy panowała cisza, jakby to, co się zdarzyło M i leśniczemu kilka minut wcześniej, musiało się chwilę uleżeć w ich kościach.

Ku naszemu zaskoczeniu, ojciec Marty i Moniki przywiózł nas do leśniczówki. Mój przyjaciel poczuł się nieswojo, był nadzwyczaj skrępowany. Owszem, zdawał sobie sprawę z tego, że to ładny gest ze strony gospodarza, wiedział, że jesteśmy gośćmi, nie aresztantami, że dziewczyny chciały nas tu widzieć już od dawna, ale wiedział też, że Bernatowicz nie przepada za nim ani za mną. Po zakłajstrowaniu wyrwy w mojej rufie zebrał się możliwie prędko do powrotu na zydlungu, tymczasem pan domu poprosił, aby został jeszcze przez pięć minut.

Usiedli na ganku. Monika i Marta zniknęły za drzwiami. Leżałem na schodach, a jamnik rozpaczał w niedoli i nędzy. Jak to dobrze, że tym razem nikt nie przyłazł, nie zawracał głowy żadną sprawą, urzędową czy prywatną, i nie zmuszał mnie do interwencji.

- Dzielne psisko - rzekł leśniczy, spoglądając w moją stronę. - Nie zamierzał jego ukatrupić, a postraszyć, pan rozumiesz. Ja nie chodził tam za wami, tylko za tamtymi, i dlatego u mnie była fuzja.

- Dziękuję...

- A tu nie ma co dziękować.

-...że stanął pan w mojej obronie.

Bernatowicz machnął ręką, tak jak wcześniej w samochodzie.

- Ratował i sjobbie. Zresztą, jedni drugich muszą chronić, takie życie, ale więcej raczej nie pomogę, nie dam rady. Zaczęła się wojna, pan chyba rozumiesz.

M nie życzył sobie żadnej wojny. Chciał spokojnie stroić zieleni i spotykać Martę i Monikę.

- Będą szukać swojej zemsty - przewidywał Bernatowicz. - A jeżeli Sawczyn skrzyknął kark, to nie daj

Boże!

Czyli miałem przerąbane. IM ze mną, nic dziwnego, że poczuł gorąco pod sercem i w brzuchu. Zapytał bezradnie:

- O co im w ogóle chodzi? Orientuję się, że mają coś do pana, już od dawna, ale czego chcą ode mnie? Nie wchodzę im w drogę!

- Nienawidzą niestowarzyszonych - leśniczy powiedział to z cieniem uśmiechu. - Pewnie drażni ich też, jeśli ktoś bez przerwy szwenda się po lesie i może wyniuchać, co robią.

- A co oni kombinują?

- Tego ja nie powiem.

- A dlaczego?

- Radzę, trzymaj się pan z dala, nie wsadzaj palucha do ognia i nie łaż już więcej po puszczy. Pies tylko przy domu!

- Ale co to jest za sprawa, że nawet Skórowa ugryzła się w język?!

- Ta Skórowa wie, co zje, jak wszyscy we wsi. U mnie też jest więcej wątpliwości niż pewności i właśnie dlatego ja tropił parszywców. A teraz z tym koniec.

- Panie Bernatowicz, jak to?

- W moim domu już za dużo było śmierci, za wiele jest bólu, pan chyba rozumiesz.

- Rozumiem, ale jeśli dzieje się coś fatalnego, to trzeba...

- Co trzeba? Czy pan wiesz, że zgodnie z przepisami ja nie mógł

im grozić, niczego rozkazać? Nawet gdybym ich rozłożył na łopatki, to i tak bym nie miał prawa aresztować!

- No to zgłośmy na policję.

- Do kogo? Ci z policji są po tamtej stronie, boją się Sawczyna i Rehlicha. Jeszcześ pan nie zauważył? Cud, że cztery lata temu odebrano im myśliwską broń i uprawnienia. To było po takiej aferze, po takiej ohydzie, że i znajomości hyclom nie pomogły, bo decyzje zapadały gdzieś wysoko.

- A straż leśna?

- Jest tam paru dobrych ludzi, jednak oni dziwnie omijają te oddziały, gdzie śmiardają się bandziory. A wiesz pan dlaczego? Komendant strażników to kumpel Sawczyna. To są starzy towarzysze z partyjnych bojówek, z gminno-komunistycznego bagna. W dodatku trzymają się razem z Kosmałą, zastępcą Wołowca.

- A kim jest Wołowiec?

- Nadleśniczym, panie, nadleśniczym. Zaczny człowiek, ale w puszczy rządzą tamci. Dlatego nie mogę nic zrobić - Bernatowicz ścisnął pięści.

- Jeżeli wywalą mnie z pracy i z domu, to co, oddam córkę do przytułku?

- Skurwielce!

- Pan lepiej nie bluźnij, bo to rani ludzką duszę i otwiera ją na gorsze.

- Przepraszam.

- Więc od dzisiaj pan się bardzo strzeż, najlepiej wyjedź. I dla

niego - wskazał na mnie - tu nie masz już życia.

- Wiem, panu zależy, żebym trzymał się z daleka...

- Nieprawda! Mam oczy i widzę, co ostatnio dzieje się z Moniką. Ja może i niedźwiedź, ale trochę czuję i rozumiem.

M bardzo się zdziwił.

Bernatowicz nie był z tych, co uwierzyliby w głupoty, no na przykład w to, że chorej polepszyło się z powodu śmichów-chichów lub dlatego że ktoś dłubał scyzorykiem w korze sosen czy kierował łyżki w stronę planet i dalekich gwiazdozbiorów. Tak jak większość osób świątłych i rozsądnych mógł ewentualnie przyjąć, że to wszystko - odrastanie włosów, uśmiech i tak dalej - miało jakiś związek z głębszym oddychaniem.

Rzeczywiście, w Ameryce ustalono - wuj mi mówił - że gdy człowiek śmieje się, to przy okazji oddycha jak płetwal błękitny, czyli znacznie głębiej niż normalnie. W ten sposób Monika zasysała dużo więcej lasu, miała całe leśne płuca, arterie i żyły, wątrobę i resztę, i to pewnie wychodziło jej na zdrowie. Ojciec nie mógł tego ignorować.

Z tym że on nie zdawał sobie sprawy z żadnych śmichów ani ze strojenia, ani z modlitw, jakich M nauczył się od gospodyni i otaczał nimi obie siostry. Bernatowicz wiedział jedno - po spotkaniach z kuternogą jego córka ma się lepiej. Pewnie nie chciał zdmuchnąć tego cudu, bo powiedział:

- Póki pan tu jeszcze będziesz, możecie widywać się nadal, przy domu, nie w lesie, żeby im się nic nie stało, znaczy córkom.

No proszę, a jeszcze niedawno leśniczy nalegał, żeby „nie

przeszkadzać i nie szkodzić”, czyli żeby M zupełnie się odczepił od Moniki i od Marty. Czyżby świętojańskie dostrojenie lasu pomogło i jemu? Chyba jednak nie do końca, bo wymówił słowa zachęty takim tonem, jakby jednocześnie chciał przypomnieć M, że nie uważa go za normalnego. W jego głosie kryło się coś więcej, istotna przestroga: „Nie dla psa kielbasa, miły panie”. Czyli nadal - jedną ręką głaskał, a drugą odganiał.

Na ganku zjawiła się Marta. Prosiła do stołu. Gość wymawiał się uprzejmie, powtarzając, że czeka na niego z obiadem pani Stanisława Kosakowa.

- No to zjesz pan drugi raz, na zdrowie - dał mu radę Bernatowicz.

M uznał ten pomysł za dobry, a poza tym Marta wyglądała oszłamiająco pięknie.

Zebrali się w kuchni, bardzo dużej, ale przytulnej, z kwiatami na oknach, i Marta zaczęła częstować chłodnikiem. Kto nie słyszał, co to chłodnik na botwinie, z jajkami na twardo, ogórkiem, szczypiorem, koperkiem, śmietaną i czosnkiem, zsiadłym mlekiem i niewielką szczyptą przypraw, a właściwie kto go nie jadł, ten jeszcze nie poznał prawdziwego smaku świata. Proszę wierzyć, wiem, co mówię, bo miałem okazję skosztować.

- U nas biednie - rzekł leśniczy, jakby chciał się wytłumaczyć ze skromności poczęstunku. - Ale łyżek nie brakuje, nie trzeba ich nosić ze sobą...

M dziwnie się zmieszał.

- Wabi lubi aportować - powiedziała prędko Marta. - Przede wszystkim coś metalowego.

Jej ojciec odchrząknął i zanurzył się w chłodniku aż po wąsy.

Po minucie i sekundzie mój przyjaciel przestał się przejmować tym, że chodził ze sterczącym z dłoni sztucem i że w oczach ludzi zdrowych i poważnych mogło to wyglądać trochę głupio. Przestał, bo napotkał dwa spojrzenia: Moniki i Marty. Była w nich ta sama cisza, jakiej doświadczyli razem nocą. Usłyszałem ją przez uchylone drzwi na ganek i do kuchni, bo psy słyszą takie rzeczy. I czują kolory, mówiłem.

*

W niedzielę obudził się z lękiem pod skórą, jak dawniej. Przypomnę, ostatnio nie miał kłopotów nad ranem, czuł się uwolniony od piekielnych wizji chorób, nieszczęść i tragedii, no a teraz wszystko powróciło, więc i M powrócił bardzo prędko do aktów strzelistych i do strzelistego świerka na tle nieba.

Wpatrywał się w drzewo i szukał pociechy. Daremnie.

Leżałem pod stołem i było mi przykro. Tam, w wąwozie, najwyraźniej celowali we mnie, a trafili w mego przyjaciela.

Skulony pod kocem, starał się przeczekać uporczywe kołatanie pytań: Czy naprawdę musi zwiewać, umykać jak zwierzę i porzucić wszystko, co ukochał? Co będzie z Moniką? Co się stanie z nim i Martą? Czy dobiega końca jego podróż? Czy zostaje mu wyłącznie vegetacja w DPS-ie, urozmaicana występami na jarmarkach cudów dla medyków? A jeżeli nie ucieknie, nie opuści lasu ani ludzi, to czy

tamci z obrzynami walną go w kręgosłup, w nogi, w głowę, czy raczej wpakują w mrowisko związanego drutem jak baleron?

I tak dalej, i tak dalej. Było nawet trochę o mnie - zastanawiał się, co zrobić ze mną.

Koło szóstej wstał, wyciągnął sobie cztery, a mnie dziewięć kleszczy i powoli poszedł do kościoła. W drodze ciągnął koci ogon z dowiązanym doń żelastwem dużo starszych i znajomych pytań, które znów się rozbrzęczały: - Po co, kurde, mnie zrzucili? Dlaczego tu jestem? Czy dlatego, żebym ciągle tracił to, co najważniejsze?

Kołatanie i brzęczenie nie ustało nawet wtedy, kiedy mój przyjaciel usiadł już na swoim miejscu pod ścianą kościoła. Nie ustało, chociaż mury nałykały się letniego słońca i nie było zimno tak jak w marcu, Bąbel leżał przed konfesjonałem, na tęczy królował lipowy krucyfiks, po lewej błyszcziała Maesta, skamieniały święty Michał, tak młody i jasny jak chłopcy z Powstania, wbijał płomienisty miecz w rozwartą gardziel smoka, a w pobliżu kruchty klęczał Wirkus, popłakując, jakby musiał zrównoważyć i odkupić swą powszednią radość życia.

Pośród wiernych brakowało tych, co mieli rezerwację ławek na dziesiątą, czyli pani Neugebauer, pani

Piłat z łysym mężem, pani Drywy, najważniejsze zaś, że nie pojawili się I. Zajac i A. Rehlich oraz paru innych cnych parafian - Bogu dzięki, bo M bałby się, że będą strzelać. W dodatku nie ryczał chór rodziny Pakizerów, który ubogacał sobą tylko sumę.

Hałas w myślach M wyraźnie osłabł, kiedy do ołtarza wyszedł

ksiądz wikary. Nie cudował ani nie grzmiał, za to niewątpliwie wierzył. Wierzył, że sprawuje Eucharystię. I pewnie dlatego zrobiło się jaśniej, niż było, spokojnie i cicho jak w lesie. Nie liczyło się za bardzo to, że organista H. Jarocho rzadko trafia we właściwy klawisz manualu, i nie przeszkadzały trzaski damskich portfeli ani nawet kaszel i kichanie.

M prosił o jedno: o pomoc. I tyle. Święty Michał ze skrzydłami czasem popatrywał w jego stronę.

Sublokator pani Kosakowej nie umiał odczytać, co archanioł pragnie mu powiedzieć. Cokolwiek to było, M nie zauważył żadnych zmian w kosmosie i najbliższej okolicy. Kiedy wracał na zdyłungi, wciąż łapał się na tym, że rozgląda się na boki z niepokojem, właściwie ze strachem. Jzusię tym upokorzony.

Pod koniec śniadania gospodyni zmiotła kantem dłoni pięć okruchów, jakie pozostały na ceracie, i mruknęła:

- Coś ty, synek, taki jakiś? Ja ci mówię, wydobrzeł pies wtedy, to wylize się i teraz.

Poprzedniego dnia M nie wdawał się w szczegóły sytuacji, jaka miała miejsce w jarze ponad Czarną

Strugą, bąknął o tym wydarzeniu ze dwa słowa, tylko tyle, żeby wytłumaczyć gospodyni, czemu miałem prześwit w tyłku, ale ona dośpiewała sobie całą resztę.

- Tamtymi się nie gryź, co ma być, to zawdy będzie. Ty, zobacz, myślały, że mocne, a masz ci, ten

Sawczyn, Skórowa mówiła mi rano, ma złamaną rękę. A

poobijany, łajdus, jak gruszka pod drzewem.

- Niedobrze... - jęknął M i przymknął oczy.

- Cykor! Cykor! - wrzasnął ptasi głos z lodowy.

Mój przyjaciel był zupełnie przekonany, że szpak woła: „Tutaj, tutaj!”, tylko nastąpiły jakieś zakłócenia.

M siedział przy stole i było mu przykro. Trąciłem go nosem. Wstał i zaczął robić coś pożytecznego, czyli zajął się przegładem mojej rany, a potem szykował mi zarcie i wodę.

Panią Stanisławę Kosakową nie zainteresowały wrzaski szpaka, za to przyglądała się z uwagą, jak jej sublokator krząta się po kuchni. Obserwując, powiedziała, że był u nich taki jeden, Szczepan Kret ze

Starych Brzezin, który też miał kłopot z bandytami. To dlatego, że narobił sobie długów w Opatowie. Po miesiącu tamci z miasta przyszli i żądali zwrotu całej sumy. I procentów. Kret nie chciał nic oddać. Zagrozili, że mu spalą dom i chlew ze świnia, to im odpowiedział, proszę bardzo.

Zagrozili, że to samo zrobią ze stodołą, to zawołał, żeby się wypchali. Jego babę chcieli zabrać, to się uśmieł. Ale jak zaczęli wyprowadzać mu ze stajni konia, to się strasznie zdenerwował, złapał kosę i przezynał tamtych z taką furia, że już nigdy nie wrócili.

- Musi, każdy człek ma coś takiego, coś drogiego, czego będzie bronić aż do końca - zakończyła pani

Kosakowa.

Z tą myślą w plecaczku M ruszył nad Wisłę. Ja zostałem w domu, byłem ranny, poza tym ktoś musiał pilnować obejścia.

Dlaczego wyruszył nad Wisłę? Po pierwsze, okropnie zatęsknił za rzeką. Po drugie, tego dnia nie wybrał się do lasu, pierwszy raz od chwili, kiedy tu przyjechał, a czemu tak zrobił, to już wszyscy dobrze wiedzą.

Gospodyni pożyczyła M niemiecką damkę. Pedałował na rowerze wąską szosą pośród pól z łąkami zboża.

Dzień był z tych zupełnie przezroczystych. Od zachodu wiał spokojny, lekki wiatr pasący cumulusy.

Pomiędzy chmurami krążyły bociany. Pod okiem rodziców najmłodsze ćwiczyły wznoszenia w kominach termicznych i łagodne przyziemianie. M rozpoznał te manewry, bo miał doświadczenie, ostatecznie przez dwadzieścia jeden lat zajmował się lotnictwem, absolutnie zawodowo.

Jechał w słońcu, z gołą głową - jego kaszkiet, który mi posłużył jako bandaż, odmakął w mydlinach. Bez czapki czuł lepiej całą przestrzeń wokół siebie. Za plecami miał szeroki łuk lesistych wzniesień pradoliny i strzelistą wieżę dzwonną, dokoła żuławę, a na horyzoncie wał, za którym przepływała niewidoczna jeszcze rzeka. Z pszenicy, po prawej, wyskakiwał kozioł sarny, w powietrzu szalały skowronki, brzegi

Czarnej Strugi i melioracyjnych rowów porastały trzciny i pokrzywy, na niewielkich terpach, jak na rozrzuconych w morzu wyspach, czerwieniły się samotne domy. Było lato, pełne światła i owadów, zapachów i ciszy. Nie było Puławskiej, Komarowa i Banacha. M poczuł nareszcie, że przez jego lęk i ciężkie myśli

przebijają się znowu pęd wielkiej radości.

Potem gapił się z korony wału na szmat świata - lasy, pola, łągi, zakręt rzeki, znaki żeglugowe, niskie wzgórza z drugiej strony wody i cztery narożne wieżyczki krzyżackiego zamku sterczące z zieleni, dość daleko, na południu.

Zjechał na dół, nad sam brzeg, zostawił rower i przycupnął na kamieniach wiślanej ostrogi, osłonięty liśćmi drobnej wierzby. Nie było nikogo, wywiało wędkarzy, pozostały tylko ryby rzucające się w zakolach, pracowite ptaki-hydroplany i żuraw zastygły bez ruchu na piaszczystej, sezonowej wyspie. Żuraw obserwował przepływ wody. Obaj, on i mój przyjaciel, nasycali się potęgą rzeki.

Później było jeszcze bardziej nie do wiary, ponieważ na niebie pojawił się bielik, jeden z tych z naszego lasu. Zrobił kilka kół nad Wisłą i odleciał w stronę zamku, jakby miał tam coś do załatwienia.

Wszystko brzmiało, jak powinno, tak że nic nie trzeba było stroić.

Świat wyraźnie zmierzał do tej chwili. Kto wie, może zmierzał i do innych, ale M zupełnie wystarczało to, co ofiarowywano mu dokładnie tu i teraz. Zatykało go z zachwytu i mamrotał jak półgłówek, powtarzał pod nosem to jedyne greckie słowo, jakie znał - $\epsilon\iota^{\wedge}\text{ctptOTi}\acute{o}$ - jedyne, jakie mogło unieść jego wdzięczność.

;

Powracał dokładnie tym szlakiem, jakim wcześniej jechał w stronę rzeki. Teraz za plecami miał wiślany wał, a na horyzoncie łuk lesistych wzniesień pradoliny i wysoką wieżę dzwonną. Był czerwiec,

nie było

Puławskiej i Hożej, krążyły bociany, w zbożu podskakiwał koziół, a nad Czarną Strugą rosło zielsko.

M zobaczył ich z daleka i od razu wiedział, że go zatrzymają. Stali przed zaparkowanym na poboczu autokarem - kilku mężczyzn w skromnych, ciemnych garniturach. Stali w samym środku pól, przed skrzyżowaniem wyboistych, wąskich dróg na końcu świata. Jeden z nich, najwyższy, zaczął machać w stronę rowerzysty. M dojechał do krzyżówki i postawił stopę na asfalcie.

Ten najwyższy spytał mego przyjaciela, czy rozumie po rosyjsku, spytał właśnie w tym języku. M trochę się zdziwił, jako że autokar miał niemiecką rejestrację, a ludzie na drodze i ci, którzy nie wysiedli i przyjaźnie uśmiechali się przez okna, nie za bardzo wyglądali na wycieczkę komsomolców. Wyjąkał, że łatwiej byłoby mu mówić po angielsku.

Sublokator pani Kosakowej pamiętał dość dużo angielskich konstrukcji, jeszcze z kursu w klubie osiedlowym na Okęciu, sprzed ćwierćwiecza, no a jednocześnie zapominał większość tekstów przeczytanych ledwie przed godziną. Niepojęte są kaprysy pamięci osoby, która uderzyła łbem o beton i spała dość długo bez wstawania za potrzebą.

Człowiek górujący wzrostem nad pozostałymi skwapliwie wyjaśnił, czemu on i jego towarzysze pozwolili sobie niepokoić pana na rowerze: Chcieliby się porozumieć z kimś miejscowym. Przyjechali z Fryzji i szukają śladów, miejsc pamięci po swych

przodkach. Tak najbardziej to zależy im na odwiedzeniu kaplic i cmentarzy, w drugim rzędzie starych domostw i gospodarstw. Są menonitami.

Mój kumpel o mało nie usiadł na ziemi. Zupełnie go ścięło. Z wrażenia.

Ten wysoki mówił dalej: Zgubili się w drodze, może nawet nie zgubili, tylko nie potrafią znaleźć, zidentyfikować poszczególnych miejscowości. Dysponują szkicem terenowym - pokazał kawałek papieru z oszczędnym rysunkiem i nazwami geograficznymi w języku niemieckim. Wczoraj, w mieście między jeziorami, próbowali kupić polską mapę tych terenów. Nie dostali. Sprzedawca tłumaczył, że skończyły się zapasy, że sprowadzi nowy towar w poniedziałek, jednak co to za pociecha dla tych, którzy podróżują dzisiaj? Więc czy on, to znaczy rowerzysta, nie potrafiłby im wytłumaczyć, wskazać, gdzie znajdują się te wioski zaznaczone na ich szkicu, albo może wie, jak trafić na cmentarze, albo orientuje się, czy zachowała się kaplica w... no właśnie, oni znają tylko przedwojenną nazwę owej miejscowości - Rendhof.

Dookoła falowało zboże, gryzły bąki, nad głowami przepływały cumulusy. M widział tych ludzi i słyszał ich głosy, ale nadal miał wrażenie, że są to wyłącznie omamy i zwidy wywołane mocnym słońcem. I pewnie dlatego nie powiedział im, że tyle razy szukał ich na ziemi i nad ziemią. I nie zdradził im, jak bardzo pragnął poznać tajemnicę ich milczącej obecności i nieobecności. Za to ofiarował się, że wskaże drogę na cmentarz w Dynowie.

Okazało się, że było to jedyne ważne miejsce, jakie odnaleźli już i odwiedzili.

M chwilę pomyślał. Jeżeli nie Dynów, to może Karwina, niech po prostu jadą za nim. Zasugerowali, żeby zapakował rower do ich autokaru. Właśnie zbierał się, by to uczynić, kiedy przyszło mu do głowy, że byłoby lepiej, gdyby nieznajomi pozostali sami ze swoim wzruszeniem. Jakoś nie chciał wtrzytnąć się w intymność cudzych spotkań z umarłymi. Przeprosił i nie wsiadł, i zaproponował coś innego.

Z wielkiego przejścia trochę trzęsły mu się ręce, gdy z plecaka umocowanego przy rowerze wyjął ukochaną mapę nadleśnictwa, rozłożył na jezdni i zaczął wyjaśniać, gdzie znajdują, co trzeba, nie tylko

Karwinę. Ukucnęli i uklękli obok niego. Dołączali do nich inni, z autokaru, wszyscy najwyraźniej poruszeni faktem, iż w przestrzeni pól i nieba zjawił im się ktoś z zadziwiającą orientacją w tym, co było dla nich ważne, i że zjawił się dokładnie w chwili, kiedy go potrzebowali.

Potem M po prostu dał podróżnym swoją mapę, oni zaś przyjęli ten sfatygowany, pognieciony papier, jakby otrzymali wszystkie skarby świata.

Paru mężczyzn w szarych garniturach głośno rozważało rady i wskazówki przekazane przez swojego przyjaciela i porównywało nazwy z mapy z tymi ze starego niemieckiego szkicu. M nie uczestniczył dłużej w tej naradzie. Podniósł rower i szykował się do

pożegnania. Wtedy ów najwyższy z całej grupy zbliżył się do niego i rzekł cicho, twardą angielszczyzną:

- Muszę panu coś powiedzieć. Pół godziny temu na cmentarzu pod Dynowem prowadziłem nabożeństwo. Prosił Boga, żeby przysłał do nas kogoś... kogoś, kto by pomógł nam odnaleźć drogę.

Tak to przetłumaczył mój przyjaciel, potem tak mi to przekazał.

Gryzły bąki, około falowało zboże, nad głowami przepływały cumulusy.

Pożegnali się przed drzwiami autokaru. Ktoś z podróżnych ofiarował M niewielką puszkę z orzechami.

Sublokator pani Kosakowej nie wzbraniał się przed tym, bowiem zdążył się przekonać, że czasami nie wiadomo, jak okazać swoją wdzięczność, i wychodzi to niezręcznie. Później machał za odjeżdżającymi, a oni machali mu z okien, aż zniknęli w płaskim krajobrazie.

Czuł się trochę jak pijany. Nie za bardzo wiedział, jakim cudem wrócił z pól do domu na zydlungach, jak odstawił rower, jak zjadł rosół, jak dotarł na górę i legł na tapczanie. Jadąc, jedząc, wchodząc, leżąc, nadal słyszał ludzi napotkanych na żuławie, słyszał ich spokojne zapewnienia, że otoczą go modlitwą. M też im obiecał swą pamięć.

Opowiadał mi to ze ściśniętym gardłem. Trudno dziwić się emocjom kogoś, kto zyskał świadomość, że przez 11 minut i 49 sekund był posłany, w małej sprawie, ale jednak. Na dodatek ogarnęło go głębokie przekonanie, że ci, którym pomógł, też byli posłani do

niego. Czy nie pojawili się z odpowiedziami na pytania, jakie nieustannie ciskał w niebo?

- Zostajemy, Wabi - wymamrotał.

Chyba jasne, tamci z obrzynami mogli nam naskoczyć. Leżałem pod stołem i zdrowiałem jak szalony.

Tej samej niedzieli wieczorem pan Kazimierz Bernatowicz krzątał się w ogrodzie przy ptaszorach, a

Monika, Marta i ich gość siedzieli na wywrocie pośród sosen w wąłym lesie na obrzeżach leśniczówki, z widokiem na zalew. Trójkę w sosnach ubezpieczał Egon. Buszował w pobliżu, gotowy do akcji - na wypadek gdyby trzeba było kogoś staranować. Ja musiałem zostać w domu. Co prawda goiło się świetnie - jak na psie, tym razem mogę tak powiedzieć - lecz potrzebowałem jeszcze chwili na złapanie olimpijskiej formy.

Bernatowiczówny były pierwsze (albo raczej drugie po mnie), którym M wyjawiał, co spotkało go w południe. Kiedy opowiadał o tych wydarzeniach, zatykało go co siedem sekund i jąkał się bardziej niż zwykle. Zakończył, pytając, jak myślą, dlaczego przejeżdżał tą drogą, nie inną, właśnie o 12:07, a nie dziesięć minut wcześniej albo później. To było pytanie, jakie ludzie nazywają retorycznym. Dziewczyny wymiękły, wyraźnie.

Po chwili milczenia mój przyjaciel chrząknął i ogłosił to, co zadeklarował na poddaszu, że nie będzie już uciekać. Dodał, że uciekał w życiu kilka razy, zwłaszcza jako mały chłopak, w szczególności latem 1 roku, a teraz już wyrósł i powinien pozalać

trudne sprawy zupełnie inaczej.

Marta niby coś tam marudziła, wspominała o rozsądku i tych sprawach, ale obu siostram śmiały się z radości oczy. Później panie nadal śmiały się i uśmiechały, bowiem M urządził nowy seans w kinie zwariowanych filmów.

Seans odbył się jak zwykle, mimo że mój kumpel zanurzony był po same uszy w tym, co przeżył tego dnia na skrzyżowaniu, i w ogóle w ważnych i poważnych myślach, no i odbył się pomimo trwania leśnej wojny lub raczej wbrew wojnie i strachom. Sublokator pani Kosakowej uznał, że porządna firma działa w każdej sytuacji, zgodnie z ustalonym wcześniej planem.

W programie wieczoru znalazły się cztery historie: a) o tym, że ktoś, nie wiadomo kto, przykleja znaczek na frontowej ścianie kamienicy w Bielsku Białej, wypisuje piórem adres i wysyła wszystko - od piwnicy aż po komin - do Kalisza, choć lokator Kotarbiński protestuje na balkonie, a gdy on tak protestuje, to pani w garsonce nadaje do Gniezna koszary piechoty, zaś w pobliżu Zduńskiej Woli pewien pan uważa za rozsądne ofrankować dość rozległe terytorium kraju, szykując przesyłkę lotniczą do Indii; b) o paniach, co znowu sprzątają po panach, bo tamci to zawsze na-świnią i pójdą; c) o tym, że ziemianie lecą galaktyczną serpentyną, a bardzo niewielu ma licencję astronauty czy choćby pilota, na przykład Strączyńska - Strączyńska też nie ma, i czy ktoś w ogóle kupił bilet? d) o zegarze, który bije, bije przez godzinę, przez dobę, dwie doby, trzy, cztery, nie milknie, bo późno tak strasznie, że powinien bić bez końca.

Po filmie z zegarem zrobiło się cicho.

Pomilczeli całą trójką, a potem Monika musiała już wracać do domu. Była pora przyjmowania lekarstw.

Jej siostra została, na moment. Moment trochę się przedłużył.

Siedzieli przy sobie tak blisko, że M czuł połowę skóry, no a przede wszystkim doskonale słyszał, jak piękna jest Marta, tak oszalamiająco piękna, że kolejny raz był o mały krok, o oddech, od objęcia jej ramieniem i wtulenia się w jej włosy. Niestety, w to wszystko wtrądził się Egon. Usiadł na spasionym zadzie, tuż przy ludziach, których miał ochraniać, i wysunął ryj do pocałunków.

- Po co wam ta świnią? - jęknął M i podniósł z ziemi krótki patyk.

- To Egon, nie świnią!

- Rozumiem.

Guzik tam rozumiał. Chociaż może? Ostatecznie mnie także traktował nie jak śmierdzącego kundla, ale najbliższego kumpla.

- Zostajesz wyłącznie dlatego, że masz dosyć uciekania? - starsza siostra Bernatowicz wróciła do wątku, jaki się pojawił przed seansem.

Zamiast odpowiedzieć, rzucił kijkiem. Chciał trafić w pień drzewa, nie trafił.

- Nie zostajesz również dla niej? - Marta wyciągnęła rękę w stronę domu.

Cisnął drugi patyk. Trafił.

- Tylko, wiesz, bez bohaterstwa i bez ofiar! - znowu zaapelowała

do rozsądku, bo tak muszą postępować panie, chociaż oczekują jednocześnie, że panowie wcale ich nie posłuchają.

- Marta, nie poświęcam się i dla nikogo nie umieram. Przeciwnie - odżyłem!

- Ty lepiej uważaj, żebyś sobie nie napytał biedy.

- Niepotrzebnie rozdmuchujesz głupstwo. W porównaniu z tym, co ty zrobiłaś i co robisz dla

Moniki, to wszystko jest kpina.

- Bo to siostra, moja siostra! Dla ciebie znajoma. Zresztą dużo więcej otrzymałam od niej niż ona ode mnie.

- To znaczy?

- Pomogła mi wrócić na ziemię. Jej choroba, a wcześniej śmierć mamy, oba te nieszczęścia wyciągnęły mnie z ciemności, ze straszego pogwałcenia. Musiałam się zająć opieką, garami i praniem. To była...

- Opatrzność.

- W czym?! W ciężkiej chorobie najbliższych i w śmierci? - wstała tak gwałtownie z miejsca, że

Egon się przeląkł. - To była konieczność, nic więcej.

- Która okazała się ratunkiem...

- Ale tylko dla mnie. Na cudzy rachunek.

- Dla Moniki jesteś najwspanialszym darem nieba.

- Po co, po co taki patos? I zawsze ten Pan Bóg! Ja ci już mówiłam, w żaden sposób nie potrafię przyjąć, że istnieje miłosierny, że się nami opiekuje.

Rzeczywiście, powiedziała to przy pierwszym ich spotkaniu w lesie. M dobrze pamiętał, chociaż wiele rzeczy zapominał i miał na to zaświadczenie od doktora A. Pawlikowskiego. Teraz postanowił jakoś odpowiedzieć na jej słowa:

- Nad Jeziorem Tyberiadzkim, już po zmartwychwstaniu Jezus nie zapytał Piotra: „Czy ty mnie przyjmujesz?”. Pytał go o coś innego, w dodatku trzy razy.

- Powinieneś zostać kaznodzieją - powiedziała to bez irytacji, ale ze zniecierpliwieniem.

W żadnym razie nie chciał być nachalny, pragnął tylko się podzielić tym, co widział albo słyszał w lesie, na poddaszu, w cieniu świerka i nad Wisłą. Zapewne powinien był przestać, a jednak znów palnął:

- A moja przygoda, dziś, w polach, trochę jednak cię wzruszyła?

- Normalnie, po ludzku. To wcale nie znaczy, że podzielał twoje rozumienie tego, co ci się zdarzyło - usiadła na pniaku opodal wywrotu. - Paweł Wyżykowski mądrze mówi: „Wierzę tylko w ludzką pomoc, pracę i uczciwość, taką skandynawską, a te wszystkie religijne czary-mary są zbędnym balastem”.

Ja też tak uważam. Świat powinien być tak urządzony, żeby nie podierać się bez przerwy Opatrznością.

Mego przyjaciela nieźle ścięło. Wyjątkowo źle zareagował na imię i zdanie mentora ze Szwecji.

Zorientował się ponadto, że nie umie dyskutować o tych sprawach, nie jest biegły w chałupniczej teologii.

Brakowało mu jasności myśli, spokojnej wymowy, brakowało dostatecznej wiedzy. Mimo wszystko znowu coś wykrztusił, niestety, bez mocy argumentu logicznego:

- Myślisz, że to tylko fantazmaty i ucieczka przed rzeczywistością? A nocą na wzgórzu ta cisza nad nami była urojona czy prawdziwa? Nie byliśmy wolni i szczęśliwi?

Znowu smyrnął kijkiem w sosny. Tym razem nie trafił.

- Coś ci powiem - wstała i schwyciła M za ramię. - Coraz bardziej podejrzewam, że to las jest twoim bogiem.

- Las jest znakiem, jest przestrzenią, w której Pan Bóg czasem się objawia - mój przyjaciel starał się nie jękać, żeby najważniejsze słowa nie zabrzmiały marnie i komicznie. - Tylko tyle i aż tyle.

- A mnie taki leśny bóg by odpowiadał - puściła mu rękę. - Chyba wolę staropruską cześć dla drzew, kamieni i piorunów, od zwracania się do tamtej pustki-spojrzała na niebo.

Mógł teraz przywołać własne doświadczenie z góry, jednak z miejsca z tego zrezygnował, bo już kiedyś zraził sobie pewną panią, kiedy opowiadał jej o chmurze, samolotach i tak dalej. Zdecydował się na coś innego:

- Wiesz, co mówią astronauty?

- Ja mam w dupie astronautów.

- Ten polski, co leciał z ruskimi, wyjawiał po latach, że w wielkiej przestrzeni ogarniała go, jak pozostałych, pewność obecności Stwórcy. Rozumiesz? On twierdzi, że nie zna nikogo, kto powrócił stamtąd niewierzący.

- No to musisz mnie wystrzelić w kosmos.
- W pewnym sensie próbowałem, na świętego Jana.
- 1 wcześniej.
- No właśnie. Dwa razy.

Uśmiechnęła się. Nareszcie.

- Przepraszam - szepnęła.

- A za co?

- Wydierałam się na ciebie jak wariatka.

- Nie ma sprawy.

Zamilkli. I milczeli dosyć długo, aż Marta rzuciła pytanie:

- Co teraz?

- Ja nie wiem... Może musisz czekać, nasłuchiwać?

- Nie pytam o tamto. Pytam, co zamierzasz zrobić. Schowasz się, ukryjesz psa w piwnicy?

- Niedługo zobaczysz.

- Co ty znowu kombinujesz?

- Kiedyś już obiecywałem, że nie damy się tym gnojom. I dzisiaj ci mówię - nie odbiorą nam niczego: ani lasu, ani naszych spotkań, ani śmiechu, ani wielkiej ciszy dla Moniki.

Ogarnęło ją wzruszenie - kobiety tak mają (wiem to od mojego wuja). Próbowała je zasłonić niby-żartem, ale jakoś jej się nie udało:

- To znaczy, że idziesz na wojnę?

- Czasem nawet kuternoga musi.

- Całkiem sam?

- Nie, z Wabim.

Marta zagapiła się na zalew. Hydroplany wyczyniały akrobacje.

- Szukacie łączniczki? - cały czas patrzyła na perkozy. - Lub sanitariuszki?

M przytaknął ruchem głowy a właściwie całym sobą.

- Czyli partyzantka działa nadal?

Starsza Bernatowiczówna podała mu rękę, jakby dobijali interesu. Była oszałamiająco piękna. M chwycił dłoń Marty, uścisnął i długo nie puszczał. Nie wypuszczał jej tak długo i trzymał tak mocno, że dziewczyna trochę się zdziwiła.

- Co...? - urwała, mimo to zrozumiał.

Niektórzy tak mają, nie tylko kobiety, że pojmują niewypowiedziane słowa. Pierwszy zwrócił mi uwagę na to wuj, no a potem sam się o tym przekonałem.

Tym razem mój kumpel nie rzucił patykiem, zresztą nie miał nic pod ręką, za to sam zarobił w ciemię.

Syderytem. W takiej chwili! Właśnie wtedy, gdy powinien był wystękać choć jedną klarowną sylabę.

Syderyt zawierał pięciowyrazowe zdanie: „We wtorek zaczyna się jesień”.

To była nieprawda, rozkręcało się dopiero lato, jednak M powtórzył Marcie jota w jotę, co usłyszał przed sekundą, jakby dawał jej odpowiedź, najgłupszą odpowiedź na świecie. Bernatowiczówna mogła go poprosić, żeby puknął się kolanem w czoło, tymczasem - o dziwo! - objęła go lewym ramieniem za szyję i stała tak przy nim przez całe sześć sekund (właściwie on także ją trzymał w objęciach), a

potem pobiegła.

Za dziewczyną pognął Egon. M nie ruszał się i nie odzywał - chciał zachować pogłos jej dotyku.

Kiedy oddaliła się o siedemdziesiąt dziewięć kroków, odwróciła się i zawołała:

- Ale o co wtedy pytał Chrystus?

Sublokator pani Kosakowej pomachał jej ręką. I tyle.

Każdy człowiek mądry i rozsądny leżałby pod balią w szauerku-drewutni albo zaminował cały ogród i przedproże domu pani Kosakowej, albo nie wyściubiał nosa poza kuchnię, albo całkowicie się rozpuścił w mroku, albo kuczał na najwyższym piętrze świerka i udawał orzechówkę, albo zabarykadował się w klozecie. A M nadal stroił las i resztę, od 7:30 do 12:09 lub 13:07, z przerwami na oddech. Dodam, że ja też nie kryłem się w piwnicy, lecz towarzyszyłem mu, dyskretnie, osłaniając jego flanki i inne słabizny.

Tak, mogłem to robić, bo już wylizałem się na dobre.

Każdy człowiek mądry i rozsądny leżałby pod balią albo zaminował cały ogród, a M czynił coś zupełnie przeciwnego, wszakże - proszę mi uwierzyć - nasze prace i wędrówki były nieźle przemyślane, maskowane i zabezpieczone. Działaliśmy jak konspiratorzy, poruszając się po okolicy zgodnie z obyczajem leśnych zwierząt - nadzwyczaj ostrożnie i cicho. Właśnie w tak profesjonalny sposób M przywłókł ze skrytki na wzgórzu resztę kosmicznego złomu i ułożył wszystko w Szopie Wspomnień.

Obaj absolutnie nie zamierzaliśmy się wystawiać na ostrzał z

obryznow. Jest prawdą, że chyba dwa razy okupanci mieli nas na celowniku, ale mogli nam naskoczyć. Znikaliśmy jak kamfora. I powiem wam jeszcze: to nie mój przyjaciel był tropiony, lecz właśnie on tropił! Powiedzieć, że tropił, to mało. Do normalnych obowiązków firmy Strojnie Zieleni i Reszty włączył operacje wywiadowcze.

Wydawało mu się, że ta praca będzie łatwa, a jej rezultaty pojawią się prędko, jako że w ogródkach przed domami huczało od plotek. M liczył najbardziej na panie - najsprawniejszych wywiadowców w okolicy.

Niestety, z ich głosów powstawała dzika kakofonia, z której nic nie dało się zrozumieć, nic wydestylować, no bo nic się z niczym nie kleiło. Na przykład opinia, że Sawczyn i Rehlich (oraz kilku dżentelmenów w garniturach z elastilu i sandałach) chcą założyć w lesie otoczony drutem obóz, zderzała się z sądem, że budują coś innego, wielki tunel do Nowego Jorku, żeby jeździć tam na skrót, bezwizowo i w ogóle, i zarabiać na walucie. A znowuż ktoś trzeci zapewniał, że tamci stawiają za bagnem blaszane silosy, rodzaj składów na hałasy transportowe, przemysłowe, rozrywkowe i wojskowe.

Od tych gadek sublokator spod dwunastki miał zupełny mętlik w głowie, zatem skupił się na penetracji terenowej. A pracował jak motorek. Niebywałej siły dodawała mu obecna w jego ciele pamięć, pamięć ciepła i dotyku pięknej Marty, uśmiechu Moniki, tego, co przeżyli w świętojańską noc na Wzgórzu 271, a także wspomnienie spotkania pośrodku żuławy i słów, jakie wtedy wypowiedział

człowiek z Fryzji.

Czasem tracił część tej siły, nie ze strachu przed Sawczynem czy Rehlichem, ale przed burzami, które przewalały się nad okolicą. Kiedy grzmiało, M siedział pod dachem, prosząc Boga, żeby piorun nie zapalił ani domu, ani świerka za oknami, ani lasu.

Na szczęście nie grzmiało codziennie. W każdej chwili bez błyskawic mój przyjaciel kręcił się po puszczy jak szalony, jednak nadal nie był w stanie zwietrzyć tropu. Natykał się tylko na puszki, butelki i pety wyrzucone przez hołotę albo pogubione przez nią ryki i ciężkie przekleństwa - przeraźliwy smród dla uszu. Nie potrafił z tego nic ułożyć, żadnej hipotezy, żadnej wizji, a był pewny, że świadomość planów przeciwnika jest konieczna przy konstruowaniu własnych działań, a zwłaszcza strategii obronnej. Pytam, jak się cofać albo atakować bez elementarnej wiedzy o zamiarach, siłach i taktyce wrogiej armii?

Po tygodniu od wybuchu leśnej wojny wydawało się, że trwa bezpieczny rozejm i że sublokator pani

Kosakowej może sobie węszyć, ile zechce. Tymczasem pewnego wieczora, kiedy M rozmyślał na tapczanie na poddaszu - a rozmyślał o nadzwyczaj pięknej Marcie i jej siostrze, która czuła się w tych dniach o wiele gorzej - zaniepokoiły go odgłosy zatrzymującego się przy furtce samochodu. Usłyszałem tę skrzypiącą dryndę wcześniej. Zbiegłem na dół i zbudziłem gospodynię wpółdrzemiącą nad brewiarzem.

Pani Stanisława Kosakowa nie rejestrowała pewnych dźwięków,

ale za to wiele czuła. Dlatego natychmiast podbiegła do okna.

Zamiast szczeukać albo warczeć przyczałem się za wejściowymi drzwiami, na wypadek gdyby puścił zamek lub zawiasy. Na szczęście drzwi nie ustąpiły, chociaż jakaś niewidzialna ręka szarpała za klamkę, a noga kopała nad progiem. Inna łapa mocowała się z zamkniętym oknem, tym w pokoju obok kuchni. Trzeba wspomnieć, każde z okien na parterze zamykane było przed wieczorem, żeby nie narażać gospodyni na żywioł przeciągów. Ku memu zdumieniu szpak nie ukrył się pod szafą, tylko wskoczył energicznie na parapet, zaczął walić dziobem w szybę i wydzierał się na całe gardło: „Tutaj! Tutaj! Tutaj!”, usiłując straszyć napastnika.

Gospodyni przedreptała w dyrdy kuchnię, sień i piramidę schodów, dotarła na górę, odsunęła M od okna, wychyliła się na zewnątrz i jęła uderzać tasakiem w patelnię, taką jeszcze z Kieleckiego, bardzo dużą, niebywale głośną, dzwoniącą pod niebo jak kościelny dzwon na trwogę. Ci, co oblegali naszą twierdzę, zamarli w pół gestu, w pół słowa. Zdołali się ruszyć, dopiero gdy z paru sąsiedzkich budynków wybiegły kobiety.

Niewiasty - Skórowa, Ruckowa, Osińska, Styczniowa, Lubińska, bardzo zgrabna Danielewska, Skowronkowa i Szmaglińska - gnały do nas z wielkim krzykiem. Niemal każda z nich galopowała na szeroko rozstawionych nogach. Niemal każdej kołysały się na boki ciężkie piersi. Tylko pani Danielewska biegła zgrabniej i jej piersi falowały wertykalnie. Kilka dam dźwigało oręż, taki raczej przypadkowy: pogrzebacz, motykę, parasol czy kapeć, a nawet gorące żelazko ze

sznurem.

To było cudowne, tym bardziej że panie musiały się wyrwać z egipskiej niewoli. Już kiedyś mówiłem, że co dzień wieczorem z prawie wszystkich domów na zydlungach dochodziło ujadanie. I mówiłem, że sąsiedzi tkwili nieruchomo na kanapach, całkowicie sterroryzowani, gapiąc się w błękitne ślepie bestii.

Tymczasem owego wieczora kobiety przemogły tę słabość!

Damy mknęły w naszą stronę, jakby sprawa była umówiona, może nawet przewidziona pod kierunkiem pani Kosakowej. Gospodyni nie nękała M przykrymi pytaniami, lecz swoje wiedziała i tyle. I zapewne wymyśliła procedurę awaryjną. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Stracie potęg trwało nadzwyczajnie krótko. Sąsiadki zdobyły tak wielką przewagę głosową, że Rehlich, Morowski i Sawczyn (z lewą ręką na temblaku) jak najprędzej wycofali się do poloneza, przeklinając głupie baby. Dodatkowo wygrażali w naszą stronę i rzucali straszne groźby - M miał wisieć na gałęzi, a pies łykać własne flaki. Taki pomysł.

Na odjeźdźnym wykonali brzydki gest w kierunku płotu, za którym spostrzegli Szlagonia. Przypuszczalnie, nie wypełnił należycie swojej misji. A jak ten chłopina, albo jego pies Borygo, miał domyśleć się zawczasu, że powstał i działa doskonały system alarmowy? Ile razy mam powtarzać, że wszystkiego ani człowiek, ani pies nie może wiedzieć?

Szlagoń zwiął i zamknął się na cztery spusty, tak że

Danielewska i Osińska nie zdołały mu powiedzieć, co myślą o takich Judaszach, Judaszach i koniec! Później cały oddział amazonek siedział u nas na parterze.

Panie trwały w uniesieniu, więc nadal mówiły dość głośno, co ciekawe - jednocześnie. M przyglądał się niewiastom i czuł się bezpieczny jak niegdyś na górze, nie na strychu, tylko wyżej.

To poczucie było złudne. Każdy pies i każdy człowiek mógł bez trudu zauważyć, że zrobiło się gorąco.

Wystarczyło tylko unieść nos i schwytać swąd snujący się nad ziemią. Ktoś przypalał sierść naszego świata. Dlatego nie mogłem już czekać, naprawdę.

*

Nazajutrz o ósmej, kiedy sublokator pani Kosakowej stroił świerki niedaleko metalowej wieży, trąciłem go w nogę. Dokończył robotę, a potem posłusznie pokulał za moim ogonem. Był pewny, że pragnę mu pomóc. Sunęliśmy w głąb rozgwiszdanego lasu. M wcale się nie bał, bo nie zanosilo się na burzę, przynajmniej na razie.

Skąd wiedziałem, dokąd pójść i co się święci? Może kiedyś to wyjaśnię z detalami, teraz nie mam na to czasu. Powiem tylko, że psy, prócz obwąchiwania różnych zjawisk, porozumiewają się z mądrymi i spostrzegawczymi istotami, do których zaliczam borsuki i kruki.

Po małej godzinie stanęliśmy w cieniu modrzewiowych Apostołów. M kochał to miejsce - kto jada orzechy, pamięta. Stał i wdychał spokój drzew dotykających nieba. Zupełnie się poddał ich kojącej obecności. Czekałem, aż wreszcie wywacha, wysłyszy, co

trzeba. No i stało się, po trzech minutach i dwudziestu dwóch sekundach dokonał odkrycia na miarę epoki. Uświadomił sobie coś, co w gruncie rzeczy wiedział już od dosyć dawna, ale jakoś nie do końca i nieostro, bez istotnych konsekwencji.

Uwaga!

Przez ciała dwunastu modrzewi wnikał w ziemię rytm wszechświata. One były sercem, a zarazem diapazonem całej puszczy, przekaźnikiem tonu wielkiej ciszy. Były najprawdziwszym matecznikiem powszechnej harmonii zieleni i reszty.

To tyle.

M nie mógł zrozumieć, czemu przedtem nie dostrzegał tego tak wyraźnie. Po co w ogóle konstruował jakieś cuda, aparaty z zardzewiałej blachy? Wprost nie mógł uwierzyć, że poświęcił na to aż tak wiele czasu i energii, podczas gdy Apostołowie trwali w owym miejscu dniami i nocami, robiąc swoje, bez rozgłosu, bufonady, bez żadnych kosmicznych teorii, bez pitagorejczyków i Keplera. Teraz zyskał absolutną pewność, że to właśnie tutaj przede wszystkim tutaj, powinien zapraszać Monikę i Martę, i to jak najczęściej, wbrew wszystkim gangsterom i strachom.

Zaiste, dokonał odkrycia na miarę epoki, wszakże musiał odkryć coś dodatkowego. Dlatego stanąłem przy dziewiątym Apostole i zadarłem tylną łapę. Mój przyjaciel aż podskoczył. Nie chciał wrzeszczeć, więc przykuła! bliżej drzewa, aby złapać mnie za kudły i pogonić. Raptem zastygł nieruchomo. No i dobrze, właśnie o to mi chodziło.

Pierwszy raz, od kiedy tu przychodził, dwunastka modrzewi nie stroiła idealnie. To znaczy stroiła, nawet był uchwytny nadal ton z bakelitowego telefonu, ale coś tam brzmiało nie za bardzo, o włos nie tak, jak potrzeba. Nie przestając nasłuchiwać, M przyjrzał się skórze dziewiątego Apostoła. Nadzwyczaj uważnie.

Gdzieś na wysokości ludzkich bioder znalazł rzecz właściwie niezauważalną - cieniutkie nacięcie, jakby ktoś dla żartu czy dla próby przyłożył do kory siekierę lub piłę, po prostu przyłożył, przymierzył, nic więcej.

Nareszcie zrozumiał. Aż spocły mu się dłonie.

Wracaliśmy tJardzo prędko.

Na skraju oddziału nr 211 uskokczyłem nagle z drogi i ukryłem się w gęstwinie leszczyn. Kilkadziesiąt kroków dalej mój przyjaciel spostrzegł K. Bernatowicza, z raportówką i dwururką na ramieniu.

- Chcą ściąć Apostołów! - krzyknął M do leśniczego.

Ojciec Marty i Moniki kiwną! głową.

- Może być - zaciągnął po swojemu.

- Planują je skosić!!

- Może być - powtórzył Bernatowicz lodowato.

- Pan na to pozwoli?

- A co mnie pozwalać? Nikt o nic nie pytał.

- Ale pan przyznaje, że coś się szykuje, że będzie masakra?

Istotnie, leśniczy nie wydawał się zdziwiony i niczemu nie zaprzeczał.

- Dlaczego? - zawołał mój kumpel.

- Pewnie mają zamówienie. Od kogoś silnego.

- Ja pytam, dlaczego pan nie chce nic zrobić!

- Ze sto razy ja tłumaczył. Nie mogę pozwolić, żeby córkom przytrafiło się nieszczęście...

- Coś naprawdę potwornego się stanie, gdy padną te modrzewie!

- mój przyjaciel prawie krzyczał, wbrew zasadom konspiracji. - To wszystko dokoła - zatoczył łuk ręką - ulegnie zagładzie, cały las i może świat zawali się, rozpadnie, złuszczy się jak stara farba na ścianach rudery. A przez to najbardziej ucierpi Monika! Ona tylko tu nie czuje bólu, tylko tutaj nie umiera z przerażenia!

- Co pan za głupoty jakieś gadasz?! Pan naprawdę jesteś wariat - Bernatowicz odruchowo schwycił za kolbę dwururki. - Dostyc!

Nie zamierzał ciągnąć tej rozmowy. Znikł prędko w leszczynach, bez ukłonu i bez pożegnania, jakiś taki napuchnięty z gniewu, jak litewski niedźwiedź ugryziony przez szerszenia. I tak dobrze, że nie strzelał.

M został na dukcie i stał tam jak kołek. Dołączyłem doń, gdy byłem już zupełnie pewny, że pan z flintą jest daleko.

*

Najpierw strasznie pędziliśmy, potem - na szczenięcie od zydlungów - M zatrzymał się niespodziewanie i wszedł na ambonę, stojącą na skraju dębowej polany. Zrobił to, bo nie chciał, żeby gospodyni zobaczyła, jak cały się trzęsie. Odpędzał komary, głęboko oddychał i myślał. Ja czuwałem za jałowcem.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy dobiegł do mnie trzask gałęzi.

Od razu wiedziałem, że nie zbliża się odyniec, chociaż odór spoconego cielska i sapanie mogły zmylić niefachowca. Z gęstej kępy brzóz wynurzył się Goliński.

- Wody! - krzyknął na dzień dobry.

- Przepraszam, znów nie mam - odpowiedział mój przyjaciel.

- Tak trudno przewidzieć, że pojawi się listonosz?

Rzucił rower i położył się na ziemi. Zdawał się okropnie zmordowany. Nic dziwnego, przywłókł paczkę.

Paczka była zagraniczna, państwo się domyślają - z Kanady.

- Podpisać mi tutaj i spadam - wskazał na pocztowe kwity.

M zsunął się z góry, uspokoił dygotanie ręki i poświadczył odbiór, zgodnie z prawem. Nie zapomniał przy tym podziękować.

- A odpisał już na tamte listy? - spytał Golas, jak mówiono o Golińskim w okolicy. - Nie będę się znowu wtrącać na wieże i wydmy, wyłącznie dlatego że trzeba natychmiast dostarczyć depeszę czy tam, kurna, ponaglenie!

- Akurat układam odpowiedź...

Doręczyciel oparł się na łokciu.

- Bardzo dobrze. Niech nie zwleka. Człowiek nie wie, ile dostał na to czasu.

Sublokator pani Kosakowej całkowicie zgadzał się Golińskim, ale z rozpakowywaniem paczki wcale się nie spieszył. Przed obiadem usiadł na poddaszu i ogłosił: „Chwila przerwy”, czyli zafundował sobie moment bez rozmyślań i emocji po odkryciu tajemnicy lasu i sekretu przeciwnika. Dzięki temu przestał się tak trząść jak chory.

Każdą rzecz wyjmował z pudła pojedynczo, uważnie oglądał i układał na tapczanie. Chciał w ten sposób uszanować Gośkę i Andrzeja, którzy tyle mu ofiarowywali. Oprócz bardzo miłej kartki od nich, znalazł parę świetnych butów, letnie ciuchy, dwa swetry (indiańskie!) i kurtkę na jesień. A na samym dnie leżała mapa z fotografią gęstych lasów nad brzegami wielkiej wody. Na zdjęciu był napis: Vancouver Island, Victoria and the Gulf Islands. Nad tytułem, na niebieskim niebie Gośka naskrobała długopisem:

Zapraszamy!

M patrzył przez okno ocienione świerkowymi gałęziami i przesyłał swoją wdzięczność. Była całkowicie niewidzialna, jak sygnał radiowy, lecz miała substancję. Szybowała nad polami, Wisłą, Europą, ponad

Atlantykiem, Ameryką, aby[^]ylądować w snach przyjaciół, przed świtem w Vancouver.

Właśnie coś o snach mówiła przy obiedzie pani Kosakowa. M wydawał się nadzwyczaj roztargniony i nie bardzo rejestrował jej opowieść, trochę trudną do pojęcia. Na tyle, na ile pamiętam, gospodyni wspominała dziwaka z Nieskórzowa, który był zupełnie przekonany, że to sny są jego pierwszym światem, a nie jawa. Czuł się najprawdziwszy właśnie we śnie i rozważał w nim, dosłownie każdej nocy, co też mogą znaczyć dzienne wydarzenia i obrazy - te z gościńca, domu lub stodoły - czy są znakiem złego, czy dobrego. Pani Kosakowa zaznaczyła, że on czasem bał się zbudzić. I dodała:

- Eyii, wariaty muszą być i tyle. Mus, by były, synek, i widziały

różne rzeczy za nas. A nam trzeba ich za tę robotę karmić.

Szpak nie wtrącał się do uwag o wariatach.

M niespodziewanie wyszedł z kuchni. Wkrótce wrócił z plastikową torbą poprosił panią Kosakową, żeby przekazała Ladachównie, tej najstarszej, parę ciuchów, jakie mogły być noszone przez dzieciaki. Ostatecznie jak koszulka jest za duża, to nie szkodzi. Gospodynię zainteresował głównie sweter, bardzo piękny.

- Dałoby się go przerobić - oceniła. - I pasowałby jak ulał na Justynę - pierwszy raz od chwili, kiedy

M zamieszkał na zydlungach pod dwunastką, pogłaskała go po głowie.

Po obiedzie musiał coś załatwić.

Nadkładając nieco drogi, pod osłoną lasu dotarliśmy nad jezioro. Nie nadeszła jeszcze pora konwentyklu, do wieczora pozostało sporo czasu, więc dziewczyny były w domu, a nie w zagajniku blisko wody. Po niedawnej pogawędce z K.

Bernatowiczem M nie palił się, by pójść do leśniczówki. Musiałem mu pomóc. Poganiałem znów Egona w te i nazad i w ten sposób Marta i Monika otrzymały od nas zaproszenie. Po kwadransie przyszły nad jezioro.

Tym razem mój kumpel nie potrafił opowiedzieć nic do śmiechu. Obie siostry, każda na swój sposób, zapewniały go, że to nie szkodzi. M przeprosił, po czym walnął z grubej rury, przedstawił najświeższe wyniki naszych działań wywiadowczych. Lekko trzęsły mu się ręce. Zakończył pytaniem:

- Możecie mi pomóc?

Monika i Marta skinęły głowami; ostatecznie były w partyzantce.

- Możecie dowiedzieć się, KIEDY tamte sukinsyny zamierzają przeprowadzić swoją akcję? Może uda wam się zdobyć także inne wiadomości, na przykład jakimi siłami planują to zrobić, przecież muszą dysponować jakimś sprzętem, fachowymi pilarzami i tak dalej. Kto to będzie, ilu ludzi, jaki transport?

Zakładam, że tego wszystkiego nie da się utrzymać w tajemnicy, że coś im wycieknie, dotrze aż do leśniczówki.

Gryzły bąki (ludzie mówią końskie muchy). Brałem je na siebie. M spoglądał na jezioro, pociemniałe pod nadpływającą chmurą.

- Ja w ogóle, kurde, nie pojmuję - dodał - po co, na co tym gangsterom tyle szlachetnego drewna.

- Na cokolwiek - rzekła Marta. - Na podkłady kolejowe, wykałaczkę albo opał. Dzicz nie ma oporów.

- Ale na to łatwiej ukraść zwykłe sosny, które rosną gdzieś przy drodze, a tu trzeba się natrudzić jak cholera, ryzykować! Pytam, po co?

- Obojętne. Zginą najwspanialsze drzewa w głębi puszczy, to jest ważne.

- Wasz ojciec uważa, że ktoś zlecił tę robotę.

- Oczywiście. Dla Sawczyna i Rehlicha liczy się wyłącznie kasa. Pieniądz to jest nowa wiara starych partyjniaków i ubeków, nowy sposób sprawowania przez nich władzy. Tak twierdzi pan Paweł.

Wtedy odezwała się Monika.

W gruncie rzeczy nie wypowiedziała ani słowa i ktoś z zewnątrz mógłby uznać, że w ogóle nic nie mówi, ale my usłyszeliśmy bardzo wiele. Jej oczy i ręce powiedziały coś, co było potwierdzeniem strasznych przeczuć mego przyjaciela: „Najpierw zetną Apostołów. Potem będą wyrzynali cały las, jak wyrzyna się bezbronnych jeńców”.

Zanosilo się na przedwieczorną burzę. Musieliśmy jak najprędzej wracać.

Burza przetoczyła się nad lasem i osiedlem, a kiedy ucichła, sublokator pani Kosakowej nadal czuł napięcie w głowie, karku, nogach i żołądku, jakby całe jego ciało spodziewało się następnej fali grzmotów i błyskawic, dużo potężniejszych i straszniejszych. To jednak nie znaczy, że zamierzał w końcu schronić się pod balią lub zamknąć w klozecie. Wręcz przeciwnie, wbrew napięciu był gotowy robić swoje.

Choć nie wiedział wszystkiego (zgodnie z jedną z najważniejszych prawd życiowych, jakie M przyswoił sobie po wylądowaniu), wiedział dostatecznie wiele, aby wreszcie zacząć tworzyć strategiczny plan obrony. Plan powstawał głównie w lesie.

Właściwie codziennie krążyliśmy przy Dwunastu Apostołach, działając dyskretnie i cicho. Początkowo M rozpracowywał całą przestrzeń dokoła dwunastki, sprawdzał każdy leśny zakamarek, każdy patyk, później przesiadywał na konarach rosochatych kasztanowców 96.957 i 96.961 albo ogromnego i rozłożystego dębu o numerze bocznym 75.739, i tam dumał, nasłuchiwał, a czasami

zapisywał coś na kartkach. I tak jak kiedyś, dawno temu, na Okęciu, kiedy gapił się na samoloty.

Mój przyjaciel, niczym dzięcioł, który zamiast leczyć drzewa, poszukuje ich pomocy, coraz rzadziej stroił zieleń, za to sam nasycił się jej tonem, letnią barwą, aromatem lip i sosen, a do tego piosenkami ptaków, wielogłosem całej puszczy na krawędzi pradoliny Wisły. Nade wszystko słuchał gry modrzewi. Czerpał z tego wielką siłę. Stawał się gotowy.

Od siódmego lipca zaczął ściągać z domu, a właściwie z Szopy Wspomnień, różne rzeczy. Na szczęście, nie tak wiele jak poprzednio, kiedy konstruował urządzenie indukcyjne. Rupiecie zgromadził wysoko na dębie nr 75.739, gdzie zbudował mały pomost, niewielką platformę, doskonale maskowaną przez parawan z gęstych świerków. Z tej platformy widać było jak na dłoni cały obszar z modrzewiami.

Właśnie w fazie owych prac na wysokościach, w piątek dziewiątego lipca, kiedy wracaliśmy po robocie na zydlungu, M zatrzymał się na chwilę w miejscu, w którym w drugi dzień świąt wielkanocnych ujrzał sceny z polowania. Teraz znowu coś zobaczył - dokładnie w tym kadrze co wtedy.

To był łoś, samotny byk w brązowej sukni. Trzymał uniesiony prawy przedni badyl i wierzgając nim, próbował się uwolnić od zaciśniętego na podudziu drutu. Pętla wnyku wcięła mu się ostro w skórę.

Zwierzę zryło racicami ziemię w ciasnym kole beznadziejnej walki.

M ruszył bykowi na pomoc, lecz zatrzymał się pół korku przed nastawionymi do obrony ostrzami poroża.

Łoś spoglądał ciemnym okiem. Patrzył przez dość grube okulary, które były identyczne jak te, które nosił

Paweł Wyżykowski, tylko pięć numerów większe.

- Hołota - wystękał. - Hołota i dzicz! Od stuleci. Cham zabijał Polskę zawsze, ale to komunizm go nobilitował, dał mu władzę i bezkarność. I już chyba tak zostanie.

M rozumiał, że te słowa nie są kierowane przeciw niemu. Miał ich tylko wysłuchać, nic więcej. Przycupnął pod krzakiem jałowca i milczał.

- Upadło imperium, a tamci panoszą się nadal. Panoszą się wszędzie, bo oni są wieczni, przynajmniej tu, u nas... - ciągnął byk i szarpał drutem. - Udawałem, że ich nie poznaję. Dodatkowo udawałem sam przed sobą, że im wybaczyłem, chociaż o to nie prosili, i czułem pod skórą, że oni wciąż mają ochotę mordować. Krew nęci, rozjusza, a jest jeszcze bardzo świeża. Ona nie wysycha tak od razu.

Wydawało się, że gadające zwierzę ma gorączkę, pewnie od zainfekowanych ran na nodze.

- Jak to pojąć, że bandyci, którzy przez dziesięciolecia zaszczuwali innych, katowali, zabijali, niewolili i okłamywali, którzy odbierali chęć do życia i nadzieję, którzy zrujnowali kraj, są nietykalni, a to, co czynili, nawet nie zostało określone jako zło, nikczemność?

Potknął się o drut i prawie upadł.

- Powiem panu, że ta nienazwana i nieosądzona swołocz znowu będzie rządzić w pełnym blasku, znów będzie zuchwała, a stawianie pytań o jej czyny stanie się nadzwyczaj źle widziane. Synowie i córki

Lenina mają, widać, jakiś urok, jakąś niepojętą siłę uwodzenia. Kto to wie, czy z czasem ci oprawcy nie okażą się sprawiedliwymi, a prześladowani będą piętnowani jako pozbawieni zmysłu moralnego.

Sapał ciężko, jak po biegu.

- Przypuszczam, że wkrótce nie będzie już wolno robić takich komentarzy. Karą będzie anatema, być może coś więcej.

Zamilkł na dwadzieścia jeden sekund. A potem wykrztusił:

- Zostaną wam tylko zwierzęta. One będą mówić za was, nawet jeśli zda się to żałosne. Tylko one, bo kamienie milczą tak jak ludzie.

Jeszcze raz spróbował poluzować zaciśniętą pętlę ze stalówki, ale wnyk zadzierzgnął się na dobre.

- Co do mnie, to nie mam już siły patrzeć na ten peerelowski werwolf, nie chcę zgadzać się na nieustanne szwindle, grubiaństwo i butę ani pozostawać w smrodzie skwaśniałego w kiskach bimbru. Dlatego powracam na północ. Zresztą ja się duszę pośród ludzi, którzy nie potrafią się uśmiechać, pozdrawiać nawzajem, za to mają samobójczą manię schlebiania hołocie i podlizywania się chamowi.

Przestał walczyć ze stalowym wnykiem i stał całkowicie nieruchomo.

- Próbowałem wyrwać z gówna chociaż mały skrawek mej ojczyzny, a ci jeszcze raz mnie załatwili. Teraz chcę już tylko

uratować to, co mogę, tylko to, co najważniejsze.

Wtedy sublokator pani Kosakowej ujrzał Martę. Ona nie zauważyła M i mnie, jak gdyby nas zupełnie tam nie było. Ukucnęła obok łosia, przez minutę albo dłużej siłowała się z przekłętą pętlą, wreszcie uwolniła zwierzę z sideł. Po chwili oboje zniknęli w zieleni i ciszy, takiej ciszy nie za dobrej, która trwa w godzinie bożka Pana.

Mój przyjaciel miał w żołądku ciężki kamień.

Znowu zanosilo się na burzę.

*

Po południu siedział w Szopie Wspomnień, rozpuszczając w sobie kamień i uspokajając się po nawałnicy, która przewaliła się nad zydługami. W towarzystwie emerytowanej bomby i żelastwa z dawnej kuźni robił jakieś nowe szkice, obliczenia niemające nic wspólnego z jakimkolwiek aparatem indukcyjnym, za to przypominające plany machin oblężniczych i mapy sztabowe oddziałów specjalnych. Mój przyjaciel nie miał złudzeń, menonitom by się to nie podobało, ale trudno, każdy idzie własną drogą.

Pół godziny wcześniej, przy obiedzie, gospodyni wykazała zrozumienie dla milczenia i zamyśleń lokatora, powstrzymując się od snucia opowieści z dawnych czasów. Z niewielkim wyjątkiem. Naprawdę musiała napomknąć o uśmiechu swego męża i psie Gardyjanów. Ten pies kiedyś wsadził łeb do ciasnej kanki i tłukł się, zaraza, walił tym żelastwem, gdzie popadnie, o koryto i o studnię, aż wypłoszył wszystkie kury i zeszli się ludzie. Rozprawiali do wieczora, a psiak pewnie zdechłby z przerażenia, gdyby go nie wyswobodził

mąż nieboszczyk pani Kosakowej, bo on zawsze znalazł jakiś sposób na kłopoty, a w dodatku stale się uśmiechał. Gubił uśmiech tylko wtedy, gdy mu brakowało troków przy nogawkach kalessonów albo jak nie było barszczu na śniadanie. Taki człowiek. Boży kowal.

Gospodyni rozumiała, że jej sublokator jest zajęty i musi mieć spokój, tak więc nie dziwiła się, że od dłuższego czasu tamten nie otwiera kopert z wezwaniem do stawienia się w ośrodku zdrowia albo w gminie (u Pikulskiej) i w ogóle nie wypuszcza się do centrum świata w Starym Jarze, właściwie nie bywa tam wcale, z wyjątkiem niedzieli, gdy o świcie uczestniczy we mszy świętej i od razu wypożycza nowe książki. Jako że M zwykle siedział w domu, szauerku lub lesie, ktoś musiał się zająć zaopatrywaniem kuchni i dlatego pani Kosakowa robiła zakupy dla dwojga. Przywoziła je na damce. Nie, nie narzekała ani słowem.

Wróćmy do tamtego piątku z łosiem, południową burzą i tak dalej. Wieczorem, jak zwykle, przemknęliśmy się do zagajnika nad jeziorem. Jak zwykle, to znaczy tak co drugi dzień, mniej więcej. W owym czasie M próbował przekazywać obu siostrze Bernatowicz to, co otrzymywał od modrzewi. Mimo że - jak dobrze wiemy - sytuacja temu nie sprzyjała, starał się też bardzo, aby nadal im ofiarowywać choć trochę uśmiechu i śmiechu. To nie zawsze dobrze wychodziło, ale czasem było nieźle, no na przykład, gdy w wewnętrznym kinie zwariowanych filmów pojawiały się historie: a) o Marii Bobińskiej prasującej rzekę i jezioro, porządnie, na mokro, i o Koperkowskiej prasującej morze, a to jest trudniejsze i dlatego Koper-kowska w porze

sztormów nie przyjmuje żadnych gości, nawet siostry R. Koperkowskiego z Tczewa; b) o niewielkim sklepie ze zdaniami, otwartym codziennie od 10:00 do 22:00, w którym można kupić dosyć tanio dobry towar z Bielska-Białej, powiedzmy: „Mało mamy, Zosiu, zmartwień, po co jeszcze wróbel w łóżku?”, albo: „Ja wolałabym narzeczonego niż rowerek”, albo: „Gdybyś ty mnie kochał, ja ci mówię, to byś nie zostawiał na fotelu swoich portek”; c) o Zbigniewie Mątkiewicz, który prosi każdą z napotkanych pań do tańca, a odmówić jakoś nie wypada - co innego, gdyby prosił o pożyczkę albo grzebień - więc obtańcowuje niemal wszystkie, od samego rana do wieczora, na ulicach i na placach, w sklepach, restauracjach i na poczcie, i nikt nie wie, czy Mątkiewicz to jest bydlę, czy może ostatni dżentelmen pod słońcem.

Zrobiło się dobrze jak kiedyś, przed wygnaniem z głębi lasu, więc M nie powiedział nic o łosiu ani nie miał serca spytać, czy przypadkiem koło leśniczówki nie parkuje srebrne volvo. Może wcale nie chciał tego wiedzieć? I tak miał nadzwyczaj wiele zmartwień.

Siedzieli przy sobie na brzozonej kłodzie, M w środku, pomiędzy siostrami. Wieczór pachniał cudem lata.

Starsza Bernatowiczówna zamyśliła się i zagapiła na jezioro. Mój przyjaciel stale zerkał na jej odsłoniętą szyję i ramiona. Nie potrafił się powstrzymać. Potem z lekko rozchylonej bluzki Marty jego wzrok wyłowił skrawek piersi, tak oszłamiająco piękny, że M stracił oddech na sześć sekund. Nie umiał spoglądać spokojnie przed siebie, na wodę. Zresztą nawet kiedy wlepiął wzrok w szuwary, i tak

widział tylko ją - dziewczynę, którą kochał.

Była tak niewiarygodnie blisko i bardzo daleko.

Leżałem przed nimi na trawie i pragnąłem całym sobą - od jęzora do ogona - żeby mój przyjaciel wreszcie się ośmielił, pochylił się ku niej i spytał (na przykład): „A która godzina, masz może zegarek?”, no i niby odruchowo ujął ją za lewą rękę. Mógłby nawet zrobić to niezdarnie, tylko żeby wreszcie, kurde, zrobił!

Strasznie chciałem go do tego skłonić, dlatego taktownie skamląłem, jednak jeszcze raz wygrała w nim nieśmiałość i obawa przed upokorzeniem.

Nie uczynił. Po prostu siedział, napięty jak struna, więc niemal zabrzączał, kiedy poczuł lekki dotyk od strony Moniki. Było mu okropnie głupio, uprzytomnił sobie, że pozwolił jej nie istnieć, na chwilę zapomniał, że żyje. A tymczasem ona znów starała się przekazać coś ważnego.

Chciała mu powiedzieć, że się boi - nie teraz, nocami - i że coraz częściej płacze z bólu, tak jak to bywało zimą. Poza tym twierdziła, że ludzie są durni. Nie potrafią cenić każdej chwili, każdego oddechu, zamartwiają się głupstwami i zajmują pierdołami. A ważne jest jedno.

Czym było to jedno? No właśnie, M tego nie chwycił. Nie bardzo dosłyszał, bo Monika wymilczała tę końcową myśl za cicho, o wiele za cicho, nawet dla wyrobionego ucha. Przeszkadzał mu także fatalny rezonans, kiepski szmer wydobywający się na zewnątrz przez skórę dziewczyny. Być może powinien był prędko ofiarować jej kolejną porcję śmiechu, dodać słowo o modrzewiach, ale zrobił coś

innego.

Najczulej jak umiał pogłaskał Monikę po skroni.

I wtedy przycichło tam, w głowie, przynajmniej na moment.

*

Późnym popołudniem dwunastego lipca, kiedy mój przyjaciel wyszedł z szopy, chowając w kieszeniach obliczenia balistyczne i rysunki, stał się mimowolnym świadkiem tego, jak stary Konradek goni trójkę osiedlowych dzieci, które przyuważył w gęstej dżungli, w tym dzikim ogrodzie za domem. A one po prostu sprawdzały, czy tam rzeczywiście są pytony, takie rzeczy trzeba wiedzieć.

W ucieczce przed Knafflem zatrzymały się na neutralnym gruncie, czyli na posesji pani Kosakowej.

Tamten nadal wrzeszczał za parkanem, na szczęście nie wyjął w ich stronę gołego siedzenia i nie ciskał kamieniami leżącymi przed werandą. Te kamienie były cenne, bo pomalowane przez Knafflową na niebiesko w białe cętki.

- Konradek to debil - rzuciła zdyszana Martyna. - Pojedzie pan z nami?

Dzieciaki przed chwilą walczyły o życie, a już wydawały się gotowe do podjęcia nowych wyzwań.

- A dokąd? - zapytał.

- Do zamku. Za Wisłą. Prom chodzi, na pewno! Sprzedawca krawatów nam mówił. Przejeżdżał tamtędy przedwczoraj i widział.

- Sami wszystko skołujemy, rowery i resztę... - szepnął Łukasz od Osińskich, a Justyna od Ladachów nic nie rzekła, tylko pogrzebała

butem w mokrej trawie.

Wtedy M powiedział im, że dobrze, ale później, bo teraz ma kłopot i coś do zrobienia. Dodał, że niestety, z pewnych względów, nie jest w stanie zdradzić im niczego więcej, poza jednym: Mogliby mu bardzo pomóc. Oczywiście jeśli zechcą.

Wiadomo, że chcieli.

Ukradkiem rzucali do siebie znaczące spojrzenia. Ostatecznie na zydlungach każdy słyszał o wybuchu leśnej wojny. Po chwili złożyli przysięgę milczenia i zaraz dostali zadanie, o którym na razie nie powiem (za wcześnie). Gówniarze dymili przez uszy. Odtąd dla Martynej Danielewskiej, Ladachówny i Łukasza dzungla z pięciometrowymi pytonami była niczym więcej niż żalną dziecinadą w porównaniu z tajną misją, jaka stała się dla całej trójki treścią nadchodzących dni i nocy.

A wieczorem na osiedle przyszła Marta.

Właściwie przybiegła. M siedział na górze i studiował książkę pewnej udręczonej bólem głowy francuskiej filozof. Bernatowiczówna weszła na poddasze i po prostu oznajmiła:

- W czwartek.

To była odpowiedź na jego pytanie sprzed dziesięciu dni, mniej więcej. Ci, co jeszcze pamiętają, niech przypomną tym, co zapomnieli. M trochę przytknęło z emocji.

- Piętnastego?

- Tak. Z samego rana.

- Dziękuję. Masz pewność?

Potwierdziła gestem i dopowiedziała:

- Wszystko już zostało ustawione. Wiem, że tego dnia przy Apostołach nie znajdzie się żaden leśniczy, gajowy czy strażnik, bo jedni dostali wezwanie na ważne szkolenie, inni mają patrolować północ puszczy, a reszta nie ruszy się z biura ze strachu. Jak ktoś się zabłąka, jakiś dzieciak czy jagodziarz, pożałuje, że zachciało mu się głupot.

- Rozumiem.

- Co teraz?

M stanął przy oknie, pomilczał ze świerkiem, potem podszedł do maszyny Singer, na której leżały papiery i książki, spośród nich wyciągnął mapę Vancouver Island, Victoria and the Gulf Islands i wręczył ją Marcie.

Przyglądała się okładce z fotografią gęstych lasów nad brzegami jakiejś wody. - Ładne miejsce - wyszeptała.

- Jeżeli przegramy, potrzebne wam będzie refugium.

- Jak to: wam?

- No, różnie bywa.

- Ale co ty w ogóle gadasz?! Nic ci się nie stanie. A poza tym nie przegramy!

- Jeśli jednak? Jeśli tamci zrobią to, co zamierzają, a ja im najwyżej nakukam do dupy?

- Daj spokój!

- Tym razem nie będzie wyboru. Nawet jeśli mnie nie zakatrupią, pozostanie mi wyłącznie odwrot, podróż według nowej

mapy. Czy wtedy... ruszyłabyś ze mną?

Marta nie odpowiadała przez czternaście sekund.

- Odszukalibyśmy las dla twojej siostry, może właśnie na Vancouver Island - dodał. - Taki las, gdzie śmierć ma za daleko.

Zrobiła trzy kroki, zatrzymała się przed moim kumplem, pochwyciła jego głowę w obie dłonie i szepnęła jeszcze raz to samo:

- Nie przegramy.

Wyszeptała to tak blisko jego twarzy, że zetknęli się ustami.

M mówił mi później, że jeżeli wylądował tylko i wyłącznie dla tej chwili, to zdecydowanie warto było wrócić. I twierdził, że wargi dziewczyny miały smak elektrycznego miodu. Poznał ten zdumiewający smak przed ponad dwudziestoma laty i - mimo wszystko - nie zapomniał. Teraz czuł go już nie tylko tu, gdzie dotykali się wargami, ale wszędzie, nawet w brzuchu.

Jestem pewien, że ten pocałunek był zupełnie rzeczywisty. Ci, co wątpią w moje słowa, niech zwrócą uwagę, że świadkami owej sceny były również: świerk, maszyna Singer pod obrazem, stół i szafa, a ja posmarkałem się ze szczęścia, więc to chyba niemożliwe, żeby tyle różnych istnień weszło w świat fantasmagorii, uległo ułudzie obrazów zrodzonych wyłącznie z ludzkiego pragnienia.

*

W środę 14 lipca po szóstej wieczorem M pożegnał się serdecznie z gospodynią, szpakiem, a także ze świerkiem przed domem, i ruszył przez furtkę do lasu. Ja za nim.

Sublokator spod dwunastki kulał, z tym że niosła go energia,

elektryczna euforia pulsująca w brzuchu, kościach, końcach palców i tak dalej. Państwo wiedzą, o co chodzi lub raczej o kogo. Nic dziwnego, że nie zmęczył się za bardzo, kiedy wspinał się na wieżę, tę żelazną, przeciwpożarową. Jak zwykle zostałem na dole. Trwałem cicho na widocie. Pośród drzew biegały cienie zwierząt, miały jakieś bardzo ważne sprawy.

Tymczasem o siódmej przed bramką posesji pani Stanisławy Kosakowej zatrzymał się pojazd - polonez z napisem POLICJA. Dwóch panów w mundurach spytało o tego, co tu zameldował się na wiosnę.

Gospodyni na to, że go nie ma i w ogóle, w jakiej sprawie ta wizyta. A tamci od razu, że M kradnie drewno z lasu, były skargi od obywateli. I zrobili przeszukanie, bez żadnych nakazów, po prostu. Przerzyli podwórko, szauerki, piwnicę, znaleźli pół bomby i kilka patyków, urzędowo pogrozili, powiedzieli: „Ma się stawić”, pogderali, odpalili bardzo krnąbrny motor, nasmrodzili i zniknęli.

No to pani Kosakowa się zdenerwowała i uruchomiła wielkie siły.

W ciągu pięciu minut pojawiły się te damy, które wcześniej udzieliły nam pomocy, cwałując na sygnał wydzwoniony na patelni. Oprócz nich zjawily się dwie inne, a nawet pan Wirkus. Tak zaczęła się modlitwa stanowiąca wsparcie i osłonę dla człowieka nękanego przez złe moce. Potem wszyscy umówili się na rano, na szóstą piętnaście. Mieli spotkać się w kościele pod skrzydłami archanioła.

Właśnie nadszedł czas - najwyższy - bym wyjawiał państwu

tajemnicę, to znaczy wyjaśnił, gdzie znikła pani Kosakowa. Przypominam, że zazwyczaj przed południem wychodziła albo wyjeżdżała na rowerze, tylko nie wiadomo było dokąd. Nie zdradziła tego nawet przy śniadaniu wielkanocnym, ktoś pamięta? A ja wyniuchałem wszystko w czerwcu. Sprawa przedstawiała się w następujący sposób:

Gospodyni odwiedzała różnych takich, którzy śmierzdzą, takich, których własne dzieci już nie lubią albo jakoś o nich zapomniały, których trzeba myć jak sprzęty w kuchni po sobotnim świniobiciu, no a przede wszystkim trzeba z nimi chwilę pobyc i pogadać. Pani Kosakowa uważała, że ci ludzie mogą jeszcze bardzo dużo zdziałać, jeśli zechcą. Mogą modlić się za bliźnich i za różne ważne sprawy, ofiarując swe cierpienia, co dla jednych jest potwornym głupstwem i zgorszeniem, a dla innych wielką sprawą niezasktgującą na szyderstwa.

Modliła się 7 nimi przede wszystkim na różańcu, bo to jest potęga, jak utrzymywała, i w ten sposób razem z tą bezzębną, zafajdaną, zapomnianą ludzką bidą podpieraa gmach całego świata, żeby się do końca nie zawalił. Czasami chodziła do tamtych z Osińską, a najczęściej ze Skórową. Przy okazji coś zanosły, coś uprały i ugotowały, dokarmiły drobiazg od Ladachów, posprzątały, wymieniły pościel i te rzeczy, nic wielkiego, ale dzień przeżyty w taki sposób nie umierał razem z ciałem.

Zatem chyba nic dziwnego, że Skórowa i Osińska otrzymały teraz poruczenie, aby dotrzeć do wskazanych osób, tych

śmierdzących, chorych, zapomnianych, i przekazać im intencję, jak się przekazuje tajne hasło. Tamci, nie wychodząc z domu, mieli włączyć się do partyzantki. Czy to jasne? Jeśli tak, to biegnę dalej.

Mój przyjaciel siedział w oknie bocianiego gniazda na wierzchołku przeciwpożarowej wieży, gdzieś z piętnaście metrów nad czubkami starych sosen. Nie musiał się prosić, by ktoś mu pozwolił, bo strażnica stała pusta. Tego lata nadleśnictwu nie udało się wysupłać ani grosza na człowieka z radiotelefonem i lornetą, no i wszystko miał pod swą opieką sam święty Jan Gwalbert, na spółkę ze świętym Florianem.

Tym razem nie wiało. Zapadł zmrok, więc prawie nic nie było widać, tylko gwiazdy, ale M po prostu słyszał, że las ciągnie się szerokim pasem równoległe do koryta szarej Wisły i że na północy zieleń się rozlewa po horyzont, kryjąc w sobie tu i ówdzie wody stawów i strumieni, pomiędzy strefą pól a krańcem lasu biegnie pojedyncza linia kolejowa, a po drugiej stronie pradoliny bory idą wielkim łukiem, od wysokich wzniesień ponad rzeką aż po linię styku ziemi z niebem.

M słyszał, wyraźnie, że znajduje się dokładnie w centrum świata i że jest to środek uniwersum dla tysięcy dusz człowieczych i miliardów istnień ptasich, kocich, psich, pchlich, mrówczych, gadzich i bydłych, a w dodatku tych sosnowych, jesionowych, modrzewiowych i tak dalej. I dla Marty, i Moniki, i nas dwóch - bezpieczeństwa kundli. Owej nocy mój przyjaciel pragnął sobie to przypomnieć. Po to przyszedł, po to siedział na tej wieży.

Przed północą nad lasami przeleciały samoloty. M był całkowicie przekonany, że poznaje te maszyny po dyskretnej grze silników. Tak jak niegdyś prosił je półszeptem, żeby nie zaniedbywały gwarancyjnych testów awioniki i systemów sterowania. One pozdrowiły go skrzydłami i zniknęły w doskonałej ciszy pośród migoczących świateł nieba.

Po północy na bocianim gnieździe wylądował jakiś obiekt. M pomyślał, że to jeden z mniejszych samolotów, ale kiedy ten przefrunął z dachu do wnętrza strażnicy, okazał się krukem, specjalistą od głosowych depeesz.

Kruk siedział na wąskim stoliku i kasłał. Sublokator pani Kosakowej rozlał mu na blacie trochę wody, dał kawałek chleba i powiedział:

- Popij, przegryź, to ci przejdzie.

Ptak popił i przegryził, a potem wykrakał, jakby właśnie dostał w łeb meteorytem:

- Wstajemy przed piątą, będzie walka na komety.

M przyjął depeeszę bez słowa. Dopiero po chwili rozgadał się z lekka, coś szeptał krukowi na ucho. Po pięciu minutach zasnęli. Niestety, ptak chrapał. Musiał mieć coś w skrzelach i zatokach, jak to kruki, kiedy się przeziębą podczas lotów w bardzo chłodnych warstwach stratosfery.

*

O czwartej trzydzieści kruk zadzwonił dziobem i odfrunął. M obudził się, pochwalił Pana Boga, a potem zszedł z wieży. Czuł w

mięśniach emocję, naturalny strach przed walką, a nie ten poranny lęk co wcześniej, ten, co tyle razy dusił go za gardło, uciskał mu serce.

Dostałem chleb z serem i wodę i wyruszyliśmy w stronę Apostołów.

Wstawał dzień, upalny, jak to bywa piętnastego lipca.

O piątej dwadzieścia rozlokowaliśmy się na stanowiskach - M na górze, na platformie w liściach dębu nr

75.739, za zasłoną zwartych świerków, ja na dole, w ciemnym gąszczu młodych buków. O piątej trzydzieści wyskoczyłem stamtąd i sprawdziłem, czy wszystko jest wszędzie gotowe i czy nikt o niczym nie zapomniał. Dodam, że zadania od dowódcy otrzymałem tydzień wcześniej i byłem z nich dumny. Nie mówiłem o tym do tej pory, żeby ktoś mi nie zarzucił, że się chwale albo opowiadam wciąż o sobie.

Powróciłem na pozycję i zacząłem nasłuchiwać. Las odprawiał swoją jutrznię. Do drozda, rudzika, kukułki i kosa, śpiewających od dłuższego czasu, przyłączyły się: bogatka, zięba, a na końcu żółta wilga.

Oczywiście razem z nimi grały drzewa, najpiękniej modrzewie. Bardzo chciałem dodać głos do tego chóru, jednak obawiałem się, czy będę stroił, no i w sumie dałem spokój.

Czekaliśmy.

Dosyć długof

Przez chwilę myślałem o wuju, który mnie nauczył wielu rzeczy. I byłem mu wdzięczny.

Mimo bardzo wczesnej pory robiło się parno.

Wydzielaly nam się różne świństwa, tajemnicze soki i hormony, jak milionom innych wojowników przed początkiem wielkich bitew.

O szóstej trzynaście doleciały do nas huki, rżenia i zgrzyty.

Dźwięk z wolna narastał. O szóstej szesnaście wiedzieliśmy już, że to nadciąga ciężka jazda. Poczuliśmy w sobie jeszcze więcej naturalnych turbodopalaczy, aż zacząłem z lekka warczeć, tak do środka, więc nie było tego słychać.

A teraz uwaga: M dziękował Opatrzności za to, że nie stoi na przystanku przy ulicy Wolskiej albo

Okopowej.

*

Dotarli na miejsce o szóstej dwadzieścia. My pozostawaliśmy w ciszy, w zupełnym bezruchu, szacując ich siły i środki.

Wrogowie rozryli kołami traktora i Rehlichowego poloneza tę naszą polanę porośniętą mchem i wrzosem, położoną tuż przy dukcie między dwunastoma modrzewiami. Co do duktu, to ten został dodatkowo rozjechany przez samochód ciężarowy marki Steyer, taki do transportu kłód i dłużyc.

Maszyny stanęły. Ze steyera wyskoczył Morawski, tuż za nim pomagier - ogolony na kolano młody paker, siostrzeniec szofera. Z ciągnika wy dostał się Szlagoń, a z auta wysiedli właściciel i jego kolega - W.

Sawczyn (z lewą ręką w krótkim gipsie) - w towarzystwie dwóch milczących panów. Czyli było ich dokładnie siedmiu.

Mieli mordy bolszewickich bojców, obozowych wartowników, ormow-ców, bandziorów, pijaków, plebejskich kreatur, hołoty i dziczy. To był ich najcięższy oręż. Przy tych paszczach nawet strzelby i topory wyglądały na broń trzeciej kategorii, może czwartej.

Powiadam, wysiedli, i od razu splugawili cały obszar przekleństwami, wrzaskiem i smrodami, jak gdyby wylali na ziemię ze cztery cysterny gnojówki i ścieków, jakby wysypali fury gruzu, eternitu, przetrawionych przez robaki świńskich flaków i odpadków ze szpitali.

Ci dwaj małomówni, którzy przyjechali w polonezie, wydobyli z bagażnika piły łańcuchowe i kanistry.

Mieszali benzynę z olejem, smarkali pod buty i pili barwione napoje z wielkich plastikowych flaszek. W tym czasie - na rozkaz Rehlicha - Morawski z kuzynem obchodzili teren wokół Apostołów, żeby się upewnić, czy gdzieś tam, w gęstwinie nie ukrywa się ciekawskie oko jakiejś mendy. Starali się bardzo, ale mogli nam naskoczyć, nie mieli niezbędnych do takiej roboty odpowiednio długich nosów ani postawionych na sztorc uszu.

Fachowcy niespiesznie napełnili mieszanką zbiorniki w pilarkach i uzupełnili olej. Potem sobie zapalili.

Przyglądali się koronom Apostołów. Oceniali, w którą stronę patrzą, znaczy, w którą stronę się położą.

Wyglądało na to, że pilarze mają raczej dobre, bezpieczne odejście, tak więc nie musieli tracić czasu na wycinkę jakichś krzaków, które blokowałyby im odwrót, uniemożliwiałyby ucieczkę

przed upadającym, wierzgającym drzewem.

Popatrzyli, wypalili, zakłęli, splunęli i zabrali się do uruchamiania pił, na próbę. W tym czasie A. Rehlich i Szlagoń mieli zająć się ociosywaniem pni modrzewi, żeby kora, piach i ziemia nie wlażyły w łańcuchy, czyli nie pozamulały maszyn. Gdy zbliżyli się do pni Szymona Piotra i Jakuba, M przekazał mi sekretny sygnał.

Wyruszyłem w bój - na pierwszy ogień - przed szeregi świerków, sosen, buków, dębów, grabów i modrzewi, jak harcownik armii drzew, wariatów i psubratów.

Pilarki ryczały na pełnych obrotach, ale ja warczałem jeszcze głośniej. Wcześniej ćwiczyliśmy to na poligonie, kilka razy, bez pewności, czy ten manewr wyjdzie mi na polu walki. Chyba wyszedł, bo piły umilkły. Ja warczałem dalej w tonacji motorów husqvarny i stihla.

W tym momencie otrzymałem wsparcie. W szczeliny urządzeń, w ich otwory i słabizny i w przekrwione oczy wrogów posypały się tysiące suchych igieł wystrzelone przez zielone wojsko choin. Wydawało się, że nieprzyjaciel padnie albo chociaż się popłacze. Niestety, nic z tego. W dodatku nie poniósł strat w ludziach i sprzęcie.

Po chwili zdumienia piły rozhulały się na dobre. Ujadały, wyły i krztusiły się ze złości, a do tego wrywały się pilarzom, jakby chciały mnie natychmiast dorwać, rozszarpać na strzępy. Zapienione, rozjuszone, ogarnięte przeraźliwym siałem, próbowały mnie dosięgnąć kłami, ale byłem poza ich zasięgiem, na skraju polany, pod wysokim bukiem nr 576.954.

Zapewne dlatego, że nie mogły wyładować furii na prowokatorze, przeniosły agresję na siebie, husqvarna na stihla i stihl na husqvarnę.

Zaczęły się zrecć na potęgę, z wściekłością brytanów. Jedna cięła drugą i szarpała, aż strzelały snopy iskier.

Wygryzały sobie mięso i wyłamywały zęby, gruchotały metalowe kości. Szczepiły się z sobą, szalały, więc trudno się dziwić, że jeden z pilarzy zarobił w przedramię. Ranny w rękę zaskowytał, a ten drugi wrzasnął pod niebiosa i obaj puścili pilarki na ziemię. Skoczyli do tyłu, skuleni, a piły krztusiły się z bólu i w tym bólu próbowały jeszcze kąsać, z tym że już nie mogły sięgnąć się nawzajem, więc masakrowały i mierzwiły jagodniki, krzaki wrzосу i badyle, co tam było, aż wgryzły się w glebę, na pół metra albo głębiej.

Wtedy z odrętwienia otrząsnął się Rehlich. Najpierw zaklął, potem cisnął we mnie tą siekierą, którą miał ociosać Apostoła, chybił, a właściwie nie dorzucił, znowu użył śmierdzącego słowa, cofnął się do poloneza i wyciągnął z wozu strzelbę.

Rozpocząłem dumny odwrót. Zanim tamten zdołał wyrychtować broń, zanurkowałem w gąszczu buków.

Mimo że zniknąłem mu sprzed oczu, Rehlich strzelał. Sawczyn - który na mój głos i widok prawie rozłukł sobie gips o głowę - bardzo chciał mu pomóc, ale nie mógł, z powodu wiadomej kontuzji. Morawski nie ruszył się z miejsca po swoją armatę, jakby wpadł w kleiste bagno. Siostrzeniec tkwił za nim.

Huk niósł się po puszczy. Gwizdało ołowiem. Trzęsły mi się

tylne łapy i skręcało mnie ze śmiechu, nie wiedzieć dlaczego.

*

Ksiądz wikary wyszedł do ołtarza dokładnie o szóstej trzydzieści. Zdziwił się, że w dzień powszedni na porannej mszy zobaczył nie tylko dyżurnych, stałych stołowników Pańskich, ale wielu różnych ludzi, przeważnie z zydlungów.

Zanim wyszedł, przez otwarte drzwi zakrystii słyszał głosy śpiewające a cappella wspomagane przez jaskółki fruujące wokół wieży. Później powracała doń jak refren jedna fraza tego śpiewu:...wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy. Wybrzmiewała w nim przez cały dzień, a nawet dłużej.

Podczas mszy nie było ważne to, że organista H. Jarocho rzadko trafia we właściwy klawisz manualu. Nie było też słyhać suchych trzasków portfelików, nawet kaszlu i kichania, i świstu jaskółek. Słyhać było tylko ciszę.

Pani Stanisława Kosakowa przypuszczała, że bez wielkiej ciszy od ołtarza żadna z modlitw nie dotarłaby, gdzie trzeba. A poza tym ludzie czuliby bezradność wobec tego, o czym ksiądz wikary Raciborski czytał z Księgi Ozeasza, czyli wobec zbrodni i zbrodniarzy. Wszyscy byliby zupełnie sami, pogrążeni w smutku ziemi, marniejący razem ze zwierzyną i więdnący wraz ze zbożem i drzewami.

Skamieniały święty Michał także nie naruszał owej ciszy, choć jak zwykle wbijał płomienisty miecz w rozwartą gardziel smoka. Państwo chyba pamiętają: Archanioł był młody jak chłopcy z

Powstania, ci na dawno wypłowiałych zdjęciach, no i ci popijający kompot w Pałacu Jesiennym Juliana Bociana.

Pani Stanisława Kosakowa spoglądała w jego stronę. Nie musiała go specjalnie o nic prosić. Sam pamiętał o tym, co jest ważne. Już dawno poderwał dywizjon i skierował go nad lasy.

To byli genialni piloci, jak tamci, przed laty, broniący Londynu i robiący zrzuty nad Warszawą. Tylko stale brakowało im paliwa. Dlatego bez przerwy wracali, pojedynczo i kluczami, nad to miejsce, gdzie się gromadzili zwykli ludzie, najzwyklejsi: stare baby, stare chłopcy, nie za bardzo święci ani tak do końca sprawiedliwi.

Samoloty wirowały nad kościelną wieżą, napępniały się powietrzem nasyconym modlitwami, tankowały to powietrze w locie, bardzo sprawnie, i pędziły zaraz na północny wschód, na pierwszą linię.

*

Rehlich znowu załadował broń i pobiegł za mną. Nadszedł czas, by sublokator spod dwunastki osobiście wszedł do akcji. Wszedł, lecz nie opuścił stanowiska na platformie. Siedząc wciąż na drzewie, przeprowadził taką oto operację:

Przez sześć długich sekund ciągnął ostrzem scyzoryka po ocynkowanej rurce o średnicy 18 mm. Była to ostatnia rurka, jaką kiedyś ktoś gwintował na śrubstagu w kuźni męża pani Kosakowej. Dźwięk metalu szczybiącego inny metal zdawał się zupełnie nie do wytrzymania. To był jakiś taki wizg, właściwie nieroyt głośny, ale przenikliwy jak mróz w styczniu.

Kiedy pisk osiągnął apogeum, M i ja usłyszeliśmy trzask w giwerze A. Rehlicha. Tamten także go usłyszał i od razu zorientował się, że to iglica. Pociągnął za cyngiel, stuknęło, zgrzytnęło i koniec. Niewypał. Arnold Rehlich zaczął toczyć żółtą pianę, a M wydał dwa rozkazy. Pierwszy skierowany był do kruka. Ptak pofrunął migiem na zydłungi i dostarczył tam depeszę. Powiem o tym za pięć minut.

Drugi rozkaz, skierowany w moją stronę, przekazałem dalej do Egona.

Żeby sprawa była jasna: Egon zjawił się na przyszłym polu bitwy tuż przed świtem, tak jak mi obiecał pięć dni wcześniej, wtedy, kiedy pokazałem mu to miejsce. No więc piętnastego lipca zjawił się i zebrał swoich, tych, z którymi się dogadał, którzy zaciągnęli się do jego roty, którzy rozumieli całą sytuację i wiedzieli na dodatek, czym są sidła, wnyki i zdychanie z bólu przez dwie doby.

Swoi rozłożyli się w kamuflującym cieniu niskich choin. Leżeli tak długo, aż nadeszła na nich pora.

Wówczas wyłonili się spomiędzy świerków.

Każdy dzik był okryty pancerzem z błota i żywicy. Każdy sapał.

Egon kwiknął i zaczęło się natarcie - ostra szarża ciężkiej jazdy.

A. Rehlich zawrócił. W te pędy.

Monika nie spała od szóstej. Pół godziny później usiadła przy oknie i obserwowała ojca, który krzątał się przy klatkach z ptaszorami. Towarzyszył mu skwapliwie jamnik. W ogrodzie nie było Egona.

Marta przebudziła się mniej więcej o tej porze, gdy leśniczy

Bernatowicz czyścił lokum gołębiarza.

Próbowała znowu zasnąć, poddała się w końcu i wstała. Zaczęła szykować śniadanie. Raptem porzuciła czajnik i talerze, powróciła z kuchni do pokoju, stanęła przy siostrze i obie w milczeniu patrzyły przez okno.

Nie wiedziały nic o tej eskadrze nad lasami, a tym bardziej o pilotach posyłanych poza główny obszar bitwy, zresztą one w ogóle się nie znały na lotnictwie, nie miały bladego pojęcia o aerodynamice, sile nośnej, no i nigdy nawet nie słyszały o środkach łączności wykorzystywanych przez aeroplany, a zatem czy można się dziwić, że zdumiała je nadzwyczaj silna woń samolotowych turbin, wzbogacona nutą cynamonu i wanilii? Pachniało tak pięknie jak kiedyś, przed laty, kiedy mama przygotowywała deser, a ojciec przed gankiem naprawiał motocykl.

Konieczna uwaga. To nie był wyłącznie aromat, to była obecność. Monika przyjęła ją z cichym zachwytem, za to Marta się rozpadła, ale nie tak jak nauczycielka mego kumpla, która w czerwcu 1 roku rozprysnęła się na drobne części znajduwane później pod ławkami. Marta się rozpadła po swojemu - na rozum i ciało.

Rozum starszej córki leśniczego nie zamierzał akceptować żadnych złudzeń, tanich cudów. Tymczasem dla ciała ta obecność czegoś albo raczej kogoś była absolutnie niewątpliwa, jak swędzenie, głód czy senność. Po ośmiu sekundach, kiedy ciało odebrało dodatkowy sygnał, rozum całkowicie zgłupiał, zamknął dziób i więcej nie przeszkadzał.

Sygnal ów nie składał się ze znaków Morse'a.

Był lekkim dotknięciem, wyczuwalnym blisko mostka.

Tak go odebrała Marta.

Czy oczekiwała na ten dotyk już od dawna? Pytam, bo zareagowała w mgnieniu oka. Pofrunęła w stronę schodów, popędziła do ogrodu, stanęła przed ojcem i zaczęła go do czegoś przekonywać. Monika, siedząca przy oknie, nie chwyciła ani słowa, lecz widziała, że jej siostra mówi z pasją, całą sobą.

Bernatowicz nie chciał słuchać.

Ciężka jazda przetoczyła się po dukcie i polanie aż trzy razy - w tę i we w tę. Drżała eurazjatycka płyta tektoniczna, nie mówiąc o drzewach, tak że pospadało trochę szyszek i patyków. Przeciwnik nie stawiał oporu, całkowicie oddał pole. W sumie zrobił to, co czyni doświadczony żołnierz naciskany przez frontalny atak kawalerii, czyli schronił się w taborze.

Rehlich wdrapał się na poloneza. Pozostali mieli czas wpakować się do środka auta i traktora, tylko pilarz (ten, co posługiwał się husqvarną) już nie zdążył i musiał uciekać na sosnę o numerze bocznym 1.576.957, a siostrzeniec Morawskiego schronił się na dębie nr 73.939. Rehlich bardzo chciał przedostać się do wnętrza samochodu i pojeździć. Nie dał rady, bowiem dziki przymierzały się, by przebić miękkie tkanki w okolicy jego pachwin. Pozostał na dachu i stamtąd wydawał rozkazy.

Szlagoń m^j natychmiast uruchomił silnik w swym traktorze i rozjeżdżał dzikie świnię na kotlety, reszta miała ciskać czym

popadnie, a Morawski - teraz przycupnięty na ciągniku - przebiec do szoferki starej pragi, dorwać strzelbę, którą tam zostawił, i zakończy całą sprawę.

W pełni wykonano tylko drugi rozkaz. W powietrzu fruwały żelazne nakrętki, narzędzia i kije. Było sporo celnych trafień, na szczęście dziki prawie tego nie poczuły, bo chroniły je pancerze i bojowy zapal triumfatorów. Za to Szlagoń nie odpalił. Po prostu nie zdołał. Domyśliłem się, że to za sprawą zgrzytu, jaki z kieleckiego garnka M wyrzezał za pomocą scyzoryka. Na ów dźwięk poluzowały się zawory, przepaliły elektryczne styki i pękł przewód paliwowy gdzieś tam w środku traktorowych trzewi.

Jeszcze gorzej poszło Morawskiemu. Owszem, zdołał dobiec do czechosłowackiej ciężarowy i nie nadzieć się na szable, fajki albo gwizdy rozjuszonych bestii, ale kiedy wskoczył do szoferki, zemdlął. Nie z wysiłku, tylko z przerażenia. To wszystko dlatego, że gdy zbliżył rękę do wykopaliskowego karabinu Mauser 98k, strzelba sama wypaliła. Pocisk przebił się przez szybę i utkwiał w modrzewiu, ściśle mówiąc - w Judzie

Tadeuszu, a Morawski skalał sobie spodnie.

No więc broń zupełnie sama wystrzeliła, potem wyleciała z niej sprężynka i coś jeszcze, a do tego odkształciła się jej lufa. Wtedy mój przyjaciel skończył wydobywać drugi, długi dźwięk z ocynkowanej rurki o średnicy 18 mm.

Wydawało się, że bitwa jest już rozstrzygnięta, wróg okazał swoją niemoc, wystarczy wziąć jeńców, założyć im pęta i odprawić

dziękczynienie, tymczasem po trzecim nawrocie chorągiew pancerna jęła jakoś dziwnie się rozpraszać, nawet cofać.

M zdębiał, a Sawczyn i Rehlich ryknęli z uciechy.

*

Już mówiłem, Bernatowicz nie chciał słuchać. Opędzał się ręką od gadania starszej córki. Marta twardo nalegała, ten się wzbraniał i odmawiał, niemal z gniewem, ona jeszcze mocniej naciskała, aż leśniczy pękł jak orzech.

Rzucił wiadro z ptasią karmą i pobiegł do domu. Po minucie wypadł stamtąd ze sztucerem, wsiadł do samochodu, nie zezwolił córce, żeby mu towarzyszyła, i ruszył w te pędy do lasu. Dziewczyna wskoczyła na rower i pognała co sił w nogach za czerwonym volkswagenem kombi, rocznik 84. Jamnik za nią, bo go nikt nie zamknął w sieni.

A Monikę zostawili.

Po minucie usłyszała wystrzał. Echo karabinowego huku nie wybrzmiało gdzieś na zewnątrz, tylko w środku jej pokoju, tam, gdzie ciągle czuć było woń silników, cynamonu i wanilii.

Przerażona nawet nie zauważyła, jak znalazła się w ogrodzie. W ogromnym pośpiechu otwierała klatki z ptaszorami. Modliła się w duchu, by nie było już za późno, usilnie prosiła, żeby i ta pomoc się przydała.

Modliła się w myślach, to znaczy bezgłośnie. Przecież wiemy, że pozostawała niema. Trwało tak od dnia schrzanej operacji, czyli od połowy listopada. Trwało do owego ranka 15 lipca. Do godziny

7:01.

Właśnie wtedy, po otwarciu wszystkich furtek, młodsza Bernatowiczówna z a w o ł a ła:

- Lećcie!

Uczyniła to bezwiednie.

Usłyszała własne słowo i zupełnie osłupiała. Powtórzyła je trzy razy tylko po to, by uwierzyć. Potem wymawiała jeszcze inne słowa, z radosnym zdumieniem, a zarazem z niepokojem, czy ten cud nie skończy się tak nagle, jak się zdarzył.

Z klatek wyfrunęło dziewięć spośród wszystkich tych kulawych, przetrąconych, chorych ptaków, dziewięć, które były w stanie zerwać się do lotu. Sformowały trzy pokraczne klucze i zniknęły ponad puszcza.

Dziki zatrzymały się przed polonezem, prągiem i traktorem. Pierwszy raz w swym leśnym życiu aż z tak bliska zobaczyły mordy A. Rehlicha, W. Sawczyzna, Morawskiego i Szlagonia, pierwszy raz stanęły ryjem w ryj z prawdziwą dziczą. Ten widok wystarczał, aby zwątpić w dzieło boże, a tu jeszcze dochodziły do nich smrody przetrawionych alkoholi, petów i gnijący odór bluzgów.

Nawet świnie nie umiały znieść takiego świństwa.

Chorągiew pancerną zemdliło, wywróciło jej wnętrzności, odebrało siły i animusz. Rozpoczął się odwrót.

Nie pomogła interwencja lisów, błagania stojących w odwodach jeleni ani moje ujadania. Nie słuchano też Egona, który starał się powstrzymać uchodzące z placu wojska.

Mój przyjaciel poczuł, że się poci. Ogarnęło go gorąco, które nie szło z nieba, tylko z brzucha - pierwszy znak nadciągającej klęski.

- Chłopaki, pomóżcie! - wyszeptał.

Robili, co mogli. Przecież pomagali mu od świtu i w ogóle od początku, od samego lądowania. W dodatku tych w górze wspierali ci z dołu - komandosi pani Kosakowej. Mimo wszystko było kiepsko.

Rehlich, Sawczyn, Szlagoń i pilarze pozbierali się w minutę, ocucili Morawskiego, ignorując jego mokre spodnie, z dębu nr 73-939 ściągnęli do siebie łysego pakera i przegrupowali główne siły.

Pilarze dostali zadanie, żeby wskrzesić stihla i husqvarnę, Szlagoń został przy traktorze i próbował go naprawiać, a reszta złapała, co było pod ręką - obie rozstrojone strzelby, jakieś kije i lewary - i rozeszła się dwójkami, by przeczesać pierścień lasu dokoła polany.

Mnie to mogli tropić do sylwestra albo dłużej, ale M był teraz w ciasnym saku. Pierwszy dostrzegł go W. Sawczyn.

*

Kruk przekazał hasło i wiadomość Łukaszowi od Osińskich, małej Danielewskiej i Justynie od Ladachów, a ci z miejsca wszczęli alarm. Nie tłukli w patelnię, za to wykorzystywali silne głosy.

Starsze damy zydlungowe były nieobecne, a więc na dwór wyskoczyło kilka młodszych, jako pierwsza pani Basia, mama Zuzy i Martyny, bardzo zgrabna, i zjawilo się nadspodziewanie wielu panów. Oni jeszcze nie zdążyli pójść do swoich zajęć. Zgromadzeni koło bramki Tuchłów usłyszeli ważne informacje.

- Chcą załatwić Apostołów! - piszczała Martyna. - I w ogóle różne drzewa, dziki, łosie, lisy i tak dalej.

- A w dodatku pana M i moich braci... - rozplakała się Justyna (zrobiła to świetnie).

- Ale kto chce ich załatwić? - krótko spytał któryś z mężczyzn, niestety nie Ladach, bo ten leżał gdzieś bez czucia, podobnie jak jego małżonka.

- Niedobrzy - mruknęła Martyna, która wychowała się na literaturze. - Ci zdrajcy!

- Tamte stare skurczysyny! - palnął Łukasz, który wychowywał się na filmach.

- Nie przeklinaj, bo ogłuchniesz - zareagowała A. Lubińska.

Powiedziała bardzo słusznie, z tym że inni, w rozgorączkowaniu, nie martwili się nieładnym słowem szurka, natomiast pytali, skąd dzieciaki wiedzą o tym wszystkim, o czym mówią. Martyna i Łukasz odrzekli, że świcie Ladachówna wyskoczyła z braćmi po badyle do kuchenki i maliny do taniego makaronu, dość daleko, tak że zawadziła o Polanę Apostołów, tam zobaczyła straszne rzeczy. W tym czasie jej bracia zniknęli, być może zostali porwani i kto wie, czy ujdą z życiem, więc zaraz przygnała z błaganem o pomoc. A ci zdrajcy, których zobaczyła, chyba chcą sprowadzić ruskich generałów i przechować ich gdzieś w puszczy, dlatego szykują lądowisko dla helikopterów - tu gnojki cokolwiek przegięły (właśnie tak to jest pracować z nieletnimi), lecz przyznam, że skutek był dobry.

Panowie natychmiast pobiegli po oręż. No a mieli ze dwadzieścia dalszych pytań, bo z natury byli podejrzliwi, nie tak ckliwie łatwowierni jak kobiety. A panie wołały: „Już, szybciej!”, gotowe od razu wydrapywać ślepią draniom, którzy ciemnieżyli dzieci i biedne zwierzęta.

Każdy przejął się czymś innym, wszakże utworzono jedną armię idącą z odsieczą. Armia wydawała się dość dziwna, bowiem była prowadzona przez polskiego króla Władysława (o posturze małej

Danielewskiej) i mistrza Ulryka (o rysach Łukasza), popylała na rowerach, na skuterach i w zmęczonym żuku M. Skowronka i nie miała klasycznego uzbrojenia, z wyjątkiem plebejskich toporów i wideł. Po drodze przyłączył się do niej listonosz Goliński i niedługo po nim wielki książę domokrażców, siedzący na swojej pierdzącej trzykółce, a jego jedwabne proporce furczały na wietrze.

Sawczyn ściągnąłby M z góry jednym strzałem, gdyby tylko miał dwie zdrowe ręce i sprawną dwururkę.

Ale nie miał. I dlatego zamiast kul gwizdnęły w stronę mego kumpla ciężkie słowa i kamienie podnoszone z piaszczystego duktu. Dużo lepsze byłyby zapewne śruby, ale wcześniej poginęły w gęstym zielsku, odbijane od pancernych sukien dzików.

M krył się w dębowych hurdycjach i osłaniał ciało tarczą z miski. Czynił to nad podziw sprawnie, mimo wszystko dostał w biodro i jeszcze w podudzie.

Próbowałem ich odciągnąć - przeciwników-drapieżników zgromadzonych u stóp twierdzy - szarżowałem na nich, ujadałem i

prowokowałem do podjęcia walki z kundlem. Jeden z drugim cisnął we mnie grubym kijem, jednak nie rzucili się gremialnie w pogoń za mną, jakby zostawiali sobie psa na d^user. Ich cała energia bojowa była kierowana w górę, tyły zabezpieczał im siostrzeniec Morawskiego, który posługiwał się lewarem. Naprawdę nie mogłem ich dziabnąć.

Nie rezygnowałem z działań dywersyjnych i zaczepnych aż do chwili, kiedy M zawołał, żebym się wycofał i sprowadził świeże wojska. Podejmując ten taktyczny odwrót, nie miałem wyrzutów sumienia, bo widziałem już, że bluzgi, kamienie i kije nie skruszą oporu warowni na dębie. Arnold Rehlich też to widział. I dlatego przyniósł z poloneza inny oręż - siekierkę i młotek przywłaszczony sobie w czerwcu (kto jada orzechy, ten pewnie pamięta zdarzenia na Wzgórzu 271).

Rozpoczął od młotka. Machnął nim, aż zafurczało. Jestem przekonany, że M dostałby dokładnie w czoło, gdyby pocisk nie zakręcił w locie i nie huknął w zapas złomu zgromadzony na platformie. A. Rehlich się zdziwił.

Przed rzutem siekierką przymierzył uważniej - był pewny, że trafi. Nie trafił, bo toporek skręcił tak jak młotek, aby wylądować pośród swoich. Stęsknione za sobą kieleckie żelastwa chrzęściły z radości, natomiast na dole, pod drzewem, rozległy się zgrzyty zaciskanych w gniewie zębów. Słyszałem je z miejsca wśród buków, gdzie znalazłem kilka wystraszonych dzików z wieprzowej chorągwi Egona, trzy ciężkie jelenie pod bronią i zwiadowczy oddział lisów.

Korzystając z chwili bez ostrzału, M wychylił się z pomostu i

wypuścił własny pocisk - łyżkę. Ta odbiła się od czaszki W. Sawczyna niczym od strusiego jajka ugotowanego na półtwardo i wróciła jak bumerang.

Wróciła na górę, bo w tym złomie zgromadzonym na platformie królowały oczywiście sztuce. Sublokator pani Kosakowej walił dalej, a pociski po trafieniach albo pudłach powracały do warowni.

Łyżki okazały się na tyle dokuczliwe, że armia hołoty musiała się chować za grubszymi pniami choin.

Schowany za świerkiem Rehlich wydał nowy rozkaz. Ten rozkaz był straszny.

Zrobiło się parno jak w pralni.

*

Łysy nie chciał, ale musiał. Musiał, skoro szło o dużą sumę obiecaną przez Rehlicha, no i oczywiście o coś więcej - o honor pakera. To, że umiał wspinać się na dęby, udowodnił nieco wcześniej, podczas szarży ciężkiej jazdy. Teraz wtarabaniał się na drzewo w innym celu - przeprowadzał bezpośredni szturm na twierdzę.

Miał artyleryjskie wsparcie, tak że M znów chował się za miską, by nie dostać kijem lub kamieniem. Łysy wchodził niczym niedźwiedź, niezbyt zwinnie, ale prędko. Pozostało mu z piętnaście ruchów, żeby dotrzeć do hurdycji i załatwić całą sprawę jednym ciosem, kiedy poczuł ból - paskudny - w lewym barku, potem w głowie, prawej łydce i lędźwiowej części kręgosłupa. Rzucił słowa, których wolę nie powtarzać.

To były dzięcioły. Zielone. Grzmociły dziobami w wygolony,

pusty łeb dwudziestolatka, w napęczniałe mięśnie i w ogóle w co popadnie. Niszczyły mu dresy, przekłuwały się przez grubą skórę i wreszcie, o zgrozo, przebiły balony mięśni, z których ulotniło się powietrze, wylały cuchnące substancje, jakieś zupy testosteronowe, i wczepiony w korę dębu paker sflaczał.

Tak właśnie walczyły dzięcioły zielone (*Picus viridis*), a w tym samym czasie czarne (*Dryocopus martius*), duże (*Dendrocopos major*) i zielonosi-we (*Picus canus*) naparzały w inne cele. Dziurawiły karoserie samochodów i demolowały traktor H. Szlagonia, opadły pilarzy i zupełnie wykończyły obie piły - husqvarnę i stihla, rozwalaly różne rzeczy, nawet flaszki z piwem i gorzałą, a w końcu rozniosły siedem paczek papierosów, pożarły kiełbasę i bułki, i drożdżowy placek zakalcowy upieczony przez I. Zając.

Obserwowaliśmy to spod choin. Staliśmy w tym miejscu, gdzie sześć minut wcześniej próbowałem przekonywać dzikie świnie i jelenie, żeby przyszły M z odsieczą, i gdzie - zanim zdążyliśmy ruszyć do natarcia - dotarł do nas szum tysięcy skrzydeł.

Nie były to skrzydła zmachanych aniołów. Eskadra Św. Michała, działając dyskretnie, chętnie ustąpiła miejsca bardziej materialnym bytom, jakie pojawiły się na niebie. A te pojawiły się, dlatego że kulawe, stare, przetrącone ptaki, wypuszczone przez Monikę, lecące na pomoc modrzewiom i pewnemu dziwakowi, zawstydziły sobą inne - młode, zdrowe, pełne siły - no i pociągnęły je za sobą. W tej wielkiej flotylli powietrznej żeglowały również kruki pod dowództwem pocztowego porucznika i sześć kluczy orzechówek

pod przewodem wykurowanego samca.

Oprócz skrzydeł słyszeliśmy przejmujące śpiewowrzaski. Każdy z ptasich dywizjonów posługiwał się odrębnym głosem, a wszystkie tworzyły orkiestrę. Jej niesamowite brzmienie, o niewiarygodnym natężeniu dźwięku - na poziomie jerychońskich trąb bojowych - zatrwożyło wrogów dużo bardziej niż widok pakera, który zwisał zaczepony fałdem skóry o złamaną gałąź dębu.

Ten koncert stanowił uwerturę większej akcji. Niemal bezpośrednio po nim pięć pułków bombowych rozpoczęło dywanowy nalot na pozycje przeciwnika. Wraz z lisami, jeleniami i dzikami schowaliśmy się w najgęstszych chaszczach, żeby nie ucierpieć od rozprysków. M kucnął pod miską. A z góry leciało, chlustało, jakby nad głowami wrażej armii otworzyła się kloaka niebios.

Wrogowie szukali pospiesznie schronienia w pojazdach. Tymczasem dzięcioły zdążyły już zrobić z tych wraków przetaki, tak więc dachy precedzały na kryjących się pod nimi całe strugi lepkich zrzutów.

Wydawało się, że to już koniec kłusowników, chamów i bandziorów, że uduszą się, utoną, będą żywcem pogrzebani w guanie, wszakże stało się inaczej. Zdecydowało przerażenie H. Szlagonia. Bo Szlagoń, w popłochu, instynktownie wyjął zapalniczkę i podpalił nasączone ropą szmaty leżące pod cielskiem traktora. Wówczas, dość niespodziewanie, pękły szyki ptasich dywizjonów.

Mimo udanego kontrataku H. Szlagonia pilarze i łysy mieli absolutnie dosyć. Ci pierwsi uciekli na północ, a ten drugi, kiedy

zerwał się z gałęzi, nawiał prosto na południe. Najzwyczajniej zdezerterowali.

Reszta hufca pozostała na Polanie Apostołów i zaczęła dziki taniec. Rehlich, Sawczyn, Szlagoń i Morowski wywijali fajczącymi się szmatami niczym chorągwiami swojej armii. Szofer ciężarowej pragi, w kompletnym amoku, rzucił ogień na paliwo wyciekłe z kanistra pięć metrów od auta. Chmury dymu i płomienie rozgoniły resztę ptaków. Nie zostały nawet kruki.

Zrobiło się jeszcze upalniej, jak w piekle, ale weteranom walk szwadronów bezpieczeństwa Polskiej

Zjednoczonej Partii Robotniczej było tego ciut za mało. Spojrzeli po sobie i bez słów zabrali się do pracy, całą czwórką, nie zważając na obsrane głowy, odniesione rany i zmęczenie. Znosili, ściągali badyle, wiązki świerkowego chrustu i zrzucali je przy dębie nr 75.739. Sublokator pani Kosakowej znowu raził wrogów złomem. Teraz czynił to zupełnie bezskutecznie, w parę minut ułożyli stos pod drzewem. Szlagoń przywlókł metalową bańkę nietkniętą przez dzioby walecznych dzięciołów, odkręcił jej zawór i oblał olejem oblepione ptasim gównem drewno.

- Albo złazisz - wrzasnął Rehlich - albo koniec, sukinsynu!

Zanim Rehlich zamknął gębę, huknął piorun, nader blisko, jakby burza w swej perfidii podkradła się do nas na palcach i zaatakowała bez wypowiedzenia wojny.

M zamarł.

Błysnęło raz jeszcze, strzeliło na sucho, bez deszczu. Mój

kumpel zapragnął zakopać się w ziemi, najgłębiej jak można. Chciał skoczyć z platformy i wcisnąć się w norę borsuka lub lisa, ale nie był w stanie się poruszyć.

Nie ruszył się, nawet gdy Szlagoń już podpalał stertę chrustu.

*

Otrzeźwiło go moje szczekanie, tak sędzę. Na szczęście nie skoczył, za to wziął się do roboty. Jął pozbywać się żelastwa (które ściąga zabłąkaną elektryczność). Błyskało, waliło, M robił po gaciach i ciskał łyżkami, rurkami, młotkami. Niestety, wracały, chcąc zostać z rodziną. A tymczasem podpalacze gwizdali z zachwytu, stos zajmował się płomieniem, gęsty dym wdrapywał się po dębie, a z nieba spadały pioruny.

Mój kumpel był w kleszczach - między ognistymi żywiołami. Któż to wie, czy w tym momencie M nie poddałby się tym na dole, gdyby w kinie niezapowiedzianych filmów nie zobaczył oczu Marty, no i gdyby nie usłyszał, jak Monika mówi, że się boi, a ludzie są durni. Wydawało mu się, że dziewczyna mówi doń nie tylko gestem. Dzięki temu, mimo kłębow śmierzącego dymu, złapał pierwszy głębszy oddech.

Oddech pomógł mu spokojniej myśleć. Z kolei myślenie sprawiło, iż przestał wyrzucać po jednym widelcu lub łyżce, lecz wysypał wszystko jednocześnie - zwałił z góry kilkadziesiąt kilogramów wiernych sprzętów (zostawił jedynie scyzoryk, nie potrafił z nim się rozstać). Tym razem, nareszcie, cęgi, młotki, sztućce, rurki i emaliowana miska zaległy pod dębem, nie próbując

wracać na platformę. Warto wspomnieć, że gdy spadły, rozpirzyły pryzmę ognia.

Żagwie rozprysnęły się wokoło, opluwając żarem Morowskiego od ramion do kolan, aż opluty zaczął dymić. Z krzykiem rzucił się na ziemię i wytarzał w ptasim łajnie, co było skuteczne, choć brzydkie.

Pozostali, klnąc, zgarniali rozrzucone drwa na jedną stertę. Robili to sprawnie i ogień znów buchnął w kierunku hurdycji.

W gruncie rzeczy to już nie był stos płonących drzew, lecz pożar. Wzmagął się z sekundy na sekundę, ogarnął pień dębu nr 75.739 i przerzucił się na igły świerków/tych, co maskowały stanowisko dowodzenia naszej armii. Mój kumpel zapomniał na moment o huku piorunów i zaczął uciekać przed żarem i dymem na coraz to wyższe gałęzie fortecy.

Widziałem, co robi, słyszałem i czułem. Szalałem z rozpacz, drobiłem łapami, skamlałem. Nie miałem pojęcia, co począć, jak pomóc, tym bardziej że byłem sam jeden, zostałem bez wojska. Dziki, lisy i jelenie dawno dały dyla wraz z ptakami w panicznym popłochu i strachu przed ogniem. A ja wciąż nie atakowałem. Czekałem na moment, na rozkaz gdzieś z góry, wierzyłem, że przyjdzie, pragnąłem, by nadszedł. No i stało się, gdy pierwszy płomień oblizał hurdycje, a trzy piętra dębu wyżej duszny dym dogonił mego kumpla, ruszyłem do boju.

Mylą się ci z państwa, którzy myślą, że dorwałem się do gardła Morowskiego lub karku Rehlicha. Nie skakałem też po drzewach. Walczyłem inaczej. Wiedziony wewnętrznym przymusem, który

nazywają psim instynktem, ryłem i kopałem w leśnej ziemi. Pracowałem, aż furczało. Nie zauważyłem nawet, że skrusiłem na kamieniu pazur i pocierałem przednie łapy.

Zagłębiałem się w dość luźnym gruncie niczym świder. Wokoło strzelały pioruny, drzewa stały w coraz większym ogniu, z zarzewia przy prądzie pożoga podpełzła do samych modrzewi, M począł odmawiać ostatnią modlitwę, przeproszał za wszystko i żałował każdej chwili, jaką idiotycznie schrzanił. Walnęło w czub sosny nr 956.579 i wtedy wysunął się z jamy peryskop.

Poważnie!

Peryskop przyglądał się światu przez cztery sekundy, nie dłużej, i od razu spuchła ziemia, rozjechała się na boki, odsłaniając tytanowy kiosk okrętu, taką, wiedzą państwo, nadbudówkę, a tuż po niej, w innym miejscu, część kadłuba. Nikt nie tracił czasu na dyskusję. Usłyszałem z wnętrza łodzi strzęp rozkazu z informacją o współrzędnych celu, a potem zabrzmiała komenda: „Odpalaj!”.

I poszła. Torpeda. A właściwie nie torpeda, tylko bomba. Właściwie połowa tej bomby. Ta połowa, którą znałem jako wannę. Wystrzelono ją bez wahań, bowiem bardzo, bardzo dawno temu przeszła do obozu antyhitlerowców i w ogóle antydrani.

Szybowała piękną i wysoką parabolą, podobną do toru pocisku z mózdzierza (a cieszyła się swą misją niczym dziecko), po czym uderzyła w stos pod dębem (ku radości kumpli z Szopy Wspomnień) i eksplodowała z oszałamiającą siłą, wychlustując hektolitry wody.

Pożar syknął, jakby go ugryzło tysiąc os, zaświstał, zadławił się

parą, wściekł się, skurczył i rozproszył pośród choin, dębów, buków i modrzewi. Już po chwili zaczął zbierać się do kontrnatarcia, ale zanim zdołał skupić siły, z nieba lunął deszcz tak gęsty, że ostudził jego wigor, zdusił w nim palącą chęć odwetu.

Wyglądało na to, że ulewę wywołała właśnie bomba, prowokując chmurę do podjęcia interwencji z nadzwyczajnie wysokiego szczebla. Wywołała czy nie wywołała, najważniejsze, że deszcz padał, tak jak gdyby ktoś wylewał wodę z zęzy największego lotniskowca świata, płynącego nad chmurami.

Padało tak mocno, że okręt podziemny musiał przejść do zanurzenia - musiał, żeby nie stać się podwodnym. Gdyby uległ takiej zmianie, sprawiłby ogromny kłopot dowództwu flotylli i wywołał zamieszanie, szczególnie w rejestrach jednostek u Lloyd'a. Zanim zniknął pod wrzosami, usłyszałem eleganckie:

- Pozdrawiam, dziękuję. Kłaniam się i do widzenia!

Ze środka kadłuba dobiegł do mnie stuk obcasów i okręt się schował pod ziemią. Tam, gdzie zniknął, został tylko dół wryty, wyszarpany psimi pazurami. Dość szybko wypełniał się deszczem.

Pognałem do dębu nr 75.739. Morowski i Szlagoń leżeli mniej więcej dwadzieścia pięć metrów od drzewa. Wyglądali na znokautowanych. Pierwszy padł po uderzeniu ścianą wody, drugi od podmuchu umierającego ognia. Szlagoń dymił, a więc obsikałem go dla bezpieczeństwa. Dogasiłem tego typu, no bo żal mi było jego wnuków. Każde dziecko potrzebuje dziadka, choćby po to żeby zreperował czasem rower.

A gdzie byli pozostali dwaj panowie? Bardzo dziwna sprawa - znikli.

M siedział na drzewie, kilka pięter nad platformą. Skamlałem ze szczęścia i zarazem z niepokoju. Mój przyjaciel miał kłopoty ze złażeniem z wysokości. To nie było takie łatwe, bo, po pierwsze, trzęsły mu się ręce. Po drugie, dręczyła go przykra niepewność, jak po czesku jest walizka (miał pewne problemy z pamięcią, to wiemy). Po trzecie, deszcz sprawił, że gałęzie były śliskie.

Pomimo trudności, nawet wbrew rozdygotanym jeszcze rękóm, M wydawał się spokojny. On się, proszę państwa, nie bał! Pioruny wciąż biły, a M mógł oddychać tak jak człowiek i nie musiał chować się do dziupli. Odnosił wrażenie, że to deszcz zmył z niego wszelką trwogę, wszelki strach, nie tylko ten przed burzą. Nic dziwnego, że mój kumpel był mu niebywale Wdzięczny.

*

Tak, to prawda, miał kłopoty ze złażeniem, jednakże nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie schodzi, lecz spada. Trochę później okazało się, że dostał w ciemię i zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Czym został trafiony? Choć po owej katastrofie nie zwołano w trybie pilnym Komisji Badania Wypadków

Lotniczych ani nie szukano czarnej skrzynki, wiem, że nie otrzymał uderzenia podrzuconą podczas bitwy, wracającą spod powały troposfery szyszką ani żadnym świństwem wystrzelonym gdzieś z ukrycia przez

Rehlicha i Sawczyna, ani też piorunem, na przykład kulistym.

Znów zarobił sydereytem.

Wiem, bo w biednej głowie poszkodowanego nie zauważyłem nowych wgłębień. Przypominam, że meteoryty składające się z materii słowa nie niszczyły kości czaszki. Natomiast nie umiem dokładnie powiedzieć, jakie było brzmienie tego nieszczęsnego sydereytu. Ustaliłem dwie odmienne wersje.

Pierwsza: „Oczywiście, żółwie się spóźniły”. Druga: „Bo śmierć nie ma władzy tam, gdzie rosną drzewa”.

Tak czy owak sublokator pani Kosakowej znowu spadał z wysokości, przy czym wyjątkowo długo leciał.

Nie wrzeszczał, próbował się chwytać gałęzi, próbował stosować ciąg wsteczny, daremnie. I tak dobrze, że lądował na niedopalonym, mokrym chruście, a nie na żelastwie z Szopy Wspomnień.

Po sekundzie byłem przy nim. Trącałem go nosem, lizałem po twarzy, jakkolwiek wiedziałem, że tego nie lubi. A ten nic, skubaniec, leżał, nie otwierał oczu i nie mówił. Denerwował mnie, jak nie wiem. Na szczęście oddychał - bardzo płytko i nieregularnie, ale lepiej tak niż wcale.

Deszcz osłabł wyraźnie.

*

Nie spostrzegłem i nie wyniuchałem ich od razu. Rehlicha z Sawczynem. Już myślałem, że uciekli lub zginęli, a oni sterczeli, wpółkryci za sosnami, ze czterdzieści kroków od mojego kumpla i ode mnie.

Wyglądali jak jałowce - przykurczeni, oblepieni tysiącami drobnych igieł. To nie były igły wystrzelone z choin podczas wojowania z pilarkami, one spadły z gęstym deszczem. Wbiły się A. Rehlichowi i W.

Sawczy-nowi w skórę, przez koszule i przez spodnie. Przy najmniejszym ruchu ręką, nogą albo głową, paliły jak żądła szerszeni. Wydawały się zupełnie przezroczyste, a nie rdzawe czy zielone, i przypominały szklane drzazgi.

Mówiąc prawdę, raczej usłyszałem je, niż zobaczyłem, bo to były igły głosów. Należały do sponiewieranych kiedyś, skatowanych, pokrzywdzonych ludzi. Nikt nie chciał ich słuchać, więc zwyczajnie uleciały. Czekały na górze, nie szczyły, a teraz wróciły z ulewą na ziemię, do starych znajomych, do tych dwóch funkcjonariuszy prowincjonalnego komunizmu, może po to, żeby się przypomnieć - bo pamięć jest ważna, bardzo łatwo ją utracić. Spadły także inne igły - echa bluźnierstw obu chamów, ich plebejskie ryki, złorzeczenia kalające ziemię.

Głosy wybrzmiewały tylko w mięsie, w którym tkwiły; nie wydostawały się na zewnątrz. To, że w ogóle je słyszałem, zawdzięczałem psiemu uchu, które czulsze jest od kierunkowych mikrofonów. Co ciekawe, z ciała Rehlicha i Sawczyna nie wydobywały się też żadne aktualne tony. Owszem, obaj otwierali usta, ale na tym się kończyło, bolesne stękania zalegały im głęboko w brzuchu.

Absolutnie nie pojmuję, jakim cudem w takiej sytuacji Sawczyn ruszył w moją stronę. Może czerpał siłę z pasji zemsty za złamaną

rękę, za swojego psa pokonanego w punkcie szczepień, za piły, za wszystko, a może uważał, że odnajdzie ulgę w mojej śmierci? W każdym razie zmusił mnie do oderwania się od boku przyjaciela. Odbiegłem w kierunku modrzewi, żeby nie narażać M na rykoszety, na odłamki i szrapnele.

Sawczyn zbliżał się, powoli. Kiedy dźwignął z ziemi jedną z siekier porzuconych podczas bitwy, zawyłem jak basior.

Tamtego skręciło. Upadł ciężko na kolana. A ja wyłem, orientując się, że robię to za siebie i za moich leśnych braci, w gruncie rzeczy głównie za nich - konających przez dwie doby w pętach zaciśniętych na ich pyskach, spalonych pragnieniem, strawionych gangreną, z kończynami odciętymi przez szczęki potrzasków. Dokładałem skargę szlachtowanych zwierząt do głosów człowieczych. I to go trafiło, potężnie, i tego już nie zniósł, już nie wstał.

Odwróciłem się w kierunku M.

Zamarłem.

Dwa kroki od niego wyrastał skurczony jałowiec Rehlicha.

*

;

Kurde, nie wiem, czy bym zdążył. Myślę, że zabrakłoby mi pół sekundy. Nie zabrakło jej Bernatowiczowi.

- Jeden ruch i strzelam! - krzyknął.

Stał pod świerkiem 956.097 i celował ze sztucera.

Rehlich zastygł ze stalowym drutem w rękach, świetnym do dławienia albo podcinania gardeł. Dobrze wiedział, że leśniczy strzeli,

a w dodatku trafi.

- Podejdz wolno do Sawczyna - zakomenderował Bernatowicz. -
Siadajcie plecami do siebie.

Wyjaśnię: leśniczy zostawił samochód na drodze, daleko, i podkraść się do nas przez świerki. Zanim krzyknął, nie zdawałem sobie sprawy z jego obecności, bo skupiałem zmysły na kimś innym.

Tym razem nie czułem obawy, że załatwi mnie jak kłusownika. Zresztą niech no tylko by spróbował!

Mówię tak, bo w chwili, kiedy Bernatowicz dokonywał obywatelskiego zatrzymania, nadjechała jego córka, a z córkami nie ma żartów, kiedy kogoś bardzo lubią.

Marta porzuciła rower, podbiegła do M i uklękła w czarnym błocie popieliska. Odsunąłem się dyskretnie, jako że sanitariuszki znają się na rzeczy i mają bezwzględne pierwszeństwo.

- Nie wygłupiaj się, złaż stamtąd! - rzuciła zdyszana.

Dziwne słowa, przecież sublokator pani Kosakowej był na dole, nie na górze.

- Obudź się i wracaj, proszę.

Nachyliła się nad jego głowę i szeptała mu coś jeszcze, dużo czulej, ale nie podsłuchiwałem. To niegodne dżentelmena. Wiem natomiast, że nie zastosowała żadnych znanych technik reanimacyjnych, z wyjątkiem tych szeptów no i lekko rozchylonej, mokrej bluzki.

Właśnie. Kiedyś chyba już mówiłem, że jest wiele oszałamiających rzeczy na tej ziemi, jednak kształty kobiecego ciała

są czymś absolutnie wyjątkowym, tak przynajmniej utrzymywał M i paru innych panów, których przypadkowo gdzieś słyszałem. No a Marta była piękna, najpiękniejsza, zwłaszcza w tej deszczowej bluzce, niezapiętej na ostatni guzik i odsłaniającej dwie cudowne tajemnice świata.

M po prostu nie wytrzymał. Musiał wrócić, wylądować, choćby po to, żeby jęknąć z uwielbienia.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy i zorientowała się, że jest przytomny i ukradkiem popatruje na jej piersi.

Zamiast trochę się obrazić, przytuliła go - brudasa poobijanego niczym garnek - a potem trzymała tak mocno, jak gdyby nie chciała, by uciekł.

Z radości merdałem ogonem, aż zrobił się przeciąg.

*

Trzy minuty później nadciągnęła przemoczona armia króla Władysława i mistrza Ulryka.

Bernatowiczówna dała znak, że kontroluje sytuację, że sobie poradzi. M pomachał do dzieciaków - był wyraźnie w dobrej formie - a one machały do niego, nadzwyczaj przejęte. W sumie wojsko zachowało się taktownie, nikt nam nie zakłócił osobności, to znaczy mojemu kumplowi i Marcie. Był mały wyjątek.

Listonosz Goliński nie zdierzył i spytał:

- Odpisał już wreszcie i wysłał?

M pokiwał głową i powiedział:

- Chyba tak, tak sędzę. Coś tam wreszcie nabazgrałem.

- No i dobrze - podsumował M. Goliński.

Bez wrzasków i huków ludzie dogaszali resztki ognia, oglądali ślady walki pozostałe na poboju, próbowali wyobrazić sobie przebieg zdarzeń i prosili K. Bernatowicza, żeby opowiedział, co tu się w istocie stało, a on im wyjaśniał, choć nie wiedział tego i owego. Przy okazji przyszli mu z pomocą w usadzeniu czterech aresztantów. Dodam, że ci dwaj znokautowani przez żywioły odzyskali już świadomość.

Właściciel pierdziawy spętał jeńców krawatami i był z tego bardzo dumny. Mówił, że nareszcie się przydały. Tam, w lesie, od razu miał pomysł, żeby wywieźć drani jak najdalej, najlepiej dołączyć tę czwórkę do transportów obcej armii, jej ostatnich eszelonów, które opuszczały Polskę w owym roku. Z tym że nie wiadomo było, czy wyjeżdżający wezmą ich ze sobą, czy nie kopną i nie pozostawią gdzieś przy torach.

Nikt nie znalazł ruskich generałów, natomiast znaleźli się Mariusz i Przemek. Mężczyznom z zydlungów coś się, kurczę, nie zgadzało, bo gnojki przybiegły za armią, zamiast czekać na polanie. Poza tym leśniczy nie wspomniał ni razu o helikopterowym lądowisku i w ogóle takich rzeczach. Mówię, starsi mieli wątpliwości, ale nie zadawali dociekliwych pytań, choć powinni byli, to jest jasne. Chyba obawiali się, że w odpowiedzi dzieci same zapytają, czy gdyby dorośli wiedzieli, że chodzi wyłącznie o kiljca modrzewi i kosmos, to ruszyliby z odsieczą, pokonując strach wrdzewiały w duszę, zniechęcenie i dorosłą obojętność.

Dzieci nie zadają takich pytań? Tak myślicie? No to lepiej uważajcie.

A po trzech minutach nadbiegł jamnik na tych swoich krzywych łapach. Dyszał głośno jak parowóz.

Położył się przy nas, nie goniłem go, bo po co.

Jeszcze później zobaczyłem cienie dzików, jeleni i lisów. Deszcz ustał, chociaż z liści nadal opadały krople.

Modrzewie szumiały spokojnie jak zawsze. Wokół było niezłe rozwalisko, a jednak - uwaga - las stroił.

Brzmiał, współbrzmiał tak świetnie, że M wreszcie podniósł się z mokrego popieliska i słuchał zdumiony.

Słuchał lasu razem z Martą.

Ludzie poruszali się stopniowo coraz wolniej, aż w końcu stanęli bez ruchu. Tak samo zwierzęta. Nikt o nic nie pytał, nie gadał, nie głądził, nawet jamnik całkiem przycichł. I dlatego można było ją usłyszeć - wielką ciszę.

Ona wychodziła od modrzewi, od Dwunastu Apostołów, rozpływała się po całej puszczy i łączyła z tamtą pod skrzydłami archanioła, tak że usłyszeli ją też partyzanci pani Stanisławy Kosakowej. Słyszała ją także Monika, pośrodku swojego pokoju. Doświadczały jej eskadry ptaków i bytów subtelnych, przysiadłe na bukach i sosnach.

Taka cisza - państwo wiedzą - nie jest całkowitym brakiem dźwięku, brzmi jak senny oddech Ziemi. Ktoś chciał nam ją ofiarować, tak na zawsze, żeby las nie istniał tylko w lesie, ale

również w nas, głęboko w naszych kościach, i żebyśmy nieśli go ze sobą, dokądkolwiek przyjdzie nam wędrować.

W lipcu, sierpniu no i później, kiedy odleciały letnie ptaki, wchodziliśmy coraz głębiej w puszcę. M jak wilk zanurzał się w gęstwinie - absolutnie nie do wytropienia przez krzykliwe, niespokojne myśli. Szumiał wiatr odganiający chmury.

Dziewiątego września o 10:11 Monika i Marta wyjechały do Uppsali. Stało się tak, bowiem pewien łoś europejski, okularnik, umożliwił młodszej z sióstr kurację w Onkologiska kliniken vid Akademiska sjukhuset. Ofiarował jej w ten sposób dodatkową szansę, by pozbyła się kamienia z głowy. Powiedziałem - dodatkową, jako że nasz las i śmiech pozostawały dla Moniki najlepszymi i najwierniejszymi lekarzami.

Bernatowiczówny wyjechały, lecz M umiał nadal je spotykać pośród choin. Brał dziewczyny na włóczęgi lub strojenie drzew dotkniętych jakąś biedą. One były w nim obecne jak żywica w żyłach świerków.

Prócz miłości nosił w sobie smak zaskwarzanego barszczu, pomidorów, jajecznicę ze szczypiorem, a poza tym żył radością z towarzystwa książek (choćby Przewodnika po Powiślu i Żuławach), kilku kantat i piosenek, rowerowych wypraw z dziećmi oraz opowieści pani Kosakowej. Wszystko to nadzwyczaj dobrze grało i stroiło z tonem i barwami całej puszczy. Pamiętacie państwo, że jej pierwsze drzewa rosły zaraz za barakiem? Akacja, dwa świerki, dwie brzozy, topole pod płotem i lipa. Tuż za nimi las rozlewał się jak

Amazonka, sunął równolegle do koryta Wisły, aby sięgnąć za północną krawędź horyzontu.

Już mówiłem, co dzień głębiej wchodziliśmy w zielen, chociaż M w zasadzie siedział, a nie maszerował.

Siedział w wózku z blaszką DPS-u. Ja trzymałem się możliwie blisko niego, by go bronić i wspomagać w cięższych chwilach, z tym że nikt nigdy mnie nie widział. Potrafiłem kryć się pośród liści. Tak wędrowaliśmy w cieniach puszczy również wtedy, kiedy sublokator pani Kosakowej leżał w salce nr 11, a na drugim łóżku chrapał Solak. Dookoła rosły sosny, mchy wgapiwały się w korony wielkich jodeł.

W krótkich chwilach, gdy M nie przebywał całym sobą w lesie, tylko bardziej siedział w wózku albo w salce nr 11, milczał. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Ledwo wymawiał swoje imię, w istocie jego pierwszą głoskę. To brzmiało: M. Czy może raczej: Mmm. Mniej więcej. Tak działo się - wyznaję - od początku, od lądowania na szpitalnym materacu, dwa lata wcześniej; ktoś pamięta? Właśnie dlatego sam nie był w stanie opowiedzieć wam, jak stroił zielen, i to dlatego ja, zwyczajny kundel, musiałem przynieść w zębach tę historię jak zestrzeloną nad bagnami kaczkę.

Musiałem zająć się tą sprawą - wysłowieniem - wbrew przekonaniom dosyć licznych przedstawicieli homo sapiens sapiens, że psy (*Canis lupus familiaris*) nie myślą i nie potrafią posługiwać się językiem.

Musiałem tym się, kurde, zająć, ponieważ człowiekowi, który milczał przez ćwierć wieku, zależało, żeby ktoś ujrzał i usłyszał, że on

żyje, nawet jeżeli, tak na oko, mogło wydawać się inaczej.

Konieczne było przeniesienie dźwięków i obrazów z poobijanej czaszki mego przyjaciela do innych głów, czyli do państwa własnych kin dziwacznych filmów[^]

Więc mówię wam, wędrowaliśmy obaj dalej. Wstępowaliśmy w coraz gęstsza zieleń, a droga wiodła zarośniętym jarem, który podchodził pod wysoką skarpę. Stały tam potężne buki na słoniowych nogach, strzeliste modrzewie i dęby. Oprócz nich szumiały graby, wiązy, klony, czarne olchy, jesiony i świerki, a w dodatku pojedyncze jodły. Brakowało tylko drzewa wiadomości dobrego i złego, w sumie może lepiej, nie wiem.

Światło odbijało się w wilgoci trawy, nikło w norach niewidzialnych lisów. W ciepłe bagna spały dziki. W przydrożnych zaroślach nurkował zaskroniec. Parowały czarne stawy. W jednym i tym samym miejscu panowała jasność dnia i trwał cień wrześniowej nocy. Bębniły dziecioty. Kania szybowała na południe.

Szliśmy razem, bez żadnego lęku przed czającą się za progiem lasu zimą.

Trzeba było nie mieć oczu, by nie ujrzeć samotnego władcy na wygnaniu idącego wolno pod drzewami; trzeba było nie mieć uszu, żeby nie usłyszeć go, jak milczy.

